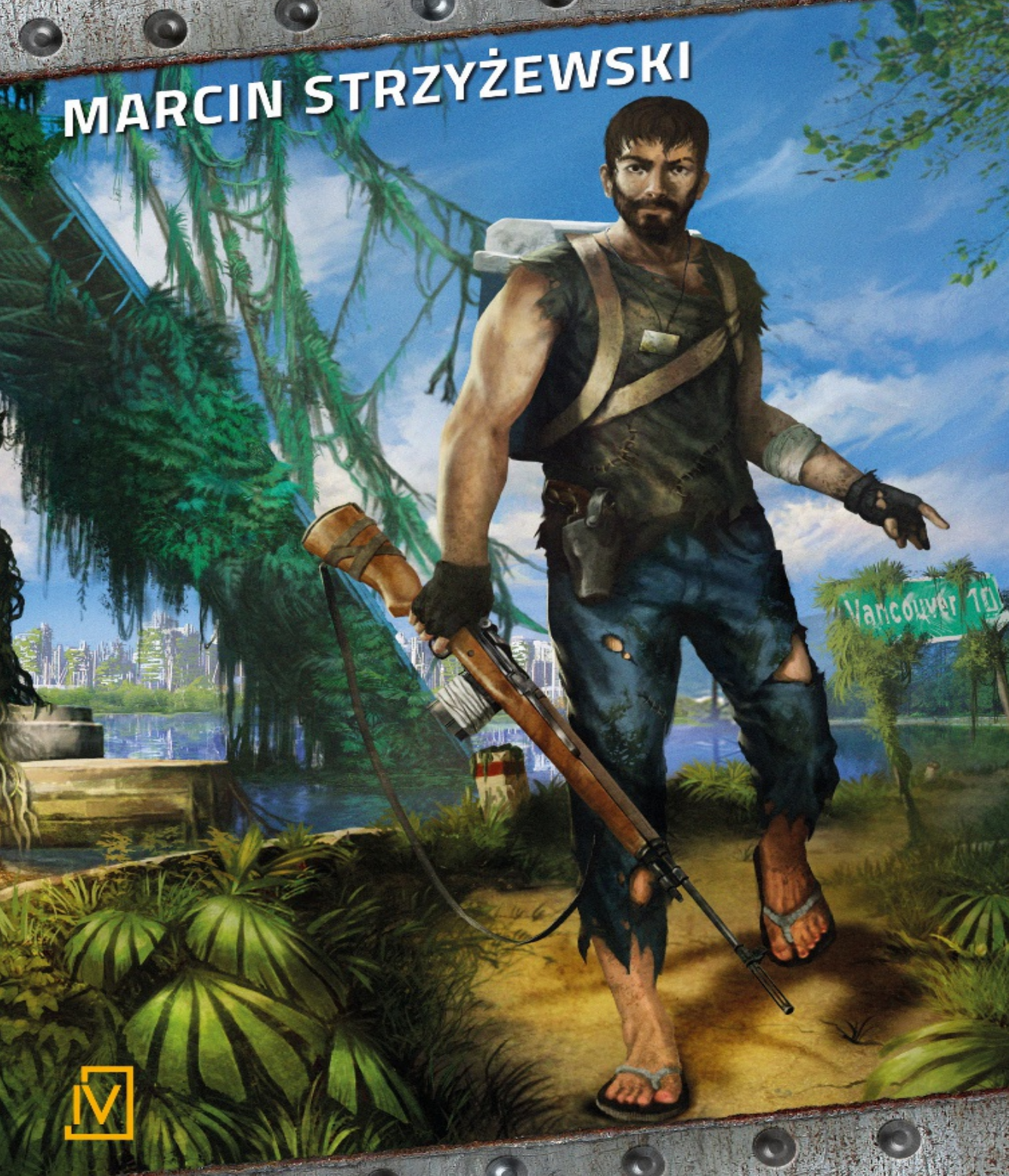


TRANSMISJA

MARCIN STRZYŻEWSKI



TRANSMISJA

Marcin Strzyżewski

TRANSMISJA



Copyright © by Marcin Strzyżewski, 2016
Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Redaktor prowadząca: Dominika Kuczyńska
Redakcja: Katarzyna Gwincińska
Korekta: Aleksandra Powalska-Mugaj
Ilustracja na okładce: Mateusz Wilma
Projekt okładki: Paweł Stelmach / www.nietypowo.com
Opracowanie grafik: Mateusz Wilma
Projekt typograficzny i łamanie: Justyna Nowaczyk
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

eISBN 978-83-7976-382-5

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-2519
fax: 61 853-8075
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Spis treści

[Część I](#)

[Część II](#)

[Część III](#)

[Część IV](#)

[Część V](#)

[Epilog](#)

[Polecamy również:](#)

*Dedykuję tę książkę
mojej żonie Julii i Małemu bogu*

Część I

Na wschodnim wybrzeżu ludzie są w cenie (niezły tytuł, przewrotny. Paul)

Na początku wieku ludzie ciągle wyobrażali sobie koniec świata. Nie wiem czemu, ale niemal zawsze ich gry wideo, filmy i komiksy pokazywały Nowy Jork: zaatakowany przez kosmitów, wirusa, grzyby zmieniające ludzi w potwory albo zagrożony katastrofą naturalną. Wyjątkowo piękne były wizje, w których na Times Square, porośniętym wysoką trawą, pomiędzy wieżowcami żyły stada dzikich zwierząt.

To wszystko oczywiście bzdury. Kiedy nadszedł koniec, Nowy Jork został zrównany z ziemią w pierwszej kolejności. Rosjanie i Chińczycy („w odpowiedzi na Amerykański ekstremizm” – *wiesz, że musimy to dopisać. Paul*) zrzucili na metropolię taką masę plutonu, że teraz można znaleźć tam jedynie cegły przemielone na pył. Od tamtego czasu nikt nawet nie zbliżył się do granic miasta. Promieniowanie nadal zabija wszystko w odległości wielu kilometrów.

Mimo to byłem w Nowym Jorku, osadzie założonej przez ocalałych na wybrzeżu dawnego stanu Connecticut, na prawym brzegu rzeki Thames w byłym New London. Cóż za ironia, najpierw to dzikie miejsce na obcym wybrzeżu nazwano Nowym Londynem, a później przeniesiono tutaj Nowy Jork, prawdziwy koszmar geografów. Jakieś sześćdziesiąt lat temu, kiedy wokół panował chaos i anarchia, grupa żołnierzy zbudowała tu rodzaj fortu. Mieli wystarczająco dużo broni, siły i szczęścia, żeby nie brakowało im ani jedzenia, ani kobiet. Miejsce to stało się jednym z największych osiedli na wschodnim wybrzeżu. Nie wiem, kiedy nazwali je Nowym Jorkiem, ale teraz mało kto w ogóle pamiętał, że kiedyś był jakiś inny, większy i znacznie piękniejszy Nowy Jork.

Przyjechałem tu zobaczyć targ niewolników, na który przybywały karawany z Maine i Vermont, stanów, które poniosły mniejsze straty w trakcie wojny. Handlarze z północy prowadzili całe kolumny ludzi skrupowanych drutem, omijając wciąż radioaktywny Boston. Na targ trafiał także „towar” znad Wielkich Jezior, a od czasu do czasu docierały karawany z południa, z Luizjany albo Georgii. Tak przynajmniej mi mówiono.

Wcieliłem się w rolę kupca, żeby wtopić się w tłum. Musicie wiedzieć, że w tym, co zostało ze Stanów Zjednoczonych, nie jest łatwo być handlarzem. Dolary już dawno

straciły swoją starą wartość. Jeśli ktoś jeszcze zachował garść zeschniętych banknotów, mógł ich użyć jako rozpałkę albo papier toaletowy, choć o przeznaczeniu tego ostatniego już dawno tu zapomniano. Jeśli chcesz coś kupić, musisz dać coś w zamian. W cenie są naboje, zapalniczki, metal, oczywiście broń, no i niewolnicy.

Zawsze kiedy ląduję w strefie, najbardziej bawią mnie dawne postapokaliptyczne wizje, opisujące Stany Zjednoczone jako jedną wielką radioaktywną pustynię. Głupie. Bomby atomowe spadły tylko na największe miasta i punkty o strategicznym znaczeniu. Osławiona i do końca tajemnicza Strefa 51 też przestała istnieć. Do dziś nie wiemy dlaczego. Potem, po tutejszych drogach przetoczyło się kilka tysięcy czołgów, ale i tak masa małych i dużych farm, miejscowości, zakładów i fabryk ocalała. Oczywiście bez prądu i ropy wszystko stanęło, ale gdzieś udało się uruchomić ręczną produkcję albo zbudować na rzece pseudoelektrownię. Dzięki temu na rynku raz na jakiś czas pojawiał się wóz zapalek albo kilka skrzynek naboji. Tak przynajmniej było na wschodzie. Zachód Stanów to zupełnie inna historia, ale tam zawsze było bardziej dziko.

Przybyłem do Nowego Jorku niewielkim wozem z trzema skrzynkami filtrów do wody, jeszcze przedwojennych, a raczej stylizowanych na przedwojenne. Za coś takiego mogłem kupić z dziewięciu niewolników. Oczywiście zależnie od ich „jakości”. Był ze mną Joe, dwumetrowy czarny niewolnik, którego kupiłem po drodze, a potem uwolniłem, nakarmiłem i któremu dałem broń. Uznałem, że hojność to niezły sposób na zapewnienie sobie lojalności.

Przepychałem się przez wąską alejkę pomiędzy dwoma rzędami baraków z blachy falistej. W drzwiach każdego z nich stał handlarz albo jego ochroniarz, a w środku tłoczyły się tłumy niewolników.

Widziałem człowieka, który przeciskał się przez żywy towar i na czołach stawiał znaki ziemniakiem umaczanym w świńskiej krwi. Oznaczał tych niewolników, których chciał kupić, żeby nikt mu ich nie odebrał.

Ja szukałem jednak czegoś innego: baraku, w którym zamiast gołego klepiska stały leżanki. Z góry lało się to mokre gówno (*musisz przeklinać? Paul*) zwane przez niektórych deszczem. Z każdym krokiem w butach chlupotało mi więcej wody, a moje spodnie, zszyte z jakichś szmat, stawały się coraz cięższe. Na dodatek, co krok zderzałem się z jakimś śmierdzącym dziadem. Najgorsze jednak było to, że ja sam też śmierdziałem.

W końcu znalazłem taki barak, o jaki mi chodziło. Wszedłem do środka. Na taboreciku zbitym z kawałków nieokorowanego drewna siedział brodaty drab o wyglądzie mordercy.

- Witam szanownego pana – warknął od progu. – Co będzie?
- Chciałbym wybrać kilka sztuk.
- Czym płacisz?
- Lubię takich ludzi, konkret. Żadnych bzdur, tylko konkret.
- Mam filtry, przedwojenne. Trzy tuziny.
- Ech, filtry nie są w cenie w Nowym Jorku.

– Ciekawe, lubisz pić wodę z tego ścieku? – machnąłem ręką w stronę Thames, która jakiś kilometr dalej wpadała do oceanu.

– Uwielbiam.

– Rozumiem, może ktoś inny będzie zainteresowany – obróciłem się na pięcie i udałem, że chcę wyjść.

– Czekajże!

– No co, pohandlujemy?

– No.

W baraku było ze dwadzieścia leżanek. Jedna przy drugiej, a do każdej przypięta była dziewczyna. Najmłodsza mogła mieć ze trzynaście lat. Przeszedłem się wzdłuż. Pogrymasiłem, ponarzekałem na za szerokie biodra i blizny, wrzody i przebarwienia. Nalegał, żebym „wypróbował towar”, ale odmówiłem.

Większość dziewczyn patrzyła gdzieś w przestrzeń, kilka uciekało wzrokiem, dwie patrzyły na mnie, jakby miały ochotę na „próbę”. Ich nie wybrałem. Takich nie było sensu brać ze sobą.

W końcu wziąłem osiem. Pokłóciliśmy się trochę o cenę i umówiliśmy, że wieczorem podjadę wozem od tyłu, żeby dokonać wymiany.

Miałem trochę czasu, mogłem pójść nad rzekę i przyjrzeć się okrętowi podwodnemu, który już pewnie ze sto lat stał zacumowany przy muzeum na drugim brzegu i rdzewiał. Niestety, jak słyszałem, najbliższy most był piętnaście kilometrów dalej na północ, więc nie mogłem obejrzeć okrętu z bliska.

Odwiedziłem też coś, co można by uznać za jadłodajnię. Kolejka ludzi stała do dziury w ścianie. Klient podawał przedmiot, który chciał wymienić, a stojący „w okienku” szef przybytku oceniał, profesjonalnie zaniżał wartość, po czym mówił, co można temu komuś nałożyć. Oczywiście każdy się wyklócał. Nie ma lekko, tutaj nawet pudełka zapalek nie oddasz tak po prostu. Przez to kolejka poruszała się z prędkością kulawego starca.

Przede mną stał jakiś Kanadyjczyk. Pewnie też przyjechał na targ, miejscowi nie jadają w takich miejscach. Tutaj nikt ze sobą nie rozmawiał. Jadło się na kawałkach blachy, starych naczyniach, deskach do krojenia i w ogóle na czym się dało.

Dałem nabój .357 Magnum, miejscowej produkcji. „Kasjer” nawet na mnie nie spojrział, zakomenderował, żeby dali mi gryzonią i funt bulwy, cokolwiek to znaczyło. Dostałem sporą porcję gotowanego i tłuczonego warzywa z kawałkiem mięsa nie większym niż dłoń pięciolatka. Tak sobie, ale nie miałem zamiaru się wyklócać.

Kilka godzin później zostawiłem handlarzowi filtry i zabrałem dziewczyny. Na wozie było ciasno, ale jakoś się pomieściły. Widziałem, jak Joe na nie patrzył. Trochę ze współczuciem, a trochę z chciwością. Po co mi one? Miałem zamiar dojechać do jakiegoś spokojnego osiedla, dać im dwa karabiny i naboje, które miałem schowane w wozie, i zostawić. Nie wiem, czy to w jakikolwiek sposób poprawi ich los, ale może w jakimś stopniu sprawi, że poczuję się lepiej. To, że przyjechałem tu w poszukiwaniu materiału na artykuł, nie musi znaczyć, że nie mogę zrobić czegoś dobrego.

Postaraj się o więcej akcji. Paul

Ocean z gruzu i szkła

Z osady Nowy Jork do ruin prawdziwego Nowego Jorku jechałem moim skromnym powozem trzy dni. Wydaje mi się, że dałbym radę zrobić to szybciej, ale nie chciałem męczyć osiołka. Biedne zwierzę miało różową narośl na tylnej łapie i w ogóle ledwo człapało.

Na szczęście zostałem sam. Dziewczyny, które kupiłem na targu, wysadziłem po drodze na jakimś ranczu. *(dobrze, tutaj damy link do pierwszego materiału. Paul)* Mieszkało tam kilkanaście rodzin, taka ni to osada, ni to komuna. Joe zapytał, czy nie mógłby zostać z nimi, a ja uznałem, że wszystko mi jedno. Wcześniej grałem rolę handlarza, a tacy nie jeżdżą bez obstawy. Teraz to już nie miało znaczenia. Nie planowałem żadnych nowych transakcji.

Jeszcze na długo zanim mój podskórny czujnik promieniowania zaczął wydzielać alarmujące ciepło, zacząłem dostrzegać niepokojące sygnały. Roślinność stopniowo się zmieniała. Dobrze znane trawy i krzewy z wolna ustępowały dziwnym organizmom, z jednej strony podobnym do drzew, a z drugiej zupełnie do niczego. Nie wyglądały przy tym na karłowate czy wynędzniałe, o nie. Po eksplozjach ogromna część fauny i flory wymarła, za to pojawiły się liczne mutacje, które popchnęły ewolucję o pokolenia do przodu. Dlatego na przedmieściach Nowego Jorku mogłem obserwować prawdziwy rezerwat przyrody, piękny niczym pierwotna dżungla.

Kiedy czujnik pod skórą zaczął delikatnie parzyć, łyknąłem solidną porcję różowych pigułek i założyłem na twarz maskę Carpentera-Trofimowa, chroniącą przed promieniowaniem, od zewnątrz dla niepoznaki pokrytą starą skórą. Osiołka puściłem wolno, obróciłem pyskiem na północ i pogoniłem. Do dziś boję się, że zawrócił i poszedł moim śladem. Obawiam się, że mógłby nie przeżyć.

Pierwszy kilometr przedzierałem się przez gęstwinę z pomocą maczety. Z każdej strony otaczały mnie jakieś kolczaste pnącza, kapiące żywicą drzewa i ogromne parzące krzewy. Zrozumiałem, że dżungla się kończy, kiedy pod moimi stopami zachrzęścił gruz. Tuż po tym wyszedłem na otwartą przestrzeń, która rozciągała się aż po sam horyzont. Przedramię bolało mnie od nieznośnego parzenia. Niestety czujnik promieniowania nie miał wyłącznika. Może trzeba było dłużej oszczędzać i kupić odrobinę lepszy model?

Brnąłem przed siebie w nieskończoność. Wokół mnie ciągnął się ocean gruzu i tłuczonego szkła, które było obmywane przez deszcz tak długo, aż nabrało łagodnych krawędzi, niczym otoczaki w górskich rzekach. Kompletnie utraciłem poczucie czasu, bo wokół mnie nie zmieniało się zupełnie nic. To samo niebo, ten sam horyzont, ta sama, niemal równa powierzchnia gruzu zarośniętego niewysoką niebieskawą trawą.

Żeby odgonić nudę, wyobrażałem sobie, jak to się wszystko stało. Wschodnie wybrzeże atakowali Rosjanie. Pociski, które tutaj spadły, wystrzelono z silosów na północy Rosji. Może pod Murmańskiem? Przeleciały nad kołem podbiegunowym i spadły na Manhattan, Queens, Brooklyn. W sumie około czterdziestu głowic. Każda bomba to małe dzieło sztuki. Wewnątrz znajdowały się aparaty pomiarowe, które uruchomiły zapalniki jeszcze nad ziemią. Konwencjonalne ładunki wybuchowe wypchnęły pluton do przodu, ściskając go do rozmiarów niewielkiej kuli. Masa krytyczna została przekroczona i nastąpiła reakcja rozpadu atomów. Energia, która wtedy została uwolniona, wypchnęła powietrze na wszystkie strony. Fala uderzeniowa odbiła się od ziemi i uderzyła na boki podwójnie. W jednym momencie całe miasto dosłownie rozsypało się jak domek z kart w przeciągu. Kiedy w przestrzeni rozszedł się impuls elektromagnetyczny, nie było już żadnych urządzeń elektrycznych, które mógłby zniszczyć. To był trwający sekundę armagedon. Ludzkości udało się otworzyć piekielne bramy. Po siedemdziesięciu latach skażenie radioaktywne nadal jest zabójcze. Ludzie ze strefy nie mogliby tu przeżyć, a nikt z ocalałego świata jeszcze nie odważył się tutaj przyjść. Sprawdziłem to bardzo dokładnie przed wyjazdem.

Powoli docierało do mnie, że trawa nie powinna tu wyrosnąć. Pod moimi stopami były metry gruzu. Na szkle, stali i betonie nie rosną rośliny. Chwilę szedłem, rozważając ten problem. W końcu pojąłem, że rośliny od lat musiały żywić się tym, co zostało z nowojorczyków. Trawa sięgała po sam horyzont.

Szedłem pół dnia i całą noc. Mogłem swobodnie dostać się na Manhattan, bo rzekę Harlem zasypał gruz. Nad ranem dotarłem do oceanu. Stałem na końcu cypla. Przed sobą widziałem trzy wyspy. Ta najmniejsza, na środku to Liberty Island – wyspa wolności. Gdyby to była gra z początków wieku, to niemal na pewno zobaczyłbym tam Statuę Wolności, uszkodzoną, ale wciąż kłującą niebo. Ale to nie gra, nie film i nie komiks. Jeden z pocisków eksplodował tuż obok, nad Governors Island.

Ruiny Nowego Jorku opuszczałem szczęśliwy jak nigdy. To miejsce kompletnie mnie przerażało. Ręka bolała od gorąca, a maska uwierała. Wracalem przez Manhattan. Wyobrażałem sobie, jak piękne musiało kiedyś być to miasto, jak niesamowicie dostojne, wzniosłe. Widzieliście kiedyś przedwojenne zdjęcia? Ściana wieżowców błyszczących szkłem. Tego już nie ma.

Cała wędrówka zajęła mi ponad trzydzieści pięć godzin. Po tak długim czasie na nogach miałem wszystko gdzieś. Kiedy tylko czujnik pod skórą się uspokoił, zdjąłem maskę, plecak i kaburę i przewróciłem się w najbliższe krzaki. Nierozsądnie? Sami spróbujcie tak długo iść. Bez minuty snu, bez dziesięciu sekund siedzenia czy leżenia. W takiej chwili rozsądek mówi dobranoć, a ty razem z nim.

– Za chwilę wchodzimy. Trójka, pośpiesz się. Kończ ten puder. Piątka, dawaj wodę do studia, mam sam to zanieść? Panie Denikin, mamy dwie minuty.

Reżyser darł się w ten sposób od jakiegoś kwadransa, wprawiając Timura w stan rozedrganej irytacji. Po raz kolejny sprawdził, czy wyłączył telefon i opaskę. Okręcił się wokół na krześle, licząc do dziesięciu dla uspokojenia i odpędzenia tremy. W końcu spojrzął na ścienny zegar i pewnym siebie krokiem ruszył w stronę wejścia do studia.

Zatrzymał się na granicy ciemności. Kiedy usłyszał: „Powitajmy naszego gościa, Timura Denikina”, policzył do czterech i z uśmiechem wszedł do studia. Na małym podeście stały dwa wysokie krzesła i niewielki stolik z karafką wody i szklankami. Usiadł naprzeciwko przystojnego, choć już niemłodego prowadzącego, sławnego Song Tana.

– Dawno temu wróciłeś z za wielkiej wody? – Song zaczął wywiad bez wstępów.

– Ledwie wczoraj. Przyjechałem prosto tutaj.

– Obaj wiemy, że muszę cię o to zapytać. Co cię tam pcha?

– Za coś trzeba żyć, a ze wszystkich innych prac wylatywałem po miesiącu.

– Zabawne, ale to program Song Tana, nie wymigasz się od poważnych odpowiedzi.

– Nie wiem, co mnie pcha. Chyba po prostu za czymś tęsknię. Całe życie czuję się, jakby czegoś mi brakowało. Może tego szukam?

– I znalazłeś? – zapytał Tan, pochylając się do przodu.

– Jeszcze nie, może...

– Jak pewnym siebie trzeba być, żeby się pchać w takie miejsca?

– Gdybym był pewien, że dam radę, to byłaby pewność siebie. Ja raczej zakładam, że się nie uda, a i tak jadę. Więc to jest raczej odwaga.

– No dobrze – zaśmiał się Song. – Odwiedziłeś już kilka zakazanych stref. Gdzie jest najgorzej?

– Afryka. Zdecydowanie. Tam było groźnie jeszcze przed wojną, teraz to jest prawdziwe piekło. Tam byłem tylko raz. Znacznie lepiej znam Amerykę. Byłem w okolicach Vancouver i Nowego Orleanu, a teraz zahaczyłem o Nowy Jork.

– Vancouver leży w Kanadzie, prawda? Tam nie spadły bomby?

– Nie, Vancouver zachowało się całkiem nieźle. Niemal wszystkie budynki stoją. Ale to i tak wymarłe pustkowia. Po wojnie na północ ruszyło wielu ocalałych. Nikt nie wie, co się dokładnie tam działo, ale

możemy się domyślać, że doszło do konfliktu. USA przed wojną były krajem pełnym broni palnej. W Kanadzie też jej nie brakowało.

– A same Stany? Jak tam jest?

– Niewesoło, jest kilka większych „miast” – cudzysłów pokazał w powietrzu palcami. – Są osady, jakieś manufaktury. Ludzi można znaleźć też w bazach wojskowych i więzieniach. Słyszałem, że czasem można trafić na dobrze ufortyfikowane osady, które nie kontaktowały się ze światem od pokoleń. Jedynym dowodem na to, że ktoś tam żyje, są kule, które lecą w stronę intruzów.

– To nie brzmi zbyt cywilizowanie.

– To zabawne, kiedy wróciłem do Chin, pomyślałem, że to my jesteśmy niecywilizowani.

– Dlaczego?

– Widziałeś ostatnio jakiś chodnik bez papierów po jedzeniu, kartonowych pudełek po makaronie, słup bez starych kłódek rowerowych?

– Nie, chyba jeszcze nigdy.

– Na wschodnim wybrzeżu Zakazanej Strefy Ameryki Północnej nie znajdziesz śmieci. Nie ma też patyków, kamyków, resztek jedzenia, niczego. Osady są wymiecione do czysta. Ma się wrażenie chodzenia po stole.

– Dlaczego?

– Tam się wykorzystuje wszystko. Jeśli jedzą zwierzę, to razem z oczami i mózgiem, z kości robią narzędzia albo klej. Nic się nie marnuje. Nawet ludzkie zwłoki.

– To straszne, co się tam stało, prawda? – Prowadzący zmienił temat, a Timur uśmiechnął się smutno. To pytanie musiało paść. Takie były zasady.

– Amerykański ekstremizm prędzej czy później skończyłby się wojną światową. To było wielkie zło, ale pozwoliło zapobiec jeszcze większemu.

– Dziękuję, Timur. Mam nadzieję, że po następnej wyprawie znowu nas odwiedzisz.

– Jeśli tylko uda mi się wrócić.

– Pożegnajmy brawami Timura Denikina, a po przerwie odwiedzi nas Su Miller, najnowsza gwiazda Internetu. Pierwsza kobieta, której wszczepiono szósty palec u obu dłoni.

*

Szanghaj Ribao, jeden z największych portali informacyjnych na świecie, ulokował swoją siedzibę na brzegu zatoki, przy samym wylocie mostu na wyspy. Redakcja mieściła się w jednej z czterech piramid, mniej więcej w połowie jej wysokości. Timur bywał tu stosunkowo rzadko. Nie miał etatu ani własnego biurka. Lubił o sobie myśleć, że jest wolnym strzelcem, ale w rzeczywistości był po prostu żółtodziobem bez stażu i doskonale sobie z tego zdawał sprawę.

Do budynku dojechał jak zwykle tubą. Wysiadł na stacji P2 Wschód i ruszył razem z ludzkim potokiem w stronę wind. Kiedy wracał z podróży do stref zakazanych, ciężko mu było przywyknąć do miejskiego życia: ruchomych chodników, zamkniętego obiegu materii i ogólnego dobrobytu. Każda z piramid miała czterysta pięter i była w zasadzie samowystarczalna. Panele słoneczne i turbiny wiatrowe zapewniały prąd, a niewielkie ilości upraw hydroponicznych i system niemal pełnego recyklingu biomasy sprawiały, że jedzenie sprowadzono w znikomych ilościach. Życie tutaj bywało dokuczliwe, ale Timur spotkał wielu ludzi, którzy bez wahania uwierzyliby, że to raj na ziemi.

Dojechał na 211 piętro, przeszedł kilkadziesiąt metrów i znalazł się przed drzwiami z elegancką tabliczką „Szanghaj Ribao”. To oczywiście nie był koniec podróży. Dalej musiał pokonać trzy piętra w górę, kilkoro drzwi z kontrolą odcisków palców i dość długi korytarz. W końcu dotarł do pokoju edytorów. Zapukał delikatnie, po czym wszedł, nie czekając na odpowiedź.

Znalazł się w obszernym pomieszczeniu pełnym biurek i dużych telewizorów. Kiedy szukał wzrokiem Paula, ktoś podkręcił dźwięk na jednym z programów. W pokoju momentalnie zapadła cisza, w której bardzo wyraźnie było słyhać głos spikera:

Doszło do poważnego wypadku kolei rurowej na trasie z Lhasy do Chengdu. Według relacji przybyłych na miejsce ratowników bezpośrednią przyczyną była usterka techniczna. Władze prowincji zapowiedziały już, że zostanie wszczęte śledztwo w sprawie domniemanych zaniedbań. W wypadku cztery osoby zostały ranne,

nikt nie zginął. Do całego zajścia...

Ktoś wyciszył głos i wszyscy wrócili do pracy, a Timur mógł swobodnie podejść do Paula, którego wreszcie udało mu się wypatrzeć.

– Nie przeszkadzam? Pisałeś, że chcesz mnie widzieć?

– Chodź, znajdziemy jakąś wolną salkę, to pogadamy.

Paul pomimo europejskiego imienia był Hanem. Typowym przedstawicielem tej dumnej rasy. Był niższy od Timura o głowę i nosił okulary w grubej, czarnej oprawce. W portalu był szefem kolektywu edytorów. Innymi słowy, pilnował ludzi, którzy pilnowali treści. Na jego głowie była cała pierwsza strona i jej oglądalność.

– Słuchaj – zaczął, kiedy już siedli – pierwszy tekst Cena ludzi puścimy w weekend. Jest dobry, może odrobinę za długi i mało sensacyjny, ale i tak niezły. Z tym drugim gorzej. Myślałeś już, jak to sprzedać na pierwszą?

Timur podrapał się po szyi, przekrzywił głowę, zmrużył oczy i powiedział z wyraźnym wysiłkiem:

– Ten drugi można by czymś w stylu: „Od siedemdziesięciu lat nikt nie postawił tam stopy”.

– Brzmi nawet, a pierwszy? – zapytał Paul. – Tytuł do serwisu „Na wschodnim wybrzeżu ludzie są w cenie” nie jest zły, tylko tym tego nie sprzedamy na głównej?

– Może coś o handlu ludźmi: „Tutaj człowiek kosztuje pięćdziesiąt naboń”, „Okazja, wyprzedaż ludzi”, „Sprawdź, za ile możesz sprzedać męża?”.

– To ostatnie to żart?

– Tak, Paul, już ci mówiłem, nie bierz mnie na serio.

– Dziwię ci się, jak możesz się śmiać, zarabiając tak podle. W każdym razie podoba mi się. Jesteś wolny. Myślę, że się klikniesz.

*

Udało mu się złapać tubę i do Hongkongu dojechał jeszcze przed zmrokiem. Z głównego terminalu przejechał na stację metra ruchomym chodnikiem, zatłoczonym jak zawsze. Kolejką dojechał na swoje „ukochane przedmieście”. Stały tu wysokie na czterdzieści pięć pięter i długie na kilka kilometrów „wałowce”. Ludzie, którzy

przyjeżdżają do Chin, twierdzą, że do tego nie da się przyzwyczać, ale do wszystkiego można. Ludzie w Ameryce przywykli do handlu niewolnikami, radiacji, jedzenia padliny, kanibalizmu i masy innych rzeczy.

Jego mieszkanie należało do tych tańszych. Miało dwanaście metrów kwadratowych i zaledwie jedno nieduże wideookno, które właśnie emitowało sztuczne światło słoneczne. Podszedł do niego i nastawił program ciszy nocnej. Wychował się w niewielkim chińskim mieście, w domu z oknem wychodzącym na ruchliwe skrzyżowanie. Jako dziecko uwielbiał nocami wyglądać przez nie i patrzeć na opustoszałe ulice. Teraz w Hongkongu nie miał okien, a ulice nigdy nie były puste, nawet o trzeciej w nocy.

Stuknął dwa razy w opaskę na przedramieniu i drzwi szafy rozbłyły, pokazując krótko ostrzyżoną prezenterkę wieczornych wiadomości. Ledwie wszedł pod prysznic, rozległ się natrętny pisk telefonu.

– Słucham – powiedział w przestrzeń, automatycznie wyłączając w ten sposób wodę i odbierając połączenie.

– Timur?

– To ja.

– Z tej strony Zhou, z portalu. Robisz coś ważnego jutro?

– Nic pilnego, a co? Masz coś dla mnie?

– Pokaz prasowy w Pekinie, z jednym noclegiem. Piszesz się?

– Jasne.

– Nie zapytasz nawet, co pokazują?

– Nieee, wyślij mi agendę na skrzynkę i tyle. Wiesz, że lubię jeździć.

Rozmówca chrząknął coś do mikrofonu i się rozłączył.

Wycierając się ręcznikiem, podszedł do ściany kuchennej. Aktywował panel dotykowy na wysokości wzroku. Wybrał drożdże wołowe, soję i mix warzywny. Ustawił na konsystencję gęstą i temperaturę 60 stopni. W końcu położył się na łóżku podobnym do kabiny solarium z początku wieku i nałożył na głowę swoje multimgole.

*

Jadąc tubą do Pekinu, jeszcze raz przeglądał agendę:

9:00 zameldowanie w hotelu Studio

10:00 zbiórka w lobby

11:00 start pokazów – konferencja

12:00 lunch

13:00 hands-on

14:00-17:00 wywiady

18:00 powrót do hotelu

19:00 kolacja

Standard. Na pewno sloty na wywiady pomieszają się tak, że będzie musiał rozmawiać z jakimś łysawym inżynierem w czasie przeznaczonym na kolację, a kiedy wreszcie na nią dotrze, w barze braknie whisky Miyagikyo, bo całe towarzystwo rzuci się na nią jak kury na ziarno.

Wszystkie terminale tuby wyglądały tak samo. Niezależnie od tego, czy znajdowały się w Chinach, Indiach, Rosji czy gdziekolwiek indziej. W zasadzie to same były trochę jak osobny kraj rozrzucony po świecie, jakby kosmici założyli na ziemi swoje placówki dyplomatyczne. Zawsze ta sama, funkcjonalna, lekko futurystyczna architektura. Czysta, ale trochę jakby znoszona i wymięta, przestrzeń pełna zapracowanych i zadowolonych ludzi.

Podróż tubą nie należała do najtańszych. Jeśli kogoś było na nią stać, można mu było zaoferować odrobinę luksusu. W terminalach królowały szalenie drogie gatunki whisky, słodycze w rozmiarze XXL, perfumy i mało przytulne kawiarnie z kanapkami i wstrętną, za to niezwykle drogą kawą, nad którą młode snoby cmokają z zachwytem.

Tak, Timur zdecydowanie uwielbiał terminale i błogosławił swoją pracę, dzięki której to pracodawca płacił za bilety. Lubił ten dreszczyk, kiedy kapsuła rozpędzała się do półtora tysiąca kilometrów na godzinę i niosła w nieznaną. Poza tym na terminalach nigdy nie było żebraków poszukujących ciepłego schronienia jak na lotniskach ani tłustego żarcia i spoconych emigrantów. Ten delikatny posmak anonimowego luksusu zdecydowanie mu odpowiadał.

PR-owiec podał mu w mailu nazwisko i login dziennikarza z Nankinu, z którym miał razem odjechać z terminalu tuby w Pekinie. Nie bardzo mu się to uśmiechało, nie lubił poznawać nowych ludzi. Nie miał jednak specjalnego pola manewru. Wyjął z kieszeni telefon i wstukał login w QQ. Nikt nie odbierał, więc zostawił wiadomość

i ruszył w kierunku wyjścia. Bez trudu wyszukał wzrokiem starszawego Ujgura w europejskim garniturze, trzymającego w ręce tabliczkę z nazwą właściwej firmy. Przywitał się grzecznie, choć zdawkowo i równie lakonicznie wyjaśnił, że czekają na jeszcze jedną osobę.

– O, laowai, jesteś już? – ni to stwierdził, ni to zapytał młody Han w tradycyjnie chińskim ubiorze, jednoznacznie szufladkującym noszącą go osobę. Timur nie przepadał za tą nową modą, której zwolennicy starali się na siłę wszystkich przekonać, że to nie moda, a „nowa fala patriotyzmu etnicznego”. – Jestem Feng Li. Jedźmy już.

Timur podziękował w myślach losowi za swoją twarz, która dla Hanów wyglądała tak samo jak twarze wszystkich laowaiów. Jego europejska mimika pomogła mu ukryć źle maskowane niezadowolenie.

Kiedy siedzieli już w samochodzie padło pytanie, bez którego nie mogło się obyć żadne podobne spotkanie:

– Gdzie piszesz?

– Szanghaj Ribao – powiedział Timur. – A ty?

– Mam blog na NeoDibao. Da się wyżyć, ale kiedyś będzie lepiej.

– O, ciekawe.

– Piszę głównie o nowych technologiach, trochę opasek, testy multimgogli, czasem skrobnę coś o terminalach samochodowych albo domowych generatorach, ale raczej gryzę temat od strony usera, a nie inżyniera, łapiesz?

– Jasne, ci co w tym siedzą i tak nie będą czytać recenzji w sieci – stwierdził Timur.

– Wiesz, co mnie drażni? Nie da się ostatnio kupić niczego, co nie pochodziłoby z Pakistanu. Wszędzie tylko te naklejki i ten Pakistan – powiedział Feng Li z wyraźnym niezadowoleniem, ni to kontynuując, ni rozpoczynając nowy wątek.

– Tam nie muszą płacić pracownikowi za mieszkanie ani za dojazdy.

– Właśnie, już prawie nic nie produkuje się u nas.

– To zabawne – Timur nieco się ożywił. – Wiesz, że na początku wieku to samo mówili o Chinach?

– To samo, czyli co?

– Że to tu się wszystko produkuje.

– Ciekawe, nie znam się na XXI wieku. Czytałem ostatnio książkę o Wu Zetian...

Feng Li płynnie opowiadał, dość często zmieniając tematy, a Timur, udając, że słucha, wgapiał się w sznur samochodów leniwie sunących po jednej z setek wielkich arterii Pekinu.

Do hotelu przyjechali o dziewiątej trzydzieści pięć, w sam raz żeby odstać dziesięć minut w kolejce do recepcji, dojechać windą na dwudzieste trzecie piętro, przejść korytarzem, rzucić torbę w kąć, zaliczyć toaletę, zjechać na dół idealnie na czas, sapiąc przy tym i potykając się o sznurowadła, których nie było kiedy zawiązać, i odkryć, że wszyscy pozostali spóźnią się przynajmniej piętnaście minut.

Kiedy w końcu towarzystwo zebrało się w komplecie, Timur rozpoznał w grupie kilka znajomych twarzy, co pozwoliło mu poczuć się trochę pewniej. W busie, który wiozł ich na imprezę, wszyscy rozmawiali tylko o technologiach i rynku, czyli o tym, o czym Denikin miał bardzo mgliste pojęcie. Na pokazie mieli zobaczyć nową opaskę firmy Niebiański Spokój, tej samej, która dwadzieścia lat wcześniej pokazała światu, że tego typu sprzęt jest fajny, po czym regularnie co dwa lata wypuszczała nowy, niemal identyczny model, który za każdym razem sprzedawał się świetnie i zarabiał grube miliony.

- Jak myślicie, co pokażą tym razem?
- Hologram z rozdzielczością dwa tysiące do trzeciej to byłoby coś.
- To już było.
- W sprzęcie za dwa i pół tysiąca z baterią na osiemnaście godzin, ja pasuję.
- To jest czysta masturbacja cyferkami. Różnica między tysiąc do trzeciej i półtora do trzeciej jest niewidoczna kompletnie.
- Ja tam ją widzę.
- Mnie to zależy, żeby w końcu dodali obsługę terminali i multimedialnych producentów.
- A to czemu? Mają prawo do własnych standardów.
- Po prostu chciałbym sprząc opaskę NS-a z terminalem większym niż marne cztery cale.
- Cztery cale to idealny rozmiar, w sam raz.
- Może dla ciebie, ja mam dużą dłoń.

Kiedy Timur był już całkiem pewny, że nie wytrzyma tego jazgotu ani minuty dłużej, bus zajechał na podjazd klubu Neonowa Zamieć, a PR-owiec z uśmiechem niemalże dzielącym jego głowę na pół zaprosił

wszystkich do wejścia.

Przy drzwiach stały hostessy w tradycyjnych lub udających takie (Timur dość słabo to odróżniał) szatach, częstujące wchodzących musującym winem z liczi. Usta miały wygięte w uśmiech, a oczy znudzone. Przeszedł przez wyłożony lśniącoymi płytkami hall i wspiął się po szerokich schodach do drzwi z napisem „Sala Konferencyjna Duża”.

Jeśli ktoś widział jeden taki pokaz, mógł spokojnie założyć, że widział je wszystkie. Po trzech podobnych konferencjach dało się przewidzieć przebieg każdej niemal co do minuty. Na scenie z całą pewnością najpierw pojawi się najprzystojniejszy z dyrektorów i powie, że jest szalenie podekscytowany, a jego zespół pracował bardzo ciężko. Tuż za nim wyjdzie oczywiście ktoś bardziej obeznany z tematem i będzie się starał coś powiedzieć w taki sposób, żeby nie powiedzieć zbyt dużo, jednocześnie źle udając ekscytację.

Timur niestety nie mógł dokończyć liczenia kwiatów lotosu na rzeźbionym suficie, bo światło zgasło, a na scenę wyszedł wysoki Hindus w średnim wieku, ubrany w czarne matowe chang pao i wyrzucił z siebie radośnie:

– Witam państwa, jestem szalenie podekscytowany, bo dziś pokażemy światu owoc pracy naszego zespołu, który przez ostatnie miesiące intensywnie pracował nad zupełnie nową jakością tego, co potocznie nazywamy opaską, a co tak na prawdę jest najbardziej fascynującym urządzeniem naszego stulecia. Powitajmy na scenie głównego inżyniera, pana Makoto Yasamurę.

Na oświetloną przez bladoniebieskie reflektory scenę wszedł niewysoki Japończyk w garniturze i zaczął piętnastominutowy wywód dotyczący nowych parametrów technicznych opaski w wersji 8.0, którą oficjalnie nazywano po prostu NS – opaską bez numerka. Timur słuchał jednym uchem i był coraz bardziej pewien, że to, co opowiadają, nijak się nadaje na stronę główną. Choć nie znał się na technologii tak dobrze jak inni obecni na sali, doskonale zdawał sobie sprawę, że ostatnie duże zmiany w opaskach Niebiańskiego Spokoju miały miejsce w wersji 5.0.

W przypiływie absolutnego znudzenia wstukał w QQ login Paula i zapytał:

– *Czemu wysłałeś tutaj akurat mnie?*

- *Nudy?*
- *Skąd wiedziateś?*
- *Bo ty się nie znasz na technologii.*
- *Rozwiń, bo nie chwytam.*
- *Posłałbym któregoś z naszych redakcyjnych zajawieńców, to by się zachwycali jak Wietnamczyk białym ryżem, pewnie nawet szczerze. NS nie zostawia w portalu pieniędzy, nie kupują reklam. Nie chcę zachwyków tylko prawdę.*

Trzy minuty przed dwunastą światła znowu się zapaliły, a tłum dziennikarzy i blogerów, który jeszcze przed chwilą jak gąbka chłonał słowa z głośników, rzucił się w stronę stołów obficie zastawionych drogim i dobrym, ale pozbawionym wyrazu jedzeniem.

Nieważne, czy taka impreza odbywała się w Pekinie, Moskwie czy Londynie, na stołach zawsze lądowały identyczne ryby, wędliny, bułki i sałatki. Niby dobre i niesyntetyczne, ale chciałoby się zjeść coś miejscowego.

- O, laowai! - Timur miał na te słowa już się odwrócić i rzucić jakąś mocną i celną ripostą w stylu „Sam jesteś laowai!”, ale zamiast durnowato uśmiechniętego Hana zobaczył rudawego dwudziestokilkulatka w golfie.

- Nie widać tu wielu Europejczyków, skąd jesteś? - kontynuował rudy.

- Timur Denikin, Szanghaj Ribao. A ty?
- Thierry Gibault, Paris Quotidienne. Mówisz po francusku?
- Niestety. Angielski? Rosyjski? Polski?
- Nic z tego, chyba zostaniemy przy chińskim.

Thierry zaśmiał się jak z dobrego kawału i chwycił z małą zręcznością talerz, dwa kawałki wołowiny i jeszcze jeden łososia. Po krótkim momencie zawahania wepchnął na talerz jeszcze solidną łyżkę sałatki z żeń-szeniem.

- A ty nie jesz? - zapytał Timura.
- Zjem później, póki co wydaje mi się, że widzę bar, idziesz?
- Zazdroszczę ci - Francuz przemówił, kiedy obaj mieli już w dłoniach kwadratowe szklanki whisky Miyagikyo, która o dziwo się jeszcze nie skończyła, z sokiem z mango.
- A czemuż to? Źle wam tam w Europie?

– Niby nie źle, ale sufit nisko?
– A myślisz, że u mnie w bloku to...
– Metaforyczny sufit. Ty piszesz dla miliardów, dla całego świata. My mamy 15 milionów francuskojęzycznych użytkowników i co byś nie zrobił, ponad to nie wyskoczysz.

– Eee, dobrze mówisz po chińsku. Możesz poszukać czegoś.
– Może i dobrze, ale nie dość dobrze. Poza tym, jestem laowaiem.
– Też nim jestem.
– A gdzie się urodziłeś?
– W Huludao.
– Właśnie, jesteś laowaiem, ale swoim laowaiem. Mówisz jak Chińczyk, krzyczysz jak Chińczyk i tak samo umiesz się przepychać w tłumie na chodniku. Ja bym tu nie dał rady robić nawet za newsmiana i nie mam chińskiego zameldowania.

– No dobra, nie będę się wyklócał.
Rozmowę przerwał PR-owiec z NS, który podszedł do nich, poklepał Timura po ramieniu i powiedział:

– Laowai, chcesz zrobić swój wywiad od razu?
– Jasne, miejmy to za sobą.
Przeszli razem przez salę pełną jedzących na stojąco dziennikarzy, weszli do bocznego korytarzyka, gdzie były numerowane boksy-pokoje.
– Zaraz, zaraz? A z kim ja będę rozmawiał?
– Dlaczego wy nigdy nie czytacie agendy?! Z Xi Lai, wicedyrektorem działu designu.

– Dzięki.
W pokoju, na białej kanapie siedział już Han w średnim wieku. Timur usiadł naprzeciwko, a PR-owiec stanął w rogu. Denikin zrobił dłonią gest, który włączył nagrywanie dźwięku na jego opasce.

– Timur Denikin, Szanghaj Ribao, proszę nam powiedzieć, czemu warto przesiąść się na najnowszy model waszego urządzenia?

– Prace nad ósmą generacją naszej opaski zaczęły się dwa miesiące przed wprowadzeniem na rynek poprzedniego modelu. Od tego czasu opracowaliśmy siedemnaście nowych patentów i wprowadziliśmy dokładnie czterysta piętnaście poprawek. Dzięki nim nowe urządzenie będzie po prostu lepsze. Z rosnącą ekscytacją czekamy na moment, w którym wreszcie nasze nowe dzieło trafi do sprzedaży.

– Dlaczego wasza firma wciąż trzyma się wzornictwa ustalonego lata

temu, podczas premiery pierwszej opaski?

– Nasz opatentowany design to coś więcej niż najwygodniejszy możliwy kształt opaski. Zapewnia on oczywiście idealne odczytywanie impulsów pochodzących z mięśni i przez to perfekcyjne rozpoznawanie gestów, ale przede wszystkim jest to symbol jakości naszego produktu rozpoznawalny przez klientów.

– Nie boicie się konkurencji, która oferuje podobne urządzenia w dziesiątkach różnych wariantów?

– Oczywiście, że nie. Każda nowa generacja opasek Niebiańskiego Spokoju sprzedaje się doskonale, bo każdy rozsądny człowiek woli wybrać jakość.

– Dziękuję, to chyba wszystko, co chciałem wiedzieć.

PR-owiec spojrział na Timura jak nauczyciel na leniwego ucznia, ale Denikin kompletnie to zignorował. Pożegnał się i poszedł do baru z nadzieją, że jeszcze zdąży zjeść rybę. Żarcie niby bez charakteru, ale i tak lepsze niż mieszanki z domowych automatów.

Bufetowi znosili już naczynia do kuchni. Timur dosłownie w locie porwał cały talerz ryb, co wywołało oburzenie niosącej go, zaskoczonej kelnerki. Szybko zjadł, popił whisky, która towarzyszyła mu całą drogą na wywiad i z powrotem, po czym bezceremonialnie wepchnął oba puste naczynia komuś z obsługi. Wszyscy przechodzili już na hands-ony, więc on też ruszył w tamtą stronę.

Kolejna sala wyglądała dokładnie tak samo jak poprzednie. Ta sama błyszcząca podłoga, te same donice z bambusem, płaskorzeźby z kwiatami lotosu i białe kanapy. W centrum umieszczono kilkanaście stanowisk z nowymi opaskami, telewizorami i terminalami. Nowy sprzęt cieszył się średnim zainteresowaniem. Trochę ludzi grało, machając rękoma i wykonując śmieszne gesty, kilku testowało, jak opaski radzą sobie z siecią, a większość siedziała na fotelach i kanapach, piła roznoszone przez hostessy drinki i zażarcie dyskutowała.

– Dzień dobry! – Timura zaczął ubrany z europejska Koreańczyk, młody, krótko ostrzyżony i bardzo zadbany.

– Dzień dobry – odpowiedział uprzejmie.

– Pan Denikin?

– Tak, ale możecie do mnie spokojnie mówić laowai, jak wszyscy.

Żart był raczej słaby, ale gość i tak zaśmiał się uprzejmie.

Najwyraźniej czegoś chciał.

– Może siądziemy sobie tutaj z boku? – zaproponował Koreańczyk. – Porozmawiamy.

– Jasne, czemu nie.

Od razu było widać, że Koreańczyk nie jest ani dziennikarzem, ani PR-owcem. Dla Timura to było jak łyk czystej wody. Siedli na kanapie na uboczu, obok dużej szyby, za którą widać było idealny trawnik, mur, a za nim ścianę identycznych trzydziestopiętrowych bloków, które pamiętały jeszcze dawne czasy.

Ledwo spoczęli, kelner przyniósł dwie szklanki ginu z tonikiem.

– Nazywam się Tae-won Kwon. Jestem pana wielkim fanem i stałym czytelnikiem.

– O, naprawdę, miło to słyszeć.

– Czytałem pański ostatni tekst „Na wschodnim wybrzeżu ludzie są w cenie”.Dobre, przewrotne i mocne. Podobało mi się. – Timur tylko kiwnął, zastanawiając się w duchu, dokąd to zmierza. Z tego, co pamiętał, ten tekst jeszcze nie został opublikowany. Na dodatek Koreańczyk podał tytuł roboczy. – Mielibyśmy taką prośbę. Wszystkie kolejne teksty, które pan będzie pisał, chcielibyśmy dostawać jeszcze przed publikacją.

– Jeśli o mnie chodzi, to nie mam nic przeciwko, ale...

– Paul już o wszystkim wie, jego szef też, oni nie mają obiekcji.

– W takim razie nie widzę problemów – zgodził się Timur i uśmiechnął, choć jednocześnie gorączkowo zastanawiał się, kim jest ten człowiek i czego od niego może chcieć bezpieczeństwa.

Koreańczyk podał mu staroświecką, papierową wizytówkę i wstając, powiedział:

– Chcieliśmy się tylko upewnić, że nie ma pan nic przeciwko współpracy z rządem. Gdzie się pan wybiera w następnej kolejności?

– Jeśli dostanę budżet, to do Egiptu, a jeśli nie...

– Życzę panu, żeby go pan dostał, panie Denikin. Powodzenia i proszę nie zapomnieć o naszej prośbie.

– Oczywiście.

*

Timur siedział na biurowym fotelu. Z umiarkowanym

zainteresowaniem patrzył na tuzin lekko podenerwowanych ludzi w pokoju i jeszcze kilku widocznych na ekranach, łączących się z biur rozrzuconych po kraju. W końcu Paul dał dyskretny znak jednemu z edytorów, który rozpoczął kolegium uświęconymi tradycją słowami: „Czym dziś trujemy?”.

Pierwszy odezwał się dział wiadomości światowych.

– Mamy duży wypadek na autostradzie.

– Mówcie dalej.

– Piętnaście osób rannych.

Selekcjoner ledwo zauważalnie się skrzywił.

– Gdzie?

– W Europie, dokładnie w... – szybki rzut oka w notatki – Monachium.

– Bez szału, upchniemy to gdzieś niżej. Dalej.

– Incydent dyplomatyczny na linii Moskwa-Pekin. Nasz ambasador skrytykował w mailu władze miejskie Moskwy, mail dotarł do prasy.

– Nieźle, podeślijcie, to się przyjrzymy temu bliżej. Kto dalej?

– Mamy nowe badania na temat walki z otyłością.

– Brzmi nieźle. Jakiś przełom?

– Zespół z Cuttacku znalazł gen, który... Mniejsza z tym, można to sprzedawać jako „Dzieli nas krok od pigułki na otyłość”.

– Biorę, dalej.

– Mamy statystyki, które potwierdzają, że niekorzystne mutacje u noworodków wciąż są częstsze niż przed wojną.

– Rzecznik rządu znowu się wkurwi.

– To dobry tekst, sprzeda się – próbował walczyć młody chłopak z redakcji zdrowia.

– Macie tam wypowiedzi jakichś ekspertów?

– Tak.

– Szkoda, dacie radę to przerobić tak, żeby nie brzmiało zbyt pewnie i naukowo?

– Trochę znaków zapytania załatwi sprawę?

– Tak, zwłaszcza w tytule. Timur, z czym przyszedłeś?

– Płynę do Egiptu, będę miał tekst za tydzień.

– Dobrze, zarezerwujemy ci coś, tylko pamiętaj, krew się sprzedaje, a widoki nie.

– Jasne.

Idąc do windy, Timur nie mógł się nadziwić, że ludzkość poradziła sobie z rakiem, a wciąż nie może dać rady z otyłością. Temat pojawiał się praktycznie na każdym kolegium, przynajmniej na tych, w których on uczestniczył.

Wiedzieliście, że Egipt był kiedyś turystycznym rajem?

Wiecie, czego najbardziej nie lubię w podróżach do stref zakazanych? Spokojnie mógłbym sobie pozwolić na porządne buty, drogą kurtkę z samoczyszczącego się, nieprzemakalnego materiału, karabinek maszynowy i kupę innego wymyślnego ekwipunku, dzięki któremu mógłbym się poczuć jak Don Rumata. Niestety, zamiast butów z podeszwą z polimerów mam kawałki opon przewiązane sznurkiem, a moja „garderoba” to obszarpane džinsy obcierające przy każdym kroku i podkoszulek z niemal niewidzialnym napisem „Hurghada”. Jeśli chodzi o broń, to na najnowszą wyprawę wybrałem Colta 1911. Ta broń towarzyszy ludzkości od początków XX wieku i wciąż jest produkowana. Dzięki temu miejscowi, widząc mnie, nie będą w szoku, a ja będę miał przy sobie pistolet wyprodukowany rok temu, na którym można polegać w każdej sytuacji. Ten układ mi się podoba, ale i tak wolałbym karabinek Tygrys na półtora milimetrowe pociski.

Wspominałem o T-shircie z napisem „Hurghada”. To nie do końca przypadek. Słowo to jest zeuropeizowaną nazwą miasta, które powstało jako osada poszukiwaczy ropy i rybaków, a potem zmieniło się w olbrzymie centrum turystyczne. Miliony osób przyjeżdżały tu, by leżeć na plaży i nurkować w morzu pełnym cudów natury. Trudno w to uwierzyć, widząc zasypane piaskiem budynki i skorpiony biegające po wiekowym asfalcie.

Szedłem w stronę miasta od południa. Po prawej mijałem hotel Mercure, identyczny jak większość tego typu obiektów w Egipcie. Sztucznie nawadniana oaza na środku pustyni przyklejona z jednej strony do plaży i stojąca w szeregu sobie podobnych. Początkowo chciałem po prostu minąć to miejsce i kilka następnych i dotrzeć do centrum Hurghady. Gdy byłem na wysokości hotelu, w jednym z okien zobaczyłem wyraźny błysk. To mogło być cokolwiek, światło padające na pozostałość wybitego okna, stary zegarek porzucony na parapecie. Jednak zegarki i kawałki okien nie znikają, kiedy się na nie popatrzy. Ktoś mnie obserwował przez lunetę karabinu, a kiedy zauważył, że patrzę... No właśnie.

Może wydać wam się to głupie, ale ja przyjechałem tu znaleźć ludzi, nie skorpiony. Dlatego postanowiłem sprawdzić gościnność tych, którzy znaleźli dom w hotelu Mercure.

Na obu drogach wiodących do obiektu widziałem prowizoryczne zasieki, doły,

porozrzucane gwoździe i tłuczone szkło. Dlatego wybrałem trasę przez wydmy. Tu można było nadepnąć na węża, ale chyba wolałem już umrzeć od jadu, niż utknąć z zardzewiałym gwoździem w stopie tysiące kilometrów od lekarza.

Kiedy byłem już dość blisko ogrodzenia usypanego z kamieni, piasku, starych mebli, samochodów i pni palm, usłyszałem, jak ktoś krzyczy do mnie z niskiej stylizowanej wieży, będącej kiedyś ozdobą dla turystów. Zmrużyłem oczy i zobaczyłem człowieka z karabinem. Celował prosto we mnie i krzyczał, a ja nie rozumiałem zupełnie nic. Chyba darł się po arabsku. Choć uważałem się za poliglotę, byłem w stanie w tym języku powiedzieć jedynie „As-salamu alaykum”, i to właśnie powiedziałem.

Nie wiem, czy moja wymowa była choćby trochę poprawna, tradycyjne arabskie powitanie czytałem jedynie w książkach, ale kiedy tylko skończyłem krzyżeć, wycelowana we mnie lufa opadła, a trzymający ją człowiek krzyknął coś do niewidocznego towarzysza. Jakies dwadzieścia minut później na wale pojawił się inny człowiek, który machnął do mnie ręką zapraszająco.

Miał na sobie szmaty, które nawet nie próbowały przypominać normalnej odzieży, długą brodę i oczy, które każdy normalny człowiek nazwałby szalonymi. Naprawdę szalone było jednak, kiedy ten człowiek się odezwał... po rosyjsku, w jednym z czterech języków, jakie znam i zdecydowanie ostatnim, jaki spodziewałem się usłyszeć w Egipcie siedemdziesiąt lat po tym, jak kraj ten znalazł się w strefie zakazanej.

Godzinę później siedziałem już z pięcioma innymi mężczyznami na plaży. Piliśmy wodę i jedliśmy pieczone ryby. Można powiedzieć, że test z gościnności zdali na najwyższą ocenę. Trzech z pięciu moich towarzyszy mówiło po rosyjsku, pozostałych dwóch miało wyraźnie ciemniejszą cerę i posługiwali się pięknym arabskim, z którego nie rozumiałem ani słowa.

Oleg, Siergiej i Paszka urodzili się w hotelu Mercure w Hurghadzie, nigdy nie byli dalej niż kilka kilometrów od jego murów. Byli dziećmi ludzi, którzy przyjechali do Egiptu na wakacje jako małe dzieci, ze swoimi rodzicami.

Opowiedzieli mi, że kiedy wszystko się zaczęło, w hotelu mieszkało dwustu Rosjan i jeszcze drugie tyle gości z całego świata. Pracownicy uciekli, a turyści zostali. Wojskowe samoloty zrzucały ulotki z ostrzeżeniami w różnych językach. Obcokrajowcom radzono, by trzymali się w grupie, ogrodzili przestrzeń i czekali na ratunek. Jak pamiętacie być może z lekcji historii, nastąpiła tylko jedna, nieudana próba opanowania sytuacji w Zamkniętej Strefie Afryka-Azja Południowo-Zachodnia. Mieszkańcy hotelu Mercure oczywiście nie mogli tego wiedzieć.

– Skąd idziesz? – zapytał mnie Paszka.

– Z południa – machnąłem ręką. – Wychowałem się w miejscu identycznym jako to.

– Tam jest tak samo jak tutaj?

– Oczywiście, wszędzie jest tak samo – Oleg zbeształ Paskę.

– Tak – kiwnąłem tylko.

– Czemu ruszyłeś w drogę? Raki was dopadły?

Nie od razu zorientowałem się, o co chodzi. Dopiero po kilku sekundach wpadłem na to, że mówi o zarażonych. To pewnie przez to, że mają zawsze powykręcane, zdeformowane dłonie z mocno zrogowaciałą skórą. Skojarzenie ze skorupiakami jest dość odległe, ale logiczne.

– Tak, przełamali nasz mur i musieliśmy uciekać, pogubiliśmy się. Nawet nie wiem, czy inni przeżyli. – Jeśli zmyślać, to najlepiej mówić to, co rozmówca spodziewa się usłyszeć.

Wszyscy pokiwali głowami. Ten gest chyba odziedziczyliśmy po przodkach. Tak kiwają głowami ludzie, którzy słyszą o czymś smutnym, ale zwyczajnym, niewykraczającym poza codzienność.

– Nas też to czeka – powiedział w końcu Siergiej. – A jak nie raki, to po prostu wymrzemy tu.

Nikt nie zaprotestował.

– Ilu was tu mieszka? – zapytałem.

– Ci, których widzisz, i jeszcze trzech. Pilnują teraz ogrodzenia.

– Mówiliście, że było was tu kilkuset? – Spojrzeli na mnie, jak na idiotę.

– Siedemdziesiąt lat temu, a jak miałem dziesięć lat, była nas już tylko setka.

U was nie było tak samo?

– Podobnie – trochę się zapomniałem, ale na szczęście nie stracili do mnie zaufania.

– Macie łódź czy łowicę z brzegu? – postanowiłem zmienić temat.

– Dawno temu mieliśmy łódź, ale kiedyś paru naszych ludzi wypłynęło i już nie wróciło. To mogło być z dziesięć lat temu, może trochę mniej. Teraz używamy naszej tratwy. Zrobiliśmy ją z mebli. Nie jest tak dobra, jak prawdziwa łódź.

– A woda, destylujecie?

– Tak, jeszcze rodzice nas nauczyli. Opowiadali, że tam, skąd pochodzili, woda padała z nieba.

– Tutaj też padała – wtrącił Paszka. – Przynajmniej kilka razy.

– A co jest tam dalej? – machnąłem na północ, w stronę centrum Hurghady.

– Mówią, że miasto. Lata temu chodziliśmy tam handlować z innymi osadami. Ale potem nasi ludzie przestali wracać z wypraw. Nie wiemy, czy dopadły ich raki czy coś innego.

W tym momencie jeden z naszych arabskich towarzyszy zaczął coś mówić po swojemu. Chwilę słuchałem, kiwając głową i nie rozumiejąc ani słowa, a potem Oleg zaczął tłumaczyć:

– Mówi, że czasem podpływał w tamtą stronę tratwą i widział ludzi. Kilka miesięcy temu. Mówi, że to oni musieli zabić naszych, a nie raki.

– Myślicie, że mogło tak być? – zapytałem, ale nikt mi nie odpowiedział.

Zmierch, co jest w Egipcie całkowicie normalne, nadszedł nagle. Kiedy zrobiło się ciemno, uznaliśmy, że dokończymy rozmowę następnego dnia. Odprowadzili mnie do jednego z hotelowych pokoi. W środku czas zatrzymał się dziesiątki lat temu. Na wiekowym telewizorze, łóżku, telefonie i klozecie zebrała się gruba warstwa pustynnego pyłu, ale oprócz tego było tu jak na początku XXI wieku. Zacząłem się

rozkładać na pokaz, ale w rzeczywistości czekałem, aż kroki mojego gospodarza ucichną, a potem wymknąłem się z hotelu i ruszyłem w dalszą drogę.



Na pustyni panowała niemal absolutna cisza. Wiatr nie burzył piasku, ani jedno zwierzę nie wyło do księżyca, ani jeden ptak nie trzepotał skrzydłami. Timur zeskoczył z wału otaczającego kompleks budynków i ruszył wzdłuż wybrzeża. Ciepłe morze delikatnie i bezgłośnie omywało jego stopy ubrane w kawałki starych opon. Szedł plażą, trzymając w dłoni pistolet. Odkąd opuścił swój pojazd na plaży, nie spotkał niczego groźniejszego od stłuczonej butelki leżącej na ziemi, jednak nie mógł ryzykować. Był już kiedyś w Afryce, ale w bezpiecznej odległości od zarażonych. Widział ich jedynie z daleka,

przez szkła kieszonkowej lornetki. Trochę o nich słyszał, czytał trochę plotek w internetowych encyklopediach, ale w gruncie rzeczy niewiele o nich wiedział.

Kiedy Chiny i Rosja zniszczyły USA, kraje arabskie rzuciły się na pozbawiony sojusznika Izrael. Nikt do końca nie wie, co się wtedy stało. Czy Izrael zaatakował bronią biologiczną, czy pocisk trafił w jakieś tajne laboratorium. Tak czy inaczej, pojawiła się zaraza, która została zatrzymana dopiero na Bosforze, Kaukazie, korycie Amu-Darii i Indusie. Od tego czasu teren objęty chorobą został odcięty od zdrowego świata i otoczony kordonem sanitarnym.

Po jakiejś godzinie marszu przez pustynię oświetloną rozgwieżdżonym niebem, Timur dotarł na skraj pasa startowego. Wiatry musiały być łaskawe dla tego miejsca, bo nierzeczywiście równa i płaska wstęga asfaltu nie została pogrzebana pod piachem. Po prawej stronie widać było stary budynek terminalu, a po lewej niekończące się wydmy.

Do wnętrza budynku Timur dostał się przez drzwi, którymi kiedyś, dawno temu, wchodzili turyści zmierzający do odprawy paszportowej. Przeszedł obok taśm, na których odbierało się bagaże, w końcu ułożył się na lotniskowych ławkach i zasnął.

Mówią na nich raki

Kiedy obudziłem się w poczekalni na opuszczonym lotnisku w Hurghadzie, zobaczyłem absolutnie ostatnią rzecz, jaką mogłem chcieć zobaczyć. Przedemną, jakieś półtora metra od twarzy, w półmroku błyszczały żółtawe oczy dziewczynki, może ośmioletniej. Była goła, brudna, cała w zadrapaniach i strupach. Na twarzy miała ogromne, obrzydliwe krosty, a dłonie i stopy nie przypominały w najmniejszym nawet stopniu ludzkich. Wyglądały raczej jak świńskie racice. Skóra na nich zrogowaciała i miała bardzo nienaturalną, brązowordzawą barwę.

To wszystko przypominam sobie dopiero po czasie. W tamtej chwili po prostu zerwałem się na równe nogi, szarpnąłem za rękojeść pistoletu, wystającą z prowizorycznej kabury i pobiegłem przed siebie, prosto na szybę oddzielającą poczekalnię od pasa startowego. Gdyby nie to, że mój plecak był do mnie przywiązany, zostawiłbym go tam, gdzie leżał.

Jeszcze zanim przebiłem szybę własnym ciałem, kalecząc się przy tym dosyć boleśnie, dziecko zarażonych wydało z siebie ryk. Najbardziej przerażające było to,

że dokładnie tak samo krzycheć mogłaby moja siostrzenica. Głos był zupełnie ludzki, dziecięcy, nie byłem na to gotowy. Prawdopodobnie właśnie dlatego, kiedy znalazłem się już we w miarę bezpiecznej odległości, nie zacząłem strzelać.

Zamiast tego stanąłem po drugiej stronie szyby i zacząłem gapić się na zarażoną. Ona patrzyła na mnie. Chyba nie była pewna, czy poradzi sobie ze zdobyczą. Wpatrywałem się tak intensywnie, że w pierwszej chwili przegapiłem wchodzących do poczekalni dwóch dorosłych zarażonych. Byli Afrykańczykami, wysokimi i chudymi. Jeden z nich odepchnął dziewczynkę bezceremonialnie, cały czas mnie obserwując. Mniej więcej wtedy go dojrzałem.

Obaj wyglądali na złych, zupełnie jakbym właśnie wyrządził im krzywdę, jakbym podeptał groby ich ojców i napluł w twarz. Ich oczy zdawały się krzycheć: „Rozszarpimy cię”.

W tym momencie miałem wybór. Mogłem uciekać, a mogłem także podnieść rękę, wycelować i trzy razy nacisnąć na spust. Oba te wyjścia powinny były uratować moje przedpołudnie. Zamiast tego jednak, z przyczyn niezrozumiałych nawet dla mnie, podniosłem rękę i powiedziałem głośno „As-salamu alaykum”. Chyba wydawało mi się, że dzięki temu nawiązę kontakt z zarażonymi, zaprzyjaźnimy się, a ja sam zapiszę się w historii i zostanę sławny. Nic bardziej błędnego! Udało mi się tylko jeszcze bardziej rozwścieczyć zarażonych. Krzyknęli coś, co brzmiało jak jakieś gardłowe bełkotliwe słowo. Jakby „aaram”, a może „kraam”? Dosłownie wypadli przez wybite już wcześniej okno i rzucili się na mnie z tak wielką prędkością, że nie zdążyłem zareagować.

Poleciałem na ziemię, popchnięty impetem ich szarży. Gdyby nie odruchy wyrobione podczas niekończących się ćwiczeń w wojsku, uderzyłbym głową o beton, stracił przytomność i z całą pewnością nie pisałbym teraz tego reportażu. Poczułem, jak zęby jednego z zarażonych próbują wbić się w moją nogę. Na szczęście spodnie były mocne, dżinsowe. Ludzkie zęby niezbyt dobrze sobie z radzą z grubą tkaniną. Uderzyłem na oślep pistoletem i w coś musiałem trafić, bo nacisk zelżał. Uderzyłem jeszcze kilka razy. Udało mi się odturlać, odbezpieczyć przeładowaną już wcześniej broń, wycelować i zastrzelić jednego z nich. Drugi na dźwięk strzału zareagował zwierzęcą paniką i uciekł.

Ból w przedramieniu poczułem dopiero wtedy, kiedy wstałem. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że ból przy nagłych urazach, złamanym nosie czy gryzionym mięśniu, mózg dopuszcza do nas dopiero po chwili. Przynajmniej tak było tym razem. Drugi z zarażonych w trakcie szarpaniny wbił się zębami w moje prawe przedramię.

Pamiętacie amerykańskie filmy sprzed wojny? Pewnie nie, mało kto ogląda te starocie. Ale ja widziałem kilka o żywych trupach, chodzących po śmierci i zarażających przez ugryzienie. Może wyda wam się to głupie, ale poczułem się trochę jak bohater serialu, choć chwilowo miało to dość gorzki posmak.

Wracamy na ziemię. Stoję na skraju płyty lotniska. Za mną pustynia, przede mną budynek terminalu, z którego patrzy na mnie kilkanaście par żółtobrazowych oczu. Morski brzeg jest za nimi w odległości czterech kilometrów. Ugryzł mnie człowiek

zarażony chorobą, która w kilka lat zmieniła całą Afrykę i wielką część Azji w zakazaną strefę, co może, ale nie musi, oznaczać, że niedługo sam zmienię się w raka. Gdybym miał tu dostęp do sieci, napisałbym o tym wszystkim na Weibo i zrobił konkurs na najbardziej złośliwy komentarz, ale zamiast sieci miałem tylko pistolet, filtr do wody i kilka kilometrów drogi do wybrzeża i mojej kapsuły.

Ręka bolała, na wszelki wypadek pistolet chwyciłem lewą i wycelowałem w stronę oczu. Powoli, bez gwałtownych ruchów ruszyłem w bok, na południe. Choć przeszedłem już dobrych dwieście metrów, dystans pomiędzy mną, a zarażonymi był ciągle alarmująco bliski, ja szedłem po płycie, a oni terminalem, niezgrabnie przeskakiwali stare ławki i resztki toreb z tworzyw sztucznych, cały czas trzymając się blisko okien. Doszli do końca budynku i przez chwilę wydawało mi się, że zgubiłem tę dziwną pogoń, ale szybko zostałem wyprowadzony z błędu. Przez panoramiczne okno najpierw wyleciał jakiś dziwny obiekt, może walizka, a może szafka na dokumenty, a za nim na światło wyszedł tłum raków. Może dwudziestu, może trochę więcej. Widziałem wśród nich białych i czarnych, kilka kobiet i trójkę dzieci. Ja miałem przy sobie dwa magazynki, łącznie czternaście naboju, minus jeden wystrzelony, i jeszcze trochę amunicji luzem, co w żaden sposób nie byłoby w stanie mi pomóc.

Kiedyś czytałem, że każdy wybór sprowadza się do trzech opcji: robić, nie robić i nie decydować. Ostatnie wyjście jest najgorsze, ale za to najprostsze, więc dalej szedłem tyłem, celując przed siebie z mojego wiernego Colta, którego kupiłem tydzień przed wyjazdem. Trzymałem go w zgiętej ręce, na wysokości biodra, a taki pistolet trochę waży.

Idąc w ten absolutnie dziwaczny sposób, dotarliśmy przez piaski do drogi, trwało to naprawdę długi czas. Może godzinę, może półtorej. W takich chwilach nie myśli się o zegarku. Raki rozsypały się w międzyczasie w luźną tyralierę, pochrumkując jak wietnamskie świnki. W pewnym momencie dzieci przystanęły i zaczęły kopać piasek, obsypując się wzajemnie żółtym pyłem. Idąca tuż za nimi kobieta uderzyła lekko dłonią w tył głowy jednego z chłopców i warknęła coś wyjątkowo napominającym tonem. Przywołane do porządku dzieciaki dołączyły do pochodu. Nie mogłem dojrzeć wyrazu ich twarzy, ale założyłem, że były znudzone.

Za mną droga zakręcała w łuk, wyginając się na zachód. Z jednej strony była pustynia, a z drugiej niemal całkowicie zasypane przez piaski rumowisko. Gdzieś tam w dali był hotel Mercure wraz z dającą iluzoryczne bezpieczeństwo fosą, ale odgoniłem od siebie myśl o wciągnięciu w moją ucieczkę tych kilku ludzi, którzy próbowali tam przetrwać. Zamiast tego zacząłem się cofać w rumowisko.

W ruinach udało mi się ich zgubić, ale wciąż byli gdzieś blisko. Kiedy tylko próbowałem przebić się w stronę wybrzeża, natykałem się na któregoś z nich. Na takiej zabawie w chowanego zastała nas noc. Na początku bałem się, że raki widzą w ciemnościach jak koty, ale na szczęście byli jeszcze bardziej ślepi niż ja. Ich dieta nie była pewnie zbyt bogata, mogli mieć kurzą ślepotę.

Tak czy inaczej, gdy zrobiło się ciemno, wsunąłem się w jakąś dziurę. Trafiłem do domu, który chyba był w trakcie budowy, kiedy wszystko pieprznięto („kiedy

nadeszła zagłada”? Popraw to jakoś. Paul). Stała tu betoniarka przeżarta rdzą niemal na wylot. Zobaczyłem ją w świetle zapalki. Zobaczyłem także, że otwór, którym wszedłem, był jedynym wejściem do pomieszczenia.

Przez całą noc ssałem schowane na czarną godzinę kostki prasowanego białka i gapiłem się w stronę szczeliny w murze. Rana na ręce bolała jak wściekła. Jakieś siedemset razy byłem pewien, że coś widzę i słyszę, a raz naprawdę słyszałem. Któryś z raków musiał przechodzić tuż obok ściany. Wyraźnie nawoływał swoich, trochę jakby się z nimi kłócił. Mógłbym przysiąc, że wyróżniały się tam pojedyncze słowa, niektóre się nawet powtarzały. Chyba pogląd, że zarażeni są jak zwierzęta, warto by było zweryfikować.

Ranek przyszedł równie nagle jak noc. Nie jestem tego pewien, ale chyba trochę przysnąłem. Wygramoliłem się na zewnątrz i wciąż rozespany, krokiem chwiejnym przez buty z opon, od których miałem odciski i odparzenia, ruszyłem w stronę, która według kompasu była południowym wschodem.

Szedłem nie więcej niż kilka minut, kiedy zza rogu budynku wyskoczyła zgarbiona, ciemna sylwetka. Była blisko, więc nie myśląc strzeliłem. Na spust nacisnąłem jeszcze zanim lufa znalazła się na wysokości moich oczu, pomimo to kula trafiła w nogę. Krzyk bólu był głośny i oczywiście dość nieprzyjemny, a przy tym zupełnie nie brzmiał tak, jak się tego spodziewałem. Kiedy się zbliżyłem, moje obawy się potwierdziły. Dłonie leżącego na ziemi mężczyzny były brudne i skrajnie zaniedbane, ale ludzkie. Leżał, ściskając nogę i klnąc po arabsku. Krwi było całe mnóstwo, wsiąkała w zimny jeszcze piasek pustyni jak w gąbkę. Zanim zorientowałem się, co się dzieje, stracił już zbyt wiele krwi, żeby bandażowanie cokolwiek dało.

Kiedy umarł, zamknąłem mu powieki, przeniosłem do jakiejś piwnicy i zasunąłem wejście kilkoma największymi kawałami żelbetonu, jakie dałem radę podnieść. Był to wyjątkowo kiepski grobowiec i marna rekompensata, ale nie zawsze możemy zrobić tyle, ile byśmy chcieli.

Już miałem ruszać dalej, gdy w rumowisku zauważyłem jeszcze jednego człowieka, starca. Patrzył na mnie zażawionymi oczami. Podniosłem ręce wysoko i zacząłem się zbliżać. W pierwszym odruchu chciał uciekać, ale coś go powstrzymało. Kiedy byłem już całkiem blisko, wstał i zrobił krok do przodu. Nie był Egipcjaninem, raczej Europejczykiem, choć skórę miał ciemną od słońca.

Zacząłem mówić, pokazałem na prowizoryczny grobowiec, na dłonie. Starałem się wytłumaczyć, że wziąłem jego towarzysza za raka, ale starzec mówił jedynie po arabsku. Mówił i to długo. Nie rozumiałem z tego nic. Pokazałem mu moją ranę, na której zaschła krew, machnął ręką. Nie wiedziałem, co dokładnie miało to znaczyć, ale być może to, że nie zmienię się w raka.

Rozmawialiśmy jakąś godzinę, może trochę krócej. On po swojemu, ja po swojemu. Nie zrozumieliśmy z tego niemal nic, z gestów i intonacji mogłem wyczytać, że przybyli z północy albo mieszkali na północy, a może tam zmierzali. W każdym razie wiązało się z tym coś niezbyt przyjemnego, może nawet straszego. Starzec chciał iść ze mną, ale przecież nie mogłem go zabrać ze sobą.

Zaprowadziłem go pod hotel Mercure i obserwowałem z oddali, jak moi niedawni gospodarze pomagają staruszkowi przeleźć przez mur.

Wieczorem dotarłem do mojej morskiej kapsuły i ruszyłem w drogę powrotną.



Fajne!!

od: PG.SzRibao

Hej,

Fajne, podoba mi się, tylko ten drugi tekst trochę długawy, nie dałbyś rady mi tego ujechać o jakąś jedną trzecią strony?

Paul

Edytor

Szanghaj Ribao

Login: PG.SzRibao

Re: Fajne!!

od: TD.SzRibao

I tak już skróciłem solidnie, rozbij na dwie strony, będzie więcej odsłon

Timur Denikin

Redaktor działu Reportaże

Szanghaj Ribao

Login: TD.SzRibao

Re: Fajne!!

od: PG.SzRibao

Dobrze, najwyżej nie doczytają, ważne, że mam czym sprzedać. Będziemy jechać trupem, widzę to

Paul

Edytor

Szanghaj Ribao

Login: PG.SzRibao

Re: Fajne!!

od: TD.SzRibao

Ty tu jesteś szefem. Będę w Chinach za trzy, cztery dni. Na razie

Timur Denikin

Redaktor działu Reportaże

Szanghaj Ribao

Login: TD.SzRibao

Odpiął terminal od kabla w ścianie przy pryczy i wstał. Zrobił kilka chwiejnych kroków wzdłuż ściany pomieszczenia, by dotrzeć do szyby, za którą przewalały się tłumy. Stara dobra Europa. Styl i szyk. Na chodniku stała grupka kobiet. Była wśród nich dziewczyna w prześwitującej, obcisłej tunice, aż miło było popatrzeć. Podeszedł do nich smutny starszy człowiek w staromodnej bluzie z kapturem. Wyciągnął rękę, ale nic nie dostał. Wyglądał, jakby się miał popłakać. Ulicą szło też kilku bladych facetów w wyraźnie zbyt luźnych garniturach i fatalnie dobranych krawatach, pewnie nowi w Rzymie, nie zdążyli zarazić się tutejszym smakiem.

Widok z okna był jedyną rozrywką w sanitarnej izolatce, wyposażonej jedynie w pryczę, toaletę i kabel do terminala. Na szczęście działał internet i Timur zachował kontakt ze światem podczas czterdziestoosmiogodzinnego, przymusowego pobytu w miejscowym ośrodku zdrowia.

Dwóch mężczyzn, w skafandrach wprost z filmu katastroficznego, przywitało go już na nabrzeżu. Przewieźli go ambulansiem na sygnale do niewielkiego szpitala w dzielnicy Infernetto na obrzeżach metropolii. Na miejscu musiał pokazać odpowiednie zaświadczenia, dowody szczepień, wziąć odkażający prysznic, dać do badania krew i wszystkie inne możliwe płyny ustrojowe, a potem spędzić dwie doby, korzystając z toalety pod czujnym okiem czterech kamer, które obserwowały każdy

centymetr pomieszczenia. Główną zaletą całej sytuacji było to, że w końcu ktoś opatrzył mu rękę i podał lek przeciwbólowy, skuteczniejszy niż placebo, które miał w swojej morskiej kapsule.

Pierwszego dnia izolacji po południu odwiedził go lekarz w masce gazowej i szczelnym kombinezonie z tworzywa. Jego głos dochodził z głośniczka przypiętego do paska uniformu, co tworzyło dziwaczne wrażenie rozmowy z brzuchem mężczyzny. Wzrok Timura cały czas uciekał w stronę urzędnika.

Lekarz miał też dziesięciocalowy terminal z rysikiem. Siadł na prycy, nie witając się. Z braku innego miejsca, Timur siadł na muszli klozetowej.

– Jak długo przebywał pan w strefie zamkniętej?

– Jakies dwie i pół doby.

– Co pan jadł na miejscu?

– Ryby i glony morskie. No i jeszcze prasowane białko podróżne, kupiłem je przed wyjazdem w sklepie podróżniczym w Indiach.

– Co pan pił? – beznamiętny głos wciąż dochodził z głośniczka, co brutalnie odzierało go z jakichkolwiek ludzkich cech.

– Wodę, którą wziąłem z Indii, a potem destylowaną wodę z morza.

– Czy miał pan kontakt z ludźmi?

Po jakichś dziesięciu minutach takiego wywiadu Timur zaczął liczyć pytania, było ich dokładnie osiemdziesiąt trzy. Facet w masce gazowej chciał wiedzieć wszystko, łącznie z chorobami jego rodzeństwa i rodziców, a także przybliżonym wzrostem zarażonego, który go ugryzł. Kiedy lekarz usłyszał odpowiedź na ostatnie pytanie, powiedział po prostu: „Dziękuję” i wyszedł. Timur myślał, czy nie zapytać go o swoją ranę i o szanse przemienienia się w raka, ale odpuścił. Zamiast tego uwaliał się na prycy w pełnym i bardzo dosadnym znaczeniu tego słowa i zaczął grzebać w swoim terminalu w poszukiwaniu informacji o zarazie.

Baidu wyrzuciło kilka wyników. Kliknął na pierwszy, encyklopedię internetową.

Zaraza Afrykańska – wirusowa choroba zakaźna o ostrym przebiegu wywoływana przez jedną z czterech odmian wirusa afrykańskiego. Okres inkubacji trwa od 24 godzin do 3 dni, średnio od 30 do 36 godzin. Chorobę cechuje śmiertelność od 25 do 35 procent. U większości zarażonych występują zwyrodnienia kości stóp i dłoni,

uszkodzenia mózgu, płuc, nerek, zwapnienie serca, nadpobudliwość, zwiększona agresja, zmiany skórne, halucynacje. Choroba jest dziedziczona przez potomstwo zakażonych.

Na tym artykuł się kończył. O ile Timur wiedział, na terenie strefy zakazanej nigdy nie prowadzono badań medycznych. Jakby się nad tym dobrze zastanowić, nie byłby to wielki kłopot. Ot, wysłać oddział komandosów i kilku epidemiologów, założyć mały fort z prefabrykatów na wybrzeżu i robić wypady po zarażonych. Ale z drugiej strony, ryzyko zawleczenia choroby do Europy i Chin byłoby chyba zbyt duże i zbyt niepotrzebne. Zresztą, co on tam wiedział, był tylko dziennikarzyną z Ribao, a nie epidemiologiem.

Późnym wieczorem, a w zasadzie w nocy, przyszło powiadomienie. Opaska zawibrowała delikatnie. Timur już przysypiał, ale sięgnął ręką po leżący na ziemi terminal i otworzył skrzynkę pocztową.



A ty serio zabiłeś tego człowieka?

od: PG.SzRibao

Paul

Edytor

Szanghaj Ribao

Login: PG.SzRibao

Re: A ty serio zabiłeś tego człowieka?

od: TD.SzRibao

Tak.

Timur Denikin

Redaktor działu Reportaże

Szanghaj Ribao

Login: TD.SzRibao

Rzucił terminalem w kąt pokoju i poszedł spać.

*

W drodze z Rzymu do Szanghaju Timur skorzystał z samolotu, tej archaicznej, pamiętającej jeszcze XX wiek formy transportu, którą dziś wybierali przede wszystkim pretensjonalni podróżnicy i zakochane pary. Hanowie wierzyli, że wyznanie miłości w chmurach jest warte więcej niż na ziemi, ale kto zrozumie Hanów?

Obok Timura siedział czterdziestokilkuletni Europejczyk, przystojny, w okularach i garniturze. Mniej więcej wtedy, kiedy samolot osiągnął wysokość przelotową, facet odwrócił się, wyłączył okulary, na których oglądał jakiś program, i zapytał:

– Pan Denikin?

– Tak.

– Bardzo przepraszam, znam pana ze zdjęć. Czytuję artykuły na Szanghaj Ribao.

– O, już dawno się zastanawiałem, czy ktoś jeszcze w ogóle to robi.

– Proszę nie żartować – zaśmiał się i zdjął okulary. – Podziwiam pana odwagę.

– Chyba nie ma czego, nie robię nic bardziej niebezpiecznego niż strażak czy policjant.

– Nie o tym mówię. Odważył się pan... Może przejdziemy na ty?

– Jasne, czemu nie – Timur zgodził się, lekko wzruszając ramionami.

– Ruszyć po przygodę, zrobić coś szalonego.

– A tobie nigdy się nie zdarzyło?

– Byłem na paru dalszych wyjazdach, Kazachstan, Australia. Latałem na lotniach, ale to wszystko nie to. Co to za szaleństwo, na które najpierw odkładasz przez pół roku, oszczędzając na stołówce w pracy?

– Ale za to masz rodzinę.

– Pewnie, nie mógłbym żyć bez nich, ale całe życie chciałem po prostu spakować plecak i gdzieś jechać, przeżyć przygodę. Miałem takiego kolegę, znaleźmy się od szkoły. Za każdym razem, kiedy jeden z nas miał kłopoty w pracy, spotykaliśmy się z butelką i planowaliśmy, że zaciągniemy się do chińskiej armii i będziemy pilnować granicy na Amu-Darii.

– Z tego, co wiem, jest tam dosyć duszno – wtrącił Timur, ale jego rozmówca puścił tę uwagę mimo uszu.

– Zawsze sobie obiecywałem, że kiedyś będzie mnie stać na przygodę. Że będę dość bogaty, żeby zamieszkać gdzieś daleko albo zwolnić się z pracy i ruszyć pieszo z Paryża do Astany.

– I co, jeszcze brakuje?

– Niby by wystarczyło, ale jak powiem żonie, że ubieram moje najlepsze górskie buty i idę na półroczny spacer, to prawdopodobnie nigdy więcej jej już nie zobaczę.

Kiedy lądowali, Timur wymienił się z nieznanym cyfrowymi wizytówkami i każdy poszedł w swoją stronę. Jadąc metrem w stronę stacji tuby, wciąż myślał o facecie z samolotu. W gruncie rzeczy też mu trochę zazdrościł. Normalnej pracy, którą się kończy o trzeciej i jedzie do normalnego domu, a nie pustej klitki w czterdziestopięciopiętrowym „wałowcu”. A poza tym, jego wyjazdy nie miały wiele wspólnego ze spontaniczną przygodą opisywaną przez nieznanego.

*

Kilka dni później Timur znów odbył pielgrzymkę ze swojego przedmieścia w Hongkongu do siedziby Szanghaj Ribao. Przeszedł przez wszystkie windy, bramki i korytarze i dotarł do pokoju numer 703, przy którym wisiała tabliczka „Dyrektor Portalu”. Nigdy wcześniej tu nie był, ale oczywiście nieraz słyszał o Zhao Yunie, człowieku, którego podpis widniał pod wszystkimi zwolnieniami, awansami i premiami w redakcjach.

Zapukał nieśmiało i wszedł. Na fotelach siedzieli już Paul, Zhao Yun i jeszcze jedna dziewczyna po dwudziestce, na oko Tamilka, ale rozpoznawanie Hindusów nie przychodziło mu łatwo.

– Siadaj Timur – zaczął Paul. – Czekamy już tylko na ciebie. Panna Basanti – wskazał na dziewczynę – zajmuje się sponsorami.

Skinął głową w jej stronę i siadł posłusznie, ale nic nie powiedział. Trochę krępowała go ta sytuacja. Żeby mu dać wypowiedzenie, nie trzeba by chyba robić takiej szopki, ale kto wie? Może to dyscyplinarka, a panna Basanti reprezentuje pracowników?

– Dużo o was słyszałem, młody człowieku – powiedział Zhao Yun, który miał nie więcej niż czterdziestkę, czyli był ze dwanaście lat

starszy od Timura. – Czytałem też kilka waszych tekstów. Opowiedzcie mi trochę, jak to wszystko jest organizowane?

Te słowa przyniosły Timurowi ulgę. Zatem nie wypowiedzenie. Wziął głębszy wdech i zaczął mówić, starając się sprawiać wrażenie profesjonalisty:

– Zaczynamy zawsze od umowy ze sponsorem. Ostatnio to był Shigeru-Jie, producent broni. Kiedy byłem w Egipcie, miałem ich pistolet.

– Co oni z tego mieli, a co my?

– Oni mieli swój produkt kilka razy w tekście i raz na zdjęciu. My mieliśmy pieniądze na wyjazd, a całość była fragmentem sporej kampanii, jaką Shigeru-Jie wykupił na portalu. Czasem też piszę osobny, krótki test czegoś, co wzięłem ze sobą do strefy. Bielizny termoaktywnej, noża, filtra do wody.

– Taaak, panno Basmanti. Ile na tym zarobiliśmy, na czysto?

Timur zauważył, że przejęzyczenie szefa nie zrobiło wrażenia na dziewczynie. Hinduska stuknęła kilka razy w duży terminal, przesunęła palcem po ekranie i powiedziała:

– Ciężko dokładnie to wycenić, cała kampania była warta sto tysięcy renminbi, na wyjazd dostaliśmy jeszcze pięć tysięcy.

Zhao pochrumkał pod nosem, powzdychał, popatrzył na milczącego Paula. Wstał, podszedł do okna, wrócił i znowu usiadł.

– Zarząd szykuje rewolucję w portalu. Jeszcze nie ogłosili tego oficjalnie, ale idą zmiany. Konkurencja wciąż jest w plecy, ale odrabia straty, a my nie możemy sobie na to pozwolić. Wasz cykl nie jest zły, ale mamy lepsze rzeczy. Jeśli czegoś nie wymyślicie, to wypadacie. Jakieś pomysły?

– A gdybyśmy równolegle podpisali sponsoring na dwa różne produkty? – spytał Paul, a Timur przeklął w myślach, już wyobrażając sobie siebie samego na środku radioaktywnego pustkowia, jak powiewa flagą Niebiańskiego Spokoju. Na szczęście uratowała go Basanti, która pokręciła głową ze sceptyczną miną i powiedziała:

– Żadna firma się na to nie zgodzi, jeśli płacą za tekst, chcą wyłączność. Ale moglibyśmy sprzedać cały cykl pakietem. Myślę, że mogłabym znaleźć chętnych.

– A będą z tego lepsze pieniądze?

– Raczej nie, ale będą stałe.

– W takim razie pomysł jest do śmieci. Co jeszcze dla mnie macie.
– Byłoby łatwiej, jakbyśmy wiedzieli, co ci na górze chcą osiągnąć – westchnął Paul.

– A jak myślisz – burknął Yun – więcej pieniędzy.
– Największa kasa jest za reklamy wideo – powiedziała Basanti.
– Więc trzeba skończyć z tekstami i zacząć nagrywać – dodał Paul i w tym momencie wszyscy spojrzeli na Timura, jak wilki na jagnię.

– Szczerze mówiąc, nie jestem przekonany, czy bieganie po strefach zakazanych z kamerą to najlepszy możliwy pomysł. Rząd zakazuje jakiegokolwiek działania, które mogłoby zdradzić tamtejszym ludziom nasze istnienie.

– Nie panikuj chłopcze. Pracowałeś w technologiach, prawda? Chyba znajdą się jakieś sposoby na ukrycie kamery? – powiedział Zhao.

– Oczywiście, że się znajdą – potwierdził Paul energicznie, kiwając głową.

– Mógłbyś pojechać na trochę dłużej, powiedzmy sześć do ośmiu tygodni i nagrać... sześć, może osiem odcinków? Co ty na to? – zaproponował dyrektor.

– Zróbmy tak. Dajmy mu ukrytą kamerę i nadajnik satelitarny – Paul się rozkręcał. – Ustawimy ją tak, żeby wysyłała nagrania co godzinę. Timur będzie po prostu zwiedzał, a nasi montażyści będą przeglądać materiał, montować. Dodamy do tego jakiś głos z offu. Wyjdzie prawie jak na żywo.

– Genialne – Yun klasnął w dłonie i zatarł je energicznie. – Widzowie będą czekać na następny odcinek bardziej niż na nową serię Niebieskich Żagli. Nie ma scenariusza, nie ma pewności, że główny bohater przeżyje, wszystko life.

Słyszając to, Timur trochę się skrzywił, ale w gruncie rzeczy przynajmniej zdawali sobie sprawę, że to niebezpieczne, a to już dużo. Teraz trzeba było coś na tym ugrać dla siebie.

– Trzy tygodnie to bardzo dużo. To rodzi pewne komplikacje – wtrącił się.

– Jakie znowu komplikacje? – Zhao Yun zapytał ostro.

– Kiedy docieram do strefy zakazanej, muszę wyglądać jak tamtejszy i jednocześnie mieć ze sobą dość wyposażenia, sprzętu, lekarstw, przedmiotów na wymianę, żeby zapewnić sobie szanse przetrwania. Tam naprawdę rządzi Darwin. Do tej pory byłem tam najwyżej na parę

dób. Mogę wziąć ze sobą dość prasowanego białka, żelowych pastylek zapalających, słomek filtrujących wodę i tak dalej, ale zapas na trzy tygodnie zajmie mi mnóstwo miejsca.

– Twierdzisz, że to niemożliwe? – zapytał Yun.

– Nie, to po prostu zdecydowanie bardziej ryzykowne i trudne.

– No dobrze, chłopaku, widzę, że kompletnie nie umiesz się targować, więc ci ułatwię. Dostaniesz nową umowę, będziesz zadowolony. To jak, mamy to?

– Jasne – powiedział Timur. – Gdzie płyniemy i kiedy?

– Jak najszybciej, a gdzie? Hmm. Nie wiem, wybierz coś. Ma być groźnie, ekscytująco i ciekawie, żadnych pustyń przez trzy dni z rządu. Chcę, żeby coś się tam działo.

– Dobrze, w takim razie może...

– Nie chcę odpowiedzi teraz. Przemyślcie to sobie na spokojnie i wyślecie mi maila. Panno Basmanti? – Przekręcił ponownie, ale wszyscy udali, że nie zauważyli. – Może pani sprzedać cały cykl. Albo nie. Dwa odcinki. Jeśli to będzie hit, chcę mieć nową umowę. Jasne? Wszyscy wiedzą, co robić?

Kiwnęli głowami i wyszli na korytarz, żegnając się zdawkowo. Hinduska z działu reklamy szybko uciekła do windy, a Paul i Timur stanęli na chwilę obok automatu z zupą miso.

– To co, Paul, dokąd płynąć?

– Mnie się pytasz? A co ja o tym wiem? Ty mi powiedz.

– Dasz mi parę dni wolnego? Przemyślę to, poszperam na satelicie, poczytam i coś wymyślę, OK?

– A bierz, i tak tu na miejscu jesteś bezużyteczny.

*

Siedzieli w knajpie w Kowloon Bay. Nazwa tej dzielnicy pochodziła od zatoki, którą kawałek po kawałku zasypywano przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Timur i jego dwaj koledzy, James, chiński Australijczyk i Potap, rodowity moskwiczanie, który przyjechał jak tysiące innych do Chin na studia i wylądował w Hongkongu.

– Trzy tygodnie to sporo czasu. Ile byłeś tam najdłużej? – zapytał Potap.

– Sześć dób.

- Dobrze, dobrze, ale zapłacą za to jak trzeba? – upewniał się James.
- Nie powiem wam, bo będziecie zazdrośni.
- Timur, bardzo cię proszę, nie pierdol – cisnął Australijczyk.
- No dobrze, mam mieć tysiąc za każdy odcinek.
- No, no – Potap aż gwizdnął, a James uśmiechnął się marzycielsko.
- Pod warunkiem, że odcinek będzie miał jakąś oglądalność, już nie pamiętam, dziesięć milionów wyświetleń? Coś takiego. A, no i moja matka dostanie sto tysięcy, jeśli nie wrócę.
- To chyba bardziej ci się opłaca upozorować wypadek, wrócić po kryjomu i podzielić się ze starszą pół na pół – zasugerował Potap, przechylając do ust wysoką szklanę piwa. – Dobrze to wymyśliłem?
- Wspaniale, tylko że moja morska kapsuła jest cały czas spięta z wojskowym satelitą. Wypożyczamy ten sprzęt od marynarki.
- Koledzy Timura przez chwilę analizowali możliwości oszukania satelity. Potap najwidoczniej stwierdził, że się nie da, bo zmienił temat.
- Wiecie, co mnie wkurwia? – zaczął.
- Hanowie? – zapytali obaj niemal równocześnie.
- Nie, to ciągle „bądź sobą”.
- Rozwiń – poprosił Timur.
- Widzieliście te reklamy ostatnie, te z tańczącymi ludźmi w oczojebnych dresach i oczywiście co? „Bądź sobą”, na okrągło, mam wrażenie, że połowa piosenek jest o byciu sobą.
- I co ci to przeszkadza? – James nie widział problemu.
- Weźmy takiego pedofila, on też ma „być sobą”? A prymityw-chuligan?
- Taki jak ty? – zapytał Timur kpiarsko.
- Nie wiem, niech śpiewają: „bądź porządnym gościem” albo: „zostań kimś”. „Bądź sobą” to zachęta do lenistwa, fatalizmu i takich innych.
- Kelner w bawarskim kapeluszu i flanelowej koszuli w kratę, żeby było dziwniej – Malezyjczyk, podszedł do nich z węzem. Dopiął do zaworu w stoliku i dolał im piwa. Podziękowali.
- Muszę tu kiedyś przyjść z własnym wężykiem.
- Wy Australijczycy jesteście tacy skąpi – uśmiechnął się Potap, chowając dyskretnie popielniczkę do kieszeni płaszcza.
- Timur obserwował z rozbawieniem manewry przyjaciela i zapytał:
- Po co ci kolejna?
- Gdybym był bogaty, to bym zbierał motocykle, a że za naprawę

kuchścianek nie płacą tyle, co za kręcenie filmów podróźniczych, muszę się zadowolić tym, co jest.

– No właśnie, Tim, dokąd pojedziesz? – James wrócił do głównego tematu.

– Sam nie wiem, dali mi wolną rękę.

– Znam się na tym jak świnia na pomarańczach, ale jedźmy po kolei – powiedział Potap.

– Dobrze mówi, do wyboru jest Afryka – James zagiął jeden palec rosyjskim zwyczajem – Ameryka Północna – zgiął drugi – i jeszcze Azjatycka Strefa Zamknięta Władystok. Coś pominąłem?

– Jeszcze – dodał Timur, bawiąc się pustym kuflem – Azja Południowo-Zachodnia, ale raczej odpada. Tam są zarażeni, koczownicy i cholera wie, co jeszcze. Tam się nie pcham, nie jestem głupi. – Machnął na kelnera z węzłem, poczekał, upił kilka łyków i mówił dalej: – W Afryce jest niebezpiecznie i nudno. Na północy pustynia i żałosne resztki cywilizacji. Na południu jedna wielka plemienna masakra. Tu i tu zarażeni. Ostatnio jeden z nich mnie użarł. Posrałem się w spodnie, byłem pewny, że zmienię się w to coś.

– Ale się nie zmieniłeś – powiedział James.

– Nie tym razem. Lekarze do dziś wiedzą o tej chorobie mniej niż o zdradach własnych żon. Lepiej nie ryzykować po raz drugi.

– To co? Została Ameryka Północna – stwierdził Potap, otwierając na swoim terminalu mapę satelitarną.

– No przecież nie Władystok. Ruiny i promieniowanie. Nic tam nie ma.

– Tak, w Ameryce chyba będzie nieźle. Są miasta – Potap zagiął jeden palec – wiochy w sumie, ale jak na te warunki... Są mutanty – zagiął drugi palec. – No i mówią po angielsku – zagiął trzeci.

– Fajnie, fajnie, tylko, że to spory kontynent. Chyba musisz się zdecydować na coś bardziej konkretnego? – rzucił James.

– OK, pokaż ten swój terminal, Potap.

Pochylili się we trójkę nad niewielkim ekranem.



Planowana trasa

od: TD.SzRibao

Przygotowałem wstępny plan. Zdecydowałem się na zachodnie wybrzeże, tam jest bardziej dziko. Wyląduję w Vancouver. Byłem tam już, ale warto byłoby pokazać to miasto na filmie. Potem ruszę na południe przez Seattle, Portland, Redding do San Francisco. To kawał trasy, ponad półtora tysiąca kilometrów, liczę na to, że funkcjonuje tam jakiś transport, gdzie indziej w AP widziałem takie rzeczy. Jeśli się nie uda, trudno, cały czas będę blisko wybrzeża, kapsuła będzie płynęła w pobliżu. Najwyżej ją wezwę.

Jeśli wszystko się uda, zobaczę przynajmniej trzy metropolie i sporo mniejszych miast. Vancouver nie było bombardowane atomówkami, a Seattle i San Francisco jedynie głowicami taktycznymi. Myślę, że będzie ciekawie.

Timur Denikin
Redaktor działu Reportaże
Szanghaj Ribao
Login: TD.SzRibao

RE: Planowana trasa

od: PG.SzRibao

Jak dla mnie możesz tam spędzić nawet trzy miesiące. Gdyby kto pytał, to ja ci tę trasę klepnałem.

Paul
Edytor
Szanghaj Ribao
Login: PG.SzRibao

RE: Planowana trasa

od: BH.SzRibao

Mam dwóch chętnych na tę akcję, ale jeden się waha, a drugi nie wie, jaki będą mieli budżet na nowy kwartał. To może chwilę potrwać.

Basanti Hue

Senior Marketing Manager
Szanghaj Ribao
login: BH.SzRibao

Wysłanie jednego maila wyczerpało reportera tak bardzo, że resztę dnia spędził na łóżku. Cicho postękiwał po wieczornym pijaństwie i obiecywał sobie nigdy więcej nie upić się piwem.

*

Następnego ranka Timur był już w formie i ruszył do centrum handlowego Eastern Plaza. Nie miał jeszcze pieniędzy na zapasy, ale postanowił kupić je na kredyt, a potem spłacić, kiedy gotówka przyjdzie na konto.

Zawsze, kiedy jechał przez miasto o dziesiątej rano, a rzadko zdarzało mu się jeździć wcześniej, zastanawiał się, skąd tylu ludzi w metrze. Czy oni wszyscy nie powinni być w szkole i w pracy? No dobrze, on nie był w pracy, ale on miał trochę inną pracę. Chyba nie wszyscy z tych dwustu osób w wagonie byli reporterami?

Stacja przy centrum handlowym była jedną z głównych. Z wagonów wylała się rzeka ludzi, która uniosła Timura w stronę schodów: zwykłych, ruchomych, potem znowu zwykłych i jeszcze jednych ruchomych. W hallu na poziomie -1 rzeka ta zlała się z inną, tworząc rodzaj wiru, z którego na różne strony wyciekały małe strumienie i wartkie potoki. Timur ruszył w stronę windy z napisem „Skrzydło wschodnie”.

Winda była dużo większa od jego mieszkania, a i tak ledwo się dało oddychać. Na szczęście musiał wjechać jedynie na drugie piętro i udało mu się uniknąć bolesnej śmierci. Po półtorej godziny przebijania się przez miasto dotarł do celu: sklepu Woods&Bears. Ta sieć i samo centrum Eastern Plaza były jeszcze przedwojenne, dlatego miały angielskie nazwy. Kiedy istniały jeszcze Stany Zjednoczone, nazywanie rzeczy po angielsku było w Chinach modne.

Szedł długą alejką, mijając wieszaki pełne kurtek i bluz, minął zbroje do paintballu i quady. W pierwszej kolejności zmierzał do działu

z żywnością. Regały były dosłownie zasypane kolorowymi pudełkami z witaminami, prasowanym białkiem i pastylkami do uzdatniania wody. Wziął po kilka pudełek, dokładnie porównując skład. Najbardziej lubił białko syntetyczne tuńczyka z naturalnym sojowym i albuminą jaj. Kiedyś wyczytał, że białko jaj jest najzdrowsze i najpożywniejsze i postanowił w to uwierzyć, bo w końcu w coś trzeba wierzyć.

Wrzucił do koszyka w sumie jakieś trzy kilo protein z odrobiną cukrów i tłuszczu. Nie sposób na tym przeżyć trzy tygodnie, ale to raczej żelazna porcja, a nie suchy prowiant. Pastylek i słomek filtrujących do wody miał wystarczająco, żeby uzdatnić małe jezioro. Nie kupował krzesiwa. To, które miał, było już odpowiednio stare i zużyte, żeby nie rzucało się w oczy w strefie.

Ruszył dalej po drugą najważniejszą rzecz na wyprawie: naboje. Być może znowu będzie go sponsorował jakiś gigant zbrojeniowy, ale trudno, naboje się nie zmarnują. Stał długo przed regałem i zastanawiał się, co ma ze sobą wziąć. Wybór był dość wąski, mógłby wziąć oczywiście jakąś nowoczesną armatę, ale równie dobrze mógłby sobie podłączyć neon do czoła. Zdecydował się w końcu na starą dobrą M21-kę, a to oznaczało naboje 7,62x51, do tego po namyśle wybrał klasyczny model Smith&Wesson 19, produkowany przez Shigeru-Jie, ale wciąż znany pod nazwą dawnego producenta. Miał szczęście, że wciąż był popyt na te archaiczne zabawki. Inaczej musiałby zamawiać broń u rusznikarzy, a na to nie było go stać.

Wziął sto grzybkujących naboń kaliber .357 i sto czterdzieści 7,62. Razem ważyły niecałe pięć kilo. Dużo, do tego ponad drugie tyle w samej broni, a gdzie jedzenie, woda i towar na handel? Jeszcze żeby mógł wziąć solidny plecak, a nie plastikowy toból z pasami, który nosił w strefach.

Na koniec ruszył po towary na handel. Kupił sporo zapalniczek starego typu, trzy solidne noże ze stałą głownią – za coś takiego każdy szef karawany weźmie cię pod swoje skrzydła. Po drodze złapał żelowe ampułki zapalające. Genialna rzecz, wystarczy je mocno ścisnąć i podłożyć pod suche igliwie czy drewnienka. Po namyśle cofnął się do naboń i wziął pudełko .45 ACP, najpopularniejszy kaliber na terenie dawnego USA. Nigdy nie wiadomo, co wpadnie w ręce, a za jeden taki nabój można było bez problemu dostać obiad. O ile trafiło się na kogoś

w nastroju na wymianę.

Pchając przed sobą wypełniony po brzegi kosz, dotarł do działu z odzieżą. Tu na szczęście nie miał już wiele do kupienia. Z wierzchu miał wyglądać jak włóczęga, więc skupił się na bieliźnie. Wybrał ciepłe, oddychające, nienamakające skarpety z jonami srebra i podobnego typu bokserki. Dodatkowo zarzucił na siebie zestaw termoaktywny, który kiedyś dostał od sponsora. Niestety bez rękawów i z krótkimi nogawkami, żeby łatwiej schować go pod łachmanami. Na koniec odwiedził dział myśliwski, gdzie wybrał czapę ze sztucznego futra – poprzednia zaginęła w Vancouver.

Kasa automatyczna odczytała z opaski pozwolenie na broń i numer karty kredytowej. Wybrał opcję dostawy do domu i włożył zakupy do torby, na którą nakleił wydrukowany przez kasę kod kreskowy. Torbę odwiózł do punktu obsługi i poszedł w stronę windy.

Jadąc w dół, skojarzył, że niedaleko od Eastern Plaza jest studio nagraniowe portalu. W tamtejszym magazynie z elektroniką pracował jego dobry znajomy, z którym mógł omówić sprawę kamery. Wysiadł na poziomie zero i z ulgą opuścił centrum handlowe. Od razu zadzwonił, anonsując swoją wizytę i szybkim krokiem ruszył do studia.

W budynku minął kilka bramek kontrolnych, skinął głową paru znajomym i wjechał windą na trzecie piętro. Znajomy już czekał. Choć był Hanem, nazywał się Charlie, a choć nazywał się Charlie i tak wszyscy mówili na niego Lie.

– Nie spodziewałem się ciebie tak szybko – rzucił Lie wesoło.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

Lie tylko popatrzył wokół na zagracony magazyn, w którym stali, uśmiechnął się krzywo i zapytał:

– Mówiłeś, że potrzebujesz kamery?

– Tak, wysyłają mnie na dłużej do Ameryki. Mam im kręcić coś w rodzaju serialu na żywo.

– Mów dalej.

– Tam generalnie nie jest zbyt bezpiecznie i wolałbym mieć kamerę, która nie będzie przeszkadzać. No i żeby nie rzucała się w oczy. Miałyś coś?

– Sama kamera nie zajmie dużo miejsca, kostka półtora na półtora centymetra, gruba na pół. Ale przydałby ci się do tego jakiś dysk, będziesz to zapisywał, tak?

Magazynier ruszył między półki, szukając odpowiednich części. Timur podążał za nim.

– Chcą, żebyśmy co godzinę wysyłał to, co się nagrało, przez satelitę.

– Jasne, oni płacą, oni chcą. Słuchaj. Potrzebujemy kamery, małej, szerokokątnej, bo nie będziesz miał jak kadrować, i z dobrą rozdzielczością, tak ze dwa miliony, też nie przesadzajmy, to nie może wyglądać zbyt dobrze.

– O to bym się nie bał.

– Do tego mała pamięć, taka akurat na półtorej godziny filmu i nadajnik satelitarny. Moglibyśmy dodać odbiornik, będziesz mógł się podpiąć z terminalem i skontaktować z górą. Co ty na to?

– Nigdy czegoś takiego nie miałem, może się przydać, pewnie, dawaj.

– I jeszcze mały moduł sterujący i bateria. Sprzęgnę ci to wszystko razem, tylko pomyślmy, jak to będziesz nosił.

– No właśnie. Myślałem o jakiejś czapce?

– No może... Nie, to razem będzie ważyło niewiele, z pięćdziesiąt gramów, może siedemdziesiąt, ale musiałbyś mieć jakąś opaskę, na zwykłej czapce nie będzie wygodnie.

– To może w klamrze pasa?

– To nie byłoby złe, ale ujęcie wyglądałoby fatalnie, zupełnie jakbyś kręcił film wacem albo był liliputem.

– To gdzie? – Timur rozłożył ręce.

Przez chwilę obaj chodzili po magazynie, oglądając szuflady pełne elektroniki i innego sprzętu, którego przeznaczenia Timur się nawet nie domyślał.

– Ty! – krzyknął Lie, który w międzyczasie doszedł do końca regału. – Tam w strefie to pewnie ubierają się dosyć dziwnie, co?

– Każdy w to, co ma.

– A jakbyś miał na łańcuszku kawałek lusterka, to wyglądałbyś dziwnie?

– Nie bardziej niż inni, chyba wiem, w którą stronę zmierzasz.

– Zrobiłbym ci płaską metalową kasetkę, niewielką, może dziesięć na pięć. W środku wszystkie bebechy, a od przodu kawałek weneckiego lustra. Będzie?

– Będzie! Jesteś geniuszem, Lie.

– Tak, tak! Jak długo tam będziesz?

– Od sześciu do ośmiu tygodni. Te osiem to już tak skrajnie.

- A to luz, bateria powinna trzymać dwa miesiące, jeśli nie będziesz dużo gadał przez satelitę oczywiście.

- Świetnie, jeszcze nie znam daty wyjazdu, więc nie ma pośpiechu.

- Jakby ci to powiedzieć... Nie mam tu bardzo dużo roboty.



Tajna szpiegowska kamera

od: HC.SzRibao

Słuchaj, gadałem z jakimś facetem od Paula, ma się zajmować montażem twojego materiału. Chce, żebyś miał dwa obiektywy. Jeden szeroki i jeden z większym zbliżeniem. To nam trochę komplikuje. Muszę dać trochę większą baterię i mi się nie mieści odbiornik satelitarny. Muszę znaleźć większe lustro i obudowę. To mi może zająć kilka dni.

Hue Charlie

Starszy Magazynier

Szanghaj Ribao

login: HC.SzRibao

RE: Tajna szpiegowska kamera

od: TD.SzRibao

Olej odbiornik, i tak tego nigdy nie używam.

Timur Denikin

Redaktor działu Reportaże

Szanghaj Ribao

Login: TD.SzRibao

Zhao Yun miał na spotkanie ledwie dwadzieścia minut i od razu, zanim jeszcze przekroczył próg konferencyjnej salki, postanowił wszystkich o tym fakcie poinformować. Stał za krzesłem u szczytu

stołu i nie siadając, zakomenderował:

– Nie ma czasu. Basamanti – znów przekręcił – zaczynaj.
– Miałam dwóch chętnych. Jeden odpadł. Drugi ma już budżet i prawdopodobnie to klepnie, ale jeszcze czekają na zgodę zarządu. Jakby to nie wypaliło, to mam na benczu kolejne opcje, ale póki co nie, chcę ich puszczać w pajpie, chcę tworzyć dobry feel dla najgrubszej ryby.

– Kto to? – zapytał Yun pospieszająco.

– GWM-Chery.

– Dobrze. Wyślij mi konspekt umowy na maila. Dalej. Paul?

– Szykuję dla nowego formatu miejsce w ramówce na stronie, damy to w czwartek po południu. Przesuniemy parę rzeczy i się zmieścimy.

– Dobrze, Tatsuo? – Zhao spojrział na niewysokiego Japończyka w czerwonej koszuli. – Jak przygotowania?

– Pierwsze dwa odcinki powinniśmy wcisnąć w grafik, ale jeśli format zostanie na stałe, będziemy musieli wygrzebać z budżetu trochę dodatkowych godzin na montaż. U nas jest już dosyć ciasno w tym roku, a u was?

– Jak poskrobie, to wyskrobie. Poczekajmy na pierwsze wyniki, jeśli będą dobre, to nie będzie problemów.

Japończyk kiwnął, a Zhao zaczął wyraźnie zbierać się do wyjścia, kiedy zapytał jeszcze:

– Coś pominąłem?

– Wysłałem mailem proponowaną trasę. Nie dostałem odpowiedzi – powiedział Timur dosyć nieśmiało.

– Na maila? Nie widziałem. Mniejsza z tym. Ktoś coś jeszcze? – Cisza.

– No, to wyrobiliśmy się przed czasem. Dobra robota. Basmati, daj znać, kiedy będziemy mieli zielone światło – powiedział, stojąc już w drzwiach wyjściowych.

Kiedy zniknął, Tatsuo i Paul wyszli szybko, żegnając się zdawkowo, a Basanti została jeszcze, stukając palcami w swój roboczy terminal. Timur poczekał, aż skończy, i wtedy zapytał:

– Jak udało ci się podejść GWM-Chery? Słyszałem, że negocjacje z nimi to jakiś dramat.

– Mamy swoje sposoby, ale to nudziarstwo.

– A ja właśnie jestem ciekaw – uśmiechnął się samymi kącikami ust.

– To trochę jak flirt. Najpierw trzeba ich zainteresować, ale tak, żeby

nie wiedzieli, że robimy to celowo. Potem udajemy niedostępnych, a kiedy oni wykazują zainteresowanie, zachowujemy się, jakbyśmy robili im łaskę. Kilka razy udajemy, że chcemy wstać i wyjść, a kiedy w końcu się orientują, że sprzedaliśmy im kampanię za pół miliona, są szczęśliwi jak dzieci, które namówią naiwną ciocię na drugie w ciągu dnia lody.

– Pół miliona? Tyle dają?

– Tyle dadzą za pięć odcinków, jeśli tyle się ukaże. Jeśli zostaniemy przy dwóch, dadzą trzysta.

– Dobra jesteś. Czyli nie będzie problemów z flotą na zaopatrzenie?

Basanti zaśmiała się i wyłączyła swój terminal.

– To pieniądze za reklamy, na organizację wyprawy dostaniemy osobno.

Poszli do modnej kawiarni na nabrzeżu. Od morza oddzielała ich autostrada, ale z wysokiego tarasu świetnie widzieli frachtowce płynące na południe. Jak zwykle, kiedy spotykało się dwoje laowaiów, rozmowę zaczęli od przeszłości.

– Mój ojciec jest Hanem, a matka Bengalką. Poznali się, kiedy tata był na kontrakcie w Kuala Lumpur. Jest inżynierem oświetlenia i pomagał je projektować w jakimś wieżowcu. Nie pamiętam nawet w którym. Mama jeszcze chodziła na uniwersytet i codziennie szła na zajęcia pod oknem biura taty. A ty? Skąd się wzięłeś w Chinach, laowaiu?

– Ja się tu już urodziłem. W Huludao. Ojciec był Polakiem, mieszkającym od pokoleń w Kazachstanie, a mama pół Czeszką pół Francuzką. Poznali się w Chinach. Pracowali w tym samym hotelu.

– To może wypijemy symbolicznie za nową ojczyznę? – zaproponowała dziewczyna, bawiąc się niemal pustym kubkiem z kawą.

– Czemu nie, tylko czy ty nie musisz jeszcze wrócić dziś do pracy?

– Nie, to było ostatnie spotkanie. Mogłabym jeszcze porobić sobie porządki w papierach, ale to mi nie ucieknie.

Kiedy przechodził kelner, musieli zwrócić jego uwagę niemalże krzyżąc. W końcu podszedł niezbyt zadowolony i z kwaśną miną przyjął zamówienie na gin z tonikiem i whisky z sokiem imbirowym.

– Zauważyłeś, że wszyscy Hanowie, którzy naprawdę pracują, a nie zarządzają, są wiecznie obrażeni na świat?

– Tak, ale tylko w dużych miastach. W mniejszych jakoś tego nie widzę.

– Też byłam kiedyś kelnerką.

– Naprawdę? Opowiadaj.

Zanim zaczęła, kelner przyniósł zamówione drinki i wypili za Chiny, które przygarniają półtora miliona imigrantów rocznie.

Gin był dosyć mętny i wyraźnie tani, więc przy następnej kolejce oboje zdecydowali się na whisky. Później, kiedy Timur zorientował się, że wypłatę dostał już tydzień wcześniej, więc od pięciu dni był spłukany, zdecydował, że będą pić czystą wódkę z sokiem pomarańczowym, najtańszy drink w karcie. Mimo to atmosfera zrobiła się romantyczna, zwłaszcza gdy słońce zachodzące za ich plecami obsypało milionami złotych refleksów powierzchnię lekko wzburzonego morza.

– Chyba już czas na mnie. Może byś mnie odprowadził? – zapytała.

– Jasne. Daleko mieszkasz?

– Siedem przystanków metrem, o tej porze może już nie być tłoku.

Brak tłoku to w szanghajskim metrze pojęcie względne. Jeśli możesz oddychać, to już nie jest źle. Jeśli powietrze dodatkowo nie jest gorące i nie pachnie potem, możesz czuć się szczęśliwy, a jeśli nikt nie stoi ci na stopie, możesz uważać, że nie ma tłoku.

Timur miał to szczęście, że z miejsca, w którym stał, dosięgał poręczy. Basanti nie i dlatego musiała trzymać się jego. Pocałowali się po dwóch stacjach. Po kolejnych dwóch, on ją trzymał za tyłek, a ona jego za twarz. Kiedy wysiadali, zapytała go, czy ma prezerwatywy. Nie miał, ale kupił po drodze w ulicznym automacie. Od wyjścia ze stacji metra do domu Basanti mieli jakieś pięćset metrów, które przemierzali bardzo długo i bardzo intensywnie.

Mieszkanie dziewczyny było większe niż jego i mogło mieć ponad czterdzieści metrów kwadratowych. Musiała być naprawdę dobrą specjalistką od reklamy albo jej ojciec od oświetlenia.

– Poczekaj tu na mnie. Wezmę szybki prysznic – powiedziała, a kiedy próbował jej wmówić, że muszą oszczędzać wodę i umyć się razem, zatrzasnęła drzwi.

Szybki prysznic, podobnie jak brak tłoku w metrze, był pojęciem względnym. Timur zdążył obejść mieszkanie i nawet pomyśleć, że nie miałby nic przeciwko przeprowadzce do Szanghaju. Kiedy usłyszał, że

Basanti zakręciła prysznic, ruszył w stronę łóżka. Zupełnym przypadkiem zobaczył na wysokiej komodzie ramkę położoną na blacie zdjęciem do dołu. Wiedziony niepohamowaną ciekawością podniósł ją i zobaczył uśmiechniętą Basanti z uśmiechniętym żołnierzem w kamizelce kuloodpornej i w kasku. Był Europejczykiem z dużym nosem i dwudniowym ciemnym zarostem. Też się uśmiechał i trzymał rękę na talii dziewczyny.

W pierwszym odruchu Timur chciał wyjść bez pożegnania, zostawiając zdjęcie na pościeli. Ale potem Basanti wyszła z łazienki ubrana jedynie w majtki i ręcznik zawinięty na głowie...

*

Śniadanie zjadł w którejś z automatycznych sieciówek na stacji metra. W zestawie porannym dostał cztery różne dania, wśród których rozpoznał jedynie jajecznicę z jajek w proszku i kawałek bułki, nie wiadomo dlaczego w panierce.

Z Basanti pożegnał się dość wcześnie rano, kiedy dziewczyna jeszcze leżała w łóżku. Nie czuł się ze sobą najlepiej, ale smak agresywnej chemii w śniadaniu zabił w nim wszystkie głębsze uczucia, zostawiając jedynie wrażenie wypełnienia trzewi papierową masą.

W zasadzie nie miał nic do roboty. Mógł jedynie pochodzić po sklepach i szukać w ciemno czegoś, co mogłoby mu się przydać na wyprawie. Mógł też skoczyć na strzelnicę, ale niespecjalnie było go stać. Postanowił w końcu po prostu wsiąść w tubę i wrócić do Hongkongu. Dotarł do domu już o pierwszej po południu. Odpalił domowy terminal i rzucił okiem na maile. Dwa dotyczyły referendum lokalnego. Zagłosował na większy budżet na ochronę zabytków i za przerobieniem połowy placu zabaw na psi park. W skrzynce było jeszcze jedno głosowanie, ale dotyczyło spraw ogólnopaństwowych, a on się w politykę nie lubił mieszać. W końcu włączył skrzynkę służbową i oprócz masy codziennego spamu, który przychodził do niego od czasów pracy w redakcji, i kolejnego orędzia prezesa, znalazł wiadomość od Basanti.



Zielone światło

od: BH.SzRibao

Mamy to, GWM-Chery bierze kampanię. Mam podpisane papiery. Więc możemy inicjować wszystkie procesy.

W załączniku przesyłam szczegóły finansowe.

PS: Timur, dziękuję za wczoraj. Naprawdę fajnie było przeżyć taką jednorazową przygodę.

Basanti Hue

Senior Marketing Manager

Szanghaj Ribao

login: BH.SzRibao

Timur odczuł wyraźną ulgę, ale jednocześnie lekkie ukłucie, czytając słowo „jednorazową” i otworzył załącznik. Przebijanie się przez tabele zajęło mu trochę czasu, ale w końcu dotarł do informacji, która go najbardziej interesowała, czyli do kwoty, którą miał dostać na przygotowania. Minutę później okazało się, że wcale nie musiał się grzebać w dokumentach, bo pieniądze już przyszły. Był trochę ponad tysiąc na plusie, a to znaczyło, że mógł kupić jeszcze kilka przydatnych drobiazgów. Resztę dnia poświęcił na przegląd sprzętu. Wyjął z szafy wielką walizkę i zaczął rozkładać rzeczy. Ułożył na łóżku spory stos naboju w kartonowych pudełkach, obok prasowane białko i ampułki żelowe do rozpalania ognisk, dalej położył plastikowe słoiki z pastylkami do wody i pięć słomek filtrujących, zapakowanych w jednorazowe opakowania. Teoretycznie słomki by wystarczyły, ale zdecydowanie wolał mieć jakieś wyjście awaryjne.

Noże na handel położył na biurku. Każdy z nich zawinie w naoliwioną szmatkę. Swoją nóż, solidny kawał żelastwa typu Bowie z otwieraczem do konserw i młotkiem do szyb, położył obok. Po głębszym namyśle wyciągnął z szafy także pałkę teleskopową. Nie był do końca przekonany, czy jest sens się dodatkowo obciążać, ale lubił tę poręczną broń za wrażenie, które wywierała na ludziach w Strefie.

Wyciągnął też ubrania, które z typowo męskim lekceważeniem rzucił na podłogę. Z najdalszego kąta szafy wydobył „plecak”, który miał postać lekkiej lodówki turystycznej w oplocie z parcianych pasów, tworzących coś w rodzaju szelek. Po próbnym zapakowaniu do niego zapasów i naboji miał jeszcze dość miejsca na apteczkę, zapalniczki i noże. Została mu przywiązana od spodu torba po śpiworze. W niej miał być koc i trochę czystych szmat, które zawsze się przydawały w trakcie podróży.

Naturalnie przed wyjazdem będzie musiał wszystko przepakować. Pokazywanie się w strefie zakazanej ze współczesnymi, czystymi opakowaniami z plastiku byłoby po prostu głupie, już pomijając, że nielegalne. Dlatego właśnie zamiast środków przeciwwzapalnych w inhalatorze, musiał zabrać aspirynę w pastylkach, zapakowaną w szklany słoiczek z odrapaną etykietą, podobnie jak kostki prasowanego białka. Bez ubrań, które brał na siebie i broni, która znajdowała się w firmowym depozycie, bagaż ważył jakieś czternaście kilo. Westchnął ciężko i poszedł przebrać się w dres. Ostatnio trochę zaniedbał bieganie...

*

>Trzy dni później wszystko było gotowe. Timur zamówił taksówkę, załadował bagaże i ruszył do bazy marynarki wojennej w Aotou. Taka przejażdżka kosztowała majątek, ale płaciła firma i nie musiał liczyć się z kosztami.

Samochód nie mógł wjechać na teren bazy, więc Timur wysiadł przy bramie, zabrał bagaże i ruszył dalej pieszo. Elektroniczna przepustka, zakodowana w jego opasce, otworzyła furtkę. Żołnierze na warcie patrzyli się na jego śmieszna czapę i poszarpane, brudne ubrania z pewnym zadziwieniem, ale Timur przywykł już do ich spojrzeń. Szedł prosto do budynku C-6, w którym miał przejść standardową kontrolę.

Na miejscu był już Shenzen, poważny facet, odpowiedzialny w Szanghaj Ribao za dziesiątki różnych rzeczy, w tym za depozyt broni. Nazywali go tak, bo cały czas narzekał, że musiał się wyprowadzić z Shenzen do Szanghaju. W dużej, aluminiowej walizce miał karabin i rewolwer Timura, razem z niezliczonymi protokołami i lusterkiem-kamerą. Sprawnie załatwili sprawę z bronią i Shenzen wyszedł,

zabierając pustą walizkę, a Denikin ruszył w stronę pokoju odpraw, który zazwyczaj służył do przeszukiwania przemytników. Nie było jeszcze nikogo z kontroli, ale i tak zaczął rozkładać swoje rzeczy. Im szybciej to załatwi, tym szybciej będzie po wszystkim.

Kiedy kończył układać piramidę z zawiniątek z nabojami, do salki wszedł kapitan chińskiej marynarki wojennej i cywil z muzeum. Zawsze, gdy Timur płynął do strefy zakazanej, armia posyłała po kogoś takiego. Wojsko bardzo pilnowało, żeby mieszkańcy stref nie wiedzieli o istnieniu współczesnej cywilizacji.

Kapitan przywitał się dość oschle, przedstawił specjalistę, po czym obaj zaczęli przeglądać metodycznie wszystkie paczki. Ostatnim etapem było sprawdzenie ubrań, które Timur musiał z siebie zdjąć. Specjalista z muzeum długo oglądał jego komplet termoaktywny, specjalnie poplamiony błotem i zwierzęcą krwią. Wyciągnął nawet lupę z podświetleniem, ale w efekcie powiedział jedynie: „Ten szew wygląda trochę zbyt porządnie” i się odczepił. Pozwolili mu się ubrać z powrotem po jakichś trzech godzinach. Potem kapitan siadł z Timurem w niewielkim gabinecie, w którym w milczeniu przeczytał dokumenty wysłane przez portal. Zadał kilka absolutnie błahych i niepotrzebnych pytań w stylu: „Jak dobrze strzelasz?” albo „Czy masz zamiar ujawniać mieszkańcom strefy swoje pochodzenie?”. Jego kamerę w lusterku wynieśli dokądś na samym początku i przynieśli z powrotem dopiero, kiedy oględziny już się kończyły.

W końcu wyszli i kapitan kazał czekać na decyzję komendanta. Timur już wiedział, że może to potrwać od pięciu minut do doby. Został na korytarzu, żeby cały czas mieć na oku wejście do gabinetu. Kupił sobie w automacie miskę ramenu z wieprzowymi drożdżami i puszkę soku imbirowego.

Tym razem los był dla niego dosyć łaskawy. Po czterech godzinach, podczas których zdążył obejrzeć kilka odcinków jakiegoś serialu, przyszedł kapitan z dobrą informacją. Komendant podpisał papiery i przydzielił mu kapsułę oceaniczną, którą już zaczęli przygotowywać. Miał wypłynąć następnego dnia o ósmej rano, co oznaczało dalsze czternaście godzin czekania. Dla większości ludzi byłoby to dramatyczne przeżycie, ale Timur to w gruncie rzeczy lubił. Dopiero w podróży czuł, że żyje, a baza w Aotou już była jak podróż. Może nie czerpał z tego przyjemności, ale przynajmniej nie siedział w swojej

klitce z multimgoglami na oczach.

Zapytał, czy może przenocować w gabinecie. Kapitan proponował miejsce w koszarach, ale Timurowi nie uśmiechało się iść półtora kilometra w jedną stronę do baraków z pięćdziesięciosobowymi sypialniami i prysznicami, do których uzbrojony wartownik wpuszcza po dziesięciu na raz. Swoje odsłużył w chińskiej armii i uznał, że mu wystarczy. Odmówił, a kapitan zgodził się na nocleg w gabinecie.

Część II

Wyszedł na ląd w Vancouver, w dawnym parku Stanleya. Potężne drzewa miały osłonić go przed wzrokiem ciekawskich. Nie spodziewał się tłumów, ale wolał być ostrożny. Kiedy razem ze wszystkimi kłopotami był już na brzegu, kapsuła zgodnie z programem przeszła w stan śledzenia. Wehikuł zamknął właz, zjechał z plaży i z bulgotem zanurzył się w toni. Jego nadajnik satelitarny miał razem z plikami wideo wysyłać lokalizację. Dane mają iść także do kapsuły, która powinna podążać za nim wzdłuż wybrzeża. Jeśli będzie chciał się ewakuować, po prostu nagra na wideo wiadomość dla ludzi z portalu, a oni zdalnie pokierują kapsułę w odpowiednie miejsce.

Był dość wczesny poranek. Może czterdzieści minut po wschodzie słońca. Ubrał wszystko, co miał ze sobą. Rewolwer, nóż i pałka spoczywały w futerałach przypiętych do solidnego pasa, a karabin niósł w rękach. Ciężko mu to niemiłosiernie. Jeszcze nigdy nie brał ze sobą aż tyle, a wiedział, że niedługo będzie musiał nosić jeszcze więcej.

Postanowił spędzić pierwszą noc w mieście. Zaaklimatyzować się, może zdobyć jakieś jedzenie.

Droga, po której szedł, kiedyś była asfaltową ulicą. Teraz skurczyła się do rozmiarów ledwie widocznej ścieżki. Korzenie drzew przez lata rozsadzały nawierzchnię od dołu, a deszcz spłukiwał ją od góry. Kropla za kroplą. W efekcie stąpał po czymś w rodzaju wstęgi czarnego żwiru, szerokiej na niecały metr. Przeszedł jakiś kilometr, kiedy dotarł do skraj lasu, za którym zaczynała się innego rodzaju dżungla. Stare Vancouver.

Kiedy Chiny i Rosja odpaliły swoje pociski nuklearne z okrętów podwodnych na Atlantyku i Pacyfiku, Kanada pozostawała państwem neutralnym a jej stosunki z USA były dalekie od przyjacielskich. Dlatego ominął ją atak nuklearny. Doszło tutaj jednak do gwałtownych starć pomiędzy armią Kanady a wojskiem USA i mieszkańcami północnych Stanów, którzy uciekali przed radioaktywnością i konwencjonalnym uderzeniem wojsk sprzymierzonych. Wówczas Chiny i Rosja zorientowały się, że Kanada nie ma szans przetrwać i zdecydowano przeprowadzić wybiórcze ataki powietrzne, które zniszczyły elektrownie, składy paliw i duże zgrupowania

amerykańskiej armii.

Vancouver zostało praktycznie nietknięte. Wieżowce stojące przy samym nabrzeżu już dawno straciły swój połysk, a jeden z nich zawałił się, burząc harmonię tego widoku. Mimo to Timur przysiadł na skraju dawnego parku, nad samym morzem i długo podziwiał, zanim wyciągnął z kieszeni kłębek żyłki zakończonej haczykiem z woblerem. Nie był mistrzem spinningu, a kawałek żyłki mocno przywiązanej do jakiegoś patyka znalezionej w lesie nie do końca nadawał się na wędkę, ale i tak po jakiejś godzinie udało mu się coś złapać. Była to spora nerka, gatunek łososia. Odkąd ludzkość zostawiła w spokoju przybrzeżne wody Ameryki Północnej, stały się one najlepszymi łowiskami na świecie.

Ryba nie była imponująca. Mogła mieć do pięciu jin, nie więcej, ale to i tak niezłe. Wypatroszył ją i wrzucił wnętrzności z powrotem do wody. Tuszę zawinął w jedną z wielu czystych szmat, jakie ze sobą wziął, wepchnął pomiędzy ściankę lodówki a oplatające ją pasy i ruszył przed siebie.

Las zagarniał miasto bardzo powoli. Gdzieniedzie widać było kępy drzew, których korzenie rozsadziły chodnik lub jezdnię. W wielu szczelinach w asfalcie rosła wysoka trawa, ale mimo to większa część nawierzchni była zachowana. Na domach pozostały ślady wojny. Timur podszedł po schodkach do bramy jakiegoś wieżowca. Na drzwiach i ścianie zachowały się dziury po kulach. Przez wybitą szybę widać było porzewiały sprzęt do ćwiczeń i jacuzzi, które ktoś wyrwał i wyciągnął na sam środek salki, po czym porzucił. Ziemię pokrywała warstwa brudu, błota i zwierzęcych bobków.

Szedł Robson Street, niegdyś ulicą handlową. Było tu wszystko. McDonald's z szyldem odstrzelonym przez granatnik. Klub nocny z wejściem zabarykadowanym przez osmaloną samochodową karoserię. Japoński sklepik, w którym wciąż stała nienaruszona półka z kosmetykami, i przynajmniej kilka sklepów z pamiątkami. Wszedł do jednego z nich. Było tu dużo kurzu, trochę dziwnych przedmiotów z plastiku, których nie potrafił w żaden sposób zidentyfikować i niewielki, na oko litrowy kanister jak na olej. Napisy już dawno wypłówiały, a zawartość wyschła. W wielu miejscach metal wyżarła rdza.

W swojej podróży miał zamiar posługiwać się kompasem

i instynktem, ale w Vancouver już był i miał bardziej konkretne plany. Większość budynków zachowała się w naprawdę niezłym stanie. Mógł wejść w zasadzie do każdego i znaleźć dowolne mieszkanie. Nie brakowało też hoteli, ale on szedł pewnie przed siebie, a potem skręcił na skrzyżowaniu, które pamiętał z ostatniego pobytu.

Przeszedł może sto metrów i znalazł się przed potężnym budynkiem. Przed wojną wejście zdobił napis Sutton Place Hotel. Timur odnalazł to miejsce już ostatnim razem. Kiedyś widział w domu zdjęcie z tego hotelu jeszcze sprzed wojny. Podobno jego pradziadek tu nocował. To mogła być prawda, ale nie musiała. Tak czy inaczej, miał do tego hotelu szczególnie sentyment.

Lobby było całkowicie zdemastowane. Nie było tu jednej całej płytki podłogowej, jednego całego kawałka boazerii. Cała podłoga tonęła w gruzie, wszechobecnym pyłe, zwierzęcych kłakach i pordzewiałych, rozpadających się łuskach, których liczba świadczyła o zaciętym starciu. Podeszedł do zachowanego fragmentu lady i udał, że stuka w dzwonek.

– Przepraszam, czy mają państwo wolne pokoje? – powiedział na głos. – Interesowałby mnie wysoki standard i ładny widok.

Wyimaginowany portier nic nie odpowiedział, a Timur nie lubił rozmawiać z gburami, więc ruszył znajomą drogą na prawo od wejścia. Obie windy były oczywiście nieczynne od dziesięcioleci, ale schody wciąż zachowały swoją dawną funkcjonalność. Ruszył w górę, choć z obciążeniem, jakie miał na plecach, starczyło mu sił jedynie na siedem pięter. Potem odpoczął i podeszedł jeszcze dwa.

Wybrał na chybił trafił otwarty pokój, zostawił w nim rzeczy, oprócz broni, i ruszył na spacer po hotelu. Budynek był ogromny, kilkanaście pięter, setki pokoi, siłownia, basen, kiedyś musiało być tu naprawdę komfortowo. Teraz jednak trudno było uznać to miejsce za przyjazne. Wszędzie pajęczyny, kości, sterty śmieci, które czas już dawno pozbawił kształtu.

Bez bagażu łatwiej było się wspinać i Timur doszedł na ostatnie piętro. Ruszył korytarzem i odruchowo szarpał za klamki drzwi, obok których przechodził. Większość była zamknięta, ale w końcu trafił na otwarte.

Ledwo wszedł do pokoju, owiał go zimny podmuch. Pomimo wczesnego lata aż zadrżał. Całe okno wychodzące na zniewalającą

panoramę miasta było wybite. Na podłodze nie było odłamków szkła. Może wybito je od wewnątrz, a może wiatr wywiał ślady? Na wielkim łóżku, takim samym, jak w pokoju zajęтым przez Timura, leżał człowiek, a raczej to, co z niego zostało.

Szkielet był niemal zupełnie biały i tylko wyblakła plama na brudnoszarym materacu przypominała o ciele, które rozkładało się tutaj przez dekady. Ułożenie kości było dziwne, jakby ktoś związał ich właścicielowi ręce za plecami. Do kostki przypięte były kajdanki, ich druga obręcz zaciskała się na rączce plastikowego neseseru. Był zamknięty, ale kilka minut manipulacji nożem wystarczyło, żeby mechanizm rozpadł się na kawałki. W środku były paczki gładkich jak nowe banknotów, spiętych gumkami, jeśli wierzyć napisom, kanadyjskich i amerykańskich dolarów. Obejrzał je dobrze, chciał wziąć ze sobą choćby paczkę. Oddać do muzeum po powrocie. Uznał jednak, że i tak ma dość ciężaru do noszenia.

Wejście na dach było otwarte. Skorzystał z okazji i siadł blisko krawędzi. Przed nim rozciągał się widok na ocean, a w zasadzie na zatokę, góry, lasy i opuszczoną metropolię. Siedział tak dłuższy czas. Żałował, że nie miał lunety do karabinu. Mógłby lepiej się przyjrzeć zwierzętom, które chodziły po ulicach. Był niemal pewien, że widział niedźwiedzie i łosie. Kiedy już zbierał się do zejścia, gdzieś daleko huknął wystrzał i tuż po nim drugi, trochę inny. To przypomniało mu, że zniszczone wojną Vancouver jedynie udaje ciche i bezpieczne miejsce.

Dotarł do pokoju i zajął się rozpalaniem ogniska. Nie brakowało tu mebli wyschniętych na wiór. Nie musiał nawet używać podpałki. Wystarczyło krzesiwo i pierzaste patyki zrobione z nogi od stołka. Rybę najchętniej by uwędził, ale nie miał na to czasu. Zamiast tego powiesił ją na żyłce tak, żeby się upiekła. Samo ognisko rozpałił na gołej wylewce przy windach, pod wybitym oknem.

Noc spędził w hotelowym łóżku. Stara pościel nie pachniała przyjemnie, ale i tak było całkiem wygodnie. Próbował układać w głowie plan dalszej podróży, ale jakoś tak wychodziło, że ciągle myślał o Basanti wychodzącej spod prysznica.

Obudziły go promienie wschodzącego słońca. Zjadł kawałek ryby. Nieduży, ot tyle, żeby odegnać głód. Szybko się spakował i opuścił hotel.

Przez miasto szedł nieśmiało, wzdłuż ścian, by cały czas mieć jeden bok zasłonięty. Z pewną obawą patrzył w okna. Zdawało mu się, że w każdym z nich widzi twarze albo lufy. Choć sobie tego nie uświadamiał, strzały, które słyszał z dachu, poważnie go nastraszyły.

Dość szybko opuścił śródmieście, przechodząc mostem obok starego stadionu drużyny Vancouver Whitecaps. Bardzo się cieszył, że zabudowa staje się niższa i luźniejsza. Czuł, że powoli wariuje, wgapiając się w te wszystkie okna. Setki ziejących otworów strzelniczych, z których każdy mógł kryć niemiłą niespodziankę w ulubionym przez Amerykanów kalibrze .45 ACP.

Tego dnia dotarł do rzeki Fraser. Wędrówka ciągnęła się w nieskończoność. Po obu stronach drogi mijał rzędy identycznych budynków. Jedna za drugą, za plecami znikały śmieszne budki z dykty, które kiedyś pełniły funkcję domów. Wiele z nich miało zapadnięte dachy, a niektóre całkiem się zawaliły. Timur minął kilka miejsc, w których musiały wybuchnąć spore pożary. Gdzieś widział ślady prawdziwych bitew. Na podjeździe jednego z domów stał wojskowy samochód terenowy. Z górnego wjazdu wystawał śnieżnobiały szkielet, opierający się na potężnym działku. Dom naprzeciwko pojazdu praktycznie nie istniał. Timur wyobraził sobie, co półcalowe pociski mogły zrobić z tak wątłą konstrukcją. Dziwiło go tylko, że przez te wszystkie lata nikt nie pokusił się o kradzież tej strasznej broni.

Wspomnienia z piekła

Ludzie zawsze chcieli uogólniać, katalogować. Jeśli jakieś miejsce nazywa się na przykład Ameryką, to powinno być amerykańskie i to w całości. Jeszcze na początku XXI wieku i wcześniej wielu ludzi, którzy nigdy tam nie byli, mieli tendencję do patrzenia na Amerykę jak na monolit, a to błąd. Ten ogromny kontynent mieści w sobie lasy wielkości europejskich krajów, pustynie, metropolie, tropiki i tundrę. Po wojnie atomowej nic się nie zmieniło, ani Ameryka, ani to, w jaki sposób ją postrzegamy.

Ja sam wpadłem w te sidła. Wiedziałem, że zachodnia część strefy jest znacznie

mniej cywilizowana niż wschodnia. Więcej przestrzeni, mniej ludzi, a mimo to spodziewałem się tutaj zastać coś podobnego do tego, co widziałem na wschodzie. Karawany, wędrowców, jakieś zamieszkałe domy, w których ludzie starają się przetrwać.

Idąc najpierw przez Vancouver, a potem przez przedmieścia, nie spotkałem ani nawet nie widziałem ludzi. Nic nie wskazywało na to, że byłby tutaj choć jeden człowiek. Zacząłem się zastanawiać, czy ktoś w ogóle mieszka na zachodnim wybrzeżu kontynentu i czy moja wyprawa ma jakikolwiek sens.

Kiedy zaczęło się ściemniać, Timur postanowił wybrać miejsce na nocleg. Nie miał z tym szczególnych problemów. Wokół niego rozciągał się ocean domów. Wiele z nich było doszczętnie zrujnowanych, ale nie brakowało także nietkniętych. Niektóre miały nawet drzwi zamknięte na klucz. Wybrał jeden z nich, spory narożny budynek z nieregularnym dachem. Z zewnątrz widział niewielkie okienko na piętrze, które mogło stać się świetnym punktem obserwacyjnym.

Drzwi były zamknięte, ale zamek poddał się jego delikatnej perswazji. Trafił od razu do obszernego salonu, na środku którego leżał na kanapie szkielet z rewolwerem obok dłoni. Timur minął go i wszedł po schodach na piętro. Nawet nie próbował przeszukiwać kuchni. Nic, co mogłoby mu się przydać, nie mogło przetrwać tych wszystkich lat.

Na górze odnalazł okienko, które widział z zewnątrz. Zabrał materac z łóżka. W duchu dziękował Bogu za tworzywa sztuczne. Gdyby ten materac uszyto z naturalnych włókien, już dawno by zgnił, a tak – proszę. Śmierdziało, ale było miękkie.

O zmroku jadł rybę i wyglądał przez okienko. Bardziej z nudów niż z ostrożności. Kiedy obgryzał głowę, zobaczył człowieka idącego ulicą. W ręce miał jakąś broń. Timur podniósł karabin i wycelował w nieznanego w taki sposób, żeby nawet kawałek lufy nie wystawał przez okno.

Najgorsza była niepewność. Ten człowiek mógł być ojcem szukającym jedzenia dla dzieci albo psychopatą zwyrodnialcem, który wbije nóż w plecy i usmaży mózg, chichocząc jak mała dziewczynka. W zakazanej strefie, jak Timur miał już okazję się przekonać, tych drugich było niemal dokładnie tyle samo, co tych pierwszych.

Mężczyzna miał na sobie brzydką kurtkę uszytą z kawałków różnych tkanin i skór. Broń w jego dłoni okazała się krótką siekierą

z metalowym trzonkiem i gumowym chwytem. Chodził od krzaka do krzaka i czegoś szukał. Raczej nie ludzi, bo tam, gdzie zaglądał, i tak by się nie zmieścili. Już miał zniknąć z pola widzenia, gdy faktycznie coś znalazł. Timur nie mógł dojrzeć, co to było: mysz, szczur czy może wiewiórka. W każdym razie mężczyzna odłożył na chwilę narzędzie, wyciągnął zwierzę z wnyków, schował je do kieszeni i poszedł dalej.

Wyglądało na to, że ktoś jednak mieszkał w tej okolicy, przynajmniej chwilowo. Timur nie miał pewności, czy mężczyzna rzeczywiście go nie zauważył, a to oznaczało noc spędzoną na czuwaniu.

Człowiek zapomniał, co to znaczy noc, czym była dla naszych przodków i czemu się jej bali. Czemu wyobraźnia kazała ludziom dostrzegać w mroku upiory zmarłych. W miastach, zwłaszcza tych dużych, udało się odepchnąć noc w górę, trzymać ją kilka metrów ponad głowami i wierzyć, że już jej nie ma.

Drugi nocleg w strefie był już mniej komfortowy. Poprzedni spędził pod prawdziwą, choć starą kołdrą w opuszczonym mieście. Teraz miał jedynie własne ubrania i urwane drzwi, oddzielające go od zewnętrznego świata, w którym jacyś ludzie wędrowali, polowali i starali się przetrwać. Pomyślał, że wolałby obudzić się w Chinach.

Rano dojadł rybę i ruszył w dalszą drogę. Trochę bał się spotkania z ludźmi. Wiedział, że i tak go nie uniknie, ale nie był jeszcze gotowy.

Cały dzień parł do przodu. Mijał kolejne domki, stare supermarkety, stacje benzynowe, szkoły, a nawet pole golfowe, którego nigdy by nie rozpoznał, gdyby nie widział go wcześniej na zdjęciach satelitarnych. Miał sporo szczęścia. Jedyнным zagrożeniem, na jakie się natknął po drodze, był samotny baribal. Czarny jak smoła i wielki jak samochód. Timur po prostu stanął i spokojnie, nie wykonując niepotrzebnych ruchów, poczekał, aż niedźwiedź zniknie na jakimś starym podwórku.

Tuż przed Langley zrobił postój, żeby wejść do starego sklepu. Półki były pełne całkiem nieźle zachowanych opakowań. Trzylitrowe plastikowe butelki z mlekiem wyglądały, jakby wyprodukowano je wczoraj, ale nie odważył się ich otwierać. Aluminiowe puszki z piwem i colą też wyglądały nieźle. Nigdy nie pił coli. Bardzo chętnie by spróbował, ale wątpił, żeby po siedemdziesięciu latach mogła wciąż smakować równie dobrze, co dawniej. Po pewnym zastanowieniu doszedł do wniosku, że jedyne, co mogło przetrwać w stanie zdatnym do spożycia, to alkohol. Niestety na to samo musieli wpaść miejscowi

pokolenia temu. Na miejscu nie została nawet jedna butelka. Mimo wszystko zabrał jedno mleko. Cofnął się do rzeczki, która przepływała przez pole golfowe, dokładnie wypłukał naczynie, zatykając nos i napełnił je wodą.

Timur uznał, że w Vancouver zobaczył już dość i skierował się ulicami na południowy zachód, w kierunku wybrzeża i drogi numer 99 wiodącej ku granicy.

*

To, co zawsze fascynowało Timura w strefach, to ludzka pomysłowość, która pozwalała wykorzystać najbardziej niezwykle przedmioty w najbardziej niespodziewanych celach. Szałas na poboczu zbudowany był z cylindra transportowego po starej rakiecie międzykontynentalnej. Korpus pocisku stał pionowo, kłując niebo ostrym szpicem. U dołu, przy ziemi, widać było drzwi. Nie miały zawiasów, stały oparte o ściankę, ale bez wątpienia były to drzwi wejściowe. Wyżej wycięte było okno, sprawiając wrażenie pięttra. W Denikinie obudziła się ciekawość reportera. Bardzo chciał wejść do środka i poznać historię tego miejsca, zatartą przez czas legendę, w której fikcja miesza się z okruciami prawdy, tworząc kartę ustnych wspomnień zakazanej strefy.

Obok domku, jak przy każdej ludzkiej siedzibie w Północnej Ameryce, znajdowało się niewielkie poletko dzikiej kukurydzy. Na „podwórku” walały się stare plastikowe i drewniane wiadra, przedwojenne butelki po coca-coli, zniszczone, prymitywne narzędzia i trochę resztek jedzenia. Niedużo, bo tutaj zjadano nawet liście, łodygi i chrząstki, a to, czego ludzie nie mogli pogryźć, szybko padało łupem zwierząt. Uprawa kukurydzy przy metalowym szałasie była w opłakanym stanie, zaniedbana i niepodlewana od dawna.

Timur zapukał do drewnianych drzwi. Nie nastąpiła żadna reakcja, ale ze środka dało się słyszeć szum, jakby pracowała wewnątrz jakaś stara maszyna. Było to na tyle intrygujące, że Timur postanowił zignorować kurtuazję, przesunął drzwi i wszedł do wewnątrz.

W pierwszym momencie poczuł rozczarowanie, że szałas jest po prostu spichrzem. Wszędzie wokół, wprost na ziemi, leżały sterty zeschniętych kukurydzianych kolb. Był głodny, więc wziął jedną

i spróbował zjeść. Była sucha i twarda. Gryząc z trudem, rozglądał się po izbie. W kącie zauważył wykopany w gliniastej ziemi dół, na dnie którego wciąż było trochę mętnej wody. Nadal słyszał szum, choć nie widział żadnego urządzenia. Nie było też schodów, jak się początkowo spodziewał. Dopiero kiedy podniósł głowę, zobaczył, że w suficie jest dziura. Na piętrze widać było drabinę wciągniętą na górę. To stamtąd musiał dochodzić szum. Nie było innej możliwości.

Otwór w suficie był jakies półtora metra nad jego głową. Próbował podskoczyć i złapać się krawędzi, ale nie dał rady. Musiał wyjść na zewnątrz i poszukać czegoś, co pomogłoby mu się dostać na górę. Nawet kilka metrów od domku słyszał ten szum. Do szaleństwa doprowadzały go próby odgadnięcia, co może wydawać z siebie taki dziwny, mechaniczny, jednostajny hałas. W końcu znalazł długi, rozdwojony kij. Krótszą gałąź odłamał, tak że zostało coś w rodzaju bosaka z hakiem na końcu. Ściągnął nim drabinę, która spadła na ziemię z trzaskiem.

Wspiął się na górę, wciągnął drabinę i zobaczył zupełnie puste pomieszczenie z podłogą z elementów metalowego rusztowania budowlanego, przykrytych sianem. Przy ścianie leżał człowiek. Nie był bardzo stary, mógł mieć trzydzieści czy czterdzieści lat, ale jego twarz była brzydko zapadnięta, policzki wklęsłe, żuchwa opuszczona nisko, a z gardła wydobywał się szum. Timur nigdy wcześniej nie podejrzewał, że ludzki oddech może brzmieć tak mechanicznie, sztucznie, sucho. Naprawdę trudno było znaleźć odpowiednie słowo, które opisałoby ten nieludzki dźwięk.

Mężczyzna miał zamknięte oczy. Czuć było od niego potem, chorobą i moczem, ale zapach nie był bardzo dokuczliwy, pokrywające podłogę siano pachniało bardziej intensywnie. Timur siadł tuż obok konającego. Nalał mu do otwartych ust kilka kropel wody, ale wszystko wyciekło na szyję. Oparł głowę o ścianę i zaczął gryźć twardą kolbę kukurydzy. Chwilami szumiący oddech wtapiał się w odgłosy otoczenia i stawał się równie niesłyszalny, jak dźwięki wiatru czy ptaków.

Kiedy zapadł zmierzch, Denikin chwycił błędzącą w powietrzu dłoń i ścisnął mocno. Leżący na sianie mężczyzna otworzył oczy, ale jego wzrok był nieobecny i zamglony, Timur był niemal pewien, że za tym odruchem nie krył się najmniejszy nawet przeblysk świadomości.

Zasnęli, trzymając się za ręce. Timur budził się kilka razy i nerwowo nasłuchiwał, żeby spośród nielicznych dźwięków nocy wyłowić szum oddechu. Nie było to wcale takie proste. Musiał się najpierw skupić, przypomnieć sobie rytm i brzmienie, a dopiero potem mógł „odnaleźć” oddech konającego.

Ostatni raz rozbudził się już nad ranem, przez okno wpadały pierwsze promienie słońca. Leżąc, wsłuchał się w oddech swojego gospodarza. Uniósł się na posłaniu i spojrzął w jego stronę. W tym momencie szum ustał. Twarz zmarłego właśnie mężczyzny rozluźniła się i rozciągnęła, a Timur odczuł ulgę.

Nigdzie w pobliżu nie było łopaty. Denikin wyciągnął drewnianą drabinę na zewnątrz, połamał i spalił. Piętro tego niecodziennego domu miało służyć swojemu gospodarzowi także jako grobowiec.

*

Jeśli jego obliczenia były właściwe, przeszedł już jakieś pięćdziesiąt kilometrów. Dotarł do amerykańsko-kanadyjskiej granicy i tutaj po raz pierwszy zrozumiał, że historia o amerykańskich próbach wtargnięcia do Kanady to nie bajka dla dzieci.

Mimo porastających teren krzaków widać było leje po eksplozjach. Dwa zniszczone czołgi stały naprzeciwko siebie. Jeden z nich miał dziurę z boku i urwaną wieżę, drugi – zerwaną gąsienicę i był cały osmalony. Denikin zajrzał do środka i zobaczył szkielety siedzące wciąż na swoich dawnych stanowiskach. Obszedł to dawne, nieuprzątnięte pobojowisko zasypane warstwą nawianej ziemi. Od czasu do czasu jego stopy trafiały na coś twardego. W końcu rozgarnął ziemię butem w kilku miejscach i wszędzie trafił na ludzkie kości, tu żuchwa, tam żebro...

Było już późne popołudnie i Timur zdecydował, że przenocuje właśnie tutaj. Bezceremonialnie usunął wszystkie kości z kanadyjskiego czołgu i rozłożył się w nim z rzeczami. Uznał, że to bezpieczna kryjówka, że nikt nie będzie szukał ludzi w siedemdziesięcioletnim pojeździe.

Chciał jeszcze rozejrzeć się po okolicy przed zmiernem, ale kiedy już usiadł, nie mógł wstać. Nogi bolały go niemiłosiernie, a plecy po prostu odmawiały posłuszeństwa. Miał w planie poszukać czegoś do

jedzenia, jagód, korzeni, czegokolwiek. Zamiast tego przeżuł dwie kostki białka i zasnął. Spał jak zabity i gdy obudził się rano, zdziwiło go, że można tak dobrze wyspać się w czołgu.

Wspomnienia z piekła

To nie był mój pierwszy kontakt z techniką wojskową, ale po raz pierwszy zdarzyło mi się spać w czymś takim. Przez dziesięciolecia zapach ludzkich ciał musiał wywietrzeć. I tak go czułem albo jedynie sobie to wyobrażałem, ale z taką siłą, że naprawdę czułem w nozdrzach zgniliznę.

To, z czego wykonano obicia foteli, już dawno uległo rozkładowi, jednak większość pokładowych urządzeń wykonano z metalu, a ten nie poddaje się tak łatwo. Ostre krawędzie pordzewiałej stali sterczały z każdej strony, grożąc głębokimi skaleczeniami i nieprzyjemnym zakażeniem. Gdybym się tutaj, dajmy na to, zranił i wykrwawił, nikt nie znalazłby mnie przez następne setki lat, a jeśli ktoś nawet pokusiłby się o wejście do wnętrza, to z całą pewnością uznałby mnie za jakiegoś miejscowego szabrownika.

Kiedy tak leżałem na rdzewiejącej podłodze, zastanawiałem się, co mnie podkuśiło, żeby tu przyplynać. Byłem bliski płaczu i szczerze postanowiłem następnego dnia ruszyć na wybrzeże i zakończyć to wszystko, zanim będzie zbyt późno.

Następnego dnia, po krótkim marszu, Timur dotarł do miasteczka o nazwie na „B”, tylko ta jedna litera była jeszcze widoczna na podziurawionej jak sito i pordzewiałej tablicy. Ruiny leżały na wybrzeżu, a okolica sprawiała przyjemne wrażenie. Timur postanowił trochę odpocząć. Spędził tutaj całe dwa dni, łowiąc i wędząc łososie.

W centrum miasteczka widział ludzi. Było tu coś w rodzaju osady. Z daleka widział wał ze starych samochodowych karoserii, zapchanych pstrokatymi śmieciami. Na tym prowizorycznym murze stali ludzie. Wyglądali na uzbrojonych. Nie odważył się zbliżyć, tym bardziej, że fortyfikacja nie miała niczego, co wyglądałoby na bramę. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że brak wrót czy innej furty może być rodzajem wiadomości dla nieproszonych gości.

Rozbił obozowisko w domu nad samym oceanem. Przed wojną jego mieszkańcy musieli uważać się za szczęściarzy. Ogródek schodził do

wody łagodnie, tworząc prywatną plażę.

Rano, po drugiej nocy spędzonej spokojnie w pokoju z widokiem na ocean, zbierał się do odejścia, gdy zobaczył, jak kilkunastu mieszkańców dosłownie przenosi fragment barykady, karoseria po karoserii, żeby utworzyć przejazd. Z osady wyjechały dwa wozy zrobione ze starych samochodów z nadwoziem zastąpionym przez platformy z desek. Tworzące skromną karawanę pojazdy były ciągnięte i popychane przez ludzi.

Kiedy pochód odsunął się już od osiedla, Timur ostrożnie zbliżył się do postawnego brodacza, który mógł być tutaj szefem, bo niczego nie niósł, nie pchał ani nie poprawiał na wozach.

– Dokąd jedziecie? – zapytał.

– Nad wodospad, ale nie biorę pasażerów. – Brodacz sprawiał wrażenie lekko rozdrażnionego nagłym pojawieniem się intruza.

– A gdzie to jest?

– Na wschód od Wielkich Ruin. Ale mówię ci, że nie biorę pasażerów.

– Mam czym zapłacić. – Timur wyciągnął na dłoni przygotowany wcześniej nóż. Nowy, prosto ze sklepu. – Poza tym mogę pchać wozy i mam broń.

Brodacz przyjrzał się, chwycił nóż za ostrze. Zważył w dłoni, zmrużył oczy i zapytał:

– Masz tego więcej, chłopcze?

– Nie, to wszystko.

– Gdzie takie robią? W życiu nie widziałem czegoś tak pięknego.

– Jest taki warsztat w Kanadzie... – zaczął Timur.

– Kanada – prychnął brodacz.

– To weźmiecie mnie ze sobą?

– Dajesz kosę?

– Daję.

– To jedziemy! – Naczelną karawany wyciągnął rękę, którą Timur szybko uściskał.

*

Podróż z karawaną nie była zła, ale miała swoje wady. Nikt tu nie ufał Timurowi, a i on nie ufał żadnemu z nich. W nocy spał, dosłownie leżąc na swoich rzeczach. Wolał, żeby nikt nie wiedział, co ze sobą ma.

Na szczęście były też zalety. Szli drogą w czternastoosobowej grupie. Każdy był w ten czy inny sposób uzbrojony. Trzeba było pchać wóz, ale Timur mógł trzymać rzeczy na platformie, więc było nawet lżej niż je nieść. No i przy okazji mógł posłuchać plotek i historii.

– Powiadają, że kilku ludzi wyremontowało starą łódź i popłynęli na zachód. Już nie wrócili. Może znaleźli inny ląd? – zaczął mówić rudy młokos, może siedemnastoletni.

– I tam zdechli z głodu – pewnym głosem powiedział brodac.

– Dlaczego? – zapytał młokos.

– Tam musiało być gorzej jak tutaj – znów nieznoszącym sprzeciwu głosem skomentował naczelny.

– Gdzieś musi być lepiej – nieśmiało dołączył się obszarpaniec idący z Timurem ręka w rękę.

– Kiedy wybuchła wojna, nasz kraj wystrzelił wszystkie swoje głowice – powiedział brodac, który jako jedyny nie pchał ani nie ciągnął. – Mój ojciec mi opowiadał, a jemu dziad.

Przez chwilę wszyscy milczeli i słyhać było jedynie mewy. Milczenie znów przerwał brodac:

– USA, tak się kiedyś nazywało to miejsce, dzieciaki. Stany Zjednoczone Ameryki. Ciągnęły się od Kanady aż po dzisiejszą Republikę Forth Worth. Wtedy byliśmy kimś... – Wszyscy łącznie z Timurem słuchali uważnie i nawet jakby resory ich wozów przycichły. – Nawet jeśli chinole i iwany zniszczyły nasz kraj, na morzach były dziesiątki naszych okrętów po brzegi załadowanych głowicami. Wszystkich wybili.

– A co to są głowice? – zapytał tyczkowaty mężczyzna w wieku Timura.

Wszyscy zaraz zaczęli go uciszać, choć sami nie wiedzieli, ale brodac odpowiedział:

– To coś jak pocisk, tylko potężny i zatruty. Niszczy wszystko wiele mil dookoła i zostawia promieniowanie, takie jak w Wielkich Ruinach.

Timur domyślał się, że Wielkie Ruiny to Seattle. Ciekawiło go jednak wspomnienie promieniowania. Z tego, co wiedział, to miasto oberwało jedynie słabymi głowicami taktycznymi. Sądził, że teren już dawno jest czysty. Choć, kto wie, może strach żyje dłużej niż radioaktywność?

– No dobrze, panienki – krzyknął brodac. – Tutaj przenocujemy. Zbierzcie drewno i wyciągajcie fasolę. Czas coś przekąsić. Woda jest

niedaleko stąd, za tymi drzewami. Timur, weź kanistry i przynieś do kolacji.

Wspomnienia z piekła

Ludzie w strefie nie są tacy jak my. Nazywamy ich ludźmi, ale to inny gatunek, ukształtowany przez promieniowanie, zagrożenie i głód. Większość mieszkańców strefy to różnego typu rasowe mieszanki o stosunkowo ciemnej skórze i względnie europejskich rysach. Wygląd to jednak zdecydowanie nie wszystko, ledwie skromna część tego, co składa się na różnicę.

Głód i zagrożenie, bieda, strach to są czynniki, które w sposób ostateczny niszczą ludzki charakter. To, co widziałem w strefie, każe mi wierzyć, że dla tutejszych ludzi istotni są jedynie oni sami i bardzo zawężony krąg bliskiej rodziny. Kiedy piszę „zawężony”, myślę o dzieciach. Mężczyźni w strefie traktują kobiety jak towar, a kobiety mężczyzn jak pasożyt żywiciela.

Ludzie w karawanie byli tacy sami, niscy, śmierzdzący, z niezdrową skórą, krostami, wykrzywionymi kończynami, naroślami. Ich uszy, oczy i nosy miały dziwne kształty, ciężko to przekazać słowami, były po prostu inne niż nasze. Zachowywali się też inaczej, jedli jak zwierzęta, bili się o wodę, rozmawiali niemal wyłącznie wieczorami. Przybycie na miejsce przyjąłem z wielką ulgą, zupełnie jakby mi pozwolono wyjść z klatki z małpami, w której dwadzieścia cztery godziny na dobę musiałem udawać jedną z nich.

*

Droga nad wodospad trwała pięć dni. Na miejsce trafili późnym wieczorem. Być może Timur dotarłby szybciej sam, ale równie dobrze mógłby nie dojść wcale. Miejsce, do którego zmierzali, było osadą wyrosłą wokół dużego budynku nad rzeką, na której faktycznie grzmiał spory wodospad. Była tu mała elektrownia wodna, która napędzała tartak i kilka innych urządzeń. Brodacz powiedział mi, że produkuje się tu deski, narzędzia, a nawet amunicję. Podobno jest tu nawet kowal, który naprawia starą broń. Naczelny karawany śmiał się, że z trzech starych pistoletów potrafi zrobić jeden nowy.

Brodacz znał się z ludźmi przy bramie, więc nie mieli problemów z wejściem. Potem Timur się odłączył i wynajął kąpiel w jednej z chat. Za dwie noce i dużą suszoną rybę zapłacił trzy naboje.

Osada składała się z dwóch tuzinów domów otoczonych najprawdziwszą palisadą i dużego, wyraźnie przedwojennego budynku, noszącego ślady licznych napraw. Całe to miejsce było z jednej strony przyklejone do starej drogi, a z drugiej do rzeki i urwiska, z którego woda spadała z hukiem.

Dopiero następnego dnia, kiedy Timur się przechadzał po osiedlu, z pewną konsternacją zrozumiał, że zna to miejsce. Nigdy tu oczywiście nie był, ale na pewno to widział. To było przerażające uczucie. Usiadł nad wodospadem i zaczął myśleć. Pierwszą hipotezą były zdjęcia, które przeglądał przed wyprawą. To jednak nie mogło być to. Przez chwilę wydawało mu się, że ten wodospad mu się śnił, a potem zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie spędził tutaj życia w poprzednim wcieleniu.

Po jakichś trzydziestu minutach tęgiej zadumy zrozumiał. Nad tym wodospadem toczyła się akcja serialu z XX wieku, który kiedyś oglądał. Pewnie z dziesięć lat temu, dlatego nie mógł skojarzyć. Wodospad pojawiał się w czołówce, a ten wielki budynek, który teraz był centrum osady, w serialu był hotelem, w którym zatrzymał się agent FBI amerykańskiej policji.

Rozwikławszy tę fascynującą zagadkę, postanowił nawiązać kilka znajomości. Pomyślał, że wszędzie, gdzie są ludzie, musi być rodzaj tawerny, szynku czy innej restauracji. Nie pomylił się. Na parterze głównego budynku, który Timur w myślach zaczął nazywać Great Northern, faktycznie znalazła się sala ze stolikami i krzesłami. Meble były bardzo proste, ale stosunkowo nowe. Musieli je zrobić miejscowi z tutejszego drewna. Na podłogach leżały skóry, a całość była oświetlona świecami. Timur skonstatował ze zdziwieniem, że nie ma ani jednego klienta. Widocznie było jeszcze zbyt wcześnie. Dojrzał jedynie chudą jak śmierć i łysą kobietę po dwudziestce. Jej wygląd kompletnie nie pasował do określenia „dziewczyna”. Stała za ladą i patroszyła ryby.

Nie zastanawiając się, podszedł do szynkwasu i siadł na wysokim zydlu. W zasadzie był to normalny bar ze stołkami, ale te słowa zdecydowanie bardziej pasowały Timurowi do tutejszego wystroju.

– Napijecie się czegoś? – zapytała kobieta, nie podnosząc wzroku znad ryb.

– A co macie? – zapytał.

W tym momencie dotarło do niej, że Timur nie jest miejscowym i można mu poświęcić nieco więcej uwagi.

– Mamy whisky z wodą, bez wody albo samą wodę. Dobrą. Filtrowaną.

Nie dlatego, że wątpił w ich metody filtrowania wody, ale wybrał koktajl. Przez chwilę nie mógł się zdecydować, czym ma zapłacić. W końcu dał żółtą plastikową zapalniczkę. Kobieta sprawdziła, czy działa, i zadowolona wróciła do patroszenia ryb.

– Jak wam się tu żyje? – zapytał, przechylając kubek do ust.

– Jak wszędzie – odpowiedziała, rzucając krwawiącą rybią głowę do wiadra.

– Słyszałem, że macie dobrego rusznikarza – upił łyk i od razu zrozumiał, że miejscowi używają nazwy „whisky” tylko i wyłącznie z przyzwyczajenia.

– Kogo mamy?

– Specja od broni.

– Tak, ano tak. Jest dobry, a co? Popsułeś sobie coś?

– Tak pytam. Nudzi mi się. Idę z daleka i nie znam tego miejsca.

– A skąd dokładnie – ożywiła się trochę.

– Z Kanady, z osady nad wielką rzeką – skłamał, mając całkowitą pewność, że mu uwierzy.

– Nigdy tam nie byłem. Macie tam prąd?

– Kiedyś mieliśmy.

– Czemu odszedłeś – zapytała, odkładając nóż i stając przy barze naprzeciw niego. Gdyby nie brak włosów i brwi i złamany nos, który zauważył dopiero teraz, mogłaby nawet uchodzić za atrakcyjną.

– Nie chcę o tym rozmawiać. Czemu nie masz włosów?

– Nie wiem, nigdy nie miałam – powiedziała i straciła zainteresowanie. Wróciła do oprawiania ryb. Wyglądała na urażoną.

Dopił swojego „drinka”, podziękował i wyszedł. Nie bardzo wiedział, dokąd iść. Chodził więc bez celu i zobaczył kilku mężczyzn, którzy kopali szeroki prostokątny dół, może na jakiś wkopany w ziemię spichlerz? Na brzegu wykopu leżały trzy wolne łopaty. Chwycił jedną, wskoczył do dołu i bez słowa zaczął kopać. Pozostali spojrzeli na niego z umiarkowanym zainteresowaniem, nie przerywając pracy.

Kopał, co jakiś czas sprawdzając, czy ukryta za lusterkiem kamera jest na swoim miejscu. Pracę przerwano, gdy przyszedł podrostek

z posiłkiem. W drewnianej rynience przyniósł pieczone ryby. Jeden z kopaczy gestem zaprosił Timura do jedzenia, ale ani w trakcie posiłku, ani kopania nikt się nie odzywał. Pod wieczór wszyscy zostawili narzędzia i po prostu poszli w swoje strony, więc także Timur wrócił na kwatere.

Nocował w chacie, w której mieszkały dwie rodziny. Każda miała jedną stronę względnie dużej izby. Podłoga była wyłożona grubymi deskami, ale niecała. Na środku pomieszczenia, w okrągłym wycięciu stało palenisko, wyglądające trochę jak wysoka na metr cembrowina studni ułożona z kamieni. Na dnie płonęły kawałki drewna, a od góry całość była zamykana drewnianą klapą na zawiasach. Teraz kłapa była otwarta, a dym uciekał pod sufit, gdzie po bokach zostawiono specjalne otwory. Kamienna cembrowina dobrze trzymała ciepło i siedząc przy niej, można się było szybko ugrzać.

Timur miał zamiar spędzić noc w rogu izby, na skrawkach przedwojennego polaru luźno wrzuconych do czegoś w rodzaju skrzynki bez dna, położonej na klepisku. Ciągłe zadziwiała go pomysłowość mieszkańców strefy.

Po zapadnięciu zmroku mieszkańcy domu zebrali się przy ogniu. Gospodarz, z którym negocjował wynajem, zaprosił go do kręgu. Poprzedniego dnia padł od razu zmęczony drogą, ale teraz wyraźnie oczekiwali jego opowieści. Wokół ognia siedzieli dwaj mężczyźni, niezwykle do siebie podobni, ich kobiety, obie ciężarne, i gromada dzieciaków zwarta w kotłujący się organizm, z którego wystawały jedynie łokcie i kolana.

Postanowił uniknąć opowieści o wymyślonej osadzie nad wielką rzeką i zaczął opisywać Vancouver. Nie był gotowy na reakcję, jaką ta opowieść wywołała. Miasto było ledwie kilka dni drogi stąd, ale nikt nigdy tam nie był i nikt mu tak naprawdę nie wierzył w domy ze stali i szkła wysokie na setki stóp. Zwłaszcza, że szkło widywali tu jedynie w formie potłuczonych kawałków, którymi można było najwyżej coś przebić lub przeciąć.

Kiedy skończył, poprosił, żeby mu opowiedzieli o Wielkich Ruinach.

- Tam jest aktywność radiowa - powiedziała kobieta gospodarza.
- Radionadaktywność, głupia - poprawił gospodarz. - Nie wolno tam chodzić. Ci, którzy tam byli, umierają w męczarniach.
- Nasz dziadek tam był - powiedział może trzynastoletni dzieciak,

siedzący naprzeciw Timura. – Po latach na twarzy wyrosła mu skorupa, a kiedy umierał, krzyczał i się wił.

– Nikt tam nie mieszka? – zapytał Timur.

– Różnie gadają. Że siedzą tam ludzie z pyskami wilków i kobiety bez rąk. A kiedyś mówili, że tam mieszkają ludzie w dostatku jak przed wojną i zabijają każdego, który ośmieli się podejść. Mają broń sprzed wojny i są zazdrośni.

– Tak – powiedział drugi mężczyzna, najwyraźniej brat gospodarza. – Znałem takiego jednego. Wrócił z Ruin i opowiadał, że kręcą się tam ludzie w twardych czapkach i z karabinami. Mają elektryczne światła w rękach i rozmawiają na odległość.

– Bajki pleciesz – uciszyła go jego kobieta. – To był jakiś włóczęga. Nawalił się i gadał od rzeczy. Zresztą ty jeden go słuchałeś.

– Nie tylko, spytaj Jona, pomocnika kowala. On potwierdzi.

– Za kubek whisky potwierdzi nawet, że jest dojną krową – skwitowała.

– A byłeś na wschodzie? – zapytała żona gospodarza, zwracając się w stronę Timura, który się zmieszał i burknął:

– Nie, tylko na północy.

– Powiadają – wtrącił się gospodarz – że tam tysiącami mil ciągnie się pustkowia, do samego skraju ziemi. I tam mieszka plemię martwych ludzi, którzy jedzą siebie nawzajem.

– Dobrze, dzieci, czas spać! – rozgoniła towarzystwo gospodyni, patrząc na męża z naganą.

Ten ostatni mruknął tylko: „Tak słyszałem”, kiedy napotkał wzrok żony i poszedł sprawdzić, czy ich jedyna świnia ma wodę.

Zasypiając, Timur usłyszał dziwne odgłosy, trochę jakby do domu dostał się szop i zaczął przetrząsać rzeczy, ciężko dysząc. Dopiero po chwili zrozumiał, że to brat gospodarza zajmuje się żoną czy kim ona tam dla niego była.

Rano Denikin zbierał się już powoli do drogi. Sprawdzał, czy cały sprzęt jest w odpowiednim miejscu. Poprawiał paski, na których niósł swoją lodówkę-plecak i przecierał broń względnie czystą szmatką. Siedział przed domem i przyglądał się wielkiej furcie broniącej wejścia do osady. W pewnym momencie wartownicy na podeście zaczęli krzyzczeć i kilka minut później otwarli wrota grupce ludzi, ubłoconych i brudnych. Do ubrań kleiły im się liście i gałęzie. Na kilku z nich były

wyraźne ślady krwi. Czterech niosło dzika przywiązanego starym kablem do żerdzi, a kolejnych dwóch – całkiem bezwładne ludzkie ciało.

Oba trupy, dzika i człowieka, rzucili na kawałek udeptanej ziemi pomiędzy chatami. Przed zgromadzonych wokół ludzi wybiegła długowłosa kobieta trzymająca na ręku małe dziecko. Wyjąc, dopadła zwłok i zaczęła bić czołem w zimną pierś mężczyzny. Jeden z myśliwych, z maczetą w skórzanej pochwie przy pasie, podszedł do niej i szybkim, bezceremonialnym szarpnięciem postawił ją do pionu. Kobieta próbowała się wyrwać, ale myśliwy uderzył ją otwartą dłonią, aż się zatoczyła, i pociągnął w stronę chat.

Timur spojrział na placyk, na którym trójka łowców zaczęła już rozdzielać mięso z dzika i z leżącego obok mężczyzny. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Zamiast tego upewnił się tylko, czy kamera jest zwrócona w odpowiednią stronę.

W gwarze tłumy ustawiającego się w kolejkę po mięso Timur usłyszał żałosny krzyk wdowy. Jego gospodarz, którego Denikin nie zauważył przez całe to zamieszanie, powiedział tylko: „I po co baba się drze? Tylko dzieciaki straszy” i poszedł w stronę formującej się kolejki.

*

Timur musiał iść na zachód, by wrócić na starą drogę międzystanową numer 5, która wiała się równolegle do wybrzeża oceanu i prowadziła aż do Sacramento, tuż obok San Francisco. Od miejscowych w osadzie dowiedział się, że po drodze będzie musiał przejść dwanaście mil przez górski las. Ludzie mieszkający nad wodospadem zapuszczali się w te strony może raz na rok, tak mu powiedzieli. Nie wiedzieli, co można tam spotkać: niedźwiedzie, ludzi, wilki?

Dawno temu była to całkiem przyzwoita, czteropasmowa droga z wąskim pasem trawnika i barierką pośrodku. Teraz niska trawa rosła na całej szerokości asfaltowej wstęgi, a na jej skrajach nawierzchnia była wystarczająco spękana, żeby drzewa mogły zapuścić korzenie. Wodę wziął z osady. Jedzenia nie kupował. Upolował jakiegoś ptaka i wieczorem upiekł nad ogniskiem. Mięso było takie sobie, nawet nie próbowało smakować jak kurczak, czego Timur bardzo żałował.

Noc musiał spędzić w krzakach. Nie chciał spać na środku drogi,

żeby nie być przesadnie widocznym, ani w lesie, bo na sam widok nieprzeniknionej ciemności robiło mu się chłodno. Tak czy inaczej, pół nocy nasłuchiwał i nerwowo macał rewolwer. Rano obudził się z bolącą głową i, co było wyjątkowo przykre, z pierwszymi objawami nieuniknionej w zakazanej strefie biegunki.

Wspomnienia z piekła

Jelita zawsze stanowią problem w strefach, pełno tutaj bakterii, do których nasze cywilizowane, delikatne systemy pokarmowe nie są przyzwyczajone. Wcześniej nie bywałem tu jednak tak długo i choroba dopadała mnie zazwyczaj już w cywilizacji, gdzie mogłem po prostu podskoczyć do apteki, kupić coś antybakteryjnego i zastrzyk z kulturami bakterii. Teraz musiałem po prostu przetrwać.

W filmach o zombie z początków XXI wieku ludzie nigdy nie musieli iść za potrzebą, żadnego z bohaterów żywy trup nie dopadł z opuszczonymi spodniami, a to dość dziwne, choćby dlatego, że to właśnie podczas oddawania matce naturze tego, co do niej należy, jesteśmy najbardziej narażeni. Słysząc nas z daleka, czuć z drugiego stanu, a nasze blade cztery litery świecą między liśćmi jak latarnia. Za każdym razem miałem wrażenie, że ktoś właśnie w nie celuje, co pogarszało i tak niezbyt wesołą sytuację.

Dość szybko minął porośnięte lasami góry. Spękana wstęga asfaltu wiodła teraz przez równinę. Po obu stronach drogi rosły niewysokie krzaki, kępy traw i gdzieniegdzie drzewa. Powłóczył nogami, usiłując pokonać piekielny ból palących wnętrzności. Wszystko pomiędzy zębami a miednicą bolało go zupełnie tak, jakby drużyna harcerzy rozpałała tam ognisko. To byłoby może jeszcze do wytrzymania, gdyby nie konieczność biegania w krzaki co piętnaście minut. Sam się dziwił, skąd się w nim tyle tego wzięło. Mimo wszystko ciągle, rutynowo wręcz, zbierał suchą trawę, urywał mokre końcówki, zwijał w kulkę i wsuwał do kieszeni do wysuszenia. Łamał też cienkie gałęzie iglaków i upychał, gdzie się dało. Wciąż szedł i miał nadzieję, że ludzie od montażu nie naśmiewają się z niego gdzieś tam w Szanghaju, który wydawał się bardziej odległy niż księżyc i mniej realny niż kreskówki dla dwunastolatków. Około południa znów go dopadło. Oparł się o drzewo z opuszczonymi spodniami i starał się utrzymać wątrobę

wewnątrz siebie, kiedy usłyszał szorstki, pewny siebie głos: „Trafię go prosto w łeb, nawet nie skończy srać”.

Nie było czasu się zastanawiać, choć było nad czym. Kim był mówiący, ilu ich było, jakim cudem ich usłyszał z takiej odległości? Przewrócił się na bok i odturlał kilka kroków. Daleki huk wystrzału i bliski wizg kuli sprawiły, że cały się w sobie skurczył. To, że ubrudził sobie spodnie, w tej chwili interesowało go najmniej.

Karabin został koło drzewa i plecaka, ale w kaburze przy opuszczonych spodniach wciąż tkwił rewolwer z długą lufą. Leżąc na brzuchu na warstwie suchych liści, penetrował wzrokiem miejsce, skąd słyszał strzały, choć trudno było cokolwiek zobaczyć, nie wystawiając głowy. Na leżąc zaplął spodnie i powoli wstał, próbując ukryć się za drzewem. Kiedy się wychylił, usłyszał kolejny strzał i poczuł ostry ból, zupełnie jakby eksplodowała mu głowa. Schował się szybko, ale zdążył zauważyć dwóch ludzi, jakieś pięćdziesiąt metrów od niego, kryjących się w kępie zielska. Wycelował i opróżnił magazynek, licząc na to, że przestraszy napastników i będzie miał chwilę, by sięgnąć po karabin. Serce waliło mu jak młot.

Czołgając się, dopadł swojej M21-nki i schował się za turystyczną lodówką. Krzaki, w których kryli się tamci, widział całkiem nieźle. Czekał.

Minęło może pięć minut, a może piętnaście. Dotknął ucha, które coraz bardziej go bolało. Było rozerwane na strzępy, praktycznie nie było go wcale. Dłoń miał we krwi, a wnętrze wciąż nie dawały o sobie zapomnieć. Nie wytrzymał, wystrzelił trzy razy w krzaki, jednak nic się nie wydarzyło. W końcu wstał i ruszył przed siebie, cały czas mierząc w stronę, z której spodziewał się ataku. W zaroślach leżały dwa ciała. Jedno z nich miało ogromną dziurę w twarzy, drugie w szyi. Wydawało mu się, że widział tych ludzi w osadzie nad wodospadem, ale tutaj wszyscy wyglądali tak samo. Mieli pecha, ale Timur nie miał głowy, żeby rozważyć prawdopodobieństwo dwóch równie szczęśliwych trafień na ślepo.

Wrócił do swojego bagażu i odnalazł najczystszą szmatkę, jaką miał. Zdjął przez głowę lustro i oparł o pień tak, żeby obiektyw go widział. Oblał ranę odkażającym płynem, który nosił w apteczce, zebrał palcami strzępy ciała, które zostały z jego ucha tak, żeby nie wystawały spod opatrunku, i zawinął szmatę wokół głowy. W końcu po

prostu położył się na ziemi i stracił przytomność.

Obudził się, kiedy było już niemal ciemno. Był na siebie zły, bardzo zły. Leżał bezbronny na ziemi, Bóg jeden wie, ile godzin. Założył lusterko-kamerę, załadował broń i zebrał rzeczy. Mógłby tu przenocować, ale nie miał ochoty. Chciał po drodze obejrzeć zwłoki tych ludzi, znaleźć coś przydatnego, ale, sądząc po odgłosach, coś właśnie jadło ich trupy, a on nie miał zamiaru przeszkadzać.

Wrócił na drogę i po dwóch albo trzech kilometrach trafił na jakiś budynek. Ledwie go zauważył. Niemal cały był zarośnięty. Było bardzo ciemno, ale wydawało mu się, że to stacja benzynowa. Trochę po omacku znalazł otwarte na oścież drzwi. Wszedł do środka, wczołgał się pomiędzy dwa przewrócone regały i wyciągnął zbieraną metodycznie trawę i patyczki. Dwoma niedbałymi ruchami przygotował miejsce pod ognisko. Połamał patyczki i podzielił je na cieńsze, trochę grubsze i najgrubsze, a potem podpalił trawę. Kiedy już zajęło się wszystko, co miał, dorzucił do ognia różne łatwopalne śmieci, które leżały wokół. Ucho wciąż nieprzyjemnie szarpało, ale żołądek, uznawszy chyba niski priorytet swoich problemów, przestał się narzucać. Planował jeszcze przygotować zapas opału na noc i dorzucać co jakiś czas do ognia, ale zamiast tego po prostu odpłynął.

Obudził się w dzień. Całe niebo było w chmurach, więc nie był pewien, gdzie dokładnie jest słońce. Czuł się już lepiej. Bandaż w miejscu, gdzie kiedyś było jego ucho, przesiąkł krwią i zasechł w jeden wielki strup. Postanowił go nie dotykać.



*

Tutejsza roślinność była niezwykle bujna i tworzyła najprawdziwszą zieloną ścianę. Jej szkieletem były wysokie drzewa, pomiędzy które wciskały się krzaki, zielone łodygi z drobnymi haczykowatymi kolcami i młode drzewka. Przy ziemi, na grubej warstwie suchych liści i mchu, rosły pojedyncze żdźbła trawy i całe jej kępy. Całość tworzyła mur tak nieprzebyty, że równie dobrze mogłaby być zrobiona z betonu.

Timur wciąż chyba jeszcze spał, kiedy coś miękkiego znalazło się w jego ustach. Otworzył oczy i zobaczył zezowatą dziewczynę, brzydką jak nieszczęście, która pochylała się nad nim i karmiła go czymś, co

smakowało jak trawa.

– Leży – powiedziała cichym, kojącym głosem.

Nie wiedział dlaczego, ale postanowił jej posłuchać. Posłusznie zjadł wszystko, co mu dała, a potem pozwolił wetrzeć sobie w rozerwane ucho przeżutą roślinną papkę. To bolało, a kiedy już skończyła, piekło, ale oddanie się w ręce kogoś, kto sprawia wrażenie pewnego siebie, było kojące. Największym osiągnięciem cywilizacji jest możliwość oddania swoich problemów w czyjeś ręce.

Kiedy skończyła, pomogła mu wstać i dosłownie weszła w zieloną ścianę w miejscu, w którym Timurowi wydawało się to niemożliwe. Poszedł za nią, z trudem przedzierając się przez zarośla. Początkowo było mu ciężko, żołądek wciąż nie dawał spokoju, a ranne ucho co chwila trafiało na jakąś twardą gałąź. Ostatecznie wnętrzości dały mu spokój, być może dzięki temu, czym nakarmiła go dziewczyna.

Szedł za nią i mimowolnie oceniał. Nie miała na sobie ubrań, była niska jak wszyscy w strefie, ale proporcjonalna i zgrabna. Zdecydowanie czuł brak kobiecego towarzystwa. Jednak im dłużej szli, tym bardziej wydawało mu się, że coś z dziewczyną jest nie tak.

W gąszczu było dość ciemno, korony drzew zamykały sklepienie wiele metrów ponad ich głowami. Całą uwagę musiał skupić na przedzieraniu się przez chaszczę i pilnowaniu swojego tobołu, który ciągle o coś zaczepiał. Nie miał czasu ani zapamiętywać drogi, ani zastanawiać się, jak długo już idą. Dlatego, kiedy wyszli na wolną przestrzeń, był zupełnie zaskoczony. Polana miała wielkość dużego pokoju i z każdej strony była otoczona jednolitą ścianą roślin. Przez środek przepływał strumyk szeroki może na pół metra. Woda pojawiała się znikąd, by szybko wpłynąć pod zielony mur i zniknąć.

Na polanie zastali kilka osób. Smród odchodów i gnijącego mięsa dało się wyczuć nawet przez powalającą woń kwitnących roślin. Dwójka ludzi koło pięćdziesiątki siedziała na dachu samochodu, z którego została wyłączona karoseria. Byli drobni, widocznie niedożywieni, a plecy mieli dziwnie wykrzywione. Oprócz nich Timur naliczył piątkę młodszych, może nastolatków, może trochę starszych. Siedzieli na ziemi i coś żuli.

Na widok Denikina i zezowatej dziewczyny, którzy wyłonili się z zarośli, najstarszy mężczyzna zeskokczył zwinnie z dachu samochodu i zbliżył się.

– Chory – powiedziała zezowata, zanim stary się odezwał.

Mężczyzna skinął głową. Bez zainteresowania wrócił na swój dach i wystawił twarz do słońca.

Zatrucie powoli ustępowało, ale Timura wciąż męczyła gorączka. Możliwe, że w ranne ucho wdała się infekcja. Zezowata pokazała mu posłanie z wysuszonych liści i łądyg i głaskała go po czole tak długo, aż zasnął.

Obudził się po zmroku. Mieszkańcy polanki siedzieli na ziemi wokół małego ogniska. Timur usłyszał głos, zaczął słuchać i opowieść, mimo senności, go wciągnęła.

– Po ścianie łądyg żyją niedźzwierza, ślepią mają czerwona i mówią niezrozumiała, warczą i prychają między sobą jak psy. Mieszkają w domach z całych drzew, które wyrwają z ziemi razem z korzeniem – mówiła kobieta. Wciąż siedziała na dachu samochodu, ale Timur widział ją jedynie jako czarny cień na tle nieba. – Niedźzwierza nie polują, kiedy głodne, śpiewają swoje dziwne pieśni, a zwierzyna sama przychodzi i bije łbem w drzewo czy kamień tak długo, aż padnie. Wtedy dopiero niedźzwierz zjada mięso i pija krew.

Młodzi siedzieli nieruchomo, zasłuchani w słowa matki. Opowieść ciągnęła się jeszcze długo, ale Timur przegrał walkę z gorączką i zmęczeniem i zasnął.

Rano zastał na polanie jedynie starą kobietę, która przeczesywała włosy zezowatej i od czasu do czasu coś z nich wygrzebywała. Kiedy dziewczyna zobaczyła, że Timur nie śpi, zeskoczyła na ziemię i podeszła do niego. Położyła się obok i pociągnęła go na siebie z zaskakującą siłą. Przewrócił się, przygniatając ją, ale wyraźnie jej to nie przeszkadzało. Od razu zrozumiał, czego od niego chce, zerwał się na równe nogi, a dziewczyna wytrzeszczyła oczy. Ciężko dyszał, wciąż był osłabiony chorobą. Zezowata nie wstała. Leżała, patrząc mu w oczy i wyginając się. Kobieta na samochodzie patrzyła na nich bez wyrazu. Denikin wycofał się pod samą ścianę lasu.

– Nie krępuj się młody człowieku, ona to naprawdę lubi – powiedziała w końcu stara, wciąż siedząc bez ruchu.

Podniósł z ziemi swój toboł i wcisnął się pomiędzy krzaki. Za plecami słyszał jeszcze trochę rozżalonych jęków, ale się nie odwracał.

*

Dwa dni później dotarł do osady. Wokół starego, przydrożnego fast foodu rozbito kilka dużych namiotów, pozszywanych ze skór i starych cerat, wzmocnionych przy ziemi elementami samochodowych karoserii.

Pierwszym, który go zobaczył, był człowiek stojący na dachu z długim przedmiotem, który tylko z oddali mógł wyglądać na prawdziwy karabin. Krzyknął coś do swoich, ale zanim trzech uzbrojonych w maczety mężczyzn wyszło Timurowi na spotkanie, w jego stronę pobiegła zgraja bosych dzieciaków. Obskoczyły go jak wygłodniałe psy, krzycząc: „Daj nabój!” i „Daj ponieść!”. Musiał z całych sił trzymać rewolwer w kaburze, bo sięgnęło po niego pół tuzina małych rączek, podobnie jak po plecak, nóż i pałkę. Jednocześnie próbował odganiać się karabinem. Z premedytacją powstrzymał odruch cywilizowanego człowieka, który kazał litować się nad dziećmi. Ta zgraja szarańczy, gdyby tylko się nie bronił, zabrałaby mu wszystko łącznie z przepoconymi skarpetami, a niewykluczone, że by go zabili i zjedli. Jeden z dzieciaków zrobił się naprawdę natarczywy i wsadził przybyszowi rękę do kieszeni. Timur uderzył go pięścią zaciśniętą na karabinie. Na oko dwunastoletni blondyn, z obrzydliwym czyrakiem na szczęce, poleciał na ziemię. Napór na jego rzeczy zelżał, ale nie ustał. Dzieciaki dały za wygraną dopiero wtedy, gdy komitet powitalny złożony z trzech pleczystych i niezbyt przyjemnych miejscowych stanął jakieś trzy metry przed Timurem.

– Wejście do naszej osady jest płatne – oznajmił mężczyzna stojący w środku.

Miał co najwyżej metr sześćdziesiąt, ale wyglądał jak wykuty z kamienia. Pod ubraniem zszytym z przedwojennych worków na gruz widać było zwałiste ciało gotowe do walki. Był łysy, ale za to miał gęstą brodę, co nadawało mu wygląd posępnego krasnala ze starych filmów.

– Ale targować się wolno? – uściślił Timur.

– Wolno.

– Więc powiedzcie, co chcecie za wejście, nocleg i jedzenie.

– A co masz? – zapytał krasnal.

– Naboje colta do czterdziestki piątki was interesują? Niezła jakość.

– Pokaż.

Rozłożyli się na trawie jakieś dwadzieścia metrów od skraju

obozowiska i Timur zaczął grzebać w swoich rzeczach. Wyciągnął jeden nabój i pokazał na otwartej dłoni.

– Ile tego masz? – przywódca grupy przystąpił do targów.

– Mogę dać wam dwie sztuki.

– Sześć.

– Zwariowaliście, to dobry proch. Robią taki tylko w Kanadzie

– Kanada – burknął lekceważąco jeden z milczących do tej pory tubylców.

– Mamy mięso, a jeśli nie chcesz spać u nas, możesz zawsze iść w cholerę – stwierdził krasnal.

– Dam wam trzy, więcej nie mam.

Krasnal wyciągnął rękę, a Timur uścisnął tak mocno, jak potrafił, choć wciąż zbyt słabo, żeby zrobić wrażenie. Pobłogosławił się za pomysł zawijania kilku sztuk naboju w różnokolorowe szmatki. Dzięki temu wiedział, w której będą dokładnie dwie sztuki.

Motel, jak nazywali tę osadę, dawał schronienie ośmiu rodzinom. Dwie mieszkały w starym budynku McDonald's czy innym Dunkin Donucie. Pozostali gnieździli się w trzech namiotach. Timur dostał miejsce w budynku. W dużej sali z wciąż rozpoznawalną ladą znajdowało się coś w rodzaju domu gościnnego. Podejrzewał, że to miejsce żyło z goszczenia karawan, które robiły tu postoje.

Podłoga była zakurzona, ale czysta. Większość śmieci spalono albo zjedzono. Zauważył jedynie dwa kawałki opon, które być może kiedyś służyły jako buty, i strzykawkę ze złamaną igłą. W kącie leżało sporo opon, które służyły najwyraźniej za prycze, fotele, stół i kto wie, co jeszcze.

– Srac' idź za obóz – poinstruowała go brzydka dziewczyna trzymająca w ręce długi kij. Krasnal, który był tu chyba szefem, kazał jej przerwać wypasanie trzech świń i zająć się Timurem. – Jedzenie przyniosą ci później. A jakbyś chciał kobiety, to mogę być twoja, jeśli masz czym zapłacić – powiedziała i jeszcze zanim zdążył podziękować, odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

Odstawił do kąta plecak i karabin i poszedł „na miasto”. Tak go rozbawiło to określenie, że aż zachichotał. Było tu naprawdę biednie. Kobiety i dzieci chodziły boso. Mężczyźni nie mieli broni. Wartownik na dachu trzymał w rękach rurkę z PCV, przywiązaną sznurówkami do kawałka drewna z grubsza wyrzeźbionego w kształt kolby. Gdyby

zaszła potrzeba walki, mógłby co najwyżej zyskać parę minut, rozśmieszając napastnika.

„Opiekunka” Timura wróciła do pasania świń, co nie było zajęciem pracochłonnym. Drapała się intensywnie, skutecznie studząc wszelkie nienarodzone chęci skorzystania z jej oferty. Nieco dalej dwie kobiety smażyły mięso na brudnej samochodowej masce, stojącej na ceglach. Spod spodu buchał gęsty dym. Nikt się nie przejmował usunięciem lakieru, który spalał się, „przyprawiając” potrawę. Coś śmierdziało, ale nie był pewien, czy to płonące opony, nieświeże mięso czy też paląca się farba. W innym miejscu postawny, ale niski mężczyzna bił się z synem drewnianymi maczugami. Chłopak co chwilę piszczał, kiedy pałka ojca trafiała go w ramię albo łydkę, ale nie zniechęcał się i ciągle rzucał się do przodu, by spróbować sił jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz. Obok jakiś facet siedział na ziemi i jadł rybę na surowo. Skórę zjadał, a ości zbierał w jednym miejscu na nogawce. Pewnie, żeby dać świniom.

Timur siadł i oparł się plecami o ścianę budynku. Wsłuchiwał się w we własne kiszki, próbując ustalić, czy już im przeszło. Póki co pomiędzy nim i jego wnętrznościami panował kruchy rozejm. Miał zamknięte oczy, ale usłyszał, jak ktoś podchodzi do niego. Spojrzał w górę i zobaczył krasnala.

– Mogę się dosiąść? – zapytał.

– Jasne, to wasza ziemia.

Miejscowy spoczął i podał mu brązową butelkę. W jej kształcie Timur rozpoznał Jim Beama, tego samego, którego ostatnio widział w promocji w sklepiku pod blokiem w Hongkongu.

– Robimy to z krzyżolistnika, jest cierpka, ale niezła – pochwalił miejscowy wyrób, przekazując butelkę, a Timur nie miał zielonego pojęcia, czym jest krzyżolistnik.

– Mówią na mnie Jim, Mały Jim. A na ciebie?

– Tim, idę z Kanady.

– A dokąd?

– Przed siebie.

– E? Ale po co?

– Podróżuję, chcę zobaczyć, jak wygląda świat.

Jim skrzywił się bardzo brzydko, poklepał dłonią łysinę, potarł podbródek, w końcu stęknął zupełnie tak, jakby zbierał myśli

i powiedział:

– Jak człowiek siedzi na miejscu, to mu lepiej. Ma gdzie spać, co jeść. Zostań z nami. Damy ci dziewczynę, namiot. Jak karawany będą handlować, to też zarobisz. Zobaczysz, będzie ci tu jak w fortynksie.

– Gdzie?

– W fortynksie, tak się mówi – spojrział na niego zdziwiony – a, wy z Kanady...

– Dzięki, ale jutro rano pójdę. Może wrócę kiedyś, jak się naoglądam i nazwiedzam.

– Zginiesz gdzieś i ugotują zupę na twoich kościach. Szkoda.

Stracił całe zainteresowanie Timurem, wstał i poszedł w swoją stronę. Wojna zniszczyła miasta, elektrownie i sporą część przemysłu, ale niecały. Nie było dość prądu, żeby uruchomić maszyny, a na terenie całej Ameryki przetrwało, według mocno nieprecyzyjnych szacunków, dwadzieścia milionów ludzi, jakieś siedemnaście, osiemnaście razy mniej niż przed wojną. Naboje i broń były drogie, ale to człowiek był w Zakazanej Strefie Ameryka Północna dobrem najcenniejszym, najbardziej deficytowym.

Na obiad dostał mięso z maski samochodowej, kawałek wielkości dwóch serdecznych palców i kolbę dzikiej kukurydzy. Teraz już był niemal pewny, że to nieświeże mięso śmierdziało najbardziej.

*

Noc minęła mu spokojnie, a rano po prostu sobie poszedł. Sprawdził, czy nic z jego bagażu go nie opuściło. Krzyknął jakieś niewyraźne pożegnanie i ruszył dalej na południe wzdłuż drogi. Rozejrzał się, czy nikt go nie widzi, i wrzucił do butelki po mleku, w której dostał wodę na drogę, pastylkę odkażającą. Kiedy to robił, coś zaszeleściło w krzakach i wyszedł z nich chłopak, może osiemnastoletni. Timur widział go w osadzie.

– Idę z tobą – powiedział pozornie zdecydowanym głosem.

– Jesteś z osady. Wracaj do swoich i nie zawracaj mi głowy.

– Nie chcę.

Timur odniósł wrażenie, że chłopak jest jakiś dziwny. Wyglądał normalnie, ale chyba był po prostu przygłupi. Poza tym miał siną szyję. Denikin nie był lekarzem, a tym bardziej patologiem, ale

wydawało mu się, że tak mogą wyglądać ślady duszenia.

– Skąd to masz – pokazał na szyję chłopaka. Ten się speszył i spuścił wzrok. – Nie chcesz mówić, to nie mów. Nie zmuszam. A teraz chodź. Jeśli zostaniesz w tyle, to trudno. Nie będę czekał.

– Nie zostanę.

Okolica, przez którą przechodzili, wyglądała na przedmieścia metropolii. Stara droga międzystanowa numer 5 była ostatnim skrawkiem terenu, który oparł się roślinności. Szli między dwiema wysokimi ścianami zieleni, które niemal schodziły się ponad ich głowami. Wszystko inne: domy, samochody, słupy wysokiego napięcia było zanurzone w liściach, łodygach i pniach.

Maszerowali samym środkiem piątki, a gałęzie drzew wciąż wyciągały się w ich stronę niczym ręce. Chłopak miał na imię Jill. Timur nie był pewien, ale to chyba dawniej było kobiece imię. Szli w milczeniu, ale czasem starał się go o coś podpytywać.

– Jak się żyło w Motelu? – Timur zapytał swojego nowego towarzysza, który szedł przed nim.

– Źle.

– Co tam robiłeś?

– Nosilem wodę, stałem na dachu, zbierałem jedzenie.

– Kukurydzę?

– Też.

– To po co idziesz ze mną?

– Ty idziesz.

– To nie jest takie proste, możesz spotkać bandytów, wilki, cholera wie, co jeszcze. Niedźwiedzia. Nie boisz się?

– Masz broń, wszyscy, którzy idą, mają broń. Ja idę. Też będę miał.

Na pierwszy rzut oka trudno było odmówić logiki, ale z drugiej strony Denikin upewnił się, że ma do czynienia z typowym przedstawicielem skończonego idioty.

Przeszli jakiś kilometr, gdy zobaczyli przed sobą duży kształt. Na drodze spokojnie stał łoś. Timur kazał chłopakowi schować się w krzakach, a sam kucnął za wrakiem samochodu i zaczął celować z karabinu. Miał czysty strzał, ale się zawahał. Nie lubił zabijać zwierząt, zwłaszcza takich pięknych, a tak czy inaczej nie daliby rady wziąć ze sobą tuszy. Postanowił odpuścić.

Wstał i w tym samym momencie zwierzę zauważyło go, spłoszyło się

i jednym susem zniknęło w gęstwinie. Ułamek sekundy później z drugiej strony krzaków wyskoczyło potężne cielsko drapieżcy, na oko pumy. Zwierz niemal natychmiast zrezygnował z pogoni, zauważył Timura stojącego pięćdziesiąt metrów dalej i uznał chyba, że człowieka będzie upolować o wiele łatwiej.

W strefie zwierzęta nie boją się ludzi. Po wojnie, radiacji, upadku cywilizacji i ekosystemu przetrwały tylko najsilniejsze osobniki, te, które nie bały się polować także na dwunogich.

Drapieżnik rzucił się do biegu po nową zdobycz. Timur podniósł broń i wystrzelił dwa razy. Wydawało mu się, że trafił, ale to nie wystarczyło. Potężne cielsko runęło na niego, wywracając go na ziemię. Karabin poleciał na bok, a kocie pazury wbiły się w skórę na piersi. Zwierz był spory, ale Timur wciąż miał przewagę masy. Szarpnął się i wytoczył, a to dało mu dość czasu, żeby sięgnąć po rewolwer. Kiedy paszcza kota znów znalazła się niebezpiecznie blisko jego szyi, przystawił broń do piersi drapieżnika i wystrzelił. Grzybkujący pocisk w ułamku sekundy pozbawił pumę życia. Teraz pozostało jedynie wyczołgać się spod bezwładnego cielska, zdjąć skórę i wyciąć tyle mięsa, ile dadzą radę unieść.

Jak na komendę, Jill wyskoczył z krzaków. Trząśł się jak w febrze, ale nic nie powiedział. Timur podał mu bez słowa nóż i kazał oprawić zwierzę. Był zły na niego. Spodziewał się jakiegokolwiek pomocy. Żeby chociaż kamieniem rzucił, a ten przygłup po prostu siedział w krzakach i się trząśł. Złość minęła Timurowi, gdy zobaczył, z jaką sprawnością chłopak skóruje i patroszy zwierza. Dwa udźce zawinęli w szmaty i Timur kazał je nieść chłopakowi. Resztę zostawili.

Wieczorem przebili się przez zarośla do stojącego blisko drogi budynku. Może kolejnego fast foodu, a może sklepu. Wnętrze było niemal całkowicie zarośnięte krzakami. Dach zawalił się dawno temu. Rośliny zapuściły korzenie w gruzowisku. Nie było tu specjalnie ciepło ani przytulnie, ale przynajmniej mieli ściany wokół.

Rozpalili ognisko i w milczeniu piekli żylasty udziec dzikiego kota. Dopiero teraz Denikin znalazł chwilę, żeby zachwycić się tym, co rośnie wokół nich. Choć może zachwyt nie do końca opisywał jego stan emocjonalny. Zielen była bujna, soczysta i wyrastała w miejscu, gdzie nie powinno jej być. Czy tak wyglądał świat, zanim zajął się nim człowiek? Choć siedział z Jillem, poczuł się dojmująco samotny. Jakby

nie znalazł się na innym kontynencie, ale przeniósł się w czasie, wieki po epoce ludzkości albo wieki przed nią. Naprawdę bardzo chciał już wrócić do Chin i nigdy więcej nie robić niczego równie głupiego.

Ścisnął rękę na kolbie rewolweru i to dodało mu otuchy. Napił się wody z baniaka po mleku i ukroił sobie kawałek lekko jeszcze krwistego mięsa. Podał wodę i nóż Jillowi.

– Nie okradniesz mnie i nie zabijesz, jak zasnę? – zapytał. Chłopak uśmiechnął się tylko ni to rozbawiony, ni to rozmarzony. – Pamiętaj, że mogę tylko udawać, że śpię.

Kolejny nic nieznaczący uśmiech okraślił twarz młodzieńca.

– Też będę spał – odrzekł w końcu, a Timur nie mógł dociec, czy ta odpowiedź była zupełnie pozbawiona sensu, czy też może miała jakieś ukryte przed nim znaczenie.

Następnego dnia po południu minęli dawne miasto Olympia. W czasie wojny chińskie czołgi starły się tu z niedobitkami armii USA. Teraz ledwie widać było gruz pod warstwą trawy i mchu. Minęli pobojuwisko i wędrowali dalej aż do zmierzchu.

Wieczorem zobaczyli ogień i ostrożnie podeszli do ogniska. Grzała się przy nim spora kompania: blisko dwadzieścia osób z trzema drewnianymi wozami na samochodowych kołach, zaprzęgniętymi w konie.

Po krótkich negocjacjach i upewnieniu się, że karawana zmierza na południe, Timur oddał jeden z trzech noży wziętych na handel i dołączył z Jillem do załogi. On miał walczyć w razie potrzeby, a chłopak pomagać przy koniach, rozpalaniu ognia i tak dalej.

Karawana wiozła skrzynki z wyrobami żelaznymi: maczetami, młotkami, a nawet czymś pośrednim pomiędzy nowoczesnym gwoździem a średniowiecznym ćwiekiem. Podobno był na to niekończący się zbyt na targu w jakiejś dużej osadzie. Timur nie dopytywał, nie chciał wydać się przesadnie zainteresowany, a poza tym zupełnie szczerze kompletnie go to w tym momencie nie obchodziło.

Kolejne trzy tygodnie były nudne, w równej mierze w kojący i drażniący sposób. Na dwóch wozach jechał towar i po dwóch ludzi, a na trzecim jechała reszta. Mieli dobre tempo. Wozy zbudowano z solidnych desek i resorów od starych ciężarówek, na przedwojennej drodze mogli jechać szybko i bez zbędnych przystanków.

Timur mało mówił, a dużo słuchał. W karawanie byli sami

mężczyźni, więc większość rozmów kręciła się wokół kobiet, broni, bijatyk i alkoholu. Dziewięć na dziesięć słów, które dolatywało do jego uszu, zaliczało się do bezsensownych przekleństw, a reszta była samczym bełkotem.

Przez ponad połowę drogi padało. Amunicję zawinał w foliową reklamówkę, dziękował Bogu, że zrobiono ją z plastiku rozkładającego się stulecia, a sobą się po prostu nie przejmował. Przez dobrych dziesięć dni nie był suchy ani przez chwilę.

Podobnie jak w poprzedniej podróży z karawaną, zaczął dostrzegać, że wszyscy ludzie wokół niego nie są fizycznie normalni. Każdy miał jakieś niedoskonałości. Kolorowe, głównie czerwone, znamiona, narośle, nienaturalnie płaskie nosy, krzywe nogi, pomarszczone czoła, nienaturalnie wyginające się nadgarstki. Timur widział już gorsze rzeczy, choćby zarażonych w Afryce, a mimo to, odkąd dokonał tego odkrycia, stał się jeszcze bardziej skryty. Co innego Jill. Chłopak szybko znalazł przyjaciół wśród karawaniarzy.

Wspomnienia z piekła

Podczas podróży nie da się nudzić, jeśli się przemieszczasz, to znaczy, że coś robisz. Możesz za to odczuwać całe spektrum bólu i niewygód. Twarda deska, na której siedzisz, wywołuje ból tyłka, ciągle to samo niedogotowane mięso i dzika kukurydza wywołują ból żołądka, wiatr chłószcze twarz, a deszcz sprawia, że zaczynasz tęsknić za ciepłą, wygodną i suchą trumną.

*

Wjazd do Klamath River Town zakończył monotonię podróży karawaną, której pojedyncze chwile i rozmowy zlały się Timurowi w szaroburą mgłę wspomnień. Dzień po tym, kiedy przestało padać, odbili na zachód od drogi międzystanowej numer pięć. Na pustyni, niczym brudna piana, rozlało się coś w rodzaju osiedla. Było ogromne i już z daleka wydało się Timurowi bardzo brzydkie. Im bardziej się zbliżali, tym więcej szczegółów było rozpoznawalnych. Do ich uszu zaczęły dochodzić także rosnący zgiełk, póki co będący jedynie irytującą kakofonią.

„Miasto” nie miało muru, za to otaczał je potężny rów. Timur poprawił lusterko z kamerą. Wewnątrz wykopu zwierzęta szukały odpadków. Biegały, omijając ociosane na ostro kije i grubsze pnie wbite w ziemię. Wzdłuż fosy przechadzali się ludzie z bronią, i to nie z tępymi maczetami czy młotkami, a z karabinami szturmowymi, oczywiście przedwojennymi.

Jedyny punkt orientacyjny stanowiło wzgórze, na którym stały zabudowania i drewniane wieże. Cała reszta była oceanem falistej blachy zdobytej na tej pustyni, Bóg jeden wie skąd, starej dykty, desek i śmieci. Niektóre domki były w całości zbudowane z kanistrów po mleku i innych butelek napełnionych piachem.

Karawana stanęła przy grobli, przez którą można się było dostać do miasta. Od wewnątrz stała tu niska wieża przypominająca myśliwską ambonę, w której siedziało kilku strzelców. Na ziemi także było kilku wartowników ubranych w skórę. Jeden z nich podszedł do naczelnika karawany, zadał kilka pytań, wziął myto i machnął na swoich ludzi, którzy obszukali wóz, a potem każdemu wręczyli metalowy krążek na rzemyku. Zwykłą blaszkę, bez numeru, napisu czy nawet obrazka.

– Znacie nasze prawa? – zapytał strażnik, a wszyscy ludzie z karawany pokiwali twierdząco.

Timur jakoś nie miał śmiałości zaprzeczyć.

Wpuścili ich do środka. Wozy zaczęły się przeciskać przez wąską uliczkę w obozowisku. Dosłownie ocierały się o ściany, które nierzadko nie wytrzymały spotkania z drewnianym bokiem wozu i wyginały się, pękały, a nawet wywracały. Ludzie krzyczeli, ale idący za wozami miejscowy strażnik z karabinkiem uciszał ich spokojnie, nie podnosząc głosu.

Mijali też chaty pozbawione frontowej ściany, najpewniej przez wcześniejsze karawany. W ich wnętrzu toczyło się normalne życie: bawiące się dzieci, kobiety przygotowujące posiłki, mężczyźni pochyleni nad jakąś pracą i setki doniczek i grządek, które były po prostu wszędzie. Timur przyglądał się z ciekawością życiu rojącem się w domkach ze śmieci. Mężczyzna krzyczał na dziecko, kobieta z zadowolonym uśmiechem skórowała martwe zwierzę wielkości królika, pięcioletni chłopiec targał ogromne wiadro wody, rozchlapując na boki i zaciskając zęby, podrostek z podniesionymi rękoma tłumaczył się z czegoś uzbrojonemu osiłkowi.

Wlekli się jakieś czterdzieści minut, zanim dotarli na niewielki plac targowy. Na środku piętrzyły się stosy skór, narzędzi, ziemniaków, kawałków dykty wyrwanych z przedwojennych domów i setek innych towarów. Pomiędzy hałdami przechadzali się ludzie z maczetami i krótkimi pałkami. Łypali groźnie wokół, roztaczając aurę władzy i surowości.

Karawaniarze sprawnie manewrowali wozami i szybko znaleźli miejsce odpowiednie do wyładunku. Zajęci wypakowywaniem towarów nie zauważyli nawet, że Timur chwycił swoje przygotowane wcześniej rzeczy i wmieszał się w tłum. Zrobił kilka kroków i znalazł się na zacienionej ścieżce pomiędzy pochyłonymi szałasami i budami skleconymi z butelek napełnionych piaskiem.

Ruszył przed siebie pewnym krokiem, w jednej ręce niosąc karabin, a drugą trzymając na rewolwerze. Mijał chatę za chatą, człowieka za człowiekiem i myślał intensywnie, co dalej. Z punktu widzenia jego misji skupisko ludzkie wydawało się bardziej atrakcyjne niż pustkowia, przez które wędrował, i rozważał, czy nie zatrzymać się w tym miejscu na dłużej. Tutaj mógłby nakręcić sporo dobrego materiału, nie chodząc zbyt dużo. Rozmyślając, skręcił w szerszą uliczkę.

Przed nim pojawił się człowiek ze szmatą obwiązaną wokół twarzy i przedmiotem przypominającym prawosławną kadzielnicę w prawej ręce. Na długim pordzewiałym łańcuchu kołysało się metalowe naczynie, z którego wydobywały się kłęby białego dymu. Szedł od chaty do chaty, okadzając je po kolei. Od czasu do czasu dorzucał do naczynia garstkę czegoś z torby przewieszzonej przez ramię. Z chatek, do których zajrzał, wybiegały brązowe karaluchy wielkości dłoni trzylatka, a za nimi pędziły stadka bosych dzieciaków, które, bawiąc się w najlepsze i chichocząc, usiłowały zdeptać jak najwięcej insektów. Zdobyczne truchła starannie zbierały i rzucały do doniczek lub na grządki.

Nasyciwszy zmysł obserwatora i ciekawość widzów, Timur przyspieszył i minął człowieka z kadzielnicą. Z daleka zobaczył uzbrojonego mężczyznę, który szedł w jego stronę i czujnie się rozglądał.

– Hej ty – zagadnął Timur, gdy stanęli naprzeciw siebie – właśnie przyjechałem...

Strażnik, nie zwracając uwagi na jego słowa, zbliżył się i złapał za blaszkę na rzemyku. Obejrzał ją sobie i w końcu zapytał:

- Czego chcesz, karawaniarzu?
- Szukam pracy, gdzie ją tu znajdę?
- Praca? – Strażnik spojrzął po otaczających ich domkach. – Nie znajdziesz tu niczego poza nią. – Teraz obejrzał samego Timura. – Masz dobrą broń. Umiesz z niej zrobić użytek?
- Radzę sobie.
- Idź pod Dom – machnął ręką gdzieś w bok – zagadaj – powiedział i poszedł w swoją stronę, nie reagując na kolejne pytania.

Wspomnienia z piekła

Każda chatka była inna. Jedna zrobiona z cegieł, inna z napełnionych piaskiem siatek, worków na śmieci czy butelek, kolejna z samochodowych karoserii, zupełnie świeżych desek albo starych kawałków omszałego drewna, zabranych z ruin jakiegoś miasteczka. We wszystkich było ciemno. Budy przylegały do siebie ściśle, ale nawet w jedynej wolnej, frontowej ścianie nie było okien. Być może przekraczało to możliwości techniczne mieszkańców albo chodziło o bezpieczeństwo. Miasto sprawiało surrealistyczne wrażenie, domki sięgały mi do ramienia, maksymalnie do poziomu oczu. Czułem się trochę jak Guliwer.

Ludzie w strefie są niscy, mało kto dojada tutaj do syta, choć w wyludnionym świecie pełno jest ryb, zwierząt i dziko żyjących roślin. W tym mieście mało kto miał jednak czas łowić i polować. Wszyscy byli nieustająco zajęci. Mimo to nawet oni często nie mogli się wyprostować we własnych domach.

Idąc przez kręte zaułki, a raczej ścieżki, widziałem dziesiątki ludzi szyjących coś ze skóry. Torby, buty, koszule, kurtki. Głównie młode dziewczyny i kobiety. Niektórzy tkali coś z bawełny. Nie robili tego dla siebie, miejscowi możni skupowali surowce, a potem wysyłali ubrania karawanami do odległych osad.

Cały czas potykałem się o dzieci noszące wodę i podlewające karłowate rośliny, które rosły dosłownie wszędzie, w drewnianych korytach i wprost w ziemi. Były tu ziemniaki, pomidory, kukurydza, a nawet pieczarki. Uderzało mnie jednak dojmujące poczucie bezsensu tej hodowli. Na najdłuższej grządce sterczało dziesięć kukurydzianych łodyg. Grządki były małe, ale za to wciskały się w każdy kąt. Rośliny wyrastały prosto z grubej warstwy śmieci. Cały obóz niczym runem leśnym przykryty był mieszanką kawałków plastiku, gumy, sklejki i opon, zbyt drobnych i wymieszanych, żeby je do czegoś użyć.

Po tej dziwacznej podściółce przechadzały się szczury, brudne i wielkie gryzonie typowe dla stref zakazanych. Nie przemykały jak myszy, płochliwie i szybko. Szły

środkiem jak królowie życia, kołysząc na boki tłustymi zadami.

W jednym czy dwóch miejscach, pomiędzy szafasami piętrzyły się góry przedwojennych śmieci, które były metodycznie przegrzebywane w poszukiwaniu czegoś przydatnego. Wybierano nawet najmniejsze kawałki metalu czy szkła. Na wschodnim wybrzeżu już dawno wybierano większość przydatnych resztek, ale na zachodzie, gdzie ludzi było mniej, wciąż jeszcze można było znaleźć wśród śmieci prawdziwe skarby. W innym miejscu kilkoro ludzi łączyło butelki z jednego stosu z pasującymi zakrętkami z drugiego. Kiedy im się udawało, inni ludzie napełniali butelki piaskiem przyniesionym z pustyni przez dzieci i układali w stosy. Całe miasto zresztą usiane było pryzmami różnych dóbr, zwożonych tutaj ze wszystkich stron. Widać był to miejscowy sposób na przechowywanie towarów. Osiedle sprawiało wrażenie tętniącego życiem paradoksu. W żadnej strefie nie widziałem nigdy wcześniej tak wiele brudu i ciasnoty, a jednocześnie ludzie nigdzie indziej nie mieli tylu towarów i surowców.

Kuźnie można było poznać z daleka po czarnym dymie, odgłosach rąbania drewna i kucia żelaza. Miejscowi kowale wyglądali zupełnie jak z książki historycznej. Byli silnie zbudowani, ubrani w skórzane fartuchy i czerwoczarńi od wysiłku, gorąca i sadzy.

Nie mogłem podejść blisko, ale widziałem, jak na stosie lądują kolejne maczety, toporki, a nawet coś, co wyglądało jak lufy muszkietów.

Wszyscy ludzie zlewali się w jednorodną szarą masę, z której nie wyróżniała się żadna twarz czy sylwetka. Miasto sprawiało wrażenie ula albo fabryki z początków XX wieku.

Im więcej uliczek przemierzyłem, tym bardziej czułem się zagubiony i zdruzgotany. Chciałem znaleźć jakiegokolwiek miejsce, jakiś punkt zaczepienia, od którego mógłbym zacząć rozgryzanie tej dziwnej metropolii.

Timur dotarł do rzeki Klamath, za którą była już tylko pustynia. Na brzegu byli rybacy i małe obozowisko ludzi zajmujących się wodą. Wybierali ją drewnianymi wiadrami z rzeki, stojąc na niewielkim pomoście, i nosili do dużych zbiorników albo kadzi, pod którymi cały czas płonął ogień. Słychać było łupanie siekier i krzyki. Dwie kolejki – do wody gotowanej i nie – przesuwały się wolno pod kontrolą poważnych, ale nieuzbrojonych ludzi. Porządkowi sprawdzali blaszki zawieszane na rzemykach, podobne do tej, jaką Timur dostał przy bramie, jednak trójkątne i jakby z tłoczeniem.

Przeszedł wzdłuż kolejki i stanął przed jednym ze sprawdzających.

– Czego chcesz? – zapytał ostro, ale niezbyt agresywnie. Broń Timura łagodziła obyczajnie.

– Szukam pracy, przyjacielu – odpowiedział Denikin spokojnie,

poprawiając zawieszona na łańcuszku lusterko. Kolejka obok i za nim zareagowała kilkoma pomrukami, ale nikt nie powiedział niczego głośno.

– Wchodź, pytaj o Willy’ego.

Miejscowego kierownika Timur znalazł nie od razu. Najpierw próbował znaleźć kogoś ważnego, kierując się wyglądem, albo coś w rodzaju biura lub kantorka, ale niczego takiego tu nie było. W końcu zapytał dobrze zbudowaną dziewczynę, niosącą wiadro z wodą. Nie zatrzymując się, pokazała mu człowieka rozpiłującego spory pień.

– Ty jesteś Willy? – zapytał.

Człowiek z piłą był niewysoki, jak większość ludzi w strefie, i był Hanem. Timur w ostatniej chwili ugryzł się w język, żeby nie przywitać się po chińsku.

– Tak, czego tu?

– Chcę u was pracować – odpowiedział.

Chińczyk zlustrował go i oparł piłę na ramieniu.

– Nie wyglądasz na takiego. To nie jest ciekawe miejsce - rzekł.

– Widziałem gorsze – skłamał Timur. – Chcę gdzieś osiąść, gdzieś za murem... albo fosą.

– Masz dość wędrówek? Dobrze. Mamy tu dużo pracy, a ty wyglądasz na kogoś, kto poradzi sobie z wiadrem. Chcesz schować rzeczy w bezpieczne miejsce?

Willy zaprowadził Denikina do ziemianki. Wykopany w ziemi dół przykryty był starymi samochodowymi maskami i zamknięty na skobel. Timur odłożył tam karabin, większość naboju, zapalniczki i sporo innych rzeczy. Zabrał rewolwer, naboje i trochę drobiazgów, których utrata bolałaby go najbardziej. Spakował to wszystko do torby, którą kupił na postoju od jednego z karawaniarzy.

– Jak cię zwą? – zapytał Chińczyk.

– Możesz mi mówić Tim. Jesteś Hanem, prawda?

– Kim?

– Chińczykiem?

– Nie! – Willy energicznie pokręcił głową. – Moja rodzina jest z Chicago.

Nowy szef Timura musiał być niedoinformowany albo bardzo ostrożny. W strefie pewnie jeszcze pamiętali, czyje rakiety zaczęły to wszystko.

– Słuchaj Tim, idź tam – pokazał ręką. – Tam leżą wiadra. Znajdź jakieś całe i noś wodę. Powiedzą ci, czy łać do kadzi czy do zbiornika na zimną.

Timur miał nadzieję, że dostanie siekiere, zawsze lubił rąbać drewno, ale ta praca była zarezerwowana raczej dla tych ważniejszych. Wybrał więc wiadro i poszedł w stronę rzeki.

*

Budzili się rano, kto wstał pierwszy, budził resztę. Każdy brał wiadro, które trzymał przy posłaniu i ruszał w stronę rzeki. Śniadanie jedli w biegu. Dostawali placki z kukurydzianej mąki, a czasem gorącego ziemniaka w ciemnej skórce. Potem do zmierzchu nosili wodę, wiadro za wiadrem, z rzeki krótką ścieżką przez środek obozu do zbiorników. Po drodze można było robić przerwy, nikt nie stał z batem, nie krzyczał, ale nikt też się nie obijał, więc Timur także robił swoje. Barki i przedramiona bolały go wściekle, ale miał głęboko idealistyczne przekonanie, że w ten sposób pomaga ludziom. Codziennie widział kolejkę smutnych, pozbawionych wyrazu i obojętnych twarzy tych, którzy przychodzili po wodę.

Całe „wodociągi” Klamath River Town mieściły się w wytyczonym przez szafasy okręgu o promieniu jakichś osiemdziesięciu metrów, przytulonym z jednej strony do wody. Na skrajach ich małej osady były zbudowane domki z foliowych siatek wypełnionych piachem, przykryte starą dyktą i stosunkowo świeżymi deskami. Codziennie pod wieczór przyjeżdżał wóz z drewnem i wszyscy brali się do rozładunku. Zdejmowali ciężkie bale i nosili je pod dach, gdzie się suszyły. Po zachodzie słońca byli wolni.

Na początku praca męczyła Timura do tego stopnia, że po zmroku jadł, nie zwracając nawet uwagi na smak, i od razu zasypiał. Stopniowo jednak przywykł i okrzepł. Piątego wieczora siedział nad rzeką. Zastanawiał się, kiedy wracać do domu. Z jednej strony minęło już sporo czasu, a z drugiej miał jeszcze mnóstwo naboju na handel, no i niezbyt wiele zobaczył. Miał jeszcze siły i postanowił, że jakiś czas zostanie w mieście. Martwiła go tylko myśl, że program mógł się okazać niewypałem i po przyjeździe dostanie marnych kilka groszy i wypowiedzenie.

– Mogę usiąść? – Willy zjawił się jakby znikąd i podał Timurowi kawałek kukurydzianego placka pieczonego na ściance piecyka.

– Jasne, siadaj.

– Skąd dokładnie przyszedłeś?

– Z Kanady, byłeś tam kiedyś?

– Urodziłem się nad rzeką Klamath i tu pewnie zdechnę. – Chińczyk westchnął głęboko, jakby był zmęczony. – Nie rozumiem cię. Masz broń, sporo dobrych naboń. – Timur w sumie i tak podejrzewał, że Willy przesuwa jego rzeczy. – Po co skazywać się na mieszkanie w takim miejscu?

– Twoi przodkowie, chińscy mędrcy...

– Nie jestem Chińczykiem – powiedział Willy z naciskiem.

– Dajmy na to. Chińscy mędrcy mówili, że wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Pojmujesz?

– Nie do końca.

– Każdy człowiek chce tego, czego nie ma. Ty nie masz wolności, więc jej chcesz. Ja nie miałem spokoju.

– I tu go szukasz? – Willy uniósł ironicznie brew.

– Tutaj jeszcze nie zdarzyło się, żeby ktoś do mnie strzelał, a w nocy nie muszę bać się wilków i niedźwiedzi – wyjaśnił Timur.

Willy kiwnął głową, uznając, że coś w tym jest.

– Bardzo jesteś do niego przywiązany? – zapytał, wskazując niedbałym gestem na wiszącą na pasku rewolwer Denikina.

– Dosyć, a co? Chcesz kupić?

– Chciałbym, ale ty go nie chcesz sprzedać, a ja nie mam czym zapłacić. Ale to nie jest ważne. Ważne, że jak nie dziś, to jutro przyjdą tutaj strażnicy komendanta. Jak przyjdą, to może być lepiej dla ciebie, jeśli nie zobaczą u ciebie broni.

– Zabiorą ją – Timur bardziej stwierdził niż zapytał.

– Gorzej, zabiorą ciebie. Każdy kawałek żelaza, z którego da się strzelać, jest dla nich cenny jak mięso i proch, ale każdy człowiek, który umie się nim posłużyć, jest wart więcej.

– To znaczy, że wcielą mnie do straży?

– Do straży, do wojska, do poganiaczy. Może się mylę, ale według mnie tam nie pasujesz.

– Nie znasz mnie. – Timur uśmiechnął się przesadnie drapieźnie.

– Nie, ale i tak mi do nich nie pasujesz.

Wspomnienia z piekła

Nie odłożyłem broni do schowka, ale zacząłem ją nosić schowaną w torbie. Nie było to najwygodniejsze na świecie, zwłaszcza kiedy laziłem w kółko z wiadrem wody, ale postanowiłem, że nie będę mądrzejszy na siłę.

Strażnicy faktycznie przyszli. Popatrzyli tu i tam, zapytali o nowych. Pogadali ze mną parę minut, zabrali moją blaszkę, którą dostałem na granicy miasta, i dali inną: trójkątną z tłoczeniem zrobionym młotkiem.

Następnego dnia Klamath River Town pokazało mi swoje naprawdę szpetne oblicze, choć już to, co widziałem wcześniej, nie było wcale piękne. Dzień był wolny od pracy. Rano Willy zagwizdał głośno i kazał wszystkim się zebrać. Przegonił kolejkę, krzycząc coś o przydziale, wyznaczył czterech mężczyzn, żeby wszystkiego pilnowali, a reszcie, w tym mnie, kazał dokądś iść. Wszyscy, z którymi pracowałem na co dzień, zachowywali się tak, jakby mieli zaraz dostać prezent. Szliśmy wesołym korowodem przez zaułki miasta aż do sporej drewnianej obory, bardzo przypominającej te przedwojenne amerykańskie budynki gospodarcze, z tą różnicą, że była znacznie niższa.

Uformowaliśmy się w kolejkę, której część wystawała na zewnątrz. W środku cuchnęło krwią, przechadzali się tam czarni mężczyźni w skórzanych fartuchach. To byli chyba pierwsi czarnoskórzy, jakich widziałem od mojego przybycia do strefy. Byli znacznie wyżsi i lepiej zbudowani od większości mieszkańców. Wtedy jeszcze nie wiedziałem dlaczego.

Podchodziliśmy po kolei do dużej otwartej skrzyni i każdy z nas dostawał porcję mięsa, którą pakował, w co miał. Jedni w drewniane miski, inni w przedwojenne plastikowe pudełka albo czyste szmatki. Ja miałem szmatkę. Willy wcisnął mi ją w rękę, bo zobaczył, że stoję w kolejce z pustymi rękoma.

Nie każdy dostawał to samo. Jeden miał krwisty plaster, inny kawałek wątroby, a jeszcze inny strzępy jakby gulaszu. Odkąd osiadłem w mieście, nie jadłem mięsa, więc mój bryłkowaty kawałek wielkości pięści wywołał atak apetytu.

Kiedy wracaliśmy, nastroje były jeszcze lepsze. Ktoś nawet próbował śpiewać. Wtedy jeszcze wydawało mi się, że to miasto jest najbardziej cywilizowanym fragmentem strefy, na jaki kiedykolwiek się natknąłem. Gdzie indziej na tym zakazanym kontynencie istnieją władze, dni wolne i przydział mięsa?

W obozie Willy wydzielił porcje tym, którzy zostali na miejscu i w kilku różnych punktach zapłonęły ogniska. Ludzie byli dobrze przygotowani. Powyciągali pół tuzina przenośnych rusztów, poskładanych ze starych samochodowych chłodnic i innych kratek i zaczęli piec.

Do swojego ogniska zaprosiły mnie trzy kobiety i trzech mężczyzn, którzy też nosili wodę. Każdy miał w rękach kubek przegotowanej wody (niestety nie miałem

jak jej odkazić tak, żeby nikt nie widział). Przy ogniu mnie też udzielił się nastrój pikniku.

Rozmawialiśmy o pogodzie, plotkowaliśmy o ludziach, o jakichś rodzinach, które się kłóciły, parach, które się rozpadały i znowu schodziły, i cenach na targu. Gdybyśmy nie siedzieli w potarganych szmatach przy ruszcie z plażowego parasola i starej kratki wentylacyjnej, mógłbym przysiąc, że pojechałem ze znajomymi na grilla za miasto.

W końcu komisyjnie uznaliśmy mięso za upieczone i parząc języki, zaczęliśmy się wgryzać w wypieczone pseudosteki.

– Nie są takie dobre, jak ostatnio – zaczęła narzekać dziewczyna siedząca naprzeciwko Timura. Niebrzydka rudowłosa dwudziestolatka z dłońmi zniszczonymi od wiader, a cerą od słońca i wiatru.

– Najlepszych zostawiają zawsze sobie, czarne świnie – skomentował mężczyzna w średnim wieku siedzący obok. Nam się zawsze trafiają ci starzy i sflaczali.

– Tak czy inaczej, ludzkie mięso jest najlepsze – ugodowym tonem stwierdziła ruda.

– Co powiedziałaś? – zapytałem, będąc absolutnie pewnym, że się pomyliłem, i że wszyscy będą się śmiali, kiedy im powiem, co usłyszałem.

– Mówię, że ludzkie mięso jest najlepsze, lepsze niż ryby czy kury.

Nie zapanowałem nad sobą. Wcisnąłem mój solidnie już nadgryziony kawałek razem z nożem, na który był nabity, facetowi obok mnie, wstałem i nie zdążyłem odejść trzech kroków od ognia, kiedy zwymiotowałem.

Nikt jakoś szczególnie nie zareagował. Doradzili mi po prostu, żebym położył swój kawałek mięsa z powrotem na ogień, bo mógł być niedopieczony.

Następnego dnia po pracy Timur poprosił Willy'ego, żeby pozwolił mu wziąć swoje rzeczy. Skłamał, że chce naoliwić broń, i wymknął się z obozu. Postanowił, że widział już wystarczająco i najwyższy czas wracać do domu: do cywilizacji, jedzenia z dystrybutora, czystej pościeli, dobrej whisky i śmiejących się studentek w metrze.

Kiedy dotarł do granicy miasta, zatrzymał go strażnik z pistoletem maszynowym.

– Dokąd to? Pokazuj blaszkę! – Timur podniósł trójkątny kawałek metalu na wysokość oczu.

– Odwaliło ci? Wracaj do siebie.

– Idę do siebie, przyszedłem do Klamath River Town z karawaną, a teraz stąd spadam.

– Z karawaną? Kogo próbujesz zrobić w buca? Masz tutejszą blaszkę. Idź, zanim skopię ci dupę!

Groźbie towarzyszył niezbyt przyjazny ruch automatu strażnika

i jego kolegi, który stał kilka kroków dalej. Timur wycofał się i wrócił do „wodociągów”. Nikt niczego nie powiedział, ale Willy patrzył na niego spod płotu. W ciemności nie było widać wyrazu jego twarzy.

Rano Timur dostał piłę, siekierę i sporą stertę drewnianych pniaków do rozpiłowania i porąbania. Narzędzia były stare, tępe i ogólnie wyjątkowo marne. Skończył na długo po zmroku i bardziej stracił przytomność niż zasnął.

Śniło mu się dziecko ubrane w szmatę, z foliową siatką na głowie, jednym okiem zielonym, a drugim czerwonym. Płakało na wysokiej stercie kości i kawałków tłuszczu. Rano obudził się i nie pamiętał o tym śnie. Przypomniał sobie dopiero koło południa, kiedy spojrzął w krwiście czerwone oczy jednego z palaczy, który pilnował ognia pod kotłem. Wieczorem zabrał swoją broń, a patrzącemu na niego z lekkim wyrzutem Willy’emu powiedział tylko:

– Widać, że się co do mnie myliłeś.

Oczywiście nie mógł mu wyjaśnić, że tak naprawdę chce zostać strażnikiem, żeby uciec nad morze, wpakować tyłek do super nowoczesnej wojskowej kapsuły oceanicznej i wrócić do świata, o istnieniu którego ludzie w strefie nie mieli pojęcia.

Wspomnienia z piekła

Jeśli mieszkacie w bloku na obrzeżach Ganzhou i narzekacie, że wysłaliście już trzysta CV i wciąż nie macie pracy, to zapraszam was do Klamath River Town. Tutaj nie ma najmniejszego problemu, by znaleźć zajęcie.

Zagadałem do jednego strażnika, takiego, który wyglądał na trochę ważniejszego od zwykłego świszczypały. Był meksykaninem, ważył dużo więcej niż ja, ale był niższy ode mnie o głowę. Przechadzał się z ważną miną i dwoma rewolwerami w skórzanych kaburach pod pachami. Spotkałem go, jak krzyczał na jakichś ludzi, nie wiem za co.

Spojrzął na mój karabin. Był pod wyraźnym wrażeniem. Przedwojenna broń wcale nie była tak częsta. Zapytał, czy umiem coś więcej, niż go nosić. Kiwnąłem głową, robiąc moją najgroźniejszą minę i chyba udało mi się go przekonać. Kiedy szliśmy razem w głąb miasta, w stronę zabudowań na wzgórzu czy kopcu, wypytywał, skąd przyszedłem i czym się zajmowałem. Gładko kupił historię o Kanadzie, polowaniach i małej osadzie nad wodospadem, w której zachowały się narzędzia do wyrobu amunicji.

Meksykański „oficer” zabrał mnie do czegoś w rodzaju koszar. W długiej drewnianej chacie, znacznie lepszej od typowych dla tego miejsca szałasów, rzędami leżały posłania, na których odpoczywali strażnicy. Na środku płonął ogień, a całość wyglądała zupełnie jak chata wikingów z historycznych seriali.

Na każdym posłaniu leżała jakaś świnia, nazywanie ich ludźmi nie przechodziło mi przez myśl. Byli, jak na miejscowe standardy, utuczeni, co kojarzyło mi się wyłącznie z „przydziałem”, łysi, brzydcy i prymitywni. Pomyślałem wtedy, że już wiem, jak się czuje człowiek wchodzący do rosyjskiej kolonii karno-resocjalizacyjnej.

Wszyscy gapili się na mnie jak na kawałek mięsa, a w tym miejscu nabierało to posępnego znaczenia. Meksykanin pokazał mi posłanie i powiedział, że rano ktoś mi powie, co robić.

Po całodzienniej harówce przy drewnie nie powinienem teoretycznie mieć problemu z zaśnięciem, ale jakoś nie mogłem się zmusić. Zamiast tego wyczyściłem dokładnie karabin i rewolwer, równocześnie rozglądając się po sali. Muszę przyznać, że byłem zaskoczony. W mieście zauważyłem, że każdy strażnik chodził z przedwojenną bronią palną. Tutaj jednak miał ją może co dziesiąty. Reszta przy posłaniach trzymała łuki, maczety i samopały miejscowej produkcji, bardzo przypominające to, czym walczone w siedemnastowiecznej Europie. Widać najlepszą broń dostawali tylko na czas służby.

W końcu, może po godzinie takiego przewracania się z boku na bok, udało mi się zasnąć.

Rano obudziły Timura głośne rozmowy i zamieszanie. Jedni strażnicy wchodzili do środka, inni wstawali i wychodzili. Ludzie wymieniali się bronią, rozmawiali. Uznał, że też nie będzie się wylegiwał. Wstał, zebrał rzeczy i kiedy był już niemal gotowy, usłyszał, jak ktoś woła:

– E, gdzie ten nowy, kurwa? Nie mam całego dnia.

Zniecierpliwiony facet miał postawę drwala, siwe włosy opadające na ramiona i skórzaną opaskę na oku.

– Kurwa – zaklął, spluwając na bok. – Zabiłeś ty kiedy kogo, dzieciaku? Nie potrzeba mi tu ciot.

– Zdarzyło się – odparł spokojnie Timur.

– Wątpię. Wyglądasz mi na delikatnego chłopca.

– Sam jesteś delikatny chłopiec. – Timur splunął, modląc się jednocześnie, żeby agresywna postawa była dokładnie tym, czego się po nim spodziewano.

Stary był cwany lisem, uderzył szybko łokciem od dołu, celując w szczękę Timura, który jednak spodziewał się ataku. Odchylił się do tyłu, jednocześnie uniósł kolano niemal na wysokość mostka

i wypchnął stopę do przodu, trafiając atakującego w brzuch. Nogę, którą kopał, opuścił z przodu, robiąc tym samym krok, i z rozpędu trzasnął prawym prostym w siwy łeb.

Ludzie w baraku obserwowali krótką walkę w milczeniu. Jednooki wstał z podłogi i splunął. Był jednocześnie wściekły i zadowolony. Timur rozstawił nogi szerzej i rozejrzał się wokół. Był niemal pewien, że na tym się nie skończy. W pojedynkę powinien poradzić sobie z większością z nich, w strefie nie uczyli współczesnych wojskowych systemów walki wręcz, ale już dwóch stanowiłoby problem, a cały barak uzbrojonych zakapiorów to zdecydowanie zbyt wiele.

– Jimmy, weźmiesz nowego na obchód. Pokaż mu magazyn – przemówił w końcu stary, przerywając niezręczną ciszę. – A ty, synu, masz szansę przeżyć tu dłużej niż dzień.

Timura zawołał wysoki łyсы chłopak, który wyglądał na dwadzieścia pięć lat, ale w strefie mogło to oznaczać, że ma osiemnaście. Za szerokim pasem ze szmaty miał pistolet i pałkę zrobioną z kawałka grubego kabla. Lodówkę-plecak schowali w zamykanej na klucz szopie, pilnowanej przez starszego faceta z krótkim samopalem. Potem ruszyli w miasto.

– Co będziemy robić? – Timur zdecydował się zapytać, kiedy wmieszali się już w tłum.

– To co zawsze, pochodzimy sobie, zajrzemy tu i tam. Sprawdzimy, czy nikt się nie objaja i czy nikt nie robi sobie krzywdy.

Do tej pory Denikin widział jedynie niewielki ułamek miasta. Nigdy wcześniej nie był na przykład na targu niewolników. Zobaczył tutaj, jak w zagrodach i klatkach gnieździł się ludzie posortowani według płci, wieku i postury. Młodzi, barczyści mężczyźni siedzieli za kratami z prętów zbrojeniowych. Młode kobiety z rękoma i nogami związanymi drutem stały wzdłuż alejki, a kupcy z jakiejś karawany ściskali ich pośladki i rechotali, targując się z czarnoskórym handlarzem.

Niewolnicy mieli puste spojrzenia, ale nie wyglądali na nieszczęśliwych, sprawiali raczej wrażenie ludzi cieszących się krótkim wypoczynkiem.

– Skąd ich bierzecie? – Timur zapytał Jimmiego, który milczał jak zakłęty.

– Łapią ich za miastem, kupują. Jak wszędzie. – Na tym wyjaśnienia się skończyły.

Przez większą część dnia nie działo się nic specjalnego. Raz tylko Jimmy uderzył w twarz jakiegoś starszego człowieka za to, że ten nie dość energicznie pielął grządkę. W pierwszym odruchu Timur aż się wzdrygnął, ale potem pomyślał, że stary faktycznie robił swoje dość niemrawo.

– Nie jesteś z River Town, nie?

– Przyjechałem z karawaną.

– Jak tam jest?

– Tam, czyli gdzie?

– No, za fosą. – Jimmy machnął ręką lekko rozdrażniony.

– Różnie. Możesz całe życie iść przed siebie i zawsze będziesz miał przed sobą jakieś miejsca, w których jeszcze nie byłeś.

– A w innych miastach? – ciągnął chłopak, którego Timur nie posądzał o taką ciekawość świata.

– Byłem tylko w niedużych osadach. Nie znam innych miast.

– Są inne. Wysyłamy tam karawany. Do Sara Falls i do Cago. Ale nigdy tam nie byłem.

Pokręcili się jeszcze trochę i mieli wracać, kiedy Timur usłyszał kobiecy krzyk. Niedaleko. Rzucili się obaj w tamtą stronę, wywracając po drodze lichy szafas z arkuszy pleksiglasu pomalowanych dawno temu granatową farbą. Przeskoczyli przez grządkę kukurydzy, pokonali jakieś czterdzieści metrów ścieżką i znaleźli się na placyku utworzonym przez domki ustawione w podkowę. We dwóch zajęli niemal całą wolną przestrzeń. Obok nich stała młoda dziewczyna. Miała jakieś piętnaście lat, ciemną, latynoską karnację i włosy schowane pod całkiem wyblakłą od słońca przedwojenną czapkę. Płakała. Jimmy chwycił ją za ramiona i zapytał, co się stało. Pokręciła głową i wyszeptała: „Nic”, ale jej wzrok powędrował w stronę jednego z szafasów.

Zakrywająca wejście skóra była odrzucona na dach, a w środku było widać ogromnego czarnego mężczyznę, pod którym pobłyskiwało jakieś jaśniejsze ciało. Dziewczyna była bardzo drobna, próbowała się wyrwać, ale jej oprawca był przynajmniej dwa razy taki jak ona. Timur wyciągnął broń i był absolutnie pewien, że kula z jego dziewiętnastki za najdalej cztery sekundy przewierci gwałcielowi czaszkę. Kiedy już celował, Jimmy złapał go za rękę i podniósł ją do góry, a drugą dłonią złapał go za szyję.

– Ty, kurwa, co?
– Zabiję skurwysyna.
– Milcz – wysyczał chłopak. Pociągnął bezwolnego ze zdziwienia Denikina ścieżką między szalasy i grządki. – Pojechało cię? – zaczął Jimmy.
– Nie widziałeś? Gwałcił ją i...
– I tę drugą też zgwałci, a jutro dorwie kolejne dwie – dokończył za niego chłopak. – On jest czarny.
– I?
– To ich miasto. Jeszcze się nie skapnałeś? Każdy czarny należy do Plemienia. Księżę należy do Plemienia. Wszystko tu jest ich. Ty, ja i tamte dwie dziwki. Będiesz dobrym psem, to też dostaniesz dziwkę. A będziesz gryzł nie tego, co trzeba, to skończysz jako przydział.

*

– Jakieś dziewięćdziesiąt dni.
– Co dziewięćdziesiąt dni?
– Szczerba pytał, ile już jestem strażnikiem.
– A, i jak? Podoba ci się takie życie?
– Bywało gorzej.
– W nocy przed wyjazdem dopadłem taką sukę, mówię wam – zaczął mówić Wysoki Steve, zwany też Dziupłą. – Widziałem, jak się objaja. Poszła, że niby za potrzebą i dawaj, siadła se i przysypia. No to ja do niej i ona mi mówi...
Timur uznał, że chyba też woli udać, że musi za potrzebą, niż słuchać dalej. Odkąd opuścili River Town, słyszał tylko o nierobach i „uległych” dziwkach. Zbierało mu się na wymioty. Nie miał zresztą głowy do głupich opowieści. W mieście spędził ponad trzy miesiące. Razem w zakazanej strefie był już pięć. Bateria w kamerze ukrytej za lusterkiem musiała się skończyć dawno temu. Od miesiąca pił miejscową wodę bez żadnych uzdatniaczy. Tydzień chorował. Teraz kurczowo trzymał się myśli, że w Szanghaju śledzą jego pozycję przez podskórny chip z lokalizatorem. A jeśli śledzą, to widzą, że zbliża się do morza. Z każdym dniem jest coraz bliżej. Jeszcze tylko dwie doby i wsiądzie do ciepłej, czystej kapsuły oceanicznej. Zrzuci z siebie tę przeklętą lodówkę, zje pół kilograma słodkiego waniliowego

koncentratu, włączy sobie muzykę i nałoży maskę z usypiającym gazem. Co noc śniło mu się, że spaceruje po swojej ulicy, je smażony makaron w budce na rogu i plotkuje z kobietą wyprowadzającą psa, a kiedy się budził...

– Wstawać panienki. Nie mamy całego dnia – krzyknął postawny czarny, jedyny z Plemienia, który brał udział w ich wyprawie. – Jimmy, weź Tima i idźcie na zwiad. Ze trzy mile drogą do przodu. Jeśli wszystko będzie w porządku, czekajcie tam na nas.

– Tak jest – Denikin mruknął, zebrał swoje rzeczy i nie oglądając się na towarzyszy, ruszył wzdłuż drogi. Jimmy jeszcze się zbierał, ale szybko go dogonił.

Trudno powiedzieć, żeby się zaprzyjaźnili, ale chłopak był o jeden odcień mniej obrzydliwy od całej reszty straży, co nie czyniło go ani trochę podobnym do człowieka.

– Powoli dochodzimy – zaczął Jimmy, kiedy byli już dość daleko. – Dziś wieczorem będziemy na miejscu.

– Byłeś tu kiedyś?

– Nie, nigdy nie wychodziłem z River Town. Ale robi się coraz bardziej płasko. Zbliżamy się do oceanu.

– A ta osada jest daleko od wybrzeża?

– Nie wiem, Tim, mówią że niedaleko. Ale mogłaby stać nawet przy samej wodzie, i tak nie będzie czasu na podziwianie widoków.

– Wiem.

Szli starą drogą zarośniętą przez krzaki. Asfalt zmienił się już niemal w kruszywo zmielone przez korzenie. Opadłe liście grubym dywanem zaścielały ziemię. Każdy ich krok wywoływał głośny szelest, ale się tym nie przejmowali. Z nieba lał się zimny deszcz, który i tak wszystko zagłuszał.

– Słuchaj, lubisz życie w River Town? – zapytał Timur.

– Nienawidzę.

– A jakbym ci powiedział, że możemy uciec?

– To bym powiedział, że jesteś kretynem.

– Moi ludzie będą na mnie czekać na wybrzeżu, pomogą. – Jimmy spojrzał na niego podejrzliwie, wyglądał, jakby zupełnie serio uznał Denikina za wariata. – Mają łódź. Możemy wrócić do Kanady, tam skąd przyszedłem. Tam jest lepiej niż tutaj, nie było bomb atomowych, jest więcej jedzenia.

– Wariat jesteś. Lepiej się zamknij.

Timur się stropił. Bał się, że jeśli ucieknie sam, Jimmy się zorientuje i na niego doniesie. Chciał go mieć po swojej stronie, nawet jeśli to miało oznaczać zabranie go do Chin. Trudno. Kilka lat więzienia za takie naruszenie jest warte wydostania się ze Strefy.

– Jimmy, daj mi dokończyć.

– Tim, słuchaj. Obiliśmy niejednego lenia i skopaliśmy kilku chojraków karawaniarzy. Nie wydałeś mnie, jak dmuchnąłem dziwkę kowala. OK, ale jak zaraz nie przestaniesz opowiadać bzdur, to ci po prostu jebnę.

Timur zamilkł.

Zobaczyli z daleka czterech ludzi przy ognisku w starym magazynie, którego przednia ściana była całkiem zawalona. Byli widoczni jak na dłoni. Jeden miał stary myśliwski karabin. Reszta drewniane łuki. Powojenne, ale i tak groźne. Timur z Jimmym podchodzili coraz bliżej, przemykając przez zarośnięte osiedle przyczep kempingowych. Przeskoczyli przez drogę, trzymając się blisko ziemi i schowali za pordzewiałymi autobusami szkolnymi, które stały przed magazynem w równym rzędzie. Przed nimi było dwadzieścia metrów zarośniętego niską trawą parkingu, a dalej budynek, w którym tamci schowali się przed deszczem.

– Myślisz, że są z tej osady? – zapytał Jimmy szeptem.

– Spodziewają się nas – stwierdził Timur. – W końcu wiedzą, że nasz ksiązę nie lubi dłużników.

– Taaa. Czekamy na resztę czy damy radę?

– Damy radę. Jednego bierzemy żywego.

Timur z karabinem został za autobusem i osłaniał Jimmy'ego, który miał Winchestera 1912 załadowanego miejscowymi nabojami z marnej jakości bawełny strzelniczej i żwiru. Timur jeszcze nie widział tej broni w akcji, ale podejrzewał, że było to dość żałosne widowisko dla kogoś przyzwyczajonego do nowoczesnych standardów.

Chłopak był już przy rogu magazynu, w każdej chwili mógł się wychylić i strzelić. Dał znak Timurowi, który wzdrygając się, padł na mokrą ziemię i zaczął się czołgać. Wlażł pod autobus, wycelował. Kiedy składał się do strzału, myślał o wietrze, grawitacji, odległości od celu. Myśli o tym, że celuje do żywej istoty, która ma plany na przyszłość, bliskich i boi się śmierci, starał się trzymać na dystans.

Huk. Półpłaszczowa kula karabinowa przebiła cienkie ubranie i wygłodzone ciało, nie napotykając oporu. Ten z karabinem osunął się twarzą w ognisko, reszta wstała, gorączkowo kręcąc głowami i unosząc broń. Kolejny huk. Dziesiątki drobnych kamyków wyleciało ze strzelby Jimmy'ego i następny padł, trzymając się za twarz i krzycząc. Oddali jeszcze dwa strzały i podeszli do mężczyzn przy ognisku. Dwóch powoli konało z przestrzelonymi klatkami piersiowymi. Jeden trzymał się za twarz i wył, ostatni miał przestrzelony obojczyk. Jimmy spokojnie odwrócił wyjącego na brzuch i wbił mu nóż kuchenny w kark. Timur w tym czasie wsuwał jednemu z leżących szmatę w palce i kazał ją dociskać do rany. Oczami wyobraźni widział już Hongkong i sklep spożywczy z czekoladowymi batonikami. Pomimo deszczu i ogniska wyraźnie czuć było zapach oceanu.

– Weźmy twojego – powiedział Jimmy, dobijając trzeciego z rannych – i wracajmy na drogę. Nasi powinni niedługo do nas dobić.

– Przesłuchamy go?

– A niby po co? Czarny się tym zajmie. Jego miód, jego pszczoły.

– Jak chcesz.

Cofnęli się na drogę numer 199, schowali w krzakach i przeżuwając kawałki jakiegoś dzikiego ptaka, czekali na karawanę z River Town. Składała się z dwóch wozów zaprzężonych w konie, na których jechało dwudziestu strażników. Cały ich towar mieścił się w kaburach i pochwach.

– Znaleźli co? – czarny zapytał ich szorstko.

– Tam w magazynie mieli posterunek. Złapaliśmy jednego. Leży w krzakach. – Jimmy machnął na zarośla.

– Dobrze. Przynieście mi go tu.

Jeszcze tego samego wieczora minęli ruiny więzienia i znaleźli się przy osadzie. Miała mur zrobiony ze starych samochodów, po którym przechadzali się ludzie. Dookoła rozciągały się puste teraz pola, na których niemal na pewno wiosną i latem rosła kukurydza. W świetle księżyca i gwiazd widać było bardzo niewiele. Okolica musiała być delikatnie radioaktywna, bo podskórny chip z dozymetrem zaczął się nagrzewać, ledwie wyczuwalnie, ale wystarczająco, żeby wlać w serce Timura nadzieję. Skoro chip działa, to lokalizator też musi działać. W Szanghaju muszą widzieć, że zbliża się do wybrzeża, muszą...

Czarny zebrał ich wokół siebie pomiędzy wozami. Konie przywiązali

do drzew dwieście metrów dalej, żeby ich rżenie nie zaalarmowało miejscowych.

– Słuchajcie mnie, plugawe ścierwa. To karna ekspedycja, ale książę nie chce ich zniszczyć, tylko zgnoić, rozumiecie? – Splunął. – Wejdziemy tam tuż przed świtem. Z bronią gotową, ale nie strzelać mi do nikogo. Mają nam wydać zaległy towar, a potem wybierzemy sobie trochę niewolników i spadamy. A jak któryś z nich będzie chciał się wydurniać i stawiać, możecie strzelać.

Wszyscy zgodnie pokiwali głowami.

Noc minęła spokojnie. Ludzi nie męczyły koszmary. Nie wiercili się, nie przewracali z boku na bok. Timur też się nie męczył. Wiedział, że nie zaśnie, więc zgłosił się na wartę. Siedział na wozie, podpierając się karabinem i próbując nie zwracać uwagi na siąpiący deszcz.

Nad ranem zebrali się w ciszy. Zostawili wozy i konie i ruszyli zwartą kolumną w stronę furty osady. Niemal natychmiast usłyszeli krzyki wartowników, ale nikt nie strzelał. Miejscowi bali się otworzyć ogień pierwsi. Może mieli nadzieję, że uda im się wymigać tanim kosztem, a może po prostu bali się zdradzić, że ich broń jest pordzewiała i że nie mają nawet jednego dobrego naboju?

Strażnicy weszli do osady nie niepokojeni. Jak w całej strefie, choć wokół były miliony mil kwadratowych ugorów, w ludzkim osiedlu panowała ciasnota. Wszystkie izby przylegały do murów, a na środku był niewielki placyk z płytką studnią. Wkroczyli pewnie i otoczyli cembrowinę ciasnym kołem z bronią zwróconą na zewnątrz. Z chatynek patrzyło na nich może z pięćdziesiąt par oczu. Z murów jeszcze pięć.

– Przybyliśmy od naszego pana, księcia River Town – czarny krzyczał uroczystym tonem. Wyglądał jak żywcem wyjęty z historycznego spektaklu. – Znacie nasze prawa. Wiecie, jakie są wasze obowiązki. – Odpowiedziała mu cisza. – Trzydzieści dni temu miała do nas dotrzeć karawana z jedzeniem, drewnem i solą. Gdzie ona jest?

Nikt nie odważył się wypowiedzieć nawet jednego słowa. Timur widział, jak mężczyźni spychają kobiety i dzieci w głąb lichych chatynek.

– Kto tu jest szefem? – krzyknął w końcu czarny tak, że nawet jego ludzie skulili się ze strachu.

– To ja – z muru przemówił w końcu młody, ale już posiwiwały

mężczyzna, trzymający przedwojenną strzelbę z pękniętą kolbą.

– Gdzie karawana?

– Wysłaliśmy ją, ale przepadła.

– Nie łzyj! – Czarny podniósł ostrzegawczo palec.

– Spóźniliśmy się. Zbiory były słabe. Piętnaście dni temu nasz wóz ruszył do miasta. Pewnie jeszcze nie dotarł...

– Milcz! Jeśli wysłaliście karawanę, to po co wystawiliście wartę na drodze? Spodziewaliście się gniewu miasta!

– Nie, panie – próbował jeszcze sobie pomóc, ale głos go zdradził.

– Zostaniecie ukarani – teraz czarny mówił bez gniewu, raczej jak księgowy, który stwierdza niedopłatę podatku. – Wyprowadźcie z tych chatynek wszystkie swoje baby. Będziemy wybierać.

Timur zobaczył, jak wódz osady cofa się o krok i łapie za brodę – nienaturalnie. To był sygnał. Cofnął się w głąb tłumu strażników na sekundę przed tym, jak kilka strzał wystrzelonych zza muru, przez szpary i otwory z wizgiem wbiło się w jego kolegów.

Otwarli ogień. Walka była zażarta i chaotyczna. Strażnicy rozbiegli się, szukając schronienia i strzelając gdzie popadnie. W tym czasie kolejne strzały położyły trzecią część z nich. Timur nie umiał ocenić, ilu zginęło obrońców. Sam trafił jednego z rewolweru, ale co się z nim stało?

Gwałtowny ostrzał zmusił ich do ucieczki przez bramę. Wybiegli w beładnym szyku. Po drodze kolejnych dwóch strażników powaliły lecące z góry kamienie. Padli na ziemię jakieś pięćdziesiąt metrów od osady. Pojedyncze strzały wciąż nadlatywały, ale obrońcy tracili zapal i zaczęli się przegrupowywać.

– Ja wam dam, białe kurwy, nędzni ciułacze zasrani – wymamrotał czarny.

Pogrzebał w skórzaney torbie zawieszoney przy pasie i wyciągnął dwa cylindryczne przedmioty wielkości pięści, w których Timur od razu rozpoznał granaty. Wstał i po krótkim rozbiegu rzucił jeden, a potem po kolejnych kilku krokach drugi. Czarny miał potężne ciało, nic dziwnego, w końcu jadł mięso. Oba granaty przeleciały ponad murem ze starych samochodów. Usłyszeli huk i dwa pióropusze dymu wzbity się w powietrze. To był biały fosfor. Skóry, bawełniane tkaniny, drewno, ludzkie ciało – w osadzie wszystko zaczęło płonąć. W ataku paniki mieszkańcy wybiegli za bramę. Wielu padało na ziemię, wciąż

płonąc jak pochodnie. Czarny odwrócił się do swoich ludzi i powiedział krótko:

– Mężczyzn zabić, oszczędzać naboje.

Pozostałych przy życiu dziesięciu strażników spokojnie i metodycznie dobiło ocalałych, których wola walki ulotniła się w kilka chwil. Timur też pobiegł. Kiedy tuż przed nim przebiegał mężczyzna w tłących się spodniach, uderzył go kolbą karabinu w twarz. Potem pchnął nią jakiegoś podrostka, może szesnastoletniego, biegnącego z łukiem. Widział, jak jego koledzy powalali kobiety na ziemię i przytrzymywali obcasami, wciąż bijąc ludzi wokół maczetami, pałkami i kolbami.

Timur uznał, że nadszedł właściwy moment. Zaczął obchodzić osadę z prawej strony, starając się robić to niepostrzeżenie. Nie miał pojęcia, jak daleko jest do oceanu, ale pojawiające się od czasu do czasu mewy dawały nadzieję. Rzeź już prawie zniknęła mu z oczu, kiedy usłyszał krzyk. Po głosie rozpoznał, że to czarny. Szedł za nim z dwoma strażnikami.

– Dokąd się wybierasz chłopcze? – krzyknął spokojnym głębokim barytonem i jednocześnie zaczął podnosić rękę z pistoletem.

Timur wolał nie sprawdzać na własnej skórze, czy czarny ma porządne przedwojenne naboje i zaczął biec. Zanim zrobił kilka kroków, usłyszał dźwięk, jaki wydaje pięść uderzająca w ludzką twarz, a potem noga trafiająca w brzuch. Obejrzał się i zobaczył, że Jimmy biegnie w jego stronę, a czarny i tamci dwaj leżą na ziemi. Zrównali się i ruszyli pędem. Przez pierwszy kilometr biegło im się lekko, ale potem obu dopadło zmęczenie i zwolnili.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał Jimmy'ego, sapiąc.

– Kurwa, nie wiem.

– To pomyśl.

– Nie wierzyłem ci, ale poszedłeś. Czyli coś w tym musi być.

– Jest, ale najpierw musimy dotrzeć do wybrzeża, a to może wcale nie być proste.

Jimmy obejrzał się odruchowo za siebie.

– Mówisz o tamtych? Będą nas ścigać, duży ciemny nie odpuści.

– Wiem, ale jeśli moi ludzie nie zawiodą, będziemy bezpieczni, jak tylko dotrzemy na plażę. – Sam w to nie wierzył, ale i tak to go uspokoiło.

Szli na przełaj. Dawne pola uprawne przez dekady zarosły wysoką

trawą i krępymi, rzadkimi drzewkami. Teren był rozmokły od deszczu, szło się jak przez bagno. Każdy krok męczył i obaj cały czas sapali, nie mogąc wykrztusić słowa. Uciekali już dobrą godzinę i wydawało się, że zostawili pogoń daleko w tyle, kiedy wiatr przygnał do nich ledwo rozpoznawalne słowa. Przyspieszyli. Żaby uskakiwały im spod nóg z niezadowolonym rechotem. Choć było zimno, pot płynął im po czołach i mieszał się z deszczem. Dawali z siebie wszystko, ale głosy z każdą chwilą wydawały się coraz bliższe.

Na plażę niemal wbiegli. Ocean przed nimi miał kolor stali i był tylko o jeden odcień ciemniejszy od nieba. Na szczytach fal biało błyskała piana. Piasek, na którym od pokoleń nikt nie położył piknikowego kosza, był szary, smutny i bardzo brzydki. W tym momencie na czymś ekranie kropka oznaczająca pozycję mikronadajnika przesunęła się na wąski i jasny pas plaży. Timur miał nadzieję, że operator dał znać człowiekowi kierującemu oceaniczną kapsułą, a ten wcisnął przycisk odpowiedzialny za inicjalizację wynurzenia. Kapsuła musiała być blisko i płytko. Tutaj nic jej nie groziło. Powinna się wynurzyć dosłownie teraz...

W napięciu minęło całe dwadzieścia minut. Timur nerwowo wodził wzrokiem po falach. Jimmy odwrócił się i zapytał:

– I co? Gdzie są twoi ludzie?

– Zaraz na pewno... – nie dokończył.

Poczuł silne uderzenie w plecy, nie bardzo bolesne. Ból przyszedł dopiero po kilkunastu sekundach. Kula przeszła na wylot. „Na szczęście pełnopłaszczowa” – zdążył pomyśleć i osunął się na kolana, a potem uderzył twarzą w smutny, szary piach, w który od tak dawna nikt nie wbił nóżki parasola.

Część III

Przez dłuższy czas Timur miotał się między jawą a snem, odczuwając jedynie ból i strach. Ostatecznie obudził go ból pleców, promieniujący aż do kolan i dłoni. Nie mógł się ruszać, ale nie dlatego, że był związany. Po prostu kompletnie nie miał siły. Czuł gorączkę, nie miał pojęcia, gdzie jest, ale było mu bardzo zimno i źle. Czuł, jakby mijały lata, liczone niczym koraliki na szyi wiejskiej dziewczuchy z przedmieść Hongkongu. Za każdym razem, kiedy otwierał oczy, witała go ciemność, straszna i mściwa.

Młody szcurek miał przyjazny pyszczek i krótkie łapy. Zbliżył się do twarzy Timura zupełnie tak, jakby chciał zapytać, czy nie zrobić mu herbaty. Przyjaznym, niemal ludzkim gestem położył mu łapkę na policzku, potem uciekł w mrok.

– Ależ tu cuchnie – wycharczał jakiś człowiek. – Kurwiec sra pod siebie jak bydłę. – miał bardzo szorstki, zgrzytliwy głos. Trochę tak, jakby jego struny głosowe były z zardzewiałego żelaza. – Masz szczęście, kolego, że kazali ci żyć. Ale może byłoby lepiej, jakbyś tu zdechł? Pomyśl o tym.

Jakieś ręce chwyciły go pod pachy i postawiły na nogi. Był pewien, że nie da rady ustać, ale jednak mu się udało, a kiedy czyjaś dłoń popchnęła go w plecy, poszedł do przodu, nie otwierając napuchniętych oczu.

Przez zamknięte powieki odczuł, że wyszli na słońce. Było gorąco i sucho. Już samo to było przyjemne. Dłuższą chwilę się tym rozkoszował. Postanowił w końcu otworzyć oczy. Ten, co wyciągnął go z lochu, celi czy skądkolwiek indziej, był biały. Teraz zbliżał się do niego z wiadrzem wody. Była zimna, a kiedy chlusnął, Timur ledwie utrzymał się na nogach.

Po trzech wiadrach i krótkiej pogadance, dwóch członków Plemienia poprowadziło go po schodach do góry. Przez opuchnięte oczy Denikin nie widział wiele, patrzył tylko pod nogi, żeby się nie potknąć. Uszli może ze dwieście metrów po łuku i weszli do dużej sali, w której posadzili go na taborecie. Ręce związali mu drutem, którego końcówki docisnęli szczypcami i w ten sam sposób przywiązali nogi do solidnych, drewnianych nóżek stołka, a potem wyszli.

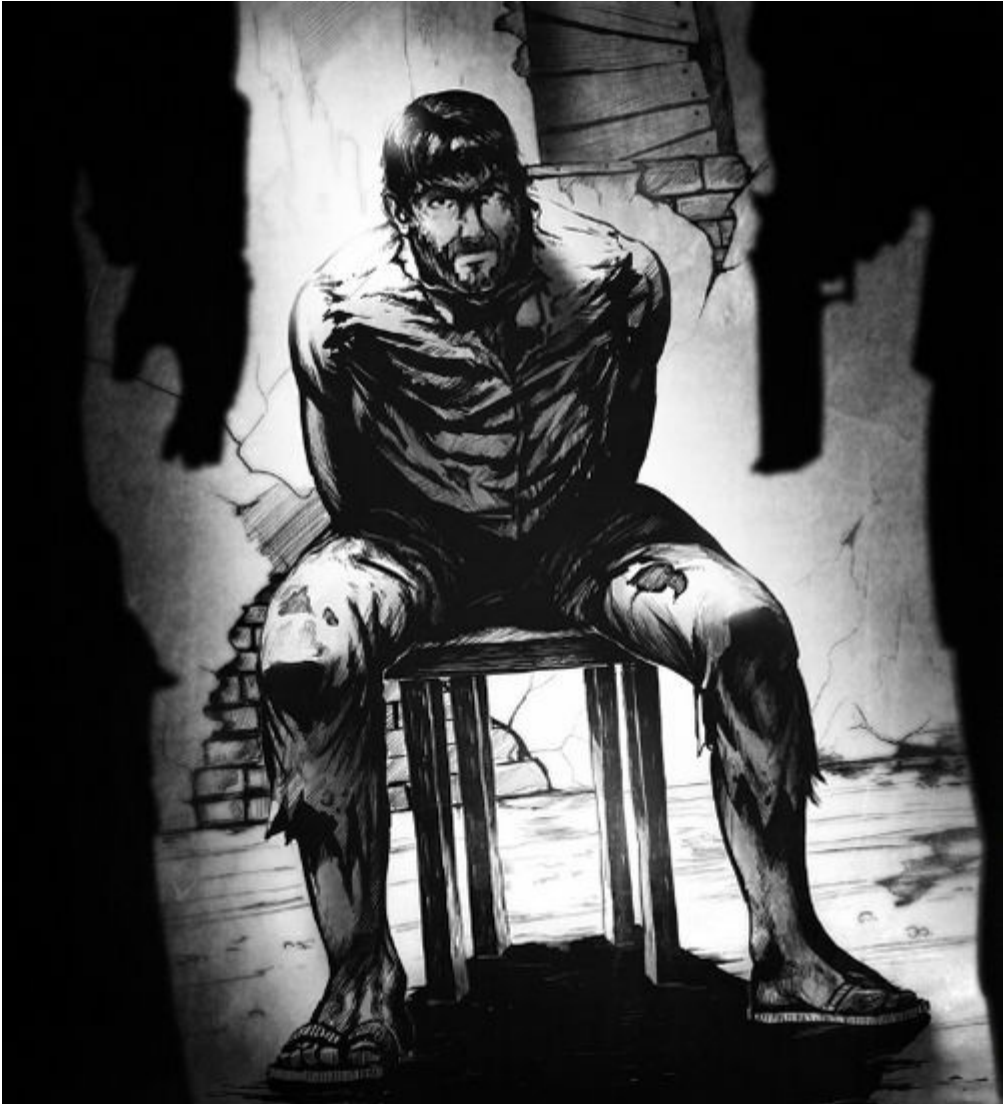
Timur zamknął oczy i czekał. Dopiero teraz, wyrwany z marazmu poczuł, że ból promieniuje z lewej łopatki. „Tam musieli mnie trafić” – pomyślał. Oprócz tego był chyba po prostu bardzo słaby. Czuł prawdziwy głód, taki, przy którym na nowo odkrywał znaczenie tego słowa. Miał ochotę przekręcić głowę i odgryźć sobie kawałek ramienia.

Usłyszał kroki, podniósł głowę. W jego stronę szło dwóch mężczyzn. Jeden był wysoki, chudy, biały i kompletnie pozbawiony owłosienia. Nie miał włosów, brwi, rzęs, niczego. Oczy miał lekko różowawe, a przez twarz przechodziło kilka szpetnych blizn. Nie takich filmowych, które przypominają o dawnych wyczynach i dodają męskości, przeciwnie – obrzydliwych i szpetnych. Drugi był czarny. Na szyi miał zawieszony pas z ogromnymi nabojami, był zarośnięty i brodaty. Obaj ubrani byli w bawełniane bluzy i skórzane kamizelki z kaburami na pasach. Rozsiedli się przed Timurem wygodnie i patrzyli na niego, jak na rzadki eksponat muzealny.

– No dobrze, chłopcze – ciepłym i głębokim barytonem odezwał się ten z nabojami na szyi. – Opowiedz nam o świecie za wodą.

Timur nie zrozumiał, o czym on mówi. Spojrzał na niego, starając się otworzyć szerzej oczy, ale szybko rozboleł go kark.

– Myślisz, że nie dostałeś jedzenia od dwóch dni, bo nam go brakuje? A może sądzisz, że jestem niegościnnie? – Czarny rozłożył ręce w szerokim geście. – Nie dostałeś go, bo chcę czegoś od ciebie i uważam, że chętniej mi to dasz, jeśli w zamian zaoferuję ci trochę mięsa.



– Zostaw tę kupę ścierwa, za jedzenie naopowiada ci cokolwiek tylko będziesz chciał – wtrącił biały, ale jego zarośnięty towarzysz nie zwrócił uwagi.

– Nie jesteś stąd, to wiem na pewno. Uciekałeś nad ocean. Chciałeś go przepłynąć?

Myśli w głowie Timura zaczęły latać jak muchy w upalne popołudnie, wolno i bez celu. Nie miał dość siły, by się skupić.

– Gadaj, kiedy ci książę pyta! – biały krzyknął, jednocześnie wstając i bijąc lewym sierpowym.

Denikin dostał w głowę i wywrócił się razem z taboretem na ziemię. Słyszał potem, jak książę klóci się o coś z łysym i poczuł, że wyciągają

go na zewnątrz. Idąc z powrotem do celi, zorientował się, że ma na sobie swoje własne ubranie, i że nietknięte lusterko – niczym szyderstwo – wisi na jego szyi. Pod jego martwą i brudną powierzchnią tkwiła bezużyteczna kamera z wyczerpaną baterią. Wrzucili go do celi i zamknęli drzwi.

Kilka dni później znów go wyciągnęli. Do tego czasu zjadł kilka żalonych posiłków, ale wcale nie poczuł się lepiej. Tym razem w sali, która wyglądała bardziej jak wnętrze chaty wikingów niż pokój przesłuchań, był jedynie książę.

– Poznajesz to? – podstawił Timurowi pod nos dłoń z nabojami. Denikin pokiwał głową. – Tych naboji nie wyprodukowali w Kanadzie. Wiesz, skąd wiem? – Tym razem Denikin pokręcił przecząco. – Bo nie jestem głupi. Te naboje są znacznie lepsze od przedwojennych. Sprawdziłem to.

Potrząsnął garścią pocisków, jakby udawał dziecinną grzechotkę. Wstał, obszedł Timura dookoła i stanął mu za plecami.

– Chcesz ruszyć dalej, czy wolisz gnić w norze?

Cisza.

– Powiedz mi, czy naprawdę świat za morzem ocalał?

Cisza.

– No dobrze. Lubię o sobie myśleć, że jestem cywilizowanym człowiekiem, ale nie dajesz mi wyboru.

Timur poczuł, jak wszystkie wnętrzności uciekają gdzieś w głąb, jak szczury chowające się w norach. Do sali weszło dwóch czarnych. Obaj byli niscy, mogli mieć co najwyżej metr siedemdziesiąt. Jeden lekko kulał, a drugi miał na twarzy jakiś dziwny ropień. Uwagę Denikina bardziej przykuło jednak to, co mieli w rękach. Prymitywne obcęgi jak z komiksu o Galach, noże, igły ze zwierzęcych kości. W pierwszej chwili pomyślał, że wytrzyma, ale kiedy jeden z oprawców złapał go za rękę, a drugi siadł obok z igłą i młotkiem – pękł. Tak po prostu.

– Będę mówił – wysyczał przez gardło ściśnięte zwierzęcym strachem. I pomyślał jeszcze: „Nie oceniacie, jeśli nie przeżyliście”.

– Dobrze, dobrze – książę zatarł ręce jak wielkie dziecko, ale szybko przerwał, bo musiał gestami wygonić swoich „pomocników” z sali, a potem ułożyć się wygodnie na siedzisku z kawałka skóry rozpiętego na stelażu.

– Wspaniale! Mów!

– Jestem reporterem.

– Czym?

– Piszę artykuły do portalu internetowego.

– Jeśli się ze mnie nabijasz... – wyprostowany palec księcia znalazł się tuż przed okiem Timura, zupełnie tak, jakby miał je zamiar wybić.

– Poczekaj, jeżdżę tam, gdzie się dzieje coś ciekawego, a potem to opisuję, żeby ludzie mogli się dowiedzieć.

– Jak w książce? – niespodziewanie zapytał księżę.

– Tak.

– I przypląnąłeś do nas, żeby napisać o tym? – Zatoczył ręką wokół.

– Tak – potwierdził znowu.

– Jak się nazywa miejsce, z którego przybyłeś?

– Chiny. – Księżę kiwnął głową ze zrozumieniem. Najwyraźniej jemu ta nazwa coś mówiła.

– Czy tam też była wojna? – zapytał.

– Nie.

– Żadnych bomb atomowych? Czołgów, nalotów?

– Nie – pokręcił głową.

– Mój dziadek widział amerykańskie pociski lecące w powietrze, jak świecące gwiazdy, jak gniew Boga.

– Chińskie i rosyjskie systemy zestrzeliły je nad Pacyfikiem i Atlantykiem. Prawie wszystkie.

– Nad morzem? – uściślił władca.

– Tak.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju, stukając nerwowo kostkami dłoni o drewniane belki.

– Chciałeś tam uciec, wrócić do siebie?

– Tak.

– Wiem, że tak. Powiedz jak!

– Miałem łódź, małą na dwie osoby, nie więcej. Powinna sama mnie odnaleźć po sygnale.

– Czy ty mówisz o inteligentnej maszynie?

– W pewnym sensie – przytaknął Timur.

Wciąż był obolały i słaby. Mówienie przychodziło z pewnym trudem, ale umysł miał już trzeźwy. Po głębszym zastanowieniu uznał, że może opowiadać, co chce. Te dzikusy i tak nie przepłyną przez ocean przez kolejnych dwieście lat.

- A więc to może być prawda... Inni też tu przyjeżdżają?
- Nie, to nie jest popularny temat.
- Mów jaśniej - książkę zdenerwował się i krótkim ciosem z otwartej dłoni przypomniał Timurowi, z kim rozmawia.
- Mało ludzi chce czytać o tym, co się tutaj dzieje. Na wysyłaniu tutaj reporterów nie da się dużo zarobić.

Książkę pokiwał głową, jakby chciał sobie ułożyć to, co właśnie usłyszał.

- Zabrać mi to stąd - krzyknął, a do sali wrócili dwaj czarni, tym razem bez obcęgów i igieł.

Od tego momentu zaczęły się normalne posiłki. Od czasu do czasu dostawał nawet kawałki mięsa. Nie pytał, czy z przydziału. Był tak wygłodniały, że nie widział różnicy. Godziny mijaly jak dni. Jego cela miała trzy kroki na dwa i była jamą w ziemi wkopaną na metr w dół z niskimi ścianami z przerdzewiałej blachy falistej i dachem z ogrodzeniowej siatki.

Po ostatniej rozmowie przynieśli mu wiadro. Wcześniej używał do tego kąta przy wejściu. On sam już przywykł do smrodu, ale ci, co przynosili mu jedzenie, wciąż się wzdrygali i była to dla Denikina jedyna radość tych dni.

Czasem odwiedzały go szczury, wpadały zazwyczaj na obiad i próbowały się częstować, ale odganiał je, kopiąc i krzycząc. Wiele z nich nosiło ślady popromiennych mutacji. Były wyjątkowo duże, miały wielkie oczy i dłuższe kończyny. W ostatecznym rozrachunku wojna atomowa musiała służyć temu gatunkowi. Ocalałe po wojnie gryzonie stały się teraz prawdziwą udręką. Agresywne i zdeterminowane, kiedy nie mogły osiągnąć jedzenia, nie gardziły próbami kąsania człowieka, co wiele z nich przypląciło przetrąconym kręgosłupem. Przewaga masy wciąż była po stronie Timura, choć przez ostatnich kilka dni stracił na wadze ładnych parę kilo.

Na kolejną wizytę u księcia czekał długo, nie liczył dni, ale wydawało mu się, że przynajmniej tydzień. Tym razem wezwano go wieczorem. Książkę siedział w sali przy świetle ogniska i bawił się maczetą. Kiedy Timur został jak zwykle przywiązany do taboretu, odłożył broń i sięgnął do drewnianej skrzyni. Wyciągnął jakiś przedmiot owinięty szczelnie w dwie warstwy bawełnianej tkaniny.

- Wiesz, co to takiego?

– To książka.

– Tak, to książka. Jedyna w River Town. Może ostatnia w promieniu tysiąca mil. Większość tutejszych dałaby się za nią pokroić, a wiesz czemu? – Kiedy to mówił, chodził po pokoju z dłońmi splecionymi za plecami, co nadawało mu wygląd komiksowego łotra.

– Oświeć mnie.

– One świetnie się nadają na rozpałkę. To nie bomby atomowe i nie wojna zepchnęły nasz świat w objęcia głupoty. To zimno.

Zrobił kilka kółek wokół sali. Pod sufitem wisiała pojedyncza żarówka, migocząca słabo i dająca mniej światła niż byle jaka świeczka.

– Wielki marsz – powiedział w końcu. – Taki nosi tytuł. Czytałem ją bardzo wiele razy. Może sto? Dzięki niej wiem, że świat przed wojną był okrutnym i niezrozumiałym miejscem.

Zamilkł i znów zaczął krążyć. Denikin w tym czasie prostował i wyginał palce, próbując pobudzić krążenie blokowane przez więzy na nadgarstkach. Szło mu opornie, a ból był mocno dokuczliwy.

– Wiesz, kto przetrwał wojnę? Wielu się nad tym zastanawia, ale ja nie muszę. Pamiętam mojego dziadka. Ledwie, ale ojciec przekazał mi jego opowieści. Wiesz, kto przetrwał? Najsilniejsi? Najsprytniejsi? Uzbrojeni? Nie, nie, nie. – Timur skupiał się wciąż na swoich dłoniach.

– Przetrwali ci, którzy byli zdecydowani i mało stracili. Kiedy świat się walił, każdy myślał: „To minie, poczekajmy, a wszystko wróci do normy”. Tacy ludzie nie włamywali się na posterunki i nie kradli broni. Nie mordowali sklepikarzy i nie uciekali z ich jedzeniem w góry.

Stanął w rozkroku przy oknie, wciągnął chciwie świeże powietrze i ciągnął dalej:

– A ci co dużo mieli? – zapytał sam siebie. – Większość ludzi po wojnie się załamała. Stracili wszystko, rodzinę, bogactwo, sens. Życie do przodu musiały popychać ich dzieci i ci, którzy przed wojną nie mieli nic. Rozumiesz?

– Tak.

– Mój dziadek zebrał żebraków, więźniów, narkomanów. Tych, dla których wojna nie była końcem, a szansą na nowe życie. Byli dość zdecydowani, by przejąć całą bazę wojskową i wiesz, co zrobili?

– Nie wiem.

– Nie wyglądasz na zainteresowanego. Chyba powinienes. Kim ty

jesteś?

– Reporterem.

– Tak. Re-por-te-rem – sycił się wymową nieznanego słowa. – Zbierasz ciekawe historie. Ta nie jest ciekawa?

– Bolał mnie ręce. Twoi ludzie mocno zacisnęli druty.

– Bydlaki – powiedział z udawanym współczuciem, ale mimo szyderstwa w głosie podszedł i poluzował więzy.

– To co ty byś zrobił, jeśli miałbyś dużo ludzi, trochę broni, a wokół szalałaby wojna?

– Znalazłbym jakieś więzienie albo bazę wojskową i się zabunkrował.

– I zginąłbyś jak inne głąby – klepnął się dłonią w udo. – Mój dziadek nie był takim tępakiem. Wiedział, że ruch to życie. Krążył po kraju. Wtedy jeszcze nie brakowało benzyny, a samochody były sprawne. Jeździli ze swoją bandą po sklepach, magazynach i ładowali na ciężarówki, co się dało. Naboje, żywność, maszyny, prądnice, broń. Zbierał też kobiety, zazwyczaj siłą, i zwierzęta. A kiedy mieli już tego wszystkiego w bród, zaszyli się tutaj. – Stuknął obcasem o ziemię. – Na największym zadupiu, setki mil od miast, ale blisko drogi.

– A jakby Chińczycy tędy przejeżdżali?

– Nie twierdzę, że mój dziadek nie był farciarzem. Wiesz, po co ci to opowiadam?

– Nie wiem.

– Lubię sobie pogadać, a nie mam do kogo. Wszyscy wokół mnie to idioci. Praca wydrenowała im mózgi. Jedyne, co do nich dociera, to żarcie i sen. Nawet kobiety nie dają im rozkoszy, zaspokajają się jak zwierzęta. Ale to nie wszystko. Chcę czegoś od ciebie.

Timur nie odpowiedział. W głowie miał pustkę. Jedyne, o czym myślał, to ostatnie dni przed wyjazdem. Wracał do każdej chwili, czepiał się każdego szczegółu, szukając powodów, dla których mógłby zostać w Chinach, rzucał się na nie jak pies gończy i próbował samymi myślami zmienić przeszłość.

– Chciałbym ci też coś pokazać. Powiesz mi wszystko, co wiesz, prawda?

– Tak.

Księżę wyszedł na chwilę przed drzwi do chaty. Powiedział stojącym tam czarnym wartownikom: „Nikommu nie wolno wchodzić. Zabiję jak niewolnika”. Potem zamknął drzwi na żelazny skobel. Poszedł do

drugiej sali i chyba zszedł w dół. Denikinowi wydawało się, że słyszy stąpanie po schodach.

W końcu ksiązę wrócił, a w rękach trzymał ciężki przedmiot zawinięty w skórę. Nie było w tym póki co niczego niecodziennego. Tutaj niemal wszystko zawijali w skórę albo bawełnę. Innych metod przechowywania nie znano. Położył przedmiot na stole i podszedł do Timura. Rozgiął drut na nadgarstkach i na nogach. Razem wrócili do stołu i ksiązę zaczął rozwijać pakunek. To była ręka. Wykonana z szorstkiego w dotyku tworzywa sztucznego kończyła podobna bardziej do łapy niedźwiedzia niż człowieka. Miała dwa łokcie, które prawdopodobnie mogły się obracać i wyginać w obie strony, nadgarstek i dłoń z ośmioma palcami, w tym dwoma przeciwstawnymi na górze i na dole. Hydrauliczne siłowniki i metalowe żyłki wyglądały, jakby miały zaraz wprowadzić ją w ruch. Niektóre części były metalowe, ale większość wykonano z tworzywa.

– Co to jest? – zapytał ksiązę.

– Ręka robota – wyrzucił z siebie Timur, nawet nie myśląc nad odpowiedzią.

– Czym jest robot? – padło rzeczowe pytanie.

– Maszyna. Może być kierowana przez człowieka, a może działać sama.

– Jest inteligentna?

– Nie ma inteligentnych maszyn.

– Powiedziałeś, że może działać sama.

– Może wykonywać zadania. Szukać ludzi, strzelać do wszystkiego, co się rusza, ścinać drzewa. Ale będzie robić tylko tyle, ile jej każemy. Nie ma woli.

– Skąd wiesz?

– Gdzie to znaleźliście? – zignorował pytanie.

– Pół setki mil na południe stąd. Nasz oddział znalazł ją na drodze.

– Leżała na ziemi?

– Tak twierdzą.

– To musi być przedwojenna technika.

– Dobrze – ksiązę się uśmiechnął. – Teraz oglądaj dalej i mów wszystko, co myślisz.

– To dziwny materiał, próbowaliście go łamać, ciąć? – Ksiązę pokręcił przecząco głową. – Widzę tutaj kable, maszyna musiała być napędzana

prądem. Ten siłownik jest uszkodzony, widzę tu zaschnięty olej. Te palce wyglądają, jakby miały coś chwycić, to musiała być uniwersalna maszyna, zdolna do posługiwania się narzędziami albo bronią.

– Mów dalej.

Timur pochylił się nad ręką i zaczął się przyglądać kawałek po kawałku. Oglądał naderwane kable, rysy na tworzywie. Ten robot musiał swoje przejść.

– Widzę tutaj jakiś napis. Armalite – Papoose Lake.

– Wiesz, co to znaczy?

– Armalite to firma, producent uzbrojenia, a Papoose Lake to pewnie nazwa miejscowości.

*

Szli przez miasto gęsiego. Ścieżka była zbyt wąska, żeby iść obok siebie. Jakies sto metrów za nimi szedł łysy doradca księcia, mówili na niego po prostu Blady.

– Czemu nikt, nie wiem, nie pada na kolana, na twój widok? – Timur zapytał księcia.

– Bo to nie ja tu jestem ważny, to praca tych ludzi jest ważna. Dlatego jej nie przerywają, kiedy idę. Dostaliby za to po ryjach. – Szedł z przodu i nie odwracał się, kiedy mówił. Denikin musiał wyteżać słuch, żeby go zrozumieć.

Niebo nad miastem było szarawe i sypał z niego rzadki śnieg. Wszyscy wokół, poubierani w skóry i bawełniane poncha, uwijali się na mrozie.

– Musimy zdążyć, Tim, nie wiem, czy ty to rozumiesz, ale to jest wyścig.

– Nie rozumiem – Timur powiedział machinalnie, patrząc na ośmiolatka ze zdeformowaną przegrodą nosową, który robił haczyki do wędek z zardzewiałego drutu.

– Ten kraj był kiedyś bogaty, było tu wszystko. Było tego tak wiele, że do dziś z tego korzystamy. Bez rzeczy sprzed wojny nie przeżylibyśmy nawet dnia.

– Nie wygląda na to, produkujecie tutaj masę rzeczy.

– Bez kwasów azotowego i siarkowego nie zrobilibyśmy prochu strzelniczego, bez przedwojennych prądnic i maszyn nie zrobilibyśmy

niczego bardziej skomplikowanego niż żelazny toporek. Bez opon od ich samochodów nie mielibyśmy przyzwoitych wozów. Wymieniać dalej? Mogę cały dzień. Zanim wszystko się ostatecznie zużyje, popsuje i skończy, musimy nauczyć się sami to wszystko robić.

– A jak się nie uda?

– To czekają nas stulecia ciemnoty, zacofania i biedy.

– A co z... przydziałem? – zapytał Timur niepewnie.

– Mówisz o ludzkim mięsie?

– Tak – powiedział z wahaniem.

– Nie lubię, jak ludzie używają tego słowa. Jakby się bali przyznać, że jedzą ludzkie mięso.

Szli dalej ścieżką pomiędzy domkami i zupełnie niespodziewanie wyszli na miejską fosę, za którą ciągnęła się pustynia. Jakieś sto metrów na prawo była grobla i wejście do miasta, a przed nim plac. Wyglądał jak parking. Wraki samochodów, niektóre całkiem już zniszczone, inne trochę przykurzone, ale całe. Ludzie podzieleni na zespoły rozkładali je na kawałki, rozmontowywali maski, drzwi, wyciągali kable ze sparciałą gumą, puste akumulatory, fotele. Wszystko to potem było segregowane i dalej rozkładane na kawałki. Timur odruchowo poprawił zawieszona na szyi lustro tak, żeby lepiej objąć złomowisko kadrem.

– Wykorzystujemy wszystko. Dużo ludzi ginie w wypadkach, bójkach, na szlaku, niektórzy giną, bo chcieli nam zaszkodzić. Nie będziemy ich grzebać, mamy wystarczająco dużo pożytecznej pracy. A przecież nie zostawimy zwierzętom. Wykorzystujemy tutaj wszystko.

– To kanibalizm.

– Mądre słowo, nie znam go. – Książę stanął nad samą krawędzią fosy i tupnął trzy razy nogą w ziemię. – To na szczęście – wyjaśnił. – Chodźmy, mam do ciebie sprawę.

Wspomnienia z piekła

Książę wziął mnie wtedy do siebie i długo rozmawialiśmy, głównie o technologii. Interesowało go wszystko. Silniki, pojazdy, huty. Coś chyba notował, ale jego bazgroły mógł odczytać chyba tylko on sam. Wypytywał mnie dobrą godzinę i w końcu kazał wyruszyć w drogę. Dostałem ludzi, a moim głównym zadaniem było

gromadzenie wszystkich urządzeń i części, które mogłyby pomóc odbudować cywilizację. Miałem dotrzeć do Papoose Lake. Książę chciał znaleźć miejsce, z którego pochodziła ręka. Sądził, że powinniśmy znaleźć tam rzeczy, które pomogą im się rozwinąć. Mieliśmy oczywiście szukać także mechanicznych ludzi, świadków, śladów, opowieści. To była dobra misja powierzona nam przez złego człowieka. Co byście zrobili na moim miejscu?

*

To miasto przed wojną nazywało się Reno. Nie było duże, zwłaszcza jak na warunki tego kontynentu cierpiącego na chorobliwą miłość do wszystkiego co wielkie. Teraz jednak, dziesiątki lat po tym, kiedy wszystko stoczyło się na dno z hukiem, wysoki budynek z napisem „Eldorado”, zawieszonym nieprawdopodobnie wysoko na ścianie, robił wrażenie.

Dach budynku rozerwał wybuch, dziury w stropach kolejnych dwóch pięter zrobili ludzie. Światło, które wpadało do tej studni, oświetlało zielone liście roślin rosnących na ziemi wysypanej bezpośrednio na podłogę.

– Nie chcę – powiedziała dziewczyna, piętnastoletnia blondynka solidnej budowy, po czym rozkaszała się głośno. W płucach ją piekło.

– Zobaczysz, życie cię zaskoczy, kochanie. – Starsza o kilkanaście lat kobieta podeszła do niej i przytuliła jej głowę do piersi. – On na pewno okaże się dobrym człowiekiem.

– Nie chcę!

– Czemu ta koza się drze? – zapytał niski mężczyzna z rzadką brodą sięgającą oczu, który właśnie wszedł do pokoju. – Coś ci się nie podoba? – zapytał dziewczynę.

– Nie, tato.

– Więc zamknij w końcu ryj i złaż na dół, nie będziemy na ciebie czekać do jutra. Tamci pewnie już są w drodze. Jak będą czekać na łące spotkań, to się wkurwią.

– Masz rację, tato.

– Żegnajcie się i w drogę.

Kobiety przytuliły się do siebie mocno, nie mówiąc ani słowa. Starsza spojrzała na mężczyznę wzrokiem błagalnym i groźnym jednocześnie.

Szli w dół piętro po piętrze, nie rozmawiając ze sobą. Schody

gdzieniegdzie były spękane i wystawały z nich zbrojeniowe pręty. Wokół, jak zawsze, unosił się kwaśny odór świńskiego łajna, zbyt intensywny, by można było do niego przywyknąć. Na parterze klatki schodowej urządzona była prowizoryczna chlewnia, w której nikt nigdy nie sprzątał.

W pewnym miejscu schody się urywały. Dziura nie była duża i często po prostu przez nią przeskakiwano, ale nie tym razem. Dziewczyna ubrana była w odświętny strój z dzikiej bawełny. Nogi przykrywała jej długa do kolan spódnica, a wyżej miała na sobie przedwojenną bluzę w zielono-brązowe wzory. Tkanina była wielokrotnie cerowana i wyblakła, ale wciąż prezentowała się odświętnie. Skręcili w korytarz i ruszyli piętrem. W większości pokoi ktoś mieszkał. Ludzie wylegiwali się na podłodze, patrząc w okna, w których ciągle tkwiły podwójne szyby. Doszli do niewielkiego pomieszczenia z sześciorgiem zamkniętych stalowych drzwi od dawna nieczynnych wind. Przy ścianach siedzieli mężczyźni, pustym wzrokiem patrzyli się przed siebie, ręce mieli splecione na kolanach albo na karku. Doszli do drugiej klatki schodowej. Piętro niżej kilka kobiet rozmawiało leniwie, jakby oszczędzając słowa, przy przedzeniu dzikiej bawełny. Spojrzały oceniająco na dziewczynę w odświętnym stroju i od razu zrozumiały, co się dzieje.

- Nie daj mu się prosić – krzyknęła jedna.
- Zrób mu ustami, to nie będzie cię bił – krzyknęła kolejna.
- I tak będzie bił – poprawiła inna, kiedy tamci już poszli dalej.
- Dobrze jej, taka jeszcze młoda.

Na dole ojciec musiał przenieść córkę. Pomiędzy starymi automatami do gry kręciły się świny, a podłoga była zapaskudzona błotem i odchodami. Przed wejściem czekali czterej mężczyźni: dwóch starych i dwóch młodych.

- No, jesteście wreszcie. Chodźcie, bo nie mamy czasu – gderliwie zakomenderował jeden ze starych.

W rękach miał przedwojenny łuk z dorobioną cięciwą i strzałą z grotem z gwoździa. Dziewczyna rozkaszała się tak mocno, że aż zgięła się w pół, ale nikt na to nie zwrócił uwagi. Popchnęli ją i ruszyli. Starsi we trójkę szli z przodu. Piętnastolatka szła pomiędzy dwoma młodszymi mężczyznami, którzy wymieniali między sobą konspiracyjne spojrzenia i co chwilę niezręcznie kładli dłonie na jej pośladkach.

Zmierzali za miasto, idąc ulicami pokrytymi szarozółtym pyłem niesionym przez wiatr. Niebawem minęli rzekę i wyszli na step. Napotkali stado młodych jeleni prowadzonych przez kilka dorosłych samic i z żalem musieli przejść obok. Mieli do załatwienia sprawę i nie mogli w tym momencie zapolować. Starsi tylko wymienili znaczące spojrzenia.

– Jak sobie radzi? – jeden ze starszych zapytał ojca dziewczyny, wskazując za siebie kciukiem.

– Darła się pół nocy jak świnia, już dość miałem – powiedział ojciec.

– Nie żal ci trochę? – zapytał drugi.

– Czy ja wiem? Pożytku z niej mało, świnie jej śmierdzą, woda ciężka, a jak coś zrobi do żarcia, to nawet prosiak by tego nie tknął. Niech idzie. Dadzą jaką inną w zamian, to się chociaż pogapię, bo na swoją to tak jakoś.

– I dobrze. Wszystkie baby dają se radę, to co ta ma nie dać.

Z tyłu dotarł do nich głośny kaszel.

– Kaszle i kaszle – warknął ojciec. – Odkąd się urodziła, spać mi nie daje. Niech idzie do ludzi, dobrze jej będzie. Przecież jej nie zjedzą.

– I chłopaka dostanie.

– I dzieciaka se zrobi.

– Źle kobiecie bez rodziny.

– Niech idzie – podsumował ojciec.

Tak gawędząc, dotarli do polany spotkań. Teren był duży, delikatnie i harmonijnie pofałdowany. Były tu małe, zarośnięte stawy i łachy piasku, na którym wegetowały anemiczne żdźbła trawy. Łąkę przecinały długie rzędy starych drzew. Przeszli jeszcze jakiś kilometr, zanim zobaczyli zbliżającą się z naprzeciwka podobną grupę złożoną z sześciu mężczyzn i jednej młodej dziewczyny.

Podeszli do siebie blisko. Ojciec piętnastolatki wystąpił przed swoich, to samo uczynił mężczyzna w drugiej grupie. Podali sobie ręce i zamienili kilka grzecznych, ale pozbawionych znaczenia zdań:

– Trochę kaszle, mówi, że ją w piersiach piecze. Ma tak od urodzenia.

– Na prawej dłoni ma trzy palce. Jej matka też tak miała, ale świetnie radzi sobie lewą, bawełna, plewienie, będziecie mieli z niej pożytek.

– Doglądała świń, nosiła wodę, dobrze robi igłą, ale nie pozwalajcie jej gotować – roześmiali się.

– No to wymieniamy i do domu!

Uścisnęli ręce i poszli do swoich córek, żeby je trochę na siłę, a trochę strachem przeprowadzić do drugiej grupy. Obie dziewczyny próbowały stawiać słaby opór, jednak szybko, z rezygnacją poddały się przeznaczeniu. Mijając się, spojrzały sobie przelotnie w oczy i każda dołączyła do nowej rodziny.

Nagle z krzaków, rosnących jakieś pięćdziesiąt metrów od miejsca wymiany, rozległ się dziki okrzyk i wybiegli z nich ludzie ubrani w skóry i futra. Napastników było kilkunastu.

– Koczownicy! Do kręgu! – zakomenderował starszy z Reno, napinając swój przedwojenny łuk.

Grupy rzuciły się na siebie. W ruch poszły wykute w prowizorycznych kuźniach maczety, stare narzędzia, a nawet kosa z cienkim ostrzem. Zaskoczeni i słabiej uzbrojeni uczestnicy niedawnej transakcji nie mieli szansy przetrwać. Wszyscy zginęli w starciu. Dziewczyny próbowały uciekać, ale szybko znalazły się na ziemi przywalone śmierdzącymi ciałami koczowników.

Wrzaski napastników i niepohamowany kaszel dziewczyny z Reno w jednej chwili zagłuszył potężny huk karabinowego wystrzału. Jeden z koczowników przewrócił się na ziemię z rozerwaną czaszką. Pozostali zamarli ogłuszeni. Nie mieli nigdy do czynienia z bronią palną i początkowo większą nawet grozą przejął ich grzmot niż efekt salwy. Z tych samych krzaków, z których jeszcze przed chwilą atakowali koczownicy, wyszło pięciu mężczyzn uzbrojonych w karabiny. Kroczyli wolno, majestatycznie wręcz, w stronę pobojuwiska. Dwóch czy trzech koczowników otrząsnęło się szybciej z oszołomienia i uniosło z powrotem swoją prymitywną broń. Padli natychmiast, położeni kolejnymi celnymi strzałami. Reszta nie stawiała oporu. Nowi napastnicy gestem kazali im położyć się na ziemi i metodycznie zabili jednego po drugim długimi nożami.

– A co z nimi, Tim? – zapytał młody Azjata, wskazując na leżące dziewczyny.

– Weźmiemy je ze sobą, może przehandlujemy po drodze. Tylko zwiążemy im ręce.

– A mięso?

– Wybierzcie co lepsze i uwińcie się szybko, musimy iść dalej – zdecydował Timur, odruchowo chwytając lusterko zawieszane na szyi.

Spojrzał, jak radzą sobie jego ludzie, stwierdził, że sprawnie, więc

podszedł do dziewczyn. Były sparaliżowane strachem, zupełnie bezwolne. Tim pomyślał, że nawet krępowanie rąk nie jest potrzebne, ale nauczył się już nie ryzykować. Wiążąc je, zapytał:

– Widziałyście kiedyś mechanicznego człowieka?

Pokręciły przecząco głowami.

– A wiecie, co to znaczy mechaniczny?

– Nie – kaszel.

– Metalowy, jak stare samochody, tylko że człowiek – próbował wyjaśnić, o co pyta.

– Nie.

– Ja też nie widziałem – rzucił, sprawdził więzy i odszedł do swoich ludzi.

Byli gotowi do wymarszu. Spakowali mięso i wybrali dwie maczety ze zdobycznego, nędznego arsenału. Młody Azjata wymachiwał nimi w powietrzu, sprawdzając ich wyważenie. Na widok dowódcy przerwał, uśmiechnął się z zadowoleniem i zapytał:

– Gdzie teraz, Tim?

– Dużo mamy wody?

– Na jakieś trzy dni – odpowiedział starszy Azjata – o ile nasze nowe koleżanki nie będą chłęptać jak świnię.

Tim odruchowo spojrział przez ramię na dziewczyny, kiwnął głową i zawyrokował:

– Nie dojdziemy do jeziora Walkera. Nie przebijemy się przez pustynię. Musimy iść wzdłuż tych gór – wskazał palcem jednolitą, zieloną ścianę zasłaniającą horyzont.

– Dobrze, nie lubię pustyni – rzucił młody Azjata.

– Też nie przepadam, ale nas to nie ominie. Widzisz tutaj – Tim wskazał palcem punkt na całkiem niezłe zachowanej mapie USA, wykonanej z papieru syntetycznego – jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód od Vegas odbijemy na wschód.

– Ile to będzie?

– Kilka dni wzdłuż gór. Na mapie jest jezioro. Potem dziesięć dni przez pustynię, może więcej.

– Mogło być gorzej.

Zdobycie mapy zajęło księciu długie cztery miesiące i kosztowało go czterech niewolników. Czas oczekiwania został wykorzystany przez Timura i jego mały oddział do zadzierzgnięcia swego rodzaju wspólnoty

i skompletowania sprzętu potrzebnego na długą podróż. Ruszyli wyposażeni w przedwojenną broń palną, amunicję, filtry do wody, a nawet ciepłe przedwojenne śpiwory z lekkiego sztucznego włókna.

Denikin sam wybrał sobie ludzi. Przede wszystkim nie chciał nikogo z Plemienia. Wziął dwóch Azjatów, braci. Ich przodkowie mogli być Tajami, ale oni sami nie mieli na ten temat pojęcia, a Timur nie umiał aż tak dobrze rozróżniać Azjatów. Starszy, Harlam i młodszy, zwany przez całe życie po prostu Młodym, od zawsze byli strażnikami. Ich ojciec też był i od dziecka uczył synów bić pałką nierobów, wypatrywać zagrożeń, stojąc na skraju fosy i słuchać czarnoskórych. Dodatkowo wybrał Toma i Carlosa. Obaj wyglądali jak Latynosi z kreskówek. Długie czarne wąsy, lekko zmrużone oczy, ciemna dziobata skóra. Byli myśliwymi. Od lat we dwójkę wychodzili z miasta na całe tygodnie, żeby polować na zwierzęta lub zbierać leśne owoce. Obie pary dzielił odwieczny antagonizm osadników i koczowników. Wzajemna pogarda szybko przerodziła się w otwarty konflikt, który ostro stłumiony przez Timura zmienił się w rywalizację i bardzo powoli rodzące się zaufanie.

W drodze z River Town byli już jakiś miesiąc. Żywili się głównie rybami i mięsem upolowanym przez Carlosa i Toma. Obaj Latynosi oprócz solidnych przedwojennych sztucerów, które dostali z księżęcej zbrojowni specjalnie na tę wyprawę, mieli ze sobą krótkie, ciężkie włócznie. Zasięg tej broni był niewielki, ale moc solidnego drąga z kutym żelaznym grotem onieśmiała nawet napastnika ze strzelbą kaliber dwanaście.

Według mapy z Reno do celu ich wędrówki byłoby znacznie bliżej pustynią. Gdyby mieli samochód, nie stanowiłoby to żadnego wyzwania, jednak na piechotę równie dobrze mogliby próbować wspinać się na słońce. Musieli nadłożyć drogi, idąc łukiem, jaki stanowił skraj pustyni i gór. Dopiero na wysokości Papoose Lake zamierzali skręcić na wschód

– Tim – Carlos podszedł do Denikina idącego przodem – a może byśmy tak na postoju – machnął rękę w stronę milczących dziewczyn wlokących się za nimi – no wiesz, zerznąły te dwie młode. Coś byśmy mieli z życia.

– Nie.

– Dlaczego? Mamy czas.

– Carlos, nas jest pięciu, one są dwie. Zaczniecie mi się kłócić o baby

i cała dyscyplina pójdzie w pizdu. Znajdziemy jakąś osadę, jakiś bajzel, sam dam wam coś na handel, żebyście sobie poużywali. Dobrze?

Carlos był niski, jak większość ludzi w strefie, dobrze zbudowany, żylasty. Śmierdział, jakbygnił od środka. Każdy jego wydech i każde słowo owiewało Timura chmurą trudnego do wytrzymania smrodu. Na nosie miał czarne jak węgiel i duże jak muszki owocówki obrzydliwe wągry. W wąsach tkwiły kawałki złuszczonej, tłustej skóry, a w kącikach oczu – żółte czopy ropy. Carlos był gościem, który oddałby koledze ostatniego szczura ogrzanego nad ogniskiem, ale patrzenie na niego sprawiało Denikinowi niemal fizyczny ból.

– Dobrze – zgodził się po krótkim wahaniu, uznając chyba autorytet Timura.

*

Pompa stała jakieś sto metrów od wioski, w otoczeniu rzadkiej trawy i nędznych krzaków. Chłopak pompował wodę od rana. Metal dźwigni nagrzał się od słońca i musiał trzymać go przez prostokątne kawałki skóry. Rdzawobrazowa woda wylewała się z rury niechętnie i rzadko. Raz na kilka ruchów strumień wylatywał z żelaznej gardzieli i trafiał do drewnianej misy, z której metalową rynną płynął do osady, wprost na liche poletko, na którym uprawiali ziemniaki. Chuda ośmiolatka na drugim końcu tego prymitywnego akweduktu nabierała wody z plastikowego wiadra i skrapiała rośliny. Proces musiał być ciągły, jeśli uprawy miały przetrwać w upale. Dlatego chłopak pompował bez przerwy, od momentu, gdy Atom pojawiał się na niebie, do chwili jego łaskawego zejścia.

Zwolnił na chwilę i spojrział, jak wysoko jest Atom, w nadziei, że koniec dnia jest już bliski. Zganił się w duchu za te myśli i zaczął pompować szybciej i z większą siłą. Zabolało w łokciu, ale nie odważył się zwolnić. Coś trzasnęło i mechanizm się zablokował. Chłopak przeklął i schylił się po wysłużony klucz francuski. Setki razy rozkręcana śruba poddała się bez oporów i części mechanizmu szybko trafiły na piasek. Atom palił chłopaka w kark, a ten gorączkowo starał się rozwiązać problem, czując, jak za nim wzbiera boski gniew. W końcu odszukał ułamany kawałek mechanizmu, który zablokował dźwignię, zmontował wszystko z powrotem i wrócił do pompowania

wody. Rozumiał swoją odpowiedzialność, wiedział, że bez tej strużki rdzawobrazowego płynu osada nie mogłaby przetrwać. Nie rozumiał, jak działa pompa. Umiąłby ją skrócić i rozkręcić, nawet gdyby koczownicy wykłuli mu oczy, ale nie miał pojęcia, dlaczego ruchy dźwigni sprawiają, że woda wypływa z rury.

Nie zastanawiał się nad tym. Znalazł problem, usunął i skrócił ponownie mechanizm. Otarł z czoła pot, daninę dla Atoma, i pompował dalej.

Po jakimś czasie przeszła obok niego świniopaska Jann. Uśmiechnęła się do niego, co wprawiło go w lekki popłoch. Szalona! Kto to widział, żeby umizgiwać się, kiedy Atom patrzy. Machnął na nią niecierpliwie, ale też się uśmiechnął. Niech Jann wie, że mu się podoba.

Była w jego wieku, miała długie ciemne włosy i piękne nogi. Nie mógł oderwać wzroku od jej ud, kiedy przechodziła, szturchając kijem świnię. Miała na sobie jedynie długą koszulę z dzikiej bawełny. Minęła go i pochyliła się, żeby poprawić but, a jemu zrobiło się o wiele bardziej gorąco, niż mógłby to sprawić Atom w największym gniewie.

*

– Przyjaciele! – W siwej brodzie błąkały się ostatnie promyki zachodzącego słońca. – Kolejny raz udało nam się przebłągać Atoma. Naszą ciężką pracą, wiarą i pokorą sprawiliśmy, że udał się na spoczynek. Jeszcze raz ocaliliśmy świat przed gniewem boga.

– Atomie, znaj litość nad swoim ludem – niczym chór powtórzyli ludzie klęczący na piasku przed starym mówcą.

– Pomódlmy się do wszechmocnego Atoma – śpiewnie zaintonował stary.

– Atomie, który zgładziłeś grzesznych ludzi, ześlij nam deszcz, miej litość dla naszych skromnych upraw, nie obracaj gniewu swego przeciw wiernym tobie.

– To chyba należy do was – obcy głos wywołał zamieszanie.

Pięciu zarośniętych mężczyzn stało na skraju placyku pośrodku wsi. Jeden z nich, ten, który przemówił, trzymał za kołnierz młodego operatora pompy. Obok stała Jann. Oboje mieli spuszczone głowy. Jeśli ktoś miał dobry wzrok, mógł zobaczyć w szarówce zmierzchu łyż

obojga kapiące na piasek.

Mężczyzna puścił chłopaka i zaśmiał się głośno i radośnie.

– Przypadkowo trafiliśmy na tych dwoje, jak zabawiali się w krzakach. Nie wiem, czyj to syn, ale ojciec może być dumny. Chłopak był jak królik.

To, co według obliczeń Timura miało być świetnym, choć odrobinę wstydlwym dla młodych, sposobem na przełamanie lodów, przyniosło dość dziwny efekt. W wiosce zapadło całkowite milczenie, a mężczyźni podnieśli się z kolan. Przez chwilę stali z pochylonymi głowami, zupełnie jak byki, które szykują się do ataku. Denikin odwrócił się i gestem nakazał swoim ludziom spokój.

Jeden z mężczyzn podszedł do chłopaka i chwycił go za gardło.

– Gdzie to było? – zapytał tonem, który mógłby zmusić do mówienia nawet brzozy pniak.

– Przy studni, ojczu.

Chłopak nie wahał się ani nie zwlekał z odpowiedzią. Jego ojciec zmrużył oczy i poruszył ustami, jakby coś bezgłośnie mówił. Trwało to może piętnaście sekund, zanim z jego gardła wydobył się ryk.

Rzucił się na syna jak dzikie zwierzę, jakby dostał szału. Bił chłopaka, który nie próbował się bronić, dopóki inni ludzie z wioski go nie odciągnęli i nie zabrali młodego do jakiejś chaty.

Timur uznał, że ta drobna rodzinna kłótnia dobiegła końca i można rozpocząć próbę negocjacji noclegu i kupna zapasów. Zza jego pleców dał się słyszeć ostry kaszel. Brzmiało to, jakby właśnie czyjeś płuca miały opuścić ciało i w całości wypaść na piasek. Miał powoli dość tej dziewczyny.

– Dobrzy ludzie – powiedział, przewieszając sobie karabin przez ramię i na znak dobrych intencji, unosząc otwarte dłonie w górę – jesteśmy wędrowcami i chcielibyśmy zatrzymać się na noc w waszej pięknej wiosce, a także kupić trochę zapasów na dalszą drogę.

– Bądźcie naszymi gośćmi – powiedział człowiek, który przemawiał przed klęczącymi ludźmi. – Nazywam się Ethan i jestem opiekunem tej wioski. Jeśli swoimi czynami radujecie Atoma, możecie zostać z nami.

– Dziękujemy! – Denikin nie do końca wiedział, co stary ma na myśli, ale uznał to za folklorystyczny bełkot i nie zwrócił uwagi.

– Jak długo chcecie zaznawać naszej gościny?

– Chcemy ruszyć w drogę, jak tylko zacznie się robić jasno.

– Wspaniale. Możecie przenocować w mojej chacie. – Ethan wskazał ręką na jeden z domów.

Budynki wyglądały stosunkowo solidnie. Wzniesiono je raczej niedawno z drewnianych bali. Miały płaskie dachy i ściany bez okien. Przypominały pudełka po butach dla gigantów.

Przed wejściem do domu Ethana Timur zatrzymał towarzyszące wyprawie dziewczyny i gestem poprosił starszego wioski na słowo.

– Słuchaj – powiedział – te dwie mamy na sprzedaż. Możemy wam je oddać za trochę żywności na drogę.

– Niewolnice? – zapytał Ethan. – Nie pogardzilibyśmy rękoma do pracy, ale nie handlujemy ludźmi. Wobec Atoma wszyscy jesteśmy równi. A jedzenia i tak nie mamy dość, żeby się nim dzielić. Będziecie musieli znaleźć żywność gdzie indziej.

Wewnątrz nie było prawie nic. Ludzie spali na podłodze i było akurat tyle miejsca, żeby domownicy zajęli całą przestrzeń. Kolejnych siedem osób sprawiło, że w chacie zrobiło się bardzo ciasno. Timur i dziewczyny weszli do izby jako ostatni i musieli wciskać się między śpiących, żeby ułożyć się na spoczynek. Położył się z tą kaszlącą pod ścianą blisko wejścia, a ta druga wepchnęła się gdzieś w środku. Tak mu się wydawało, bo w chacie nie było ani jednego otworu oprócz drzwi i panowała absolutna ciemność.

Prawą rękę wsadził pod głowę, wokół nadgarstka owinął pas karabinu, a magazynek wsadził sobie do kieszeni na przedzie skórzanej kurty, która wyglądała, jakby kroił ją naćpany krawiec bez oka. Nie miał co zrobić z lewą ręką. Próbował trzymać ją na sobie, ale ugniatała nerkę, która ostatnio pobolewała go, nie mocno, ale niepokojąco. Po kilkunastu minutach wypróbowywania kolejnych, coraz mniej wygodnych konfiguracji, w końcu wyprostował ramię, zapominając o leżącej przed nim dziewczynie.

Trochę się zdziwił, kiedy podłoga pod jego ręką się poruszyła. Dziewczyna odwróciła się do niego przodem. Nie miał pewności, czy spała czy też nie, jednak przytuliła się do niego całym ciałem. Poczłł odpychający zapach jej włosów. Był to rodzaj stęchlizny w cywilizowanym świecie spotykany na strychach starych budynków. Poczłł jej dłoń na swoim biodrze. On sam też aktualnie nie był pachnącym amantem. Miał pchły od trzeciego tygodnia pobytu w zakazanej strefie, a w trakcie podróży rzadko używali wody w celach

higienicznych, ale ta kaszłąca po prostu cuchnęła: potem, kurzem, pustynnym pyłem i brudnym ciałem. Kiedy skończyli, niemal poczuł do siebie obrzydzenie. Na szczęście zdążył zasnąć, zanim w zmęczonym umyśle zaczęły rodzić się refleksje. Śniła mu się dziewczyna z ręcznikiem na głowie, której imienia kompletnie nie mógł sobie przypomnieć.

Obudzili się przed świtem. Tom i Carlos zawsze budzili się wcześniej i podrywali na nogi resztę, nie potrafili inaczej. Miejscowi też nie wylegiwali się do późna. Czyścili narzędzia, ostrzyli je o kamienie, niektórzy robili strzały do łuków, inni szli do zwierząt. Osada była mała i biedna. Pół tuzina świń, kilkanaście kaczek. Poletko ziemniaków. Jak dla dziesięciu rodzin, zbyt dużo, by umrzeć i zbyt mało, żeby przetrwać. Jak wszędzie wokół.

Zbieranie się nie zajęło im wiele czasu. Nie zdejmowali ubrań, nie rozstawali się z bronią. Timur załadował magazynek, przetarł oczy rękawem i wyszedł. Za nim, jak zjawa, poszła kaszłąca. Nawet gdyby chciał, nie mógłby jej przegapić. Zanosila się kaszlem zupełnie jakby miała siedemdziesiątkę i wypalała dwie paczki papierosów dziennie.

Na placyku pomiędzy chatami, na którym wczoraj mieszkańcy odprawiali swoje modły, leżeli chłopak i dziewczyna zdybani przez oddział Timura w krzakach. Ręce mieli związane rzemieniami i przywiązane do pniaka. Musieli leżeć niewygodnie na brzuchach. Oddychali ciężko z głowami przechylonymi na bok.

– Tak u was wygląda kara za te sprawy? – Timur zapytał jednego z mężczyzn, szturchając go delikatnie łokciem. – Nie jesteście trochę zbyt surowi? Dzieciaki są już duże.

Mężczyzna spojrział na niego jak na idiotę i trochę tak jakby z lękiem, przeniósł wzrok na horyzont, gdzie nad pustynią zaczął pojawiać się już cienki pasek błękitnego nieba. On nie odpowiedział, ale pytanie usłyszał opiekun wioski.

– Kiedy Atom pojawi się na niebie, zabijemy ich. Atom musi zobaczyć, jak obchodzimy się z tymi, którzy go obrażają.

– Żartujecie, prawda? – zapytał Timur. – To jest kawał? Chcecie ich zabić?

Ethan nastroszył brwi, zmarszczył się i zapytał, czy aby wędrowcy nie powinni już ruszać w drogę.

– Daj mi odpowiedź na jedno proste pytanie, starcze – powiedział

Denikin, pochylając się tak, że ich nosy omal się zetknęły. – Czy chcecie zabić te dzieci?

– Zostaną złożeni w ofierze Atomowi, którego obrazili. Odpowiadając na twoje pytanie, wędrowcze, zabijemy ich, bo zgrzeszyli.

Timur się cofnął, kolba jego karabinu wskoczyła pod pachę, lufa wciąż celowała w ziemię, ale jednym ruchem mógł skierować ją przed siebie.

– Harlam, Młody, odwiążcie ich. Carlos, Tom, zabezpieczacie.

Żaden nie zaprotestował. Przed wyjazdem książę powiedział im: „Jego rozkazy traktujcie jak moje”, więc słuchali.

Wokół zebrał się tłum. Denikin z ulgą zauważył, że nikt nie ma broni palnej, ale nie wyglądali także, jakby przestraszyli się karabinów. Dlaczego? To pytanie zdażyło zabrzmieć w umyśle Timura dziesiątki razy, czas zwolnił. Oswobodzona para gramoliła się z ziemi, latynoscy myśliwi wodzili po tłumie wzrokiem i lufami nisko opuszczonych sztucerów.

Nikt z nich nie zauważył, jak jeden z miejscowych zręcznie zarzucił na szyję Młodego pętlę ze starego kabla i szarpnął. Harlam przydepnął prowizoryczne lasso i przeciął je, ale kiedy to robił, dostał kamieniem w głowę i zatoczył się do tyłu. Młody podniósł w górę pistolet maszynowy i strzelił dwa razy. Był w tym dobry, nauczył się strzelać, zanim nauczył się mówić. Dwóch miejscowych padło na ziemię. Timur nie widział, gdzie dostali, ale mógł się założyć, że obaj zdawali już swoje sprawy siłom wyższym w lepszym miejscu.

Strzały dały piorunujący efekt. Mieszkańcy wsi, którzy najwyraźniej nie mieli wcześniej do czynienia z bronią palną, zrozumieli, co im grozi. W milczeniu i bezruchu przypatrywali się napastnikom. Młody wstał i we czterech utworzyli krąg, chroniąc za swoimi plecami przestraszone dzieciaki. Timur wszedł w środek, wciągając za sobą kaszlącą i tę drugą. Nachylił się nad oszołomionym chłopakiem siedzącym na piasku i powiedział:

– Teraz wstaniecie i spokojnie stąd wyjdziemy, dobrze?

– Nieee! – siedząca obok dziewczyna rzuciła się na Timura z wraskiem. Nie był na to gotowy, wyrócił się na piasek, ale szybko rzucił dziewczynę z siebie i przycisnął jej głowę do ziemi.

– O co jej chodzi? – zapytał chłopaka.

– Jeśli nas nie zabiją, zabiją nasze rodziny, żeby pokazać Atomowi,

że go szanują.

– To jakiś obłęd – Timur powiedział bardziej do siebie niż do kogoś obok.

Rozejrzał się wokół. Ludzie niby spuścili wzrok i się nie ruszali, ale z byka patrzyli mu prosto w oczy złym, nienawistnym spojrzeniem.

– Dzieciaki, idziemy do tej chaty – wskazał ręką. – Musimy przemyśleć sprawę.

Celując w nieruchomych mieszkańców wioski, przeszli do najbliższej z chat. Timur wszedł ostatni i założył na drzwi stojący obok kawałek zbrojeniowego drutu, który pełnił rolę kłódki.

– Tim, co ty odpierdalasz? – zapytał Harlam, nie siląc się na dyplomację.

– Te dzieciaki nic nie zrobiły. Nie możemy pozwolić ich zabić.

– A ty co? Ostatni sprawiedliwy? Sam żeś posłał do piachu jednego czy dwóch, co? – włączył się Carlos. Zdjął chustę, którą nosił na głowie, i otarł nią pot. – Oddajmy im ich i chodźmy w swoją stronę.

– Wszyscy tak uważacie?

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Żal ich, tacy młodzi – powiedział w końcu Młody.

– Sam żeś jest młody – warknął Harlam.

– On ma rację – wstawił się Tom. – Nie wiem, co to za Atom, o którym tyle pierdola, ale nie podoba mi się to. Za chuj. – Splunął.

– No właśnie, o co tu chodzi? – zapytał Timur, zwracając się do milczących niedoszłych ofiar.

Dziewczyna kwiliła cicho, siedząc w kącie. Chłopak wbijał pusty wzrok w podłogę, zupełnie jakby chciał sobie w ten sposób zrobić przejście na wolność. Z zewnątrz dochodziły podburzone głosy.

– Młody – Timur pstryknął chłopakowi palcami przed nosem – będziesz tak dobry i wyjaśnisz, o co tu chodzi?

Chłopak pociągnął nosem, wyglądając przy tym jak dzieciak, i wyduślił przez ściśniętą krtań:

– Obraziliśmy Atoma.

– Co to jest atom? – zapytał Carlos, potrząsając chłopakiem i owiewając go cuchnącym oddechem.

– Jesteście niewierni – ni to zapytał, ni to powiedział chłopak, jeszcze bardziej wytrzeszczając oczy. – Wy niczego nie zrozumiecie.

– Oświeć nas, kurwi synu – wysyczał Harlam, nachylając się nad

chłopakiem.

Dziewczyna zaczęła otwarcie szlochać. Kaszłaca i ta druga spoglądały na nią ze współczuciem, ale bały się podejść i odezwać.

– Spokojnie – powiedział Tom. – Będziecie się na niego darli, to nigdy nam nic nie powie. – Nachylił się nad chłopakiem. – Jak ci na imię?

– Mason.

– A ona?

– Jann.

– Dobrze, czym jest Atom?

– To bóg – powiedział chłopak drżącym głosem. – Zniszczył w swym gniewie ziemię – jego głos z każdym słowem nabierał siły, zaczął brzmieć, jakby recytował z pamięci jakiś tekst – i co dzień nadchodzi, by z nieba patrzeć na nasze grzechy i sądzić nasze czyny.

– Słońce – Timur klasnął w ręce. – Oni czczą Słońce.

Chłopak wyglądał na zdezorientowanego, ale reszta oddziału od razu dodała dwa do dwóch.

– I co, nie wolno się pieprzyć na słońcu? – zapytał Harlam.

– Kiedy Atom patrzy, nie wolno krzywdzić, nie wolno lenić się ni spać, nie wolno myśleć o ciele, spożywać pokarmów – wyrecytowała Jann, płacząc.

– I chcą was za to zabić?

– Tak.

– I co wy na to?

Teraz to chłopak się rozryczał, a dziewczyna otarła oczy i podniosła głowę. Może nie dumnie, ale przynajmniej odważnie.

– Obraziliśmy Atoma – powiedziała. – Jeśli nie odkupimy win krwią, Atom znów zejdzie na ziemię, tak jak wtedy, gdy zniszczył starą ludzkość.

– Tim, to są jacyś fanatycy, wynośmy się stąd i pozwólmy im robić ze sobą, co chcą.

– Nie zostawimy ich tak.

– Szeffie – teraz odezwał się Tom – wypychasz nas w niezłe gówna i mam nadzieję, że nie z chciwości.

– Że co? – Timur odwrócił się do Toma ze zdziwieniem.

– Mamy już dwie niewolnice, a i tak tylko żrą i piją, a sprzedać ich nie ma gdzie.

– Myślicie, że ja... że to... – nie mógł się wysłowić. Tupnął nogą i w

końcu wydusił: – To ja wpakowałem te dzieciaki w bagno.

– Bywa, Tim, ty co? – zapytał Harlam. – Mają na oko z szesnaście wiosen sztuka, nażyli się już i starczy.

– Ma rację. Puśćmy ich w cholerę i idźmy w swoją stronę. – Carlos, żeby podkreślić wagę własnych słów, stuknął kolbą sztucera w podłogę.

– Mason, co się stanie, jak weźmiemy was ze sobą? – lekceważąc kolegów, Timur zwrócił się do chłopaka.

– Zabiją naszych ojców.

– Kurwa! – zaklął Młody.

– To jakieś świry, Tim! – rzucił Harlam.

Gwar na zewnątrz ucichł, ale nie zwrócili na to uwagi. Denikin siadł w rogu na podłodze i schował twarz w dłoniach. Szukał wyjścia z sytuacji. Rozważał próbę negocjacji. Ale nie miał pojęcia, co mógł im zaoferować. Przekupić ich? Religijni fanatycy raczej nie kupczą własnymi dogmatami.

Czas mijał, a decyzja, którą trzeba było podjąć, wciąż umykała mu jak mała srebrna rybka. Żadne wyjście nie było dobre. Żadna droga nie prowadziła do światła.

– Milczą – zauważył w końcu Carlos.

– Może poszli pilnować, żeby im się świny nie rozbiegły? – rzucił Młody.

– Mało zabawne – skwitował Latynos i rozejrzał się czujnie.

– Czujecie to? – zapytał Tom.

– Nie, co? – zapytał Młody jakby zniecierpliwiony.

– Jakby dym.

– Nic nie czuję – stwierdził Harlam.

– Słuchajcie go, ma nos jak pies – skomentował Carlos. – Potrafi wyczuć wilka, zanim on wyczuje jego.

– Mówię wam, niczego nie czuję – zdenerwował się Młody. – Tim, czujesz coś?

– Zostaw go, myśli – w głosie Carlosa zabrzmiała ironia.

– Nie, nie czuję. Może coś pieką? – odpowiedział Timur odsłaniając twarz.

Tom wstał i zaczął chodzić wzdłuż ścian chaty, niuchając jak pies gończy. Reszta straciła zainteresowanie. Grzebali w rzeczach, żuli suszone mięso, Denikin wciąż uparcie ważył za i przeciw, a siedząca

obok dziewczyna cały czas rozpraszała go nieznośnym kaszlem.

– To dym, jestem pewny. Skurwiele chcą nas spalić żywcem – krzyknął Tom.

– Nie wymyślaj – uspokajał go Harlam.

– Teraz też coś czuję – rzucił Carlos.

– Ja też! – Młody wstał z podłogi.

– Kurwa!

Nareszcie świadomość zagrożenia dotarła i do Timura. Poczł, jak ściana za nim zaczyna się nagrzewać. Zerwał się na nogi.

– Wychodzimy stąd – ryknął, przeciskając się do wyjścia. – Harlam, ja otworzę drzwi, ty wychodź i strzelaj bez pytań. Reszta za mną. Na trzy. Raz, dwa... trzy.

Timur podniósł pręt i szarpnął za drzwi. Dym zasłaniał widok, na skórze poczł żar. Harlam przeskoczył przez próg, strzelił dwoma długimi seriami. Denikin wyskoczył tuż za nim i zdążył zauważyć człowieka, który klęczał blisko ściany i wbijał Harlamowi stare, zardzewiałe widły w bok. Timur kopnął go w twarz i zastrzelił, potem strzelił jeszcze kilka razy, zabijając ludzi stojących wokół z kamieniami i rolniczymi narzędziami w dłoniach. Któryś rzucił się na niego, ale ciężki oszczep przebił odważnego na wylot. Ludzie z wioski złamali się, zaczęli uciekać. Ktoś jeszcze rzucił kamieniem, a dwóch mężczyzn bezskutecznie próbowało zaatakować Carlosa czymś w rodzaju sierpów.

Chwycili Harlama pod ręce i pobiegli przed siebie. Zatrzymali się dopiero dobry kilometr za tym przeklętym miejscem.

– Wszyscy są? – zapytał Timur.

– Ta druga dziewczyna dostała kamieniem – powiedział Tom. – Nie widziałem zbyt dobrze.

– A te dzieciaki?

– Zostali.

Kaszłaca klęczała przy Harlamie i próbowała zatamować krwawienie. Denikin podszedł do niego, ale nie wyczuł pulsu. Zareagował instynktownie, udroźnił drogi oddechowe, uciął kawałek bawełnianej szmaty, która robiła za koszulę, i zrobił z niej prowizoryczną maskę. Zaczął wentylować i uciskać. Nie widział tego, ale ludzie wokół odsunęli się od niego i wymieniali zaniepokojone spojrzenia. Po krótkiej chwili Młody wyrwał się do przodu i spróbował odciągnąć go

od brata, ale Timur odepchnął go i dalej robił swoje. Kilka minut resuscytacji nic nie dało, puls nie wrócił. W końcu Denikin opadł na ziemię, ciężko dysząc.

– Straciliśmy go? – zapytał Carlos.

– Nie żyje – potwierdził Timur.

– Coś ty z nim robił? – niemal wykrzyczał Młody.

– Próbowałem go reanimować?

– Co?

– Pomóc mu. Jego serce przestało bić. Chciałem je... Chciałem pomóc.

Młody przeklął znowu.

Przenieśli Harlama jakieś cztery czy pięć kilometrów dalej. Rozdzielili jego bagaż i spalili ciało. Nikt nie zasugerował, żeby poćwiartować go na mięso, a Młody przez godzinę siedział obok stosu i tępyim wzrokiem patrzył w jakiś punkt na niebie. Nikt nie odezwał się słowem. Słysząc było jedynie trzask płonącego drewna i suchy, niekończący się, doprowadzający do szału kaszel.

*

Dwa dni później i kilkadziesiąt kilometrów dalej na południe siedzieli wieczorem przy ognisku. Odpoczywali, żuli suszone ludzkie mięso i zagryzali kolbami dzikiej kukurydzy.

– To było jakieś pięć lat temu – zaczął Carlos bez żadnego wstępu. – Byliśmy na polowaniu jak zawsze. Tom też tam był. – Ten tylko kiwnął.

– Szliśmy tropem niedużego stada. Takiego na kilka koziołków. Była wczesna jesień. Liści było pełno, i na drzewach, i na ziemi. Ciężko było iść po cichu – ugryzł kawałek mięsa i wypluł jakąś żyłkę,

– Na polowaniu liczy się cierpliwość. Nie miotasz się po lesie, bo wszystko spłoszysz, dlatego szliśmy pomału. Kroczek po kroczeniu, ślad po śladzie. Byliśmy już blisko, niemal czuliśmy zapach zwierzaków, smak ich krwi. Na polowaniu prawie nie jemy, niemal nie śpimy. Kiedy wejdziemy na trop, musimy być jak wilki, głód jest tak wielki, że jedyne, o czym myślisz, to zatopienie zębów w mięsie. Węch ci się wyostri, wszystkie zmysły szukają jedzenia. No więc, byliśmy niedaleko. Bobki były jeszcze ciepłe, dzieliły nas setki jardów, może mila, nie więcej. Tom to zobaczył. – Pokazał na towarzysza urwanym

gestem. – Na ziemi leżało pióro. Niby nic dziwnego, ale to było długie i brązowe, musiało odpaść od ptaka, którego nigdy wcześniej nie widzieliśmy. Dziwne? Wtedy nam się tak nie wydało. Pióro to, kurwa, tylko pióro. Obejrzeliśmy je, rzuciliśmy na ziemię i tyle. Mięso wołało nas z oddali. Powolutku, dobrze wybierając miejsca dla każdego kroku, brnęliśmy w gęstwinę.

Większość skończyła już jeść swoje skąpe porcje i teraz po prostu słuchali, zachowując odruchową czujność. Rozglądali się na boki i nerwowo wodzili rękami, cały czas sprawdzając, czy wszystko jest na miejscu: noże w pochwach, naboje w kieszeniach, torby przy nodze.

– Ślady się ciągnęły, a stada wciąż nie było. Zaczęliśmy się niepokoić, kiedy na jednym z drzew zobaczyłem plamy krwi. Były wciąż mokre. Na ziemi znaleźliśmy ślady siedmiu koziołków, wyglądało, jakby się trochę kotłowały, ale to wszystko. Żadnych śladów drapieżników, ludzi, niczego. Coś wydarzyło się tam nie więcej niż piętnaście minut wcześniej, a my nie mieliśmy pojęcia co? Po raz pierwszy w życiu poczułem się tak strasznie bezbronny.

– Może to ten ptak? – zapytał Timur.

– Jaki, kurwa jego mać, ptak? – zdziwił się Carlos.

– Ten od pióra.

– Sam żeś jest ptak od pióra, słuchaj i nie przeszkadzaj – skarcił go.

– Staliśmy tak kilka minut, jak ostatnie debile, i nie wiedzieliśmy, co robić. W końcu zaczęliśmy szukać śladów jeszcze raz. W końcu siedem kozłów nie znika nagle bez śladu. Nieważne, czy uciekły, czy coś je upolowało – musiały zostać ślady.

– I co znaleźliście? – po raz pierwszy od wielu godzin odezwał się Młody.

– Nic.

– Zupełnie nic?

– Ani jednego odcisku stopy. Nic.

– I co to mogło być? – zapytał Timur.

– A bo ja wiem...

– A ty, Tom?

– Co ja?

– Co uważasz.

– Nie wiem. Może duchy?

– Eeee! Wymyślił – powiedział Carlos.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Każdy próbował odgadnąć, co mogło zabić nieszczęsne koziołki. Timur myślał o Indianach, ale szybko doszedł do wniosku, że to raczej niemożliwe. W końcu odezwał się Młody:

– Słyszeliście kiedyś o Nowym Jorku? – Pokiwali głowami, więc Młody ciągnął temat. – Przed wojną to było ogromne miasto, mieszkało tam sto milionów ludzi albo więcej. Dziś nie ma tyłu nigdzie.

– A ilu mieszka w Klamath River? – zapytał Timur.

– Pewnie ze sto tysięcy – powiedział Młody, ale Denikin szacował, że było ich dziesięć razy mniej. Zresztą przedwojenny Nowy Jork też daleki był od stu milionów.

– W Nowym Jorku wszyscy mieszkali w drapaczach chmur.

– W czym? – zapytał Tom.

– W wielkich budynkach, wysokich jak góra. Jak dwa albo trzy takie z Reno postawione jeden na drugim. Wiele z nich stoi do dziś. Mieszkają tam ludzie, którzy wciąż nie zapomnieli, jak tworzyć różne rzeczy. Mają czystą wodę i takie urządzenia, do których można wrzucić metal, a one go roztapiają i można z niego zrobić coś innego, na przykład naboje.

– Czemu nikt tam nie idzie? – zapytał Carlos.

– Niektórzy idą, ale nowojorczyki nie każdego wpuszczają. A tych, których nie wpuszczają...

Timur chciał już powiedzieć, jak wygląda prawdziwy Nowy Jork, ale zrezygnował.

Poszedł się położyć koło kaszłającej dziewczyny. Przyniósł się do niej. Carlos pełnił pierwszą wartę, ale siedział z resztą jakieś sześć metrów od nich, na dodatek tyłem. Położył jej rękę na talii. Nie była bardzo ładna, blondynka, chuda, o mysiej twarzy. Jednak sposób, w jaki patrzymy na świat, determinuje sytuacja, w jakiej się znajdujemy, czyż nie?

Kiedy skończyli, a nawet przy najlepszych chęciach nie można było powiedzieć, że zajęło im to dużo czasu, zapytał ją w końcu:

– Jak masz na imię?

– Mia, a ty jesteś Tim. Tak?

– Tak.

– Co ze mną zrobisz, Tim?

– Jeszcze nie wiem, a czego byś chciała?

- Wrócić do mamy, ale... to nie jest możliwe.
- Ona nie żyje? – zapytał.
- Żyje, ale moi ludzie chcieli mnie wymienić na Sophie, tę, która była z nami.
- Lubiałaś ją? – w odpowiedzi zobaczył tylko ruch, który chyba był wzruszeniem ramion.
- Dokąd idziecie?
- Mamy misję.
- Nie rozumiem.
- Czego?
- Co to znaczy misja? – wyszeptała.
- Pracę, zadanie, robotę.
- Aha. Nigdy nie byłam dalej niż przy strumieniu. Tylko mężczyźni wychodzili na polowania i do sąsiadów.
- Czyli twój ojciec mógł cię odwiedzać w nowym domu?
- Ale mama nie mogła – znów wzruszyła ramionami. – Nie mogłaby.
- Śpij już. Wstajemy rano.

*

Carlos siedł z przodu, w butach ze starych opon, takich samych, jakie nosili wszyscy w River Town, tupał po całkiem dobrze zachowanej drodze przecinającej pustynię i mówił, nie odwracając się, przez co reszta słabo go słyszała:

- Kiedy to wszystko się zaczęło, kiedy spadły pierwsze bomby, moi dziadkowie siedzieli w mieszkaniu w Las Vegas, ale nie w tym dużym, tylko w tym w Nowym Meksyku koło Santa Fe. Nieważne. W całym stanie zrzucili tylko kilka małych głowic. Siadł prąd.

- Skąd to wszystko wiesz? – Timur zapytał, odruchowo przekrzywiając lusterko dyndające na łańcuszku.

- Mój ojciec mi opowiadał. Oczywiście zanim kopnął w kalendarz. Kiedy światła pogasły, ludzie nie wiedzieli, co się stało. Przez cały tydzień czekali w domach jak owce. Nikt niczego nie wiedział i nikt niczego nie robił. Dopiero jak skończyło się żarcie, zaczęli się rozjeżdżać. I ci, co odjechali, mieli szczęście. Dziesięć dni po ataku ludzie rzucili się sobie do gardeł. Wtedy moi dziadkowie spakowali toboły i ruszyli na wschód.

– A jak wylądowaliście w River Town?

– Książę, nie ten, co teraz, jego dziadek, werbował ludzi. Jeździli ciężarówkami, kiedy jeszcze były i zbierali ludzi. To było dawno temu, kiedy mój ojciec miał kilka lat.

– Kiedyś szliśmy z karawaną – zaczął opowiadać Tom. – Dzień jak co dzień, wieźliśmy ludzi, a mieliśmy zabrać z powrotem rudę i sól. Zatrzymaliśmy się na postój. Czarny był wyluzowany, wypalił w drodze trochę ziół i dobre trzy godziny przed zmierzchem kazał się rozbijać na polance. Szukałem chrustu, kiedy znalazłem coś jakby kamienne koło leżące na ziemi. Wystawał z niego pręt, jakby rączka. Zawołałem chłopaków i udało nam się wspólnie, nie bez łomu, zerwać pordzewiałe zawiasy. Pod kołem była drabinka. Zszedłem i na dole zapaliłem pochodnię. Trochę straszno, ale bywało gorzej.

– I co było w środku? – zapytał Młody.

– Coś jakby pokój... Taki podłużny, z sufitem jak namiot, półokrągłym. Były tam cztery łóżka, jakieś szafki, broń, puste butelki, puste puszki i dwa trupy. Zupełnie suche.

– I co?

– Zebraliśmy tam dużo dobra. Broń była w niezłym stanie. Proch w nabojach trochę zwietrzał, ale i tak był lepszy niż nasz. Mieli noże, toporki, łopaty, pełno sprzętu. Zabraliśmy też butelki i puszki do przetopienia. Wyszło pół wozu. Mieliśmy potem problem, żeby załadować rudę.

– To byli preppersi – powiedział Timur, nie zatrzymując się. – Ludzie, którzy przed wojną szykowali się na koniec świata, budowali schrony, zbierali broń, jedzenie.

Tom zaśmiał się głośno i klepnął w udo.

– To im faktycznie pomogło.

– Widzicie to? – Carlos zapytał z wyraźnym ożywieniem, pokazując palcem przed siebie.

Szli asfaltową, przedwojenną drogą. Po prawej mieli wysokie, ośnieżone szczyty, postrzępione niczym rozdarta serwetka, a po lewej trochę niższe, ale wciąż niezbyt zachęcające do wspinaczki wzgórza stalowej barwy.

Przesuwając wzrok po linii wyznaczonej przez wyprostowany paluch Carlosa, Timur natknął się na brązowawy sześcian. Z oddali wyglądało to jak kartonowe pudełko. Było zdecydowanie zbyt regularne jak na

dzieło natury i zdecydowanie zbyt duże jak na miejscowe standardy. Pierwsze, co przyszło Denikinowi do głowy, to jakaś przedwojenna konstrukcja, ale wyglądała tak, jakby stała bezpośrednio na drodze, co byłoby wyjątkowo dziwne.

Kazał drużynie rozdzielić się. On, Młody i Mia poszli prawą stroną, a Tom i Carlos lewą. Szli parowami i wybrzuszeniami terenu, które zaczynały się ledwie kilkanaście metrów od drogi po obu jej stronach. Starali się nie rzucać w oczy, co zdecydowanie spowalniało marsz. Dlatego minęła dobra godzina, zanim zaczęli dostrzegać kształty znajdującej się przed nimi budowli, która z bliska nabrała zdecydowanie ceglastej barwy.

Budynek wyglądał trochę jak europejski, gotycki kościół: cała ściana składała się z wysokich okien zakończonych ostrołukami i była wsparta na przyporach. Budynek mógł mieć jakieś dwanaście, może piętnaście metrów. Trudno było ocenić, w każdym razie w pionie mieściło się pięć okien. W niektórych z nich coś było, jakieś przegrody, belki... Wciąż byli zbyt daleko, żeby to jednoznacznie określić.

Wokół budowli nic się nie ruszało, nikt nie chodził, nie działały żadne mechanizmy. Timur poważnie rozważał, czy całość nie jest dziełem tajemniczych maszyn, których szukali. Zdecydowali się podejść bliżej niemal otwarcie. Kiedy zbliżyli się na jakieś sto metrów, z budynku zerwało się stado czarnych ptaków, które niczym chmura wzniosły się w niebo i rozpierzchły. Setka skrzydeł wprawiła powietrze w ruch i dotarł do nich makabryczny odór rozkładającego się mięsa. Różne rzeczy śmierdzą, ale smród gnijących tkanek włącza w mózgu atawistyczne przerażenie, które niełatwo wytrzymać.

Pokonując wstręt, podeszli do sześcienniej budowli. W oknach wisieli obdarci z ubrań ludzie. Wieszani za szyje, nogi, ręce i zwisający z haków. Na ciałach niektórych widać było rany. Byli tu mężczyźni, starcy i staruszki, ale nie widzieli kobiet i dzieci.

– Co za marnotrawstwo – wyszeptał Młody.

Makabryczny widok przypomniał Timurowi średniowieczną rycinę przedstawiającą szubienicę z Montfaucon, chociaż w tej nowoczesnej wersji obiekt mógł pomieścić kilka razy więcej skazańców.

– Ciekawe... – powiedział Tom jakby trochę do siebie.

– Co takiego? – zapytał Tim.

– Nie wiem, jacyś podobni są ci ludzie do siebie.

– Ja tego nie widzę – powiedział Timur skupiony wciąż na dziwnie średniowiecznych detalach architektury.

– Mają zgrubiałe stopy, mocne nogi, łydki jak u koni, szerokie plecy... Wielu ma czerniaki.

– Co mają?

– Zobacz. Widzisz te plamy? Jakbyś je dotknął, byłyby jak skorupa raka. Wiesz, co to rak?

– Tak, wiem. Czyli myślisz, że co?

– Może to pustynni koczownicy? Nie wiem, ty tu jesteś od myślenia, ja tylko węszę.

Timur przyjrzał się ciałom. Od razu zauważył, że nie wszystkich powieszono w tym samym momencie. Ktoś musiał regularnie przywozić tutaj nowych nieszczęśników na kaźń, tylko kto i dlaczego? Na ziemi wokół leżały rozrzucone ludzkie kości. Odwrócił wzrok, zastanawiając się, w co właśnie wdepnęli, kiedy za jednym z niższych wzgórz na wschodzie zobaczył cienką stróżkę dymu wznoszącą się pionowo idealnie równą linią.

– Zobaczcie tam, to chyba niedaleko. – Timur wskazał ręką.

– Kilka mil, nie więcej – ocenił Tom. – Ktoś musi mieszkać na tych wzgórzach.

– Myślicie, że to właściciele tego bajzlu? – zapytał Młody.

– Raczej tak, bo kto inny – przytaknął Tim.

– Pójdziemy tam? – Carlos spojrział na Timura.

– A niby po co? – zdziwił się Młody.

– Wygląda na to, że to ich ziemia – stwierdził Tom. – Warto by się było przywitać, przedstawić, dać władcy jakiś miły upominek i zapytać, jak to zrobić, żeby nie skończyć tutaj. – Pokazał kciukiem za siebie, na zbudowany z cegły średniowieczny kombinat śmierci.

– Tim, idziemy?

– Idziemy.

– To co im damy jako „miły upominek”? – Carlos postanowił doprecyzować. – Może naszą kaszlącą towarzyszkę?

– Jeszcze to przemyślimy – Denikin odpowiedział bez zastanowienia.

– Mam przedwojenny toporek z włókna węglowego – dodał. – Może to wystarczy. – Trochę bał się ich reakcji, więc się nie odwrócił, żeby nie zobaczyć ich min.

Marsz po bezdrożach był udręką. Konstrukcja prymitywnych butów –

zaokrąglona podeszwa z opony przywiązana do nogi szmatami – sprawowała się jako tako na ubitej drodze. Jednak utrzymywanie równowagi na kamienistych zboczach kosztowało dużo wysiłku. Timur nie miał pojęcia, jak radzą sobie z tym jego towarzysze. On odczuwał nieznośny ból stawów i mięśni łydek za każdym razem, gdy musieli zejść z utartego szlaku. Ich wędrówka trwała już wiele tygodni, a mimo to nogi wciąż nie zaadaptowały się do tego specyficznego obuwia.

Kierując się na strużkę dymu, przedzierali się przez zwirowisko porośnięte karłowatymi kaktusami i zamieszkałe przez rozleniwione słońcem grzechotniki, z których przynajmniej kilka miało podwójne głowy. Po trzech kwadransach dotarli do utwardzonej drogi, na tyle szerokiej, że mogła po niej przejechać nawet bardzo duża taczka. Co kilkanaście metrów stały wysokie na metr, czasem półtora, kopce z kamieni. Trudno było stwierdzić, czy były to znaki, totemy, czy może po prostu stosy kamieni zebranych z drogi po to, żeby wygodniej po niej chodzić lub nie łamać drewnianych kół.

Zbliżało się południe i apogeum upału, a wokół nie rosło nic, co mogłoby dać schronienie przed palącym słońcem. Jediną nadzieją na cień była hipotetyczna osada za wzgórzem, dlatego wędrowcy bez wahania ruszyli napotkaną drogą w górę zbocza. Wspinali się wolno, krok za krokiem, dźwigając wodę, jedzenie, broń i całą resztę swojego majdanu. Timur próbował myśleć o wszystkim, tylko nie o bólu w nogach i pieczeniu w płucach, ale te dwa tematy wypełniały jego głowę, nie zostawiając miejsca na żadną inną myśl.

Gdy dotarli na szczyt nieszczerólnie imponującego garbu, ujrzeli widok, który zadziałał niezwykle kojąco. Na południowy wschód, w stronę, w którą prowadziła ścieżka, znajdowało się olbrzymie jezioro. Potężny zbiornik wodny, przy którym wszystkie uciążliwości pustyni: suchość w gardle, pieczenie w płucach, ból nóg wydawały się błahe. Co więcej, z góry mogli zobaczyć, że na jeziorze są dwie wyspy, nad oboma unoszą się dymy i, choć odległość nie pozwalała im widzieć zbyt wyraźnie, wydawało się, że stoją tam także jakieś budynki.

– To co? Pójdziemy się przywitać? – zapytał Timur, a reszta mruknęła potwierdzająco. – Ale najpierw schowamy się za tamtą skałą i odsapniemy jakiś czas – zakomenderował.

Rozłożyli się w skrawku cienia i większość z nich momentalnie zasnęła. Ta umiejętność dawno przestała w Denikinie budzić

zdziwienie i wywoływała już jedynie zazdrość. Tym razem uznał jednak, że skoro wszyscy łącznie z Mią śpią, to on będzie pełnił wartę. Nie wiedzieli przecież nic o ludziach, którzy mieszkali na wyspach.

Do wybrzeża zbliżali się powoli, ale nie chowając się. Starali się sprawiać przyjacielskie wrażenie. Z każdym krokiem dostrzegali coraz więcej szczegółów osady, a raczej... zamku. Na jeziorze były dwie wyspy, jedna mniejsza bliżej brzegu, a druga większa trochę dalej. Na tej mniejszej widzieli jakieś nędzne chaty. Z tej odległości wyglądało to trochę tak jak River Town. O wiele ciekawsza była jednak druga wyspa. Stało na niej coś, co pod każdym względem odpowiadało definicji średniowiecznej warowni z blankami, murami, a nawet wieżami i donżonem w samym środku. Choć słońce grzało niemiłosiernie, nad zamkiem unosił się szeroki słup dymu. Prawdopodobnie z kuźni, a może nawet z hutniczego pieca.

Wszyscy byli pod ogromnym wrażeniem, ale tylko Timur odczuł absurd całej sytuacji. Zdecydowanie zdawał sobie sprawę, że po wojnie Ameryka cofnęła się w rozwoju, ale żeby w tak dosłowny sposób? Tego się nie spodziewał. Chwycił lusterko, żeby się nie kołysało i szybko sam siebie skarcił za ten bezsensowny odruch.

Kiedy dotarli do brzegu, ludzie z wyspy zdążyli już ich zauważyć i podpłynąć na sporej drewnianej łodzi. Kilku wiosłowało, a pięciu stało z muszkietami miejscowej produkcji i łukami.

– Czego chcecie i kim jesteście?

– Wysłał nas książę Klamath River Town, władca potężnego miasta z północy. Idziemy z misją, która was nie dotyczy, ale chcemy złożyć pokłon władcy tego wspaniałego miejsca.

– To broń? – zapytał, pokazując palcem na ich karabiny, a kiedy kiwnęli głowami, dodał: – Wrzucie ją do tej skrzynki i siadźcie tyłem do wody przy tamtym głazie – dopiero teraz zobaczyli, że przy brzegu faktycznie stoi drewniana skrzynia.

– Co robimy, szefie?

– Połóżcie tam karabiny i oszczepy. Noży nie oddawać.

Kiedy zastosowali się do poleceń, ludzie z łódki wyskoczyli na brzeg, zabrali broń, a potem zabrali Timura i jego towarzyszy na łódź. Odepchnęli ją od brzegu, wiosła uderzyły w wodę i ruszyli. Okrążając mniejszą wyspę, płynęli wprost w stronę zamku.

W trakcie krótkiego rejsu Denikin zdążył przyjrzeć się zabudowaniom

mniejszej wyspy. Większość z nich wzniesiono ze śmieci, wypełnionych piaskiem butelek, dykty, betonowych podkładów kolejowych, było też kilka porządných ziemianek krytych drewnianymi dachami. Miejsce wyglądało niemal zupełnie jak River Town. Kukurydza rosła w chaotycznych grządkach, ludzie pracowali w kilkuosobowych grupkach, a na brzegu kobiety rozplątywały sieci. Jedno, co na pierwszy rzut oka odróżniało to miejsce od River Town, to niemal całkowity brak mężczyzn i starców. Pracowały tu tylko dzieci, подростki i kobiety. Ogorzałe, z mocnymi nogami i szerokimi plecami.

Obok nich przepłynęła łódź. Na jej pokładzie leżała duża sieć pełna niewielkich srebrnych rybek. Sześć kobiet siedziało przy wiosłach, a mężczyzna z długim szerokim ostrzem siedział na drewnianej ławeczce obok wiadra z wodą i czerpakiem.

– Dlaczego kobiety wiosłują? – Timur zapytał, zwracając się do gospodarzy.

– To niewierne – odpowiedział stosunkowo przyjaznym tonem. – Żyły w grzechu lenistwa, obrażając Atoma. Wiele z nich wciąż tak żyje, ale nie ustajemy w wysiłkach, żeby to ukrócić.

Wśród ludzi Timura wybuchła cicha panika. Ukradkowo wymienili gorączkowe spojrzenia. Denikin to zauważył i powiedział:

– Więc wy także chwalicie Atoma? Ulżyło mi, nie wiedzieliśmy, czy nie trafiliśmy na niewiernych.

– Oczywiście, że nie. Niewierni są zbyt gnuśni, żeby dokonać tego, co tutaj zostało dokonane.

Przy wtórce wiosł uderzających w wodę dopłynęli do większej wyspy. Duża jej część porośnięta była konopiami, takimi samymi jak te, których liście po drodze zbierali Carlos i Tom. Tu i tam kręciło się pomiędzy grządkami trochę ludzi, wszyscy byli czymś zajęci, jedni nosili wodę, inni pielili, nikt nie rozmawiał, a kiedy szli drogą z obu stron zasłoniętą konopiami, nikt nawet na nich nie spojrzał.

Zbliżyli się do pierwszych zamkowych murów, zbudowanych niczym mozaika z kamieni, cegieł i wypełnionych piaskiem plastikowych butelek. Schowani w niewidocznym miejscu ludzie wprawili mechanizm w ruch i krata z kolejowych szyn uniosła się w górę. Wkroczyli na zewnętrzny dziedziniec. Był to pusty kwadrat uklepanej ziemi, do murów przylegała stajnia z kilkoma brązowymi konikami i jakieś drewniane budy.

– Chcielibyśmy pokłonić się tutejszemu władcy i ruszyć w drogę jeszcze dziś, mam nadzieję, że to będzie możliwe? – zapytał Timur bardzo grzecznym, uspokajającym głosem.

– Oczywiście – odpowiedział jeden z prowadzących ich mężczyzn.

Krata za nimi opuszczała się, a solidna drewniana furta, przez którą mógłby przejechać rosły mężczyzna na koniu, prowadząca do wnętrza zamku uchyliła się. Wyszło z niej ośmiu ludzi z żelaznymi maczetami, wyraźnie miejscowej roboty, i drewnianymi pałkami. Nie wyglądali na komitet powitalny.

– Na kolana niewierni! – ryknął jeden z nich, podnosząc broń do góry.

Skrzynia z karabinami została na łodzi, wszystko, co mieli, to noże i rewolwer Timura, a mimo to próbowali się bronić. Młody padł pierwszy, dostał pałką w udo. Carlos zapędzony pod ścianę poddał się, a Tom i Timur oparli się o siebie plecami i próbowali walczyć, Tom ranił jednego, a Timur trafił dwóch, ale zaraz potem znalazł się na ziemi, a Tom tuż obok niego. Mia nie próbowała się bronić

Związani zadziwiająco porządnyimi linami trafili na twarde deski łodzi, gdzie przykryci płachtą leżeli aż do rana następnego dnia. Młody jęczał, Tom przeklinał, Carlos się dusił, a Timur cały czas myślał tylko o tym, dokąd zabrali Mię i co z nią robią.

Nad ranem, kiedy przez materiał zaczęły przesączać się promienie porannego światła, usłyszeli kroki, kołysanie, jakby ktoś wszedł na łódź, a potem usłyszeli wiosła.

Wspomnienia z piekła

Trafiliśmy do czegoś, co mogłoby przypominać kopalnię odkrywkową, ale zamiast złóż wydobywaliśmy kawałki złomu. To miejsce musiało najpierw stać się chyba polem bitwy, a potem składowiskiem zniszczonego sprzętu. Wszystko było doszczętnie zasypane przez piach i żwir. Najpierw musieliśmy kopać i nosić piach w drewnianych korytach, starych wiadrach i innych prowizorycznych pojemnikach. Potem prymitywnymi narzędziami rozkładaliśmy czołgi, szturmowe śmigłowce, pojazdy opancerzone. Niemal wszystko, oprócz stali i ceramiki, rozpadło się ze starości na nieprzydatne strzępy. Rozbieraliśmy pojazdy na kawałki złomu, które dawaliśmy radę przenieść.

To była mordercza praca. Czołgowe pancerze rozkręcaliśmy i rozrywaliśmy ich

warstwy na części niemal gołymi rękoma. Mieliliśmy stalowe kliny, łomy i prymitywne bijaki, coś jakby młotki bez trzonków. Na oddzielenie warstw metalu od ceramiki i innych materiałów musieliśmy poświęcać wiele dni.

Kiedy już udało się wyrwać kawałek stali, nieśliśmy go do „hałdy”. Nieśliśmy zawsze w tyłu, by ledwie go dźwigać. Jeśli jakąś płytę dałoby się z trudem przenieść we czterech, to nieśliśmy we trzech. Dlaczego? Odmierzali nam każdy jin metalu i wydzielali wody i jedzenia tylko tyle, na ile zapracowaliśmy.

Nie pilnowali nas, nie musieli. Kopalnia, jak nazywali to zapomniane przez Boga i przekłete przez ludzi miejsce, leżała jakieś cztery kilometry od jeziora. Na samym środku kompletnego pustkowia. Wszystko nam zabrali, broń, buty, jedzenie. Moglibyśmy uciec, nikt nie stał nam na drodze, nie było wieżyczek dla obserwatorów, nie było drutu kolczastego. Jedynym zabezpieczeniem była sama pustynia.

Nie mam przez to na myśli, że nikt nie uciekał. To się zdarzało. Jeśli go złapali, to lądował na szubienicy, tej samej, którą minęliśmy na drodze. Jeśli miał mniej szczęścia, ginął gdzieś na piaskach ukąszony przez węża, zjedzony przez wyrośniętego, popromiennego szakala albo po prostu dostawał udaru i ginął z odwodnienia.

W obozie przy kopalni było nas koło setki. Czasem ktoś odchodził, czasem kogoś przyprowadzano. Młody umarł. W zmiażdżony pałką mięsień nogi wdała się gangrena. Agonia trwała wiele dni. Sam byłem zaskoczony, jak bardzo mnie to nie poruszyło. Jak bardzo ten świat przyzwyczajął do myśli o śmierci. Jedyne, co przychodziło mi do głowy, kiedy patrzyłem na jego gnijącą nogę, to zdziwienie, że nie skończył ze sobą od razu. Ja bym tak zrobił.

Najgorzej było w południe, powinniśmy robić sobie przerwy, czuliśmy się jak w środku hutniczego pieca, ale ci fanatycy wierzyli, że słońce to jakiś rodzaj bóstwa, które może się zezłościć i tupnąć nogą, kiedy ludzie będą się lenić w jego towarzystwie.

Pisałem już, że nie musieli nas pilnować. To nie do końca prawda. Nie musieli sprawdzać, czy pracujemy. Gdybyśmy nie dostarczali metalu, nie dostalibyśmy wody. Nie musieli pilnować, czy nie uciekamy. Człowiek tak głupi, by próbować ucieczki, był nic niewart nawet jako niewolnik. Czasem jednak musieli pilnować, żebyśmy się nie pozabijali nawzajem. Każdy, kto niósł kawałek odkręconej, oderwanej, odłupanej, odgryzionej stali, był narażony na grabież. Potraktowany bijakiem w głowę albo ostrą stroną łomu pod zebro delikwent oddawał łup bez protestu, umierając cicho i w zapomnieniu w kopalnianym labiryncie. My trzymaliśmy się we trzech. Zostałem ja, Carlos i Tom.

Nie atakowali nas zbyt często. Na początku próbowali, ale wtedy jeszcze nie byliśmy tak wyniszczeni pracą i żałosnymi racjami. Nabiliśmy kilka guzów i dali nam spokój. Nie wszyscy jednak mieli tyle samo szczęścia. Nieraz w którymś z porzuconych pojazdów znajdowaliśmy czyjeś zwłoki z pękniętą czaszką. Klęliśmy wtedy jak szewcy. Trzeba było stracić czas na wytarganie śmierdzącego trupa, w którym zaległo się już robactwo, a potem znosić odór gnijącego mięsa przez wiele

godzin, podczas których próbowaliśmy odkręcić całkiem zardzewiałe śruby przy użyciu nędznej namiastki klucza.

Jakieś sto pięćdziesiąt lat temu, w sowieckiej Rosji, setki tysięcy ludzi zostały zapędzone do niewolniczej pracy w obozach. Świat dowiedział się o nich dzięki pewnemu pisarzowi, który opisał jeden dzień fikcyjnego więźnia. Pomyślałem, że ja także mógłbym opisać jeden dzień z życia „kopalni”. Mam nadzieję, że uda mi się to zrobić równie dobrze, jak mojemu poprzednikowi. Pamiętajcie też, że takie dni setki ludzi przeżywały latami.

Niecałą godzinę przed świtem budził nas strażnik. Nie przychodził, nie krzyczał. Po prostu walił kilka razy metalowym prętem o wiadro stojące tuż koło jego pryczy. Większość z nas wstawała niemal od razu, jakbyśmy czekali na ten dźwięk. W zasadzie tak właśnie było. Ludzi męczył głód i pragnienie i przez to co chwilę się budziliśmy.

Na metaliczny dźwięk improwizowanego gongu poderwałem się jak co rano. Bardzo chciało mi się pić. Wstałem. Carlos i Tom też się obudzili. Poprawiłem poluzowany węzeł na szmacie, którą okręcałem sobie wokół bioder. Podniosłem żelazny bijak i obie części mojego łomu, który kilka dni wcześniej pękł na dwoje. Poszedłem przed siebie do miejsca, w którym ostatnio widziałem terenowy samochód przysypany piachem. Wyglądał na nieruszony.

Tego dnia nerki bolały mnie jak wściekle. Od poprzedniego poranka nie sikałem. Paliło mnie w gardle. W takich sytuacjach człowiek może myśleć tylko i wyłącznie o wodzie, ale opisywanie tego i tak nie ma sensu.

Szedłem szybko, zostawiłem Toma i Carlosa z tyłu. Nie wiedziałem, jakie mają plany, w tamtej chwili mnie to kompletnie nie obchodziło. Do upatrzonego miejsca miałem ze trzy kilometry. Było jeszcze ciemno i piach nie był nagrany.

Niedaleko od naszego baraku stały chińskie czołgi porzucone tu po wojnie. Armia przed wyjazdem wymontowała z nich elektronikę, zabrała silniki, ale zostawiła skorupy, bo taniej było wyprodukować nowe niż zwozić te. W efekcie powstał kwadrat osiem czołgów wzdłuż na dwadzieścia wszerz, który częściowo był przysypany piaskiem a częściowo rozłożony na części. Wiele maszyn miało pozdejmowane gaśnice, inne były rozgrabione niemal w całości, a niektóre stały pozornie nieruszone, sprawiając wrażenie gotowych do walki w każdej chwili.

Dalej z piasku wystawały łopaty śmigłowców szturmowych i transportowych. Kilku ciemnoskórych mężczyzn z szerokimi plecami napełniało drewniane skrzynie, przesypując piach gołymi rękoma.

Czułem nieopisaną chęć oddania moczu, ale wiedziałem, że i tak nie miałbym czym. To było bardzo bolesne i jednocześnie upadlające.

O świcie dotarłem do miejsca, które zapamiętałem jako punkt orientacyjny. Był to wóz rozpoznania trafiony jakimś wyjątkowo perfidnym pociskiem, który wyrwał dziurę w jego burcie, a pancierz dookoła roztopił niczym ser na toście. Teraz do przodu, jakieś sto pięćdziesiąt kroków, dziewięćdziesiąt stopni w lewo i gdzieś tu powinien być.

W końcu go znalazłem. Był schowany za solidnym kawałem czołgowej stali, który

był zbyt duży, żeby dało się go podnieść bez dźwigu i przysypany piaskiem tak, że wystawał tylko kawałek lewego boku.

Odgarnąłem piach z maski. Gdybym miał łopatę, byłaby to robota na piętnaście minut, a tak męczyłem się dobrą godzinę. Kiedy skończyłem, zrobiło się już dość ciepło. Nie pocilem się, bo nie piłem od przedwczorajszego wieczora, ale i tak miałem wrażenie, jakby moja skóra była lepka i mokra.

Pod piaskiem czekała na mnie dobrze zachowana maska z solidną kratownicą, zamontowaną przed reflektorami, i to właśnie ona stała się moim pierwszym celem. Trzymała się na dwóch śrubach przymocowanych do linowej wyciągarki. Wziąłem dwa kawałki mojego łomu, objąłem nimi pierwszą śrubę i zacząłem kręcić. O dziwo nie poszło z nią źle. Rdza wyjadła gwint i śruba wyszła niemal sama. Gorzej szło z tą z drugiej strony, była zapieczona i przyblokowana tak, że równie dobrze mógłbym próbować wykręcić drzewo z ziemi.

Złapał mnie kolejny nieprzyjemny skurcz. Siadłem, ciężko dysząc, i zarządziłem pięć minut odpoczynku dla samego siebie. Jak możecie się domyślać, na płacz także miałem zbyt mało wody. Mimo to wzięłem się w garść i zacząłem oglądać przód samochodu z każdej strony. Kiedy usunąłem trochę piachu od dołu, zobaczyłem, że wyciągarka, do której zamocowana była krata, trzymała się na przyspawanej listwie, a całość łączenia była solidnie przerdzewiała.

Usunąłem jeszcze trochę ziemi, chwilę to trwało, bo byłem bardzo słaby. Sądząc po temperaturze, mogło się zbliżyć południe. Wczołgałem się pod podwozie i zacząłem tłuc bijakiem połówkę łomu, którą wepchnąłem w szczelinę. Tutaj przywykliśmy do tego, że na efekty się czeka. Dlatego, kiedy prawa ręka przestała mnie słuchać, zacząłem tłuc lewą, i w końcu się udało. Na ziemi leżał oderwany kawał żelastwa. Całość mogła ważyć ze sześćdziesiąt kilo. W innym życiu od takiego ciężaru zaczynałem przysiady ze sztangą, ale wtedy jadałem do syta.

Najpierw przepchnąłem moją zdobycz nogami, żeby w ogóle mógł się wysunąć spod podwozia. Wstałem, chwyciłem za kratę i pociągnąłem. Na jedno szarpnięcie mogłem posunąć się o krok, czasem dwa. W normalnych warunkach uznalibyście, że trzeba zadzwonić po czterech facetów z ciężarówką i pałeczkami, ale ja uznałem, że jest dobrze. Miałem przed sobą prawie pół dnia i trzy kilometry do przejścia rytmem krok – trzy oddechy – krok. Można powiedzieć, że byłem optymistycznie nastawiony.

Szarpiąc się z ważącym niemal tyle samo co ja sam w nowej, chudszej wersji, odłamkiem stali, byłem dosyć dobrze widoczny. Większość spoglądała przelotnie i wracała do własnej roboty, ale nie ci dwaj. Wyglądali dokładnie tak samo jak wszyscy. Szerokie, kościste plecy, ciemne twarze i czarne krosty, niemal na pewno rak skóry, rozsiane po ciele.

- Pomożemy ci to dźwignąć – powiedzieli.
- Poszukajcie czegoś swojego. To jest moje.
- Ledwie zipiesz, nie dociągniesz tego.
- Powiedziałem, że to jest moje.

Puściłem kratę, ale wciąż trzymałem mój bijak w prawej, a kawałki łomu w lewej

ręce. Tamci dwaj zaczęli się od siebie odsuwać, a tym samym mnie okrażać. Niegłupio, to znaczy, to nie byłoby głupie, gdyby mieli w planie mnie zaatakować. Dlatego byłem szybszy. Uderzyłem tego z prawej bijakiem, najpierw w klatkę piersiową, a potem w głowę. Czemu akurat jego? Groźniejsze narzędzie trzymałem w ręce bliżej niego. Ten nic nieznaczący szczegół kosztował go życie, ale ta myśl pojawiła się w mojej głowie o wiele później. Drugi „chętny do pomocy” zwiął, a ja pociągnąłem moje oszałamiające sześćdziesiąt kilo dalej.

Byłoby dramatycznie, gdybym dotarł do „skupu” i wtedy przewrócił się nieprzytomny. Ale tak nie było. Przewracałem się dobrych sześć czy siedem razy, a raz, wydaje mi się, straciłem świadomość. Na miejsce dotarłem jednak w pełni trzeźwy na umyśle i opanowany.

W namiocie było trzech ludzi. Jeden miał przedwojenny rewolwer, a dwóch miejscowe maczety. Niewiele, ale równie dobrze mogliby stłumić bunt i rozruchy, bijąc nas po twarzach otwartymi dłońmi. Oni mieli nieprzebrane siły, jedli mięso...

Jeden z nich pokazał mi, gdzie dotaszczyć moją zdobycz. Obejrzeni ją sobie, pochrzkali i powiedzieli w końcu „dwa litry”. Słabo pamiętam chwilę, gdy poznałem wyniki mojej matury, tak samo ten jeden raz, kiedy mój ojciec powiedział, że jest ze mnie dumny, ale te dwa słowa będę pamiętał do samego końca.

Otwarli drewnianą pokrywę zamykającą dużą beczkę i jeden z nich zanurzył w niej przedwojenną, niemilosierne pogiętą plastikową butelkę.

– Ej – warknął ten z rewolwerem – wygląda jak gówno. Nie dawaj mu wszystkiego naraz, wyłtopie i rozchlapie wszystko jak zwierzę.

Najpierw dali mi wypić trzy blaszane czerpaki, cały czas przypominając o tym, żebym pił małymi łykami, a dopiero potem podali mi do rąk butelkę, w której chlupotało półtora litra płynnego życia.

Dostałem też placek z mąki i wody pieczony na ściance pieca, polany rybnym sosem, w którym pływały wiórki mięsa, łuski i ości.

Kiedy siedziałem i jadłem, do „skupu” przyszła trzyosobowa grupka, niosąc kilka arkuszy cienkiej blachy, wydartej z boku śmigłowca, na których leżała jakaś część silnika. Dostali swój posiłek i wodę, po czym rozeszli się z powrotem, każdy w swoją stronę.

– Ty – odezwał się do mnie ten z rewolwerem – idź pracuj. Nie obrażaj Atoma swoim lenistwem!

Cóż było robić? Trzeba było wstać i iść. Chyba właśnie wtedy do mnie dotarło, że jedyne, co może mnie uratować, to najprawdziwszy cud. Taki z aniołami grającymi na trąbach i Bogiem zjeżdżającym z nieba windą z łaskawym uśmiechem na dobrotliwej twarzy.

Postanowiłem nie wracać tego dnia w to samo miejsce. Nie ma sensu zwracać na nie uwagi. Zamiast tego poszedłem się wysikać za jakąś wydmnę, a potem szwendałem się tak długo, aż na moje pytanie: „Czy można pomóc?” nie zobaczyłem kiwania głową.

Dwóch nieszczęśników kończyło powoli odkręcanie i odrywanie pokrywki silnika z czołgu. Mieli całkiem niezły klucz do śrub z długą rączką, za którą mogły się

złapać dwie osoby, ale i tak im nie szło. Teraz oni ciągnęli klucz, a ja, opierając ręce na ich dłoniach, pchałem. Nastękaliliśmy się solidnie, ale się udało. Narzędzia położyłem obok, ale wody nie wypuściłem. Wsunąłem ją za szmatę, którą miałem zawiązaną wokół pasa. Co chwila sięgałem do niej ręką, żeby upewnić się, że jest tam nadal, pomimo tego, że cały czas czułem dotyk plastiku na skórze.

Udało nam się odkręcić piątą i szóstą śrubę. Zostały dwie, kiedy zaczęło się robić ciemno. Podzieliliśmy się więc śrubami i nakrętkami i ruszyliśmy do „skupu”, umawiając się, że jutro rano tu wrócimy.

Za moją śrubę dostałem łyk wody. Miałem jeszcze całą butelkę, ale i tak łączywie przyssałem się do nabieraka.

Dostaliśmy jeszcze po surowej kolbie dzięki kukurydzy. Moja miała rdzawy kolor i była zupełnie pozbawiona jakiegokolwiek smaku.

Po nas do „skupu” przyszedł człowiek z urwanym palcem. Cały drżał, trzymał się za rękę, a kiedy jeden z wartowników chwycił go za nadgarstek, żeby obejrzeć, zawył z bólu. Drugi podszedł bliżej, chlusnął na ranę przezroczystym płynem z butelki i zawiązał ją szybko brudną szmatą. Potem puścili go i wrócili na swoje taborety, a ten bez palca osunął się na ziemię, dygocząc.

Dojędliśmy kukurydzę i chwyciliśmy nieprzytomnego. Ja niosłem za nogi. Minęliśmy uformowany z czołgów kwadrat, platformę radarowo-przeciwlotniczą, którą z nieznanych mi powodów nazywaliśmy Willie, i zesliśmy po łagodnym zboczu do wąskiego jaru, w którym nocowaliśmy.

Rannego położyliśmy na wolnym miejscu i poszliśmy każdy w swoją stronę, by zacząć wieczorny rytuał. Było już ciemno, a gwiazdy i księżyc dają znacznie mniej światła niż na filmach. Po zmroku na pustyni zostawał nam jedynie słuch i dotyk i tylko tymi zmysłami musieliśmy się posługiwać, sprawdzając, czy nie kładziemy się na jakimś wężu albo skorpionie.

Najpierw stopami rozsunąłem piach i drobne kamienie na boki, potem opadłem na kolana i zacząłem dotykać ziemi palcami. Na początku, kiedy to robiłem, opierałem na dłoniach ciężar ciała. To było głupie, kiedyś dotknąłem palcem jakiegoś włochatego robala i nie mogłem natychmiast odsunąć rąk, bo bym się wywrócił. Teraz opierałem się na kolanach.

Usłyszałem Toma i Carlosa, ale ich nie wołałem. Bałem się, że nie poszło im dziś i że będę musiał się podzielić z nimi wodą. Położyłem się na boku z butelką pod głową jak poduszką. Przyjemnie chlupało przy każdym moim ruchu.

Obok mnie przeszły dwie ryby. Tak nazywano tych, którzy nie zbierali żelastwa, tylko nosili wodę z jeziora. Też byli niewolnikami, jak my wszyscy, ale z jakichś powodów mieli lepiej i to wystarczało, żeby dzieliła nas milcząca nienawiść.

Inni też się już kładli. Tym razem chyba nikt nie trafił na żadnego skorpiona ani innego węża, bo nikt nie krzychał. Obok mnie położyło się dwóch koczowników. Mówili cicho, ale słyszałem całkiem niezłe. Ich angielski był słabo rozumiały, okaleczony zupełnie tak jak my sami.

Tutejsi nigdy nie mówili o rodzinie, o sobie, nie opowiadali o przeszłości. Planowali tylko przyszłość, za każdym razem identyczną.

- Pójdziemy w tamto miejsce. Szarpniemy kilka razy, pójdzie.
- Pójdzie, ale umęcym.
- Z funtow sta będzie, szarpniemy.
- Chciałoby.

Kiedy zasnąłem, śniła mi się kopalnia. Leżałem przygnieciony płożą śmigłowca i płakałem, ale po mojej twarzy nie ciekły łzy. Na metalowej płożie wyraźnie widziałem ślady zębów...

*

Minęło dokładnie sto dwanaście dni, odkąd Timur trafił do kopalni. Liczył je. Tego ranka nie obudził ich zwykły dzwon, a głuchy huk. Po nim był następny i kolejne. Łatwo się było zorientować, że nikt z obecnych nigdy wcześniej nie słyszał czegoś podobnego. Timur chyba także nie, no chyba że w filmach.

Nadzorcy nie wiedzieli, co robić. Miotali się, nasłuchiwali, krzyczeli, żeby się nie rozchodzić, potem, kiedy wszystko ucichło, kazali iść do roboty, by zaraz znów ich przywołać.

W końcu podjęto decyzję. Uwięzieni w kopalni mieli uformować kolumnę i pod strażą dotrzeć do zamku, skąd dochodziły wybuchy. Uznano widać, że tych ponad stu zniszczonych pracą niewolników może się przydać w zamku, bo to właśnie z tamtej strony niósł się hałas.

Szli piątkami, Timur był gdzieś w środku pochodu, po obu stronach miał spalone niemal na czarno wraki ludzi, podobne do niego. Szli krok za krokiem i myśleli tylko i wyłącznie o wodzie.

W pewnym momencie coś się stało i zrobiło się zamieszanie. Nie mógł zobaczyć, o co chodzi, ale po tłumie niosło się jak pożar po suchej łące słowo „Uciekają”. Timur nie wyrwał się z tłumu, został przypadkowo wypchnięty. Prawdę mówiąc, niewiele go to wszystko obchodziło, ale zobaczył, jak strażnik, ten z rewolwerem, wybiega za uciekającymi. Wyciągnął broń przed siebie i nacisnął spust, ale nic się nie stało. Nacisnął jeszcze trzy razy, po czym spojrzął na broń zdziwiony i zły.

Działo się to na oczach tłumu. Nie wszyscy, ale część i to wystarczająco duża zrozumiała, że strażnik jest bezbronny. Kilku niewolników rzuciło się na niego. Był odżywiony, powalił trzech, zanim dostał się pod bezlitosne, gołe stopy, twarde jak stal, którą nosiły każdego dnia.

To samo działo się z pozostałymi strażnikami, którzy maczetą i pałką zdążyli zabić kilku niewolników, ale w końcu także wylądowali na piasku.

Z ludzi wyszła dzicz. Zaczęli krzyczeć, biec każdy w inną stronę, tratować tych, którzy się wywrócili. Timur też pobiegł, kilka razy omal nie stracił równowagi, aż w końcu się wywrócił. Zwinął się w kłęb, zasłaniając głowę przedramionami. Dostał parę razy czyjąś nogą po obolałych nerkach, ale przeżył. Przez krzyki i tupanie dało się słyszeć dalekie strzały. Przy zamku musiało dojść do jakiejś bitwy.

Leżąc na ziemi, zdążył ochłonać i zaczął w miarę trzeźwo myśleć. Nie miał zapasów wody, a ostatni raz pił jakieś dwanaście godzin temu. Musiał szybko coś wymyślić, a najbliższą wodę można było znaleźć w jeziorze. Problem polegał na tym, że nie miał jej w co nalać. Gdzie szukać wody na pustyni, nie miał pojęcia. Mógł spróbować uciec w stronę River Town, znał drogę, ale bez broni, zapasów, butów i towarzyszy nie miał szans. Największym problemem była woda. Ostatni raz znaleźli jakieś źródło ponad dzień marszu od tej przeklętej szubienicy, a i do niej nie było wcale blisko.

Podniósł się i zobaczył jedynie plecy uciekających. Niektórzy uciekali grupami, inni sami. Ktoś zabrał leżącą na ziemi broń strażników. Timur miał szczerą nadzieję, że to Carlos z Tomem. Może wróca po niego? Głupia myśl. Nie wpadną na to, że tu został. W końcu, po długich minutach intensywnego myślenia, postanowił iść nad jezioro i napić się wody. Wszystko inne mogło czekać.

Godzinę siedział na brzegu jeziora. Strzały i wybuchy ucichły, jeszcze zanim tu dotarł. Wyglądało na to, że wszystko się uspokaja. Prawdopodobnie jeszcze długo nikt się nie zorientuje, co się stało z załogą kopalni. Wozy po metal przyjeżdżały rzadko, raz na kilka dni. Uciekinierów i tak nie będą zresztą szukać. Uciekać? Odpowiedzi na to pytanie nie było, a wszystkie wyjścia z tej sytuacji były równie sensowne. Ostatecznie Timur wstał i ruszył w stronę zamku. Postanowił opowiedzieć reszcie, co się stało w kopalni. Może dzięki temu pozwolą mu zostać rybą? To byłoby wspaniałe.

Z daleka zobaczył na przystani, skąd kursowały łódki na małą wyspę, dwie dziesiątki zamkowych strażników. Mieli prymitywne samopały i coś, co wyglądało jak połączenie maczety z dwuręcznym mieczem. Na skórzanych kaftanach błyszcząły naszyte metalowe

płytki, a na głowach kaski z nosalami. Kilku z nich szło w stronę wzgórza, a kilku stamtąd wracało, niosąc dziwne przedmioty, z daleka wyglądające jak podłużne wiadra. Inni kopali groby.

Podszedł bliżej i zrozumiał, że dziwne przedmioty to armatnie łuski. Wtedy wszystko stało się jasne. Ktoś ostrzelał zamek pociskami artyleryjskimi. Ciekawe, jak je odpalali. Wątpił, żeby mieli prawdziwe działa, ale te myśli nie zaprzętały go. Podszedł do żołnierzy. Miał podniesione ręce i wyglądał jak niewolnik, więc nikt nie widział w nim zagrożenia.

– Czego tu chcesz?

– Wszyscy ludzie z kopalni uciekli – powiedział głośno, co wywołało pewną konsternację.

Po chwili zza pleców żołnierzy wyłonił się dowódca i rozkazał:

– Zabijcie to ścierwo, nie ma teraz na niego czasu.

Timur musiał szybko improwizować i jedyne, co wpadło mu do głowy, to pokazanie ręką na łuski.

– Wiem, co to jest – krzyknął.

Ten, który podnosił już rękę z maczetą, spojrzał pytająco na dowódcę.

– Niby skąd?

– Tam, skąd przyszedłem, umiemy takie robić. Władca was nagrodzi.

Strażnicy zapakowali go na łódkę razem z łuskami i popłynęli w stronę zamku, omijając małą wyspę szerokim łukiem. Miał nadzieję wypatrzeć Mię gdzieś pomiędzy niewolnicami, ale przewrócili go bezceremonialnie na dno łodzi i kazali leżeć twarzą w dół.

Na brzegu zarzucili mu na głowę cuchnący worek i powiedli do niewielkiej celi. Po drodze przeszli pod zamkową kratą, potem przez jakieś drzwi i szli chwilę kręconymi schodami w dół.

Pomieszczenie było bardzo ciasne. Stojące w rogu wiadro na nieczystości zdawało się przytłaczać i wypełniać celę. W murze, przy samym suficie było okienko, przez które wpadało trochę słońca. Na szczęście jednak grube mury chroniły przed upałem – tak przynajmniej Timur myślał wtedy.

*

Na swoje pierwsze przesłuchanie musiał czekać do rana. Wywlekli go,

poprowadzili do końca korytarza. Podziemia zamku wyglądały tak, jakby miały się zaraz zawalić. Ściany były krzywe, niektóre kamienie i cegły chwiały się, a całość sprawiała wrażenie stworzonej bez żadnego projektu i pomysłu. Zaprowadzili go do niewielkiej sali, gdzie stał fotel obity szarym materiałem, stół i prosty pieńek, pełniący rolę taboretu dla przesłuchiwanego.

Na tym ładniejszym meblu siedział człowiek. Był ubrany na szaro jak wszyscy tutaj. Na jego prostej koszuli, przypominającej T-shirt z długimi rękawami uszyty przez siedmiolatka, błyszczało lustro Timura zawieszona na łańcuszku.

– Siadaj – warknął strażnik, usadził Denikina na pieńku, a sam wyszedł i zamknął drzwi.

– Co to jest? – ten z lustrem pokazał na stojącą w rogu łuskę armatnią.

– To łuska od pocisku artyleryjskiego. To groźna broń, przedwojenna.

– Jak działa?

Timur podniósł przedmiot i położył go na stole.

– Tę część wypełnia się prochem, a tutaj umieszczamy pocisk. To działa tak samo, jak w waszych samopalach – postanowił współpracować z własnej woli. Miał nadzieję więcej na tym ugrać.

– To wybuchało?

– Pocisk tego typu jest duży, można do niego wsadzić materiał wybuchowy i zapalnik.

– Jak tym się strzela?

– Potrzebujecie dużej lufy – gestem rąk zarysował jej kształt – pocisk wsadza się od tyłu, zamyka się zamek. Potem iglica uderza tutaj, tutaj powinna być spłonka. Od niej zapala się proch i pocisk wylatuje przez lufę.

– Jak to zrobić?

– Umiecie robić proch? Do waszej broni?

– Tak.

– Nie zrobicie takich samych dział jak przedwojenne, ale i tak będą lepsze niż to, co macie.

– Skąd to wiesz?

– Przypląnąłem tu zza morza, z miejsca, gdzie nie było wojny.

– I co to za miejsce? – zapytał, ale wyglądał raczej jak człowiek, który spotkał wariata.

- Chiny – Denikin odpowiedział spokojnie.
- Nie znam tego miejsca. Nie wiem, co to wojna.
- Chin nie zniszczył Atom. Tam ludzie latają samolotami i mają tyle jedzenia, ile potrzebują.
- Łzesz. Skąd tyle wiesz o armatach?
- Widziałem je na własne oczy – powiedział Timur pewnie. To nie była do końca prawda, ale to i tak nie miało znaczenia.
- Strażnik, zabierz go do celi – zawołał przesłuchujący w stronę drzwi.

Wspomnienia z piekła

Zamieniłem niewolniczą pracę na rutynę skazańca. W mojej celi nie było absolutnie nic, co mogłoby zabić nudę. Nawet robactwa. Na wyspie nie było go chyba zbyt wiele. Mogłem więc albo wdychać smród z wiadra, albo słuchać dalekich głosów z pól konopi i próbować zgadnąć, co mówią.

Tutaj karmili nie lepiej niż w kopalni, ale wodę dostawałem regularnie. Po kilku dniach przestały mnie nawet rwać nerki. Wciąż je czułem, ale to nie był już prawdziwy ból.

W moich drzwiach nie było żadnego okienka, więc nie mogłem zobaczyć, czy w innych celach też ktoś siedzi.

Czasami przykładam usta do szpary w drzwiach i darłem się. Po angielsku, rosyjsku, polsku, a czasem tak po prostu krzyczałem bez sensu. Kiedy teraz o tym myślę, chyba po prostu mi odbijało.

Dużo rozmawiałem ze sobą, ale o czym? Może to trochę dziwne, ale kompletnie tego nie pamiętam...

W końcu znowu wezwał mnie ten, który zabrał mi lusterko. Siedział w tym samym pokoju i sprawiał wrażenie, jakby od ostatniego razu wcale się stamtąd nie ruszył. Na stoliku leżało coś, czego nie spodziewałem się zobaczyć już nigdy w życiu – kartka papieru, taka zupełnie normalna. Identyczna, jak te, na których drukuje się umowy kupna-sprzedaży samochodu czy o pracę. Była pożółkła, ale zdecydowanie mniej, niż bym się spodziewał po tak starym papierze. Na kartce leżał kawałek węgla. Nie byle jaki, ale całkiem wygodnie przycięty, tak, żeby się nim dobrze rysowało. Za obitym na szaro fotelem stał jeszcze jeden człowiek. Wyglądał niepozornie. Niski, chudy, z lizajem na twarzy. Wszystkie te cechy sprawiały, że moglibyśmy go znaleźć w encyklopedii pod hasłem „mieszkaniec strefy zakazanej”. Miał na sobie szare ubranie, jak podejrzewam, z konopnego włókna, i skórzany fartuch, lekko przypalony tu i tam.

- Jak zrobić armatę? – jak zwykle bez ceremonii powiedział ten z lusterkiem. –

Rysuj i mów.

Nie trzeba mnie było poganiać. Naprawdę chciałem im pomóc. Nie oceniacie.

Dwa tygodnie po tej rozmowie strażnicy znowu wywlekli Timura z celi. Tym razem jednak nie prowadzili go prosto do salki przesłuchań, a skręcili na schody i wyszli na zewnątrz, a potem przez bramę na brzeg jeziora.

Był wczesny ranek i choć słońce zapowiadało już gorący dzień, wiatr łagodnie łaskotał skórę odzwyczajoną od takich rozkoszy. Na brzegu stała grupa około dwunastu uzbrojonych ludzi, jacyś rzemieślnicy i kilku napuszonych mężczyzn, którzy w sposób absolutnie oczywisty musieli być tutejszą elitą.

Na środku, pomiędzy nimi wszystkimi stał przedmiot powołany do życia na podstawie niezgrabnego rysunku Timura. Na prymitywnej, drewnianej ramie przymocowana była krótka, ale pękata armatnia lufa. Tuż obok tej średniowiecznej instalacji stała beczka prochu i leżała pojedyncza kamienna kula. Widać było, że ktoś bardzo starał się nadać jej kulisty kształt, ale widać było także, że ten ktoś robił to po raz pierwszy. Kiedy Denikin podszedł bliżej, zobaczył, że ubijak do prochu i wycior także leżały obok działa. Dokładnie jak na jego rysunku.

– Jest nasz człowiek – powiedział ten z lusterkiem, klaszcząc w dłonie. Widać było wyraźnie, że udaje zadowolenie, by ukryć strach. – Chodź tutaj, obesrańcu. – Wyszarpnął go z rąk eskorty i pociągnął w stronę działa. – Działaj człowieku, zanim Atom zeźli się na nas za bezczynność. Wszyscy tu mamy pracę!

– Co mam zrobić? – Timur wyszeptał tak, żeby inni nie dosłyszeli.

– Pokaż, że to działa, idioto, albo skórę zerwę – syknął.

Timur był kiedyś w muzeum na pokazie średniowiecznych machin obłączniczych i napisał o tym artykuł. Na tym, czego się wtedy dowiedział, kończyła się jego wiedza. Wyglądało jednak na to, że i tak, w porównaniu z wszystkimi innymi, mógł się czuć ekspertem. Choć wielu z zebranych trzymało w rękach samopały, patrzyli na stojącą obok armatę jak ciemny wieśniak na prom kosmiczny.

Zaczął od podniesienia lufy w taki sposób, by celowała jak najbardziej pionowo w górę. Wyciągnął kołek, pozwolił desce opaść i wsunął kołek w najniższy otwór. Potem nasypał prochu do lufy. To

był najtrudniejszy moment. Nasypie zbyt dużo, działa rozerwie. Nasypie zbyt mało, uznają, że cała ta armata nie ma zastosowania.

Kiedy wydało mu się, że prochu jest już dość, dołożył luźnych konopnych włókien, podniósł ubijak i zaczął ostrożnie ubijać proch.

– Co ty robisz? – zapytał jeden z napuszonych, ten najbardziej dostojny. Latynos z długimi włosami, podobny do króla jak szympanś do programisty.

– Ubijam proch.

– Po co?

– Tak trzeba, dzięki temu dalej poleci.

Nie miał zielonego pojęcia, czy mówi z sensem, ale przecież nie przyzna się, że robi to, bo tak robili na filmach. „Król” spojrzął na swoich ludzi z niezadowoleniem, jakby rozczarowali go wszyscy poza tym niewolnikiem.

– Kontynuuj – powiedział w końcu łaskawie.

Timur włożył kulę wielkości pięści, wsadził do lufy luźne włókna i znowu ubił. Podsypał proch do otworu z tyłu i zabrał się za krzesanie iskier nad prochem, co zdawało się odrobinę niebezpieczne, ale w końcu tyle stuleci tak robiono...

Zebrani wokół odsunęli się na dobrych kilka metrów, chyba zbyt mało, jeśli lufa pęknie na odłamki, ale Timur postanowił im tego nie mówić. W końcu i tak on zginie pierwszy.

Proch się zajął, zasyczało, siwy dym zasnuł wszystko wokół i zanim ktokolwiek zdołał się zorientować, co się stanie, nastąpił huk, a po nim wizg i dalekie chlupnięcie. Koła na wodzie rozchodziły się jakieś dwieście, trzysta metrów od brzegu. To chyba nie był wybitny wynik, ale wystarczył, żeby zrobić wrażenie.

– Dobrze – mruknął władca i machnął ręką, odwracając się tyłem, po czym odszedł.

Ten z lusterkiem nawet nie spojrzął na Timura i zaczął rozmawiać z rzemieślnikami. Strażnicy, ci sami, którzy zabrali go z celi, wzięli go tam z powrotem, a niedługo później przynieśli kubek wody i – jako jedyną nagrodę – kawałek placka.

*

Kilka dni później atak się powtórzył. Ktoś ostrzelał zamek, słysząc było

bliskie eksplozje i raz na jakiś czas niezbyt efektowne pyknięcie targańnicy zrobionej według przepisu Timura. Nie robiło to szczególnego wrażenia w porównaniu do eksplozji przedwojennych pocisków.

W pewnym momencie Timur miał wrażenie, że zamkiem zatrzęsło, z sufitu posypał się pył i drobne odłamki kamieni. To wystarczyło, żeby w jego wyobraźni pojawiła się dusząca wizja zawałającego się zamku, którego gruzy grzebią go na wieki w bezimiennej mogile. Nie był pewien, czy zależy mu na napisie na nagrobku, ale jednak stara matka nie miałaby nawet gdzie położyć kwiatka.

Kolejna eksplozja i znowu pyknięcie armaty, i jeszcze jeden wybuch, ale chybiony. Potem wszystko ucichło. Serce Timurowi łupało jak szalone, ale skończyło się na strachu. Dopiero na następny dzień wywlekli go z celi i zaprowadzili do noszenia gruzu. Jedna z zamkowych wież była częściowo zburzona, pocisk musiał trafić bezpośrednio. Mur pękł po skosie i osunął się na ziemię, odsłaniając trzy piętra z połamaną, drewnianą podłogą.

Tłum ludzi, głównie kobiety i podrostki, nosił gruz w koszach, w wypalonych drewnianych korytach i po prostu w rękach. Timurowi pokazali górę gruzu i miejsce, do którego miał go nosić. Większe kamienie składali na kupie, a pokruszoną zaprawę i żwir wrzucali do jeziora przy samym brzegu. W porównaniu do kopalni był to szkolny obóz sportowy dla uzdolnionej młodzieży. Wody można było nabierać, ile się chciało. To w stu procentach wypełniło prywatną definicję rajy Timura.

Wspomnienia z piekła

Drugiego dnia noszenia gruzu na teren prac postanowił rzucić okiem władca. Jego też dotyczył nabożny strach przed Atomem, przestrzegał tych samych zasad pracy od świtu do zmierzchu, jednak jego pracą nie było noszenie kamieni, podlewanie konopi, wyprawianie skór ani noszenie wody. Jego zadaniem było troskać się losem mieszkańców. Dlatego mógł siedzieć w fotelu, pić wodę i jeść mięso w blasku słońca, jednocześnie nie narażając się na gniew wszechmocnego bóstwa, tak bezlitosnego dla wszystkich poza nim.

Tego dnia praca władcy polegała na tym, żeby rzucić okiem na postępy odgruzowywania. Wtedy szczęście uśmiechnęło się do mnie po raz kolejny i sam nie wiem, co o tym myśleć. Z jednej strony przechodziłem przez ostateczne piekło, a z

drugiej musiałem mieć niewyobrażalnie dużo szczęścia, żeby przeżyć i żeby władca mnie zauważył pośród tłumu brudnych niewolników.

– Podejdz tu – zażądał. – Czy to nie ty nauczyłeś moich ludzi, jak zrobić działo?

– To ja.

– Dlaczego nosisz gruz? – zapytał zupełnie tak, jakby chciał go za to zbesztać.

– Kazali mi, to noszę. Praca jest miła Atomowi.

– Bzdury! – zezłościł się. – Kanalie! Jak dorwę tych idiotów! Głowy polecą – krzyczał, gestykulując i miotając się jak wściekły kot w klatce.

– A jakbym wbijał gwoździe mieczem? – zniżył głos, ale wciąż mocno akcentował, wkładając w słowa całą swoją pokazową furję, w sposób zbyt oczywisty obliczoną na przestraszenie publiki. – Czy taka praca podobałaby się Atomowi? Nie! – odpowiedział sam, nie czekając, aż ktoś z jego świty go w tym wyręczy. Mniej więcej wtedy Timur zauważył, że wśród dworaków nie brakuje tego, który ukradł mu lusterko. – Będiesz pracował, ale nie będziesz nosił gruzu. Chcę, żebyś pokazał mi wszystko, co wiesz o broni. Bo wiesz więcej, zgadza się?

– Oczywiście, mogę wam jeszcze dużo pokazać.

Władca dał znak Timurowi, żeby poszedł za nim. Oczywiście cała świta także z nimi poszła, ale władca dość szybko ich odprawił. Nikt nie wypełnił tego polecenia dosłownie, jedynie zwiększyli odstęp.

– Mogę o coś zapytać? – Śmiałość Timura wywołała zdziwienie władcy, ale skinął głową przyzwalająco. Denikin zaczął: – Macie broń palną, robicie proch. Dlaczego nie zrobiliście wcześniej działa? To w zasadzie taki sam karabin, tylko większy.

– Próbowaliśmy, wiele lat temu, może piętnaście. Lufa pękła, trzech ludzi odłamki poharatały. Poniechaliśmy.

– A czemu daliście mi szansę? – pytał dalej ośmielony.

– Atom każe korzystać z okazji. Jeśli masz wybór: działać albo powstrzymać się od działania, Atom zawsze chce, żebyś spróbował. Bezczyność to zło.

Minęli bramę i furtę i zaczęli się wspinać po kręconych schodach, zupełnie takich samych, jak w europejskich zamkach. Jediną różnicą był budulec. Zamek powstał z kamieni, przedwojennych cegieł

i plastikowych butelek, wypełnionych ziemią, piaskiem albo żwirem. W niektórych butelkach zamiast piasku była woda. Nietrudno było zrozumieć po co. Światła wpadało więcej niż przez okno.

Wspięli się na pierwsze piętro, przeszli galerijką, mijając jednego tylko strażnika uzbrojonego w stosunkowo krótką i szeroką maczetę, i zaczęli się wspinać kolejnymi schodami w centralnej wieży. Na samej górze znajdował się punkt obserwacyjny, a trochę niżej pomieszczenie władcy. Nie było tu luksusów w rozumieniu człowieka przywykłego do cywilizacji, ale Timur wystarczająco długo przebywał w strefie, żeby na pierwszy rzut oka zrozumieć, że trafił do najprawdziwszej oazy miejscowego przepychu.

Na ścianach wisiały skóry, niektóre baranie, inne krowie. W rogu stało łóżko. Nic niezwykłego, drewniana rama, materac wypchany jakimiś roślinnymi pakułami, pewnie konopiami. A mimo to poczuł zazdrość i zaczął liczyć, kiedy ostatnio spał na czymś choćby w miarę do tego zbliżonym. Władca miał także własny zbiornik na wodę z miedzianym kranikiem prostej konstrukcji. Obok łóżka stała niewielka ni to szafka, ni to stolik nocny, na której spoczywały trzy niesamowicie zniszczone książki bez okładek z połową może stron i drukiem startym tak, że niemal niemożliwym do odczytania.

Miejsce to, choć znajdowało się w zniszczonej wojną atomową Ameryce na przełomie wieków, w pełni zasługiwało na miano komnaty.

Władca siadł na jedynym fotelu, założył nogę na nogę, splótł dłonie i zapytał:

- Co możesz zrobić dla Atoma, przyjacielu?
- Wszystko - Timur zapewnił tak żarliwie, jak potrafił.
- Nie bełkocz mi tu. I tak wiem, że Atom to ostatnia rzecz, jaka cię obchodzi. Jaką broń potrafisz zbudować?
- Mogę pomóc wam udoskonalić działo. Znacznie.
- To wszystko? Władca nie wyglądał na zachwyconego, a w głowie Timura zaczęła się gonitwa myśli. Był zwykłym reporterem, zresztą nawet nie najlepszym. Był w piechocie, dobrze strzelał, potrafił rozłożyć i złożyć karabin. Zbudować broń to jednak co innego, niż jej użyć. Sporo czytał, ale to teoria. Wiedza z kolorowych czasopism, dokumentalnych filmów, historycznych książek i gier wideo mało mu pomoże. Co jeszcze mógł zaoferować?
- Wszystko zależy od tego, jakie będę miał narzędzia - postanowił

zdobyć więcej czasu.

– Dostaniesz kuźnię i ludzi – władca zgodził się łaskawie. – Ale nie dam ci czasu. Masz tyrać tak, jakby Atom patrzył na ciebie jednego. Daję ci dziesięć dni i po tym czasie masz pokazać, że nie byłem głupcem, okazując ci zaufanie.

Wspomnienia z piekła

Czy człowiek, który skończył socjologię na uniwersytecie w Hongkongu, na dodatek z niezbyt dobrą oceną, może zostać konstruktorem broni? Oczywiście nie może, ale mimo to czasem musi. Źle wspominam ten okres. Przez cały pierwszy rok codziennie musiałem natykać się na przykłady ostatecznej głupoty, której nie można usprawiedliwić zacofaniem ani wychowaniem. Rzemieślnicy, którzy pomagali mi zbroić armię wyznawców Atoma, byli zbyt tępi, żeby można było mówić inaczej niż o półgłówkach. Produkcja broni wymaga najprostszej standaryzacji, a do nich nie docierało nawet, że kule do muszkietów muszą mieć choćby podobne wymiary.

Stworzyłem nowy rodzaj pocisku do tutejszych samopałów. W zamku nie mieliśmy żadnego zaplecza chemicznego, proch strzelniczy otrzymywali tu z saletry produkowanej w stajniach, węgla drzewnego i kupowanej gdzieś siarki, nie wiem gdzie, bo układy handlowe atomitów, jak zacząłem ich nazywać, kompletnie mnie nie interesowały.

Wszystko, co miałem do dyspozycji, to najprostszy proch strzelniczy, taki sam jak ten, którego chińska armia używała przeciw mongolskiemu najeźdźcy, własna pomysłowość i bardzo ogólna wiedza na temat broni. A mimo to miałem pewne sukcesy. Głównie dlatego, że atomici nie znali nawet podstaw, więc takie usprawnienia, jak trywialna kolba czy bagnet, przyjmowali za coś znaczącego.

Oczywiście miałem też większe osiągnięcia. Wspólnymi siłami udało się wymyślić, jak robić papier konopny. Próbowałem przekonać władcę, że może on służyć do prowadzenia zapisów, ale uznał, że nie ma sensu marnować potrzebnego surowca na fanaberie. Zamiast tego papier służył nam jako prymitywne łuski.

Samą kulę też ulepszyłem. Dla nas to nic niezwykłego, ale dla atomitów nadanie pociskowi aerodynamicznego kształtu było czymś. Teraz pracowaliśmy nad papierowym ładunkiem śrutowym. W tych warunkach było to wyzwanie na długie tygodnie.

Pewnego dnia zabrałem dwóch moich pomocników, Dicka i Kinga (anglosaskie imiona niczym ze starych filmów nijak nie pasowały do tej dziwacznej, średniowiecznej rzeczywistości), nad jezioro. Kazałem im ustawić cel, używaliśmy do tego drewna na opał, żeby nie było żal. Chciałem wypróbować nabój śrutowy do polowania na ptaki mieszkające nad wodą. Stałem z boku, żeby obserwować efekt. Strzelec nic nie mógłby zobaczyć, bo proch dawał zbyt dużo dymu. Dlatego kazałem

strzelać Dickowi. Wydawał się rozsądny.

Chłopak załadował broń, wymierzył i nacisnął spust. Mechanizm skrzesał iskry, ale zupełnie nic się nie stało. Zdezorientowany odwrócił się w moją stronę, cały czas trzymając broń wycelowaną przed siebie. Wtedy usłyszałem miękki huk prochu i poczułem ból w lewej ręce.

Nie było źle, w mięsień wbiła się tylko jedna śrucina. Przy wyciąganiu wyłem z bólu, ale czułem się szczęściarzem, że to tylko ręka, i że wciąż ją mam.

Długo próbowałem dojść do tego, co się stało. Oglądałem broń, ciągnąłem obu tych matolów za języki. Do tej pory nie wiem, co dokładnie ten skończony debil wtedy zrobił, ale mogę być pewien, że nasz testowy samopał był w porządku. Dicka odesłałem do pracy przy konopiach. Nie miałem sumienia skazywać go na kopalnię.

Atomicy nie byli wychowywani do myślenia. Nikt ich tego nie uczył, nie chwalił za to, nikt nie pokazał, że bez tego, co mamy między uszami, sobie nie poradzimy. To miało swoje zalety, kretynami łatwiej rządzić, ale z drugiej strony można było skończyć ze śrutem w ręce.

Tutaj nie istnieje pojęcie dzieciństwa, a już na pewno nie takie jak u nas. Atomita rodzi się i kiedy tylko nauczy się chodzić, zaczyna pracować. Niemożliwe? Jeśli nie wierzycie, to zapraszam, jedźcie do zakazanej strefy i powiedzcie to im. Oczywiście, dwuletnie dziecko nie może nosić wody, nie może stać przy kuźni i chodzić na polowanie. Nie może szyc ubrań, bo nie przebije lichą kościaną igłą twardej skóry, nie będzie łowiło ryb. Ale może przecież wyrywać chwasty. I wyrywa. Spełniony sen Marksa i Engelsa. Armia pracy i przedszkole w jednym. Codziennie widziałem, jak oddział kilku dzieciaków wychodził na pola. Swoją drogą, kary fizyczne za lenistwo dotyczą atomitów w każdym wieku.

Kiedy dziecko ma sześć czy siedem lat, dostaje bardziej dorosłą pracę i jeśli nic się nie wydarzy, będzie zajmować się nią przez całe krótkie, trzydziestoletnie życie.

Starców w strefie zakazanej nie ma. Nawet jeśli gdzieś po drodze spotkałem kogoś, kogo określiłem jako starego, to pamiętajcie, że tutejsza starość jest znacznie młodsza od tej chińskiej. Czemu tak się dzieje? Może przez dietę, może przez pracę osiemnaście godzin dziennie, a może przez wciąż wyższy niż dopuszczalny przez jakiegokolwiek normy poziom radiacji.

Czasem myślałem o sobie w romantycznych kategoriach. Obcy człowiek w obcej cywilizacji, jak ten biały, który wylądował w Japonii i został szlachcicem. Ale to nie tak. W mieście rządzonym przez atomitów nie możesz być inny, nie wolno. Ich religia zakłada tylko jedno: pracę od świtu do zmierzchu. Im więcej pracy, tym bardziej Atom, czyli słońce, jest zadowolony, tym dalej od kolejnej kary za grzechy. Jedzenie na słońcu, wypoczynek, rozrywka, okazanie sobie uczuć, wszystko, co wyznacza naszą tożsamość i odmienność jest dalekie od pracy, a więc może sprowadzić karę.

W ich wizji świata bóg jest zły, mściwy i okrutny. Stosuje odpowiedzialność zbiorową. Jeśli nawet wierni pracują w pocie czoła, mogą zostać ukarani, bo jakiś obcy postanowił sobie zrobić przerwę. Dlatego oni tak nienawidzą koczowników. Są przekonani, że ci pasterze, świadomie lub nie, sprowadzają na świat gniew ich boga, a warto pamiętać, że poprzednią karą była wojna atomowa, której ślady wciąż są

wokół nich.

Dlatego właśnie zbudowali szubienicę. Wieszają tam koczowników i zostawiają na słońcu, żeby Atom nasycił się widokiem ich cierpienia. Kobiety i dzieci zostawiają sobie, traktując je bardziej jak towar niż jak ludzi.

Zdażyłem się już jednak zorientować, że atomicy w równym stopniu przestrzegali przykazania ciągłej pracy za dnia, jak i dawali upust wszelkim ludzkim żądom po zmroku. Póki świeciło słońce niemal nie jedli i nie pili, nie patrzyli na kobiety i nie odpoczywali. Nie śmiali się i nie rozmawiali. W ciemności bóg przestawał patrzeć, znikał. W jednej sekundzie z purytanów o pokornych sercach zmieniali się w ludzi pozbawionych jakichkolwiek zasad. Moralność w ich przekonaniu istniała jedynie po to, żeby zadowolić wielkiego nadzorcę – Atoma, więc jedynie w dzień.

Kilka dni później powtórzyliśmy próbę i zaczęliśmy intensywnie eksperymentować z różnymi rodzajami pocisków. To nie rewolucja przemysłowa w Europie. Nie mieliśmy do wyboru wielu rodzajów metali, hut i kopalń. Do dyspozycji była świetna jakościowo stal ze starych czołgów i aluminium ze śmigłowców. Kopalnia była dobrym dostawcą, ale to nie rozwiązywało problemu.

Ołów topi się łatwo. W ponad trzystu stopniach. Ołów można i nad ogniskiem roztopić, ale co ze stalą? Topienie jej zużywało ogromne ilości węgla, zbyt duże, żeby władca pozwolił nam używać jej do eksperymentów.

Atomicy kupowali ołów, gdzie mogli, ale wciąż go brakowało. Dlatego cały czas bazowaliśmy na pociskach kamiennych. Wygładzenie kamiennej kulki, powiedzmy kaliber dwanaście, nie jest aż tak trudne, ale co ze śrutem? Nie było rady, pociski do eksperymentów odlewaliśmy z ołowiu, a potem wygrzebywaliśmy je z drewna i szukaliśmy w ziemi, żeby zaoszczędzić surowca.

*

Timur, jak co pięć dni, siedział w dużej sali na parterze zamku. Siedział na długiej ławie przy równie długim, drewnianym stole, zastawionym bardzo prostymi potrawami z domieszką konopi. Oprócz niego przy stole siedział też władca, szeryf, kapłan – ten sam, który zabrał Timurowi lusterko, ekonom, admirał, wielki konopny i inni najważniejsi ludzie na zamku. Oczywiście ich tytuły mogły brzmieć zabawnie, ale tutaj traktowano je naprawdę poważnie. Poza tym, świetnie pasowały do ścian z butelek pet, przedwojennych plastikowych widelców, pożółkłych przez lata, i antycznych kubków termicznych, które pełniły funkcję bogatej zastawy stołowej.

Biesiada jak zwykle zaczęła się niedługo po zachodzie słońca. Najpierw tradycyjnie jedli ryby, placki z konopiami i mięso. Pili dziwny napój ze sfermentowanych konopi, od którego kręciło się

w głowie.

Kiedy już wszyscy nabrali dobrych humorów, władca dawał znak zarówno służbie, która pomimo nocnej pory musiała kontynuować pracę, jak i biesiadnikom, którzy wiedzieli, że już czas, by przenieść się do innej sali. Tej samej, w której czekały wybrane niewolnice z małej wyspy. W większości wymęczone pracą aż do całkowitej obojętności.

Timur widział po drodze wiele rzeczy, złych rzeczy. Śmierć i upodlenie, upadek cywilizacji i moralności. Ale wciąż nienawidził tego, co następowało po kolacji. Wszystkie te kobiety były brudne, nosiły łachmany, które aż ruszały się od wszy. On sam też miał wszy, duże, złośliwe paskudztwa, elitarne gwardyjskie wszy, potomkowie tych, które dały radę przetrwać wojnę atomową, promieniowanie i głód, ale to nic nie zmieniało. Za każdym razem, gdy wchodził do tej grupowej sypialni, zbierało mu się na wymioty. Podczas całej orgii w kociołku w rogu płonęły konopie. Zapach był oszałamiający, a umysł pod ich wpływem zaczynał się kołysać i zwijać w tulejkę.

Wychodząc z sali, ledwo trzymał się na nogach i zdecydowanie chciał przytulić się do jakiejś chłodnej ściany. Nagle poczuł, jak ktoś łapie go za łokieć, podtrzymuje i pomaga wejść w drzwi. Na zewnątrz nieoczekiwany sojusznik w walce z grawitacją wyszeptał Timurowi do ucha: „Uważaj na siebie, ktoś z nas ma wobec ciebie bardzo nieprzyjemne plany”, po czym rozpułynał się w konopnym dymie.

Denikin nie był do końca pewny, jak dotarł do swojego siennika i jak to się stało, że był już prawie świt. Zerwał się na równe nogi, poprawił ubranie, którego nie udało mu się w nocy z siebie zrzucić, choć widocznie próbował, i ruszył do swojej kuźni. Powietrze było gorące i suche. Słońce grzało bardziej niż poprzedniego dnia i Timur zdawał sobie sprawę, że kolejnego dnia będzie jeszcze gorzej i następnego tak samo. Najbliższe pół roku będzie nieprzerwanym pasmem upału.

Dwóch jego pomocników zaczęło już pracę. Szlifowali kamienie na gładkie kule do muszkietów. Kolejni się schodzili. Dziś Timur nie miał do zrobienia w kuźni nic szczególnego. Żadnych eksperymentów i wynalazków. Zwykła produkcja, z którą mógł zostawić swoich ludzi. Rzeczy niezwykle miał w planie załatwić poza zamkiem.

Jeszcze poprzedniej nocy podczas uczty, umówił się z Bo, dobrze zbudowanym czarnoskórym, który pełnił na zamku rolę władcy zasobów ludzkich. Nazwa stanowiska była oczywiście równie dziwna co

średniowieczny zamek na środku radioaktywnej pustyni, ale oznaczało to mniej więcej naczelnego poganiacza niewolników. W gestii Bo pozostawała między innymi kopalnia, która szybko po tym, jak Timur ją opuścił, znów zapełniła się ludźmi.

Od zamku do cmentarzyska antycznego sprzętu bojowego była jakaś godzina drogi na piechotę. W tym czasie Timur postanowił delikatnie podpytać Bo. Z góry założył, że tajemniczy nieznajomy, mówiąc „jeden z nas”, miał na myśli kogoś z wąskiego kręgu możliwych zapraszanych na nocne uczy. Jak dowiedzieć się czegoś od kogoś, nie pokazując, że się próbuje? Na to pytanie Timur nie znał jednoznacznej odpowiedzi, ale postanowił zacząć od słuchania, kiwania głową i potakiwania. Najpierw wysłuchał o problemach z leniwymi robotnikami, potem o ich słabych kościach, które łamią się jak suche patyki, kiedy tylko próbujesz pogonić je do roboty, aż w końcu Bo powiedział:

– Charlie ciągle podbiera mi ludzi na łodzie. Nie wiem, jak on to robi, ale zawsze jak złapią jakichś koczowników albo kupią niewolników, albo jak karawana przyjdzie, to on zawsze jest pierwszy, zabiera silnych i zdrowych, a mnie zostawia ochłapy.

– Myślisz, że ktoś mu pomaga? – Timur zapytał.

– Sam nie wiem. Szeryf Steve raczej nie. Jemu samemu ciągle brakuje rąk do roboty. Nasz przyjaciel konopny raczej też nie, nie przepada ani za jednym, ani za drugim. Zresztą konopny ma chody u władcy, dostaje tyle ludzi, ile chce. Konopie są zbyt ważne. Dlatego i szeryf, i Charlie też by się go chętnie pozbyli.

– Też dostaję tyle ludzi, ile chcę – wtrącił Timur.

– Więc za tobą też nie przepadają, ale ty jesteś płotką. Ile osób u ciebie robi, czterdzieści?

– Trzydzieści pięć.

– Właśnie, to tyle, co nic. U samego konopnego są dwie setki jakieś.

– To kto może im pomagać?

– Władca na pewno nie, on nie bawi się w gierki. Jeśli chce kogoś faworyzować, to po prostu to robi i wszyscy o tym wiedzą.

– A kapłan? – zapytał Timur ze szczerą niechęcią.

– On może dużo więcej, niż nam się wszystkim wydaje, ale nie sądzę, żeby się w to mieszał. Jest zbyt zajęty jedzeniem, pieprzeniem i krzyczeniem na ludzi – powiedział Bo z przekąsem. – Ale mniejsza o to. Tim, powiedz mi, po co dokładnie idziemy?

- Bywasz w kopalni, prawda?
- Od czasu do czasu.
- Widziałeś tam czołgi?
- A co to jest? Czołgi na co? – zapytał, zupełnie nie wiedząc, o co chodzi.
- Nie, chodzi mi o te wielkie pojazdy z ogromnymi lufami.
- Wiem – powiedział Bo i kiwnął głową na potwierdzenie, że zrozumiał. – Co z nimi?
- Właśnie o te lufy mi chodzi. Chcę zobaczyć, w jakim są stanie. Moglibyśmy je wykorzystać.
- Jako działa?
- Na pewno będą lepsze niż te, które odlewamy sami.
- A te... czołgi. Nie moglibyśmy ich uruchomić?
- Wątpię. Byłem w jednym... – teraz to Timur się zawahał, przez ułamek sekundy coś rozważał, po czym zdecydował przemilczeć temat swojego pobytu w kopalni.
- Tak myślisz? A jak byśmy zaprzęgli do tego konie? Widziałem to, kawał draństwa, nie przestrzelał nawet z przedwojennego karabinu.
- Konie? Potrzeba by ich setki na sztukę.
- Tak mówisz?
- Lepiej zostanmy przy lufach. Powinniśmy dać radę zrobić z nich użytek, ale to nie będzie łatwa robota.
- Atom nie lubi łatwej pracy – skomentował Bo, a zza wydmy wyłonił się namiot nadzorców.

Kiedy Timur pracował w kopalni, trochę dziwiły go pewne odstępstwa od zasad religii, jakie tam panowały. Nadzorcy całe dni nie zajmowali się praktycznie niczym, oprócz wycenienia kawałków złomu, wydawania jedzenia i wody. Teraz wiedział jednak znacznie więcej o zasadach rządzących wiarą atomitów. Tutejsi więźniowie zajmowali się metalem, paliwem wojny, bez którego zamek nie mógłby podbijać nowych ziem ani bronić tych, które już zdobył. Dlatego przemykano oko na jedzenie i picie w świetle dnia. Zawsze znajdują się rzeczy ważniejsze od dogmatów. Jeśli zaś chodzi o wartowników, to Denikin bardzo szybko zrozumiał, że wśród wierzących w Atoma definicja słowa „praca” jest niezwykle elastyczna i ustalana indywidualnie.

Wspięli się na jeden z czołgów. Nie było to trudne, bo do połowy gąsienicy zasypany był przez piasek. Kilkanaście kroków od nich,

oparty o jakiś pojazd stał jeden z nadzorców. Timur zaczął oglądać lufę czołgu. Widać było na niej rdzawy nalot, ale w suchym pustynnym powietrzu korozja nie postępowała aż tak szybko.

– Widzisz to pogrubienie, Bo? – zapytał.

– Widzę.

– Tutaj, tuż przed nim trzeba by to rozłączyć. Rozciąć. Może przepiłować – Timur zastanawiał się głośno. – Jakby to nagrzać...

– Przeciąć? – zdziwił się Bo. – To będzie trwało miesiąc.

Jak się tnie stal? Timur zaczął się zastanawiać, rytmicznie uderzając spodem zaciśniętej pięści o lufę. W życiu czegoś takiego nie widział. Może laserem? Słyszał też kiedyś o cięciu wodą, ale wątpił, żeby znano tutaj takie metody.

– Możemy użyć całej lufy – nieśmiało zaproponował Bo, masując swój ciemnoskóry kark dłonią wielką jak koło od traktora.

– Nie, jest zbyt wielka, waży ponad tonę. – O armacie do Abramsa także kiedyś pisał artykuł, takie archiwalne militaria zawsze dobrze się klikały na stronie głównej portalu.

– Tim, powiedz mi jedno.

– Co konkretnie?

– Skąd ty wiesz to wszystko? Czołgi, tony, budowanie dział?

– Bo, nie uwierzysz, nawet jak ci powiem. Zacznę cię przekonywać, a ty i tak nie będziesz wierzył. No i po co to.

– To co robimy z tym działem? – odpuścił.

– Nic, poszukajmy czegoś mniejszego. To jest dla nas za duże.

Chodząc po kopalni, cały czas natykali się na pracujących, którzy nawet nie podnosili na nich wzroku. Timur i Bo mieli przy sobie szerokie, wygodne maczety miejscowej produkcji, najpopularniejszą broń w strefie zakazanej. Mimo to Denikin nie czuł się pewnie. Pamiętał, jak szybko strażnicy wylądowali pod butami uciekających więźniów.

– Bo, co się stało z tymi, którzy stąd uciekli?

– Wtedy? – zapytał, wyraźnie wiedząc, o której ucieczce Timur mówi.

– Właśnie wtedy.

– Część wyłapali i powiesili, może ze dwudziestu, znaleźli też sporo trupów. Niektórzy pozabijali się nawzajem. Atom nie lubi takich, którzy uciekają od pracy – powiedział to tonem aż ociekającym od fanatycznej pewności siebie. – Spójrzmy na ciebie, Tim. Pracowałeś ciężko, a kiedy

miałeś szansę uciec od pracy, zostałeś. Atom cię za to nagroził, wywyższył.

– Myślisz, że to on mnie uratował? – Timur wiedział, że to pytanie to sygnał startu do biegu po ostrzu noża, ale wiedział też, że Bo jest wyjątkowo łagodny, jak na fanatyka.

– A kto jeszcze mógł cię uratować? Może ty sam?

– Przypadek? Doświadczenie, prawidłowe decyzje?

– Nie ma przypadków, jest Atom.

– I jemu dzięki. Chyba znaleźliśmy to, czego nam trzeba.

Tutaj też stały czołgi, ale niepodobne do tych, które oglądali wcześniej. Mniej kanciaste i w ogóle znacznie mniejsze. Pewnie nawet nie czołgi, a transportery piechoty. Ich stan był niezły, ale ledwie wystawały spod piasku.

– Na oko siedemdziesiątki piątki – wymruczał Timur, przyglądając się lufie z ziemi, potem wszedł na pancierz, zerwał zabezpieczający kapturek ze sparciałego tworzywa sztucznego i zajrzał do środka. – Gładkolufowa – stwierdził zadowolony. – I przedmuchiwacz jest nie za duży.

– Tim, naprawdę nie chcesz mi powiedzieć, skąd to wszystko wiesz?

– Przybyłem z daleka, Bo, z innego miejsca i innych czasów. I utknąłem tutaj między wami, choć wcale tego nie chciałem.

– To znaczy, że...

– Praca, Bo, nie zapominajmy, po co tu przyszliśmy. Ej! – zawołał w stronę wciąż snującego się za nimi nadzorca. – Podejdź tutaj, człowieku.

Wyjaśnili mu dokładnie, jakiej części armaty potrzebują. Mieli je demontować, przynajmniej po jednej na trzy dni i składować wszystkie w jednym miejscu. Timur jeszcze nie wiedział, czy uda mu się to, co zamierzał, ale lufy zawsze będzie można wykorzystać, więc co za różnica.

Dwa dni później posłaniec z kopalni zawiadomił Timura, że pierwsza lufa została zdemontowana i można ją odebrać. Denikin poszedł do Bo, ale dowiedział się, że następny transport ma w planie wysłać dopiero za kilka dni. Dlatego postanowił pójść do władcy.

Nie znalazł go w komnacie, za to dowiedział się tam od służącej, że powinien popłynąć na małą wyspę, tam go poszukać.

Wspomnienia z piekła

Niewolnictwo w River Town było ohydne, widziałem tam handlarzy wycinających znaki na ciałach niewolników. Wypróbowywali kobiety przed kupnem, jeszcze na targu, i kazali niewolnikom walczyć o jedzenie. Atomici jednak rozwinęli niewolnictwo do zupełnie nowego poziomu. Tutaj każdy był niewolnikiem religii, a jednocześnie władzy, która udając egzekwowanie praw wiary, walczyła o własny komfort.

Miasto wyrosłe wokół zamku leżało na dwóch wyspach. Na większej stał zamek, kilka długich, drewnianych chat, w których mieszkali żołnierze, kowale i rzemieślnicy oraz niewielka osada baraków, w których spali konopni. Wszystkie te zabudowania zajmowały skromny fragment lądu. Na reszcie rosła podstawa tutejszej egzystencji – konopie. Używano ich do wszystkiego. Z włókien robiono liny, odzież i żagle, olejem kobiety smarowały skórę, liśćmi karmiono zwierzęta, nasiona mielono na mąkę, a dzięki mnie zaczęli wytwarzać z niej także papier. Oczywiście część suszono, żeby potem spalić. Zazwyczaj taki susz wrzucali po prostu do kominków czy ognisk albo palili w drewnianych miseczkach, ale pokazałem im też kilka innych metod.

Życie na dużej wyspie było prymitywne, ale spokojne. Ludzie razem jedli i razem pracowali. Mniejsza wyspa była jak inny świat, koszmarny wrzód, ropiejąca rana. Definicja słowa „praca” dla tych ludzi brzmiała zupełnie inaczej niż dla mieszkańców dużej wyspy. Tutaj znajdowały się warsztaty konopne, tkano materiał, szyto, oprawiano mięso, mielono ziarno, tutaj mieszkali rybacy i tutaj oprawiano to, co udało im się złowić. Rozładowywali tutaj także towar, który przywoziły karawany. Zamek był czymś w rodzaju stolicy kraju atomitów. Władca zamku posiadał kilkanaście wiosek i jedną większą osadę oprócz tej na jeziorze.

Handel w zakazanej strefie nie był łatwy, ale tak samo jak wszędzie i w każdej epoce, był ludziom konieczny do przetrwania. Dlatego karawany zwoziły tutaj złom zebrany na ulicach San Francisco, drewno i węgiel wydobyty w dawnych stanach Utah i Nowy Meksyk, niewolników zewsząd, jedzenie, skóry. Z powrotem wiozły tkaniny i wyroby metalowe, narzędzia, broń. Prawa rządzące ekonomią nie zmieniają się w swoich podstawach. Ci, którzy mają surowce, są bogaci, ale nie tak jak ci, którzy potrafią je przetwarzać.

Na małej wyspie mieszkali jedynie niewolnicy i prawie wyłącznie kobiety. Mężczyźni zdolni do ciężkiej pracy lądowali w kuźniach, na polach konopnych, w wioskach, a ostatecznie w kopalni, gdzie bardzo szybko umierali z wycieńczenia. Kobiety, dzieci i starcy trafiali na małą wyspę.

W drabinie społecznej awansowali ci, którzy zostali wskazani przez kogoś z góry, władcę, Bo, szeryfa czy konopnego. Mogli wybrać krzepkiego dzieciaka do nauki na kowala albo silnego niewolnika na żołnierza.

Pilnowano przy tym jednak, by nie dawać broni byłym jeńcom, zwłaszcza koczownikom. Tych nie darzono tutaj zaufaniem.

Kobiety miały o wiele ciężej. Niepisane zasady wiary w Atoma nie wspominały o wierności i łagodności. Czasem zamkowym moźnym zdarzało się przenieść którąś niewolnicę na dużą wyspę, ale taka łaska nie oznaczała mniej pracy w dzień, a jedynie więcej w nocy.

Timur znalazł władcę przy nabrzeżu małej wyspy. Targował się z karawaniarzem, którego towar stał na lądzie. Na sześciu wozach obstawionych uzbrojonymi ludźmi piętrzyły się góry węgla. Mniejsza sterta leżała rozsypana pod nogami władcy.

– Dobrze, że przyszedłeś – władca zwrócił się do Timura. – Spójrz no na ten węgiel. Oceń, czy warto za niego zapłacić.

– Zapłacicie – karawaniarz uśmiechnął się, ale nie chytrze, raczej dobrodusznie. Był tłustawy i łysy, tuż pod skórą jego twarzy biegły zdecydowanie zbyt wyraźne żyły, nienaturalne i odrobinę obrzydliwe. – Wiem, ile wy tu węgla zuzywacie.

– Cała piwnica węglem zavalona – skomentował władca, nie patrząc na handlarza. – Ale dobry węgiel za uczciwą cenę zawsze chętnie przyjmę. Tim?

Przed przybyciem do zamku Timur nie miał o węglu żadnego pojęcia i wciąż mógł się śmiało uważać za dyletanta w tej dziedzinie. Mimo to rok pracy w kuźni przy topieniu i kuciu żelaza pozwolił mu wyrobić sobie własne zdanie na ten temat. Kucnął przy stosiku i zaczął oglądać bryłki po kolei. W końcu powiedział, zadzierając głowę tak, żeby spojrzeć na władcę:

– Jeśli całość towaru jest tak dobra, jak to, to możecie śmiało kupować.

– Nie zedrzymy z was – wtrącił bezceremonialnie kupiec. – Chcemy w zamian tylko jedną z nich – pokazał ręką na jedną z pierwszych taraśnic, jakie Timur zrobił dla władcy, i która w towarzystwie kilku podobnych stała blisko brzegu, strasząc już samym wyglądem.

– To nie jest na sprzedaż – warknął władca tonem zimnym jak szczyty Appalachów. Obrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. Jeśli odgrywał scenkę na potrzeby negocjacji, to robił to po mistrzowsku.

Handlarz próbował pobiec za władcą, coś nawet zawołał, ale żołnierz z ochrony władcy powstrzymał go. Karawaniarzom nie pozostało nic innego, jak tylko wrócić na brzeg. Timur w tym samym czasie ruszył za władcą, żeby załatwić swoją sprawę.

– Z czym przyszedłeś, Tim? – zapytał władca. – Bo w to, że łazisz za mną tylko po to, żeby oglądać węgiel, to nie wierzę.

– Potrzebuję ludzi, no i ze dwa konie.

– Ilu?

– Z ośmiu tragarzy i tak, powiedziałbym, dwóch żołnierzy.

– Do czego ich potrzebujesz?

– Muszę przewieźć przedwojenną lufę z kopalni do mojej kuźni.

– Jest lepsza od tych, które odlewamy?

– To właśnie chcę sprawdzić.

– Dobrze, idź. Dam znać komu trzeba w zamku.

– Dziękuję.

– Idźże już, zanim obaj zdenerwujemy Atoma.

Przyjechali po lufę z samego rana następnego dnia. Była idealna, niezbyt wielka, w środku gładka, niemal bez śladów korozji. Załadowanie jej na wóz nie zajęło dużo czasu. Po drodze musieli wymienić pękniętą szprychę, ale i tak dotarli do zamku na tyle wcześnie, żeby można się było zabrać do pracy.

Przez kilka dni Timur pochłonięty był konstrukcją zamka. Większość dnia pracował w kuźni, a potem wieczorami rysował kawałkami węgla szkice, leżąc na sienniku. Właśnie szkicował, kiedy obcy głos zawołał go z korytarza:

– Tim? Tim, chodź tutaj szybko!

Timur otworzył drzwi swojego niewielkiego pokoiku, który zdecydowanie spełniał definicję słowa „cela”. Rozejrzał się po korytarzu. Nikogo nie zobaczył, ruszył niepewnie w lewo. W tym momencie czyjaś ręka wysunęła się zza niego i zacisnęła na jego szyi. Poczł zapach konopi, typowy dla większości mieszkańców dużej wyspy. Zareagował odruchowo. Na treningach w armii, a potem na zajęciach ćwiczył to setki razy. Odwrócił głowę w lewo, szarpnął obiema dłońmi za rękę napastnika i obracając się wokół własnej osi, uwolnił się z uścisku. Kiedy tylko jego głowa była wolna, kopnął prawym kolaniem.

Nie widział przeciwnika, ale nie mógł nie trafić. Krótka chwila, którą

dostał, była wystarczająca, żeby odskoczyć, a potem uciec. Zdażył za sobą usłyszeć jakiś głos, ale nie odwracał się. Wrócił na miejsce dopiero ze swoim człowiekiem z kuźni, ale tam, oczywiście, nikogo już nie było.

*

– Co masz na myśli, mówiąc „napadł”? – zapytał władca, siedząc na fotelu i przyglądając się jakiemuś przedmiotowi, którego Timur w półmroku nie mógł dostrzec.

– Wywabili mnie z pokoju i napadli od tyłu.

– Skąd wiesz, że było ich więcej?

– Kiedy się wyrwałem, usłyszałem głos. Gdyby był sam, to do kogo by mówił?

– Zajęty jestem, czego chcesz ode mnie?

– Nie wiem. Ochrony?

– Twoi ludzie cię nie pilnują?

– W korytarzu zazwyczaj śpi jeden, przynosi kolację, a potem zostaje.

– Dobrze, idź do siebie. Załatwię to.

Timur odwrócił się i zamierzał wyjść, ale władca odezwał się znowu:

– Jak ci idzie twój projekt?

– Powoli, ale posuwam się naprzód.

– Dobrze, idź już.

Denikin stał w kuźni przed ośmioma swoimi ludźmi, ustawionymi w dwa szeregi. Obok stał szeryf, w ręce miał podłużny kawałek metalu, dopiero co wyjęty z żaru.

– Który z was wczoraj podawał kolację? – zapytał spokojnym głosem. Nikt się nie odezwał. – Wasz pan mógł wczoraj zginąć. Przynajmniej jeden z was jest winny.

Kuźniczni niby stali w miejscu, a jakoś zrobiło się między nimi luźniej. Jakby odsuwali się jeden od drugiego. Nie patrzyli na boki, ale widać było, że bardzo by chcieli się rozejrzeć. Odszukać wzrokiem winnego i uniknąć zbiorowej kary.

– Chcecie mi powiedzieć, że nikt z was nie podawał wczoraj kolacji? – zapytał szeryf. – Tim, który to był?

– Myślisz, że się im przyglądam?

– Tim, nie utrudniaj. Po prostu pokażesz tego, którego ci się wydaje,

że wczoraj widziałeś. Pręt mi stygnie, a Atom zaraz ukarze nas wszystkich.

– To chyba ten – Denikin pokazał na jednego ze swoich ludzi. Wytłumaczył sobie, że lepiej ukarać niesłusznie jednego niż wszystkich.

Wspomnienia z piekła

Władca przydzielił mi jednego tępego chłopacznę, który włóczył się za mną dzień i noc. Jadł ze mną i spał na korytarzu pod moimi drzwiami. Wątpię, żeby dał radę mnie obronić przed kimkolwiek, ale przynajmniej nikt nie mógł zająć mnie teraz od tyłu.

Nie wiedziałem, co myśleć o tej napaści. Wiedziałem, że nie mam w zamku prawdziwych przyjaciół, zdawałem sobie też sprawę, że nie wszyscy mnie lubią, ale próba morderstwa? Czy może porwania? Tego się nie spodziewałem. Teraz zresztą wiem, że to było coś zupełnie innego, ale wtedy nie myślałem już jak człowiek z Chin. Ja wszedłem do strefy, ale także strefa weszła we mnie.

Po szeregu prób i błędów, poprzetykanych godzinami myślenia nad kartką papieru, znalazłem rozwiązanie mojego problemu. Zaprojektowałem zamek do armaty zamykany metalowym czopem z litego żelaza. Wsuwamy czop do lufy i przekręcamy tak, żeby wypustki w lufie i na czopie zablokowały się o siebie. Oczywiście czop musi być szerszy z tyłu. Po uszczelnieniu pakułami powinno być nieźle.

Oczywiście wszystko to było dość prymitywne, więc metalowe części niezbyt dobrze do siebie przylegały. Dlatego zastosowałem coś w rodzaju uszczelki z konopnej tkaniny.

Teraz potrzebowałem jeszcze odpowiedniego pocisku...

Pierwszy publiczny pokaz odbył się po całym dniu testów. W kuźni Timura powstało całkiem nieźle funkcjonujące działo. Denikin był pewien, że władca będzie zadowolony i tylko to się liczyło.

Władca rozsiadł się wygodnie na zboczku wzgórza otoczony przez świtę. Jakieś czterdzieści metrów przed nim w dół zbocza Timur rozstawił swoje nowe działo. Stało tutaj całą noc i cały poprzedni dzień. Nocował przy nim razem z sześcioma swoimi pracownikami z kuźni. Armata była w stanie trafić cel z odległości kilometra. Co więcej, byli już dokładnie przystrzelani i gotowi zniszczyć drewniany

cel od pierwszego wystrzału.

Było wczesne przedpołudnie, gorąco, słońce grzało, jakby chciało ich spalić. Widział, że jego pomocnicy się denerwują. „Przekłęci atomicy nie potrafią ustać beczynn timer pięciu minut bez tych swoich religijnych paranoi” – pomyślał. Trybuna powoli się zapełniła i władca dał ręką sygnał.

Timur poczekał, aż jeden z jego ludzi wsunie ubity proch w kartonowym ładunku, pocisk i podpali lont, a wtedy on sam wsunął stalowy czop i przekręcił, ryglując. Odsunął się do tyłu. Chciał zasłonić uszy, ale nie zdążył. Huk porwał go i wyrzucił, takie było pierwsze wrażenie. Potem poczuł dziwne uczucie w lewej ręce, spojrzął na nią, była cała czerwona i jakaś taka... dziwna. Jego wzrok zdążył jeszcze ześlizgnąć się po metalowym czopie leżącym na ziemi daleko za nim. Potem stracił przytomność.

*

Budził się kilka razy. Raz widział tylko ciemność, ale czuł powiew przeciągu na twarzy i zapach konopi, za drugim razem widział sufit i ścianę oświetloną dziennym światłem. Sny mieszały się z tymi krótkimi chwilami przebudzenia, tworząc niezrozumiałą papkę, równie czytelną, co pijackie zwidy.

Kiedy w końcu świadomość przestała zawijać się w pętle, odkrył, że leży na sienniku w swojej celi w zamku. Lewa ręka bardzo go bolała, ale przez pierwszych kilka godzin nie miał siły, żeby się ruszyć i ją obejrzeć. W pewnym momencie do pokoju weszła niewolnica z dzbankiem. Bez słowa napoiła go konopnym piwem, w którym pływały jeszcze roślinne resztki. Na żadne pytania Timura nie zareagowała nawet gestem.

Minął dzień. Timur nie pamiętał, kiedy zasnął. Był bardzo zdziwiony, gdy zobaczył w swoim pokoju dwóch mężczyzn. Jeden z nich stał przy drzwiach i rozglądał się po korytarzu, trzymając w dłoni duży, czarny rewolwer. Drugi wsadził Timurowi knebel w usta, zrzucił z niego koc i pomógł wstać, warcząc coś nieprzyjemnego.

Byli już w korytarzu, kiedy spojrzął na rękę, która bolała go, odkąd tylko się obudził, a może nawet jeszcze wcześniej, nie był tego do końca pewien. Ręki nie było, a raczej nie była cała. Kończyła się kilka

centymetrów pod łokciem nie do końca zagojoną raną z fatalnie zsztywniałymi brzegami. Bure nitki sterczały na wszystkie strony. Odruchowo spróbował zacisnąć lewą pięść, ale jej już nie było. Doznał najdziwniejszego uczucia w całym jego życiu: wymykające się próbom opisu nierealne poczucie krzywdy, namacalnego bólu i czegoś jeszcze. Przez chwilę wszystko, co działo się wokół niego, zostało wyparte przez szok.

Timur szybko wrócił do rzeczywistości, kiedy jeden z jego porywaczy mordował zamkowego strażnika długim ostrzem. Na zewnątrz wydostali się po linie przerzuconej przez blanki. Timurowi musieli związać nogi, zrobić prowizoryczną i bardzo niewygodną uprzęż i opuścić go na dół.

Nie przyszło mu na myśl, żeby uciekać. Był wycieńczony i zagubiony. Wtedy oczywiście tego nie analizował, ale potem doszedł do wniosku, że musiał stracić dużo krwi i dlatego był tak otępieły.

W niewielkiej, płaskodennej łodzi czekało na nich jeszcze dwóch ludzi. Załadowali na nią Timura trochę jak tobołek i odbili od brzegu. Wiosłowali powoli, ostrożnie i, co najważniejsze, cicho. Wszyscy oprócz Timura zajęci byli wiosłami, ale kiedy znaleźli się już dość daleko od brzegu, jeden z nich wyciągnął z worka lusterko na łańcuszku i zawiesił je Denikinowi na szyi.

Ledwie słyszał ich głosy. Siedzieli kilka metrów od niego przy dogasającym po nocy ognisku i mówili do siebie coś po cichu. Chyba musieli go nieść, bo nie pamiętał, żeby wysiadał z łodzi, a nigdzie wokół nie widział jeziora, jedynie piach i kamienie. Z góry świeciło osłepiające słońce, ale gorąco jeszcze nie stało się nieznośne.

Musiał działać szybko, każdym włóknem mięśni czuł, że walczy o życie. Zaczął powoli czołgać się w stronę ognia. Nikt nie zwracał na niego uwagi. W nogawce spodni miał zaszyte całkiem płaskie ostrze. Nosił je od dawna, wykuł je we własnej kuźni i wiedział, że kiedyś będzie za to bardzo sobie wdzięczny. Teraz wystarczyło popchnąć narzędzie tak, żeby samo rozcięło sobie drogę na zewnątrz.

Kiedy był blisko, ustalił, który z porywaczy ma rewolwer. Śniady brodac z rysami na wpół azjatyckimi i na wpół kaukaskimi. Był blisko. Wstał z nożem ukrytym w dłoni. Zataczając się, jakby był chory, zbliżył się do ogniska. Zauważyli go i wstali. Chcieli chyba coś powiedzieć, ale on nie miał zamiaru dawać im czasu na reakcję. Wbił

ostrze od dołu w miękką tkankę za zuchwą. Wypuścił nóż i zdążył wyrwać rewolwer z ręki trupa, zanim ten osunął się na ziemię. Timur nawet nie zdążył pomyśleć: „A co, jeśli jest nienaładowany?”, kiedy trzy kule sięgnęły trzech celów. Nie wszystkie trafienia były śmiertelne, ale nóż, niczym średniowieczna mizerykordia, pozwolił mu dokończyć dzieła.

Część IV

Wspomnienia z piekła

To, co zna większość z nas, to nie głód, to co najwyżej silny apetyt. Prawdziwy głód jest silniejszy od miłości, od etyki, siedzi w nas tak głęboko, że potrafi wyprzeć każde wyższe uczucie, wszystko, czego nauczyliśmy się, żyjąc w cywilizacji od stuleci. Warto to wiedzieć, zanim zaczniemy kogoś oceniać.

W kopalni złomu poczułem, czym jest pragnienie i niedożywienie, ale prawdziwego głodu nauczyły mnie dopiero góry w parku Stanislaous. Oczywiście wtedy nie wiedziałem, że tak kiedyś nazywało się to miejsce.

Przez las przedzierałem się przez długi czas. Dni zacząłem liczyć dopiero po jakiejś połowie drogi. Wyszło mi pięćdziesiąt dwa. Jadłem wszystko, korę drzew, zielone pędy iglaków, owady, larwy. Czy jadłem ludzkie mięso? Nie, ale tylko dlatego, że żadnego człowieka po drodze nie spotkałem.

Nie jest łatwo przetrwać samemu w dziczy z jedną tylko ręką. Na szczęście zawsze lubiłem programy telewizyjne o survivalu. Tak, wiem, że one są reżyserowane i oszukane, to nieważne. Ważne, że dzięki nim miałem jakieś pojęcie, co robić.

Kiedy zszedłem z gór, trafiłem na zdziczałe sady i winnice. Jadłem owoce, liście, zielone łodygi. Byłem jak szarańcza.

Tam pojawiły się także drogi. Tutaj roślinność nie była tak bujna jak na północy, korzenie nie były w stanie przebić się przez asfalt. Nad jedną z dróg wisiała i kusiła tablica San Francisco – 100 mil. Nie sposób było oprzeć się takiej pokusie.

Oakland było kiedyś miastem leżącym tuż obok San Francisco, oddzielały je tylko wody zatoki spiętej mostem. Timur dotarł do przedmieść wczesnym popołudniem. Na setkach hektarów, jak we wszystkich większych miastach na kontynencie, rozciągał się ocean jednorodzinnych domków, które bardzo słabo zniosły wojnę i mijający czas. Przynajmniej co drugi budynek był już tylko wypiętrzeniem terenu, zarośniętym przez dziką kukurydzę i inne zielsko, a może jeden na dziesięć wciąż wyglądał jak prawdziwy dom.

Kiedy Timur zobaczył mieszkańców Oakland po raz pierwszy, zaczął

się w kupie gruzu, żeby im się przyjrzeć. W rewolwerze, który zabrał swoim porywaczom, wciąż tkwiła jedna kula, ale miał nadzieję na przyjacielskie kontakty. Po chwili zobaczył, jak jedna z kobiet siada na ziemi i wystawia twarz do słońca, uśmiechając się. Wyszedł z podniesionymi rękoma. Rewolwer luźno wisiał, zaczepiony kabłąkiem o jeden z palców.

Osadę stanowił pojedynczy dom. Był duży i wszędzie nosił ślady niedawnych napraw. Dach trzymał się na kolumnach zrobionych z całych pni, z których nie zdarto nawet kory. We wnętrzu pachniało wilgotnym drewnem i pleśnią. Mieszkało tu około tuzina kobiet, piątka dzieci i kilku mężczyzn, którzy, jak mu powiedzieli, zajmowali się „grzebaniem”. Nie wyjaśnili jednak, co dokładnie to oznacza, ale nie było tak znowu trudno się domyślić.

Timur odpoczął, zjadł coś, choć nie miał czym zapłacić, napełnił plastikową butelkę pełniącą rolę manierki i ruszył w drogę.

Nie odszedł daleko. Powoli zbliżała się noc i znalazł idealne miejsce do spania pod butwiejącymi belkami zerwanego dachu. Oczywiście w starym drewnie roiło się od robactwa, ale to, co kiedyś było problemem, teraz było jedynie kolacją.

Obudził go jakiś mężczyzna z brodą i długimi włosami. W zaroście widać było jedynie obrzydliwe resztki zębów wyszczerzone w uśmiechu, ciemne, sympatyczne oczy i jeszcze ciemniejsza skóra.

– Nie przeszkadzam? – zapytał nieznajomy. Timur był zbyt rozespany, żeby mu odpowiedzieć. – Nie ma sensu, żebyś tu leżał jak kawałek drewna. Chodź, zabiorę cię do nas.

Denikin wstał, otrząpał się i zdecydował przedstawić.

– Tim, ładne imię. Nie znam żadnego Tima – odpowiedział brodac. – Ja jestem Boso. Skąd przyszedłeś?

– Z Kanady.

– Kanada? Nigdy nie słyszałem, to daleko.

– Tak, kawał drogi.

– Ja nigdy nie wyszedłem za Oakland. Tu mi dobrze. Tobie też będzie.

Szli ulicą, mijając kopce, które kiedyś były domami.

– Czemu sądzisz, że tu zostanę?

– A co innego możesz zrobić?

– Iść dalej – Timur burknął bez zastanowienia, ale jego towarzysz

tego jakby nie zauważył.

– Zabiorę cię do nas, pokażę ci, czym się tu zajmujemy. Nie ma nas dużo, a pracy masa.

– Nawet dla jednoręcznych? – Denikin zapytał z wyraźnie wyczuwalną goryczą w głosie.

Boso tylko przelotnie spojrzął na kikuta, na którym wciąż widać było czarne, wrastające w skórę nici. Chrząknął coś i machnął lekceważąco ręką.

– To nic – powiedział, potem dodał jeszcze, jakby sam siebie przekonywał. – Masz jeszcze drugą.

Obozowisko Boso było bardzo podobne do tego, które Timur odwiedził poprzedniego dnia. Pojedynczy dom ze ścianami wzmocnionymi kawałkami innych budynków i świeżo ściętym drewnem. W pobliżu krzątało się trochę ludzi, głównie kobiety i dzieci, ale na starych drzwiach opartych o cegły leżał też młody mężczyzna z nierówno ogoloną głową i bliznami na czaszce.

– Kogoś sprowadził, Boso – z daleka krzyknęła niska blondynka.

– To Tim – odkrzyknął wesoło. – Będzie mu z nami dobrze.

– A nam z nim? – zapytała dziewczyna, wracając do obierania dzikiej kukurydzy.

– Nie słuchaj jej, to Jen. Pamiętam ją, jak była taka – pokazał ręką na wysokości kolana. – A teraz jest naczelną marudą naszej małej komuny.

– Boso, do roboty!

Jen wyglądała na złą, ale przewodnik Timura nie zwracał na to specjalnej uwagi. Dziewczyna była jeszcze młoda, ale trudno było ocenić, czy ma piętnaście czy dwadzieścia lat. Jej twarz zdobiły już zmarszczki, krosty i liszaje.

Weszli do budynku, pełniącego rolę domu. Ściany były wyburzone, zamiast nich gdzieś stał filar zrobiony z pnia albo ułożony z luźno poustawianych cegieł. Wzdłuż ścian ciągnęły się posłania ze szmat, starych kołder i innych śmieci. Na środku podłoga była zerwana, płonęło tam ognisko, którego pilnowała kilkuletnia dziewczynka.

– Walniesz się, gdzie ci wygodnie. Możesz koło Jen, ale tylko jeśli chrapiesz. Ona tego nie cierpi – Boso zaśmiał się tubalnie.

To, co powiedział, nie było szczególnie zabawne, ale Timur i tak się

zaśmiał. Od bardzo dawna nie słyszał, żeby ktoś to robił.

Następnego dnia poszedł na robotę razem z Boso. Jeden dzień można odpocząć, jeśli przyjdzie wędrowiec, ale nie więcej. Fanty same się nie znajdują. Tak przynajmniej twierdził Boso, który zdawał się czuć na ruinach Oakland jak pchła na psie.

– Widzisz tego chrząszcza? – pokazał mu sporego czarnego insekta, leniwie zmierzającego w stronę zbutwiałych desek.

– Trudno nie zauważyć – Timur powiedział, łapiąc go zręcznie prawą ręką.

– Tam, gdzie on idzie, warto szukać. Nie wiem czemu, ale zawsze znajduję tam coś ciekawego. Przynosi mi szczęście.

Oakland było dużym miastem. Przed wojną mieszkało tu pół miliona ludzi. Teraz pozostałości po nich przetrząsało około stu, stu pięćdziesięciu mężczyzn. Ich kobiety i dzieci zajmowały się kukurydzą i kurami.

– Spróbujemy podnieść tę płytę? – zapytał Boso, pokazując na duży kawał rozmięklej od wilgoci płyty wiórowej.

– Spróbujemy, łachy nie robi.

– To mi się podoba – Boso się zaśmiał, głośno jak zwykle.

– Nie boisz się być tak głośno?

– Bać się? Jestem u siebie.

Timur wciąż pamiętał to, co działo się w kopalni. Rozbite nosy, uszkodzone nerki, walkę o każdy kawałek metalu wyrwanego starym wojennym machinom.

– Nie napadacie na siebie?

Boso znowu zaśmiał się, nie żałując powietrza z płuc.

– Życie poza Oakland musi być do dupy. Nie wiem tego, nie byłem tam, ale widzę, że nie było ci lekko.

– A inni, z zewnątrz?

– Nikt tu nie przychodzi. Po pierwsze, nie ma tu żadnych skarbów – tak to się nazywa? No wiesz, cenne rzeczy – Timur potwierdził kiwnięciem głowy. – A po drugie, są jeszcze ci zza zatoki. Oni potrafią zaleźć za skórę.

– O kim mówisz?

Boso machnął ręką, tym razem się nie zaśmiał.

– Może dźwigniemy w końcu tę płytę, co? Stoimy tu już chyba z tydzień. Jak kolki.

Zsunęli z płyty gruz i ziemię, chwycili mocno z obu stron i unieśli. Pod spodem było coś w rodzaju niszy czy dołu. Boso wślizgnął się do niego zwinnie i zachęcił Timura, żeby poszedł w jego ślady. Dziura, przez którą weszli, kiedyś była oknem. Zawalona ściana położyła się niemal całkiem poziomo i teraz pełniła dla tych żałosnych resztek budynku funkcję dachu. Dostępna przestrzeń wewnątrz ograniczała się do jakiegoś metra. Dalej połamane belki i luźne deski zagradzały drogę.

– Czego szukamy? – Timur zapytał, czując, że robi z siebie głupka.

– Metalu – Boso odpowiedział spokojnie, ale czuć było, że jest to cierpliwość, jaką rodzic wykazuje do dziecka. Podsztyta śmiechem i irytacją. – Nic innego, co byłoby coś warte, tu nie zostało. Tylko metal.

Zmęczony przegrzebywaniem się przez rumowisko pełne tłustych pajaków i kawałków szkła Timur zostawił Boso, wyszedł na zewnątrz i usiadł na starym skrzyżowaniu ulic. Stała tu ławka ułożona z opon i plastikowych szyldów reklamowych. Kikutem odruchowo poprawił lusterko wiszące na szyi.

Na ławeczce siedziała starsza kobieta. Mogła być po pięćdziesiątce, ale w strefach czas płynął szybko i nie był dla ludzi łaskawy. Nawet nie spojrzała na Timura. Po dwóch czy trzech minutach zza rogu wyłoniła się kolejna „staruszka”. Szła rozkołysanym krokiem, jakby miała coś ze stawem biodrowym.

– O, dzień dobry – przywitała się ta już siedząca.

Druga szybko do niej dołączyła. Siadła, niemal ocierając się o Timura ramieniem, ale jednocześnie nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Można było odnieść wrażenie, że zaraz przyjedzie miejski autobus.

– Pani też w odwiedzinach? – zapytała druga.

– Tak, posiedziałam przy moim chwilę.

– Ja też, a gdzie pani ma?

– Tam przy tym – kiwnęła głową – no, przy jeziorze. Niedaleko.

– A mój tam dalej, obok McDonald's.

– To kawałek. Są tam jeszcze miejsca.

– Kilka.

Przez chwilę milczały, stukając drewnianymi laskami w twardą, suchą ziemię.

– Może postawią nowy płot? Jak się miejsce skończy.
– Może.
– A obok mojego leży taki młody – zmieniła temat pierwsza. –
Przywaliło go, w zaprzeszłym miesiącu.
– Co też pani mówi.
– Szesnaście lat!
– Młody.
– Jego ojciec często tam przychodzi. Siedzi.
– No tak. – Obie pokiwały głowami ze smutkiem.
– Takie są czasy dzisiaj. Nawet młodzi muszą teraz leżeć coraz głębiej.
– No tak, jak mój Jo jeszcze był, to nie musiał tak nurkować.
– Się porobiło.
– A ten młody to miał rodzeństwo?
– Nie wiem, ja to nie pytam – pokręciła głową jakby pośpiesznie.
– No nie, nie wypada.
– A pani mówi nad jeziorem?
– Tak, tam mamy taką zatoczkę, i obok jest molo stare, deski jeszcze
znad wody wystają.
– Tu niedaleko mój brat leży – zaśmiała się słabo.
– Dziwnie się was słucha – powiedział Denikin, a starsze kobiety
odwróciły się w jego stronę tak naturalnie, jakby uczestniczyły
w rozmowie od początku. – Mówicie o swoich zmarłych tak spokojnie,
pogodnie.
– A bo ty młody taki. Jeszcześ się nie napatrzył.
Timur poczuł się trochę dotknięty, jak każdy mężczyzna, któremu
zarzuca się brak doświadczenia, wiedzy czy odwagi.
– Tak – potwierdziła druga. – Myśmy to się już naoglądały, jak
padali. Tak już tu u nas jest.
– Tim, jesteś? – Boso pojawił się na szczycie kopca, który kiedyś był
jakimś budynkiem. – Chodź, bez ciebie nie dźwignę.
Denikin zabrał swoją skózaną torbę, w której ciążyło trochę metalu,
i odszedł bez pożegnania.

*

Tego dnia Boso został w obozie. Nie czuł się najlepiej i postanowił, że
zajmie się czymś lżejszym. Zbieraniem dzikiej kukurydzy albo

noszeniem wody. Dlatego do portu z Timurem poszła Jen. Nie mieli niczego zbierać, a jedynie zanieść trzy ciężkie worki ze złodem do punktu wymiany. Jen chciała nieść dwa worki, ale Timur się uparł. Związał je rzemieniem i przerzucił sobie przez ramię. Wąski pasek wbijał się w skórę i ocierał.

- Widzę, że ci ciężko. Daj jeden – powiedziała w końcu.
- Nie.
- Zawsze byłeś taki uparty?
- Kiedyś bardziej, ale mi przeszło.
- Dobrze sobie radzisz.
- Jak na jednorękiego – zauważył kwaśno.
- Tylko ty ciągle nie możesz zapomnieć o tej ręce.
- Masz rację. Nie mogę. Nie mogę nie myśleć o tym, że mogłoby mnie tu nie być.

Jen puściła tę uwagę mimo uszu. Była ładną dziewczyną. Miała krótkie blond włosy obcięte byle jak, ładną, choć chorobliwie bladą twarz z regularnymi rysami i ładne, choć trochę krzywe nogi. Pozytywne wrażenie psuły jedynie różne skórne zmiany, nieuniknione w strefie i wzrost. Pomimo dziewiętnastu lat Jen nie miała nawet metra pięćdziesiąt. Wszyscy tu byli niżsi niż w Chinach czy Europie, ale Jen była niska nawet jak na tutejsze standardy. Cała była przy tym niesamowicie drobna. Początkowo Timur miał nawet wrażenie, jakby dziewczyna należała do jakiegoś innego gatunku i dziwnie się przy niej czuł. Dopiero po kilku tygodniach przywykł i przestał to zauważać.

- Myślisz, że za plecami nazywamy cię „jednoręki”?
- A jak mnie nazywacie?
- Na początku byłeś „obcy”, potem „nowy”, ale ostatnio ludzie zaczynają mówić po prostu Tim.

Nie odpowiedział. W gruncie rzeczy powinno go to ucieszyć, a z drugiej strony... Czy to oznaczało, że zaczynał się wtapiać? Osiedać? Czegoś takiego jeszcze tutaj nie czuł. Ani w River Town, gdzie cały czas czuł urojony zapach ludzkiego mięsa i strach, ani w zamku atomitów, gdzie musiał cały czas udawać religijny fanatyzm.

Tutaj, w Oakland mógłby zostać. Tak mu się przynajmniej wydawało. Z wesołym Boso, uroczą Jen... „Czy ja właśnie nazwałem Jen uroczą?”

- pomyślał z mieszaniną obawy, ekscytacji i zdziwienia.
- Myślę, że powinieneś wziąć się w garść i dać mi jeden worek.

- Po moim trupie. Kobieta nie będzie przy mnie nosić więcej niż ja.
- Co? - Roześmiała się prawie tak głośno jak Boso. - Dlaczego?
- Kobiety są piękne, delikatne i słabsze, więc powinny mniej pracować.

Jen spojrzała na niego spod mokrych od potu włosów, które przylepiły jej się do czoła grubymi, brudnymi strąkami. Mrugnęła zalotnie oczami i chyba odruchowo ściągnęła łopatki.

- Nigdy nikt nie mówił, że jestem piękna.
- Jesteś piękna. Daleko jeszcze? Nie znam tej drogi? - zmienił temat.
- Nie, zaraz dojdziemy. Jest dłuższa, ale nie ma tyle gruzu i śmieci. Lepiej się idzie.

Do portu kiedyś faktycznie przyływały duże statki transportowe. Teraz większość wyposażenia została rozebrana na złom. Została jedynie ogromna suwnica, która zdecydowanie przekraczała możliwości tutejszych zbieraczy, a jakimś cudem przetrwała atak atomowy na położone za zatoką San Francisco.

Punkt wymiany znajdował się nad samym nabrzeżem. Za nim ziemia kończyła się nadkruszonym na krawędzi betonowym klifem. Złom opuszczano na drewniane tratwy linami, w byle jak zbitych skrzyniach. Jen i Timur stanęli w krótkiej kolejce. Przed nimi były dwie grupki po dwóch mężczyzn z sąsiednich wiosek. Niektórych Timur już znał z widzenia. Przywitali się, kiwając głowami, przyjaźnie.

Punkt obsługiwało czterech ludzi. Mieli metalowe maski na twarzach i skórzane, bezkształtne zbroje. Byli wysocy, jak na strefę, ale nie można się było zorientować, czy to mężczyźni, czy kobiety.

Rytuał musiał być ustalony dawno temu i znany wszystkim miejscowym po obu stronach drewnianej lady. Jen zrzuciła swój worek na ziemię i pokazała Timurowi, żeby zrobił to samo. Jeden z zamaskowanych przeniósł je za ladę i pojedynczo wysypał na beton. Kopnął nogą, rozsypując stare gwoździe, metalowe skuwki i samochodowe części. W końcu kiwnął głową i spojrzał, jak się zdawało, pytająco na Denikina i Jen.

- Burry - powiedziała dziewczyna krótko.

Tak nazywała się osada, w której mieszkali. Timur właśnie się tego dowiedział. Nikt w ich obozowisku nigdy nie używał tej nazwy. Jeden z zamaskowanych wyrwał kawałkiem metalu owiniętym ciasno w skórę krzyżyk na tablicy z nazwami osad, położył puste worki na ladzie

i machnął ręką, dając do zrozumienia „następny”.

Z powrotem wracali bez ładunku, lekcy, swobodni, zadowoleni z dobrze wykonanej pracy.

– Umiesz polować? – zapytała, kiedy mijali wysoki budynek biurowy, z którego zostało ledwie kilka pięter, kłujących niebo wystającymi fragmentami zbrojenia.

– Umiem, karabinem, rewolwerem. Próbowałem łukiem, ale nie szło mi dobrze.

– Widziałam, masz rewolwer. Pokażesz mi?

– Dobrze, ale mam tylko jeden nabój. To tyle co nic.

– Nie będę strzelać, obiecuję.

– A chcesz wejść tam? – zapytał, wskazując na górne piętra budynku, obok którego przechodzili.

– Jasne.

Windy już dawno były zdekompletowane. Wszystko, co udało się wyrwać, trafiło już na drugą stronę zatoki. Timur by się nie odważył. Wejść do szybu i demontować mechanizm windy, która wisi nam nad głową? To jak piłowanie gałęzi, na której się siedzi. Zresztą na dnie szybu leżały jakieś kości, przykryte skórzanym ubraniem.

Ruszyli schodami. Nowoczesne w swoich czasach wewnątrz niemal w całości wykonano z tworzyw sztucznych. Poliestrowa wykładzina, plastikowe biurka i fotele, pleksiglasowe ścianki przedzielające poszczególne pokoje i działy. Szyby były wybite tylko od strony San Francisco. Kiedy wybuchły głowice, podmuch musiał obsypać ludzi w środku milionem ostrych kawałków szkła. Niektórzy z nich, a raczej ich kości, do teraz poniewierały się po podłodze. Na jednej z przezroczystych ścianek działowych wciąż było widać zapisane mazakiem słowa: „klient – marka – zysk”.

Można było uwierzyć, że od wojny minął tydzień, a nie siedemdziesiąt lat. Jedyne na piątym piętrze znaleźli coś niezwykłego. Pomiędzy biurkami stał stół ułożony z dwóch dużych kamieni i desek, a na nich metalowe naczynia, w których dawno temu zastygła krew. Wokół, na tym prowizorycznym blacie leżały przedwojenne monety i kości niewielkich zwierząt.

– Byłaś tu kiedyś?

– Nie. Boso mówił, że te miejsca są jak cmentarze, że nie wolno.

– I nie przeszkadza ci to?

- Całe miasto jest jak cmentarz – wzruszyła ramionami.
- Chcesz iść wyżej?
- Chodźmy.

Na górze Denikin wyciągnął rewolwer z niedużej skórzanej sakwy, którą nosił przewiązaną na rzemieniu. Zabrał go swoim porywaczom i nie rozstawał się z nim od tego czasu. Dwie kule zużył, przeprawiając się przez góry. Jedną do spłoszenia niedźwiedzia, drugą próbował upolować zdziczałego indyka. Chybił. Rękę miał słabą z głodu. Została mu jedna.

Siedli na fotelach biurowych na najwyższym ocalałym piętrze. Było tu trochę gruzu, ale zdecydowanie mniej, niż się spodziewali. Co się stało z brakującymi kondygnacjami, które kiedyś musiały tu być? Nie próbowali rozwiązać tej zagadki.

- Co to jest? – zapytała Jen, szturchając nieśmiało plastikową klawiaturę, leżącą na biurku z tworzywa.

- Klawiatura – Timur odpowiedział machinalnie, grzebiąc w szufladach. – Do pisania.

- Pisania?

- Na każdym klawiszu była inna litera. Jak chciałaś coś napisać, musiałaś to wystukać. To się pojawiało potem na monitorze. – Pokazał na stojący obok niego ekran z ziejącą dziurą zamiast matrycy.

- Nic nie rozumiem, zupełnie. Skąd ty to wiesz?

- Podróże kształcą – wyslizgnął się z pułapki.

- Dużo miałaś kobiet? – zapytała zupełnie niespodziewanie.

Nie zmieszał się, nie miał ręki, ale nie był niewidomy i zauważył, co się dzieje. Wstał, nachylił się nad Jen i pocałował ją, jednocześnie kładąc dłoń na jej mokrym i ciepłym karku.

Siedzieli w Burry wokół ogniska, jak co wieczór. Timur siedział obok Boso między innymi mężczyznami. Jen była po przeciwnej stronie, uśmiechała się do niego ukradkiem. Byli tak jakby parą, ale nie mówili o tym póki co innym. Jedli placki z kukurydzy mielonej na kamiennych żarnach. Było w nich sporo piachu, a nawet drobny żwirek. Trzeba było uważać na zęby.

- Byliśmy dzisiaj z Timem przy Dużej Drodze – zaczął Boso. – Znaleźliśmy w piwnicy masę puszek. Wyczyściliśmy je w jeziorze i dobrą godzinę zgniataliśmy, żeby się do worka zmieściły. Jutro możemy tam wrócić w kilku. Wyniesiemy to wszystko.

– A wiecie, że obok, w Meadow zaszła? – powiedziała Bet, tęga łyśa kobieta, która w Burry zajmowała się kurami i dziećmi.

– Tak? Z kim? – zaśmiała się któraś z młodych.

– Za wodą zaszła – powiedziała Bet smutno.

– Kiedy ją zabiorą? – zapytała Jen, ale Timur nie usłyszał odpowiedzi, ponieważ Boso zaczął coś opowiadać głośno jak zwykle.

Ich dom, kiedyś miał piętro, ale już dawno się zawaliło. Timur spał w dawnej kuchni. Zostały tu jeszcze kawałki płytek i dziura w ścianie po okapie. Leżał na sianie i zeschniętych liściach pokruszonych na miazgę. Przewracał się z boku na bok, próbował zasnąć, ale nie mógł. To, co mówiła Bet, kłuło go w świadomość jak rozżarzony pręt. Pytania kłębiły się w głowie jak robaki. Śliskie i obrzydliwe. W końcu wyszedł na zewnątrz poodychać.

*

– Tim, ty zgniataj puszki, masz... dobre buty – Vance był w porządku gościem, ale nie był przesadnie taktowny.

Końcówka zdania „masz jedną rękę” aż zadźwięczała Timurowi w uszach. Nie przejął się. Urządzili na brzegu małą manufakturę. Boso z Bobem otwierali puszki metalowymi prętami, przebijając i podważając wieczka, Vance wahał, wylewał zawartość puszek i płucał je w jeziorze, a Tim zgniatał je stopą obutą w kawałek opony. Taką samą, w jakich chodzili wszyscy w Oakland i większość ludzi w strefie. Mieli roboty na dobre dwie, może trzy godziny. Nie wiedzieli, kto mieszkał w tym domu przed wojną, ale musiał naprawdę lubić puszkowane jedzenie.

– Boso, o czym mówiła wczoraj Bet? – Timur zapytał, nie przerywając pracy.

– Musisz być bardziej precyzyjny, ona gada bez przerwy.

– O tej dziewczynie, która zaszła.

Boso się nie roześmiał, ani tubalnie, ani rubasznie, westchnął krótko.

– Ci z za wody odwiedzają czasem nasze osady, szukają młodych dziewczyn. Jak któraś im się spodoba, to biorą ją na noc do siebie.

– I co z nimi robią?

– Robią je – stwierdził ostro Vance.

– Potem je odwiedzają. Po dwóch, trzech miesiącach. Jeśli zaszła, to zabierają ją do siebie. Jak nie, to zostawiają w spokoju – dokończył Boso.

– Po co to robią?

– To chyba jasne, Tim. Nie lubimy tego tematu. Ci z za wody to bezpieczeństwo. Póki tu są, nikt nas nie ruszy. To odrobina narzędzi i jedzenia, które czasem dają nam za krzyżyki. Nie jesteśmy szczęśliwi, kiedy zabierają jedną z naszych, ale to jak burza. Kiedy ma przyjść, przyjdzie, a w zamian podleje ci grządki.

– I nikt się nie buntował? Kiedy zabierali jego kobietę?

Teraz Boso w końcu się zaśmiał, co zdecydowanie poprawiło Timurowi humor.

– Żaden z nas nie zwiąże się z dziewczyną, która jeszcze tam nie była. Tak jest prościej, Tim – wyjaśnił Vance.

Wspomnienia z piekła

W Oakland pracowałem ciężko, ale uczciwie i pożytecznie. Za zebrany metal osady dostawały gotowe narzędzia, których tutaj nie wytwarzano i jedzenie, głównie ryby. Trzymali tu kurczaki, a dzika kukurydza rosła wokół jak chwasty. Nie mam pojęcia, czy to od promieniowania czy od przedwojennych modyfikacji genetycznych, ale tutejsza kukurydza rosła na każdym podłożu i dawała plony obfite niczym w rajskich ogrodach. Wiem natomiast, że gdyby nie ona, to już dawno Ameryka stałaby się bezludnym kontynentem.

Spędziłem tutaj dużo czasu. Wystarczająco, żeby poczuć się dobrze. Choć to nie znaczy, że skończyły się moje koszmary. Wiecie, jaki sen był najgorszy? Kiedy w nocy śnił mi się dom, bliscy, matka witająca na brzegu Chin. Kiedy we śnie prawdziwy koszmar już się skończył, a potem się budzisz.

Setki razy w nocy odnajdywałem morską kapsułę, spacerowałem po ulicach Hongkongu, krzyczałem na Paula, wściekły, ale szczęśliwy, że go widzę. Za każdym razem budziłem się w lesie, w celi, w komnacie zamku zrobionego ze starych butelek albo w Oakland, na posłaniu z trawy i liści. To kwintesencja koszmaru. Nie życzę tego najgorszemu wrogowi.

Siedzieli na najwyższym piętrze biurowca. Opierali się plecami o okno i patrzyli przed siebie, w niebo. Dopiero skończyli i oddechy mieli nierówne, gorączkowe. Jen trudno było wyjaśnić, po co idzie

z Timurem. Kobiety nie chodziły z mężczyznami na grzebanie w ruinach. Zostawały w Burry, prały, nosiły wodę, bawiły dzieci i tak dalej. Dlatego rzadko udawało im się być samym, a kiedy już się udawało... Musieli wspinać się na ósme piętro, żeby nikt nie usłyszał ich krzyków.

Z góry Oakland wyglądało dziwnie, jak miasto elfów z kiepskiej powieści. Między drzewami tylko gdzieniegdzie pojawiały się dachy, a wiele budynków porastała wysoka trawa. Z góry można byłoby nawet użyć słowa „baśniowy”.

– Jen. Chcę z tobą porozmawiać.

– Mów.

– Słyszałem od Boso o tym, co robią ci zza wody. Chcę, żebyś wiedziała, że tobie się to nie zdarzy. Ukryję cię.

– Tim?

– Nie bój się. Obronię cię, nie boję się ich. Nie dostaną cię, prędzej umrę...

– Tim – przerwała mu. – Ja już tam byłam. – Otworzył tylko szeroko oczy zdziwiony. – Oni biorą młode, takie po piętnaście, szesnaście lat. Była tam już dawno. To się już zatarło.

Wstał, zrobił kilka kroków i kopnął biurko. Siadł na nim, oddychając ciężko.

– Tim – podeszła do niego i przytuliła głowę do jego ręki. Kiedy stał, musiałyby wejść na taboret, żeby sięgnąć ustami do jego ust. – To była tylko jedna noc. Nie przejmuj się.

Po chwili milczenia objął ją kikutem.

– Ty jesteś moim pierwszym mężczyzną, pierwszym, którego chciałam. Tamci się nie liczą. To było dawno, to było jak... – nie mogła znaleźć słowa, więc po prostu mocniej się wtuliła, nawet nie zauważyła, jak Timur wzdrygnął się na słowo „tamci”.

Nazajutrz Timur poszedł z Vancem zbierać metal. Próbował zatracić się w pracy i wysiłku, ale wygrzebywanie metali ze zbutwiełego drewna i ziemi nie było ani dość ciężkie, ani dość zajmujące. Próbował sobie tłumaczyć, że to okrutny świat, że mogło być gorzej, że on też miał wcześniej kobiety, że to jedynie atawistyczna, niczym nieusprawiedliwiona męska zaborczość.

To wszystko jednak nie pomagało. Nawet w najmniejszym stopniu. Cały czas wyobrażał sobie, jak się na niej kładą. Jak ona drży, boi

się... A może się jej podobało? Może była podekscytowana? Tamci z za wody wydawali mu się obcy... brudni. Z jednej strony chciał dowiedzieć się wszystkiego. Ilu ich było, jak to robili, co do niej mówili. Z drugiej bał się dowiedzieć. Bał się, że jego wizja stanie się zbyt wyrazista i kompletna, że nigdy więcej nie pozwoli mu zasnąć.

– Tim? – Vance zwrócił się do niego, odginając zmęczone plecy do tyłu. – Coś ty dzisiaj taki wkurwiony? Dobrze nam idzie.

– Ręka mnie boli, lewa.

– Rozciąłeś sobie coś?

– Dłoń boli, na niej już sobie nic nie rozetniesz. – To nie był powód jego złości, ale to wciąż była prawda.

– Jakie to uczucie?

– Takie samo, jakby cię bolała normalna dłoń. Nic niezwykłego. Tylko, że nic z tym nie możesz zrobić.

– Jak to się stało? – Vance pochylił się znowu do ziemi, żeby palcami wymacać chłodny zawias od starej szafy czy golfowy kij.

– Co jak się stało?

– No ręka. Jak ją straciłeś.

– Wypadek z bronią. Budowałem broń dla złego króla.

– A są gdzieś dobrzy królowie? – zaśmiał się Vance.

– Nie spotkałem żadnego.

– Zostaniesz z nami, prawda?

– Czemu tak myślisz?

– Wszyscy widzimy, co wyprawiacie z Jen, słyszałem od Bet. Dziewczyna mówi tylko o tobie.

Timur spuścił wzrok i próbował szybko wymyślić coś, co mogłoby załagodzić sytuację, ale zanim zdążył otworzyć usta, Vance zbliżył się i chwycił go za ramię.

– Tim, spokojnie. Jesteś u nas jak swój, pracujesz jak wszyscy. Choć masz mniej rąk niż inni. Możecie się przestać ukrywać. Zostań z nami, znajdziemy dla was jakiś cichy kąt w domu. Będziecie mogli spać razem, jak ludzie.

Denikin uśmiechnął się głupio, nie wiedząc, co odpowiedzieć. W końcu wydukał tylko:

– Dzięki.

Tego wieczora położyli się razem, Boso wszystko zorganizował i pokazał im miejsce osłonięte od innych mieszkańców kolumną z pnia

i załomem ściany. W ciemności nie mogli się zobaczyć, ale niemal dotykali się nosami. Czuli na twarzach własne, gorące i niespokojne oddechy.

– Dlaczego mnie unikasz, Tim? – zapytała Jen szeptem.

– Nie unikam cię. Po prostu mi ciężko.

– Z tym, co ci powiedziałam?

– Tak.

– Zapomnij o tym. Ja ciebie chcę, jesteś moim mężczyzną – mówiła szybko, za szybko, jakby chciała z siebie wyrzucić znacznie więcej, niż mogło przecisnąć się przez niewielkie usta. – Nie bądź zły, ja na ciebie czekałam, ja chcę tylko z tobą, teraz mnie obronisz, przed nimi, przed całym światem... – przerwał jej monolog pocałunkiem. Lewą dłonią odruchowo próbował pogłodzić jej rozwichrzone włosy, ale zamiast tego dotknął kikutem jej karku.

Wspomnienia z piekła

Czy na tej wypalanej atomowym ogniem ziemi może istnieć jakieś szczęście? Wśród ludożerców, morderców, fanatyków, zamaskowanych gwałcicieli i ludzi z głodu i biedy gotowych na wszystko? Może. Ja go doświadczyłem.

W Burry wtopiłem się zupełnie tak, jak konopne nici wtopiły się w moją rękę. Jakby zawsze tam były. Wstawałem o świcie, całowałem Jen w usta i szedłem do pracy. Czasem sam, czasem z Boso albo Vancem. Z innymi rzadziej, ale nie dlatego, że się nie lubiliśmy. Wśród tych ludzi nie było miejsca na brak sympatii. Jeśli komuś nie pasowała osada, mógł przejść kilometr czy dwa i poszukać miejsca u innych ludzi. Podobno czasem się tak zdarzało.

Kiedy wracałem wieczorem, po dwunastu, a czasem trzynastu albo i czternastu godzinach, siadaliśmy w kręgu wokół ognia i rozmawialiśmy. Tylko o tym jednym dniu, który właśnie minął. Ci ludzie nie znali więcej. Ich przeszłość i przyszłość wyglądały dokładnie tak samo i nie było sensu ani cofać się, ani wybiegać myślą w przód.

Możecie powiedzieć, że to życie zwierząt w zoo. Bez refleksji, bez ambicji, bez sensu. To prawda, ale nie macie o tym pojęcia. Potrzeba sensu rodzi się dopiero wtedy, gdy zaspokoimy inne, te prostsze: jedzenie, woda, ciepło, także to wyjątkowe, ciepło drugiego człowieka w nocy. My balansowaliśmy na krawędzi. Mieliśmy wszystko, ale tylko dzięki ciężkiej pracy, która pochłaniała nas na całe dni. Byliśmy szczęśliwi, naszym prostym, zwierzęcym szczęściem.

– Tim, gdzieś ty jest, cholero – głos Boso niósł się echem między zdewastowanymi domami. Timur usłyszał go i wyszedł na zewnątrz. Był trochę zły, że mu przerwano. W kuchni, w której myszkował, znalazł już sporo i miał nadzieję na więcej.

– Tu jestem, Boso – pomachał mu, uśmiechając się.

– Tim, kurwa, czterech facetów było właśnie w Laney. Szukali cię. Mają broń.

– Jak to mnie? To znaczy, że co? Pytali o mnie?

– Tak, ci z Laney przysłali do naszych chłopaka. Mieli karabiny i pytali o wysokiego białego bez ręki. Znasz więcej takich? Może to pomyłka i pójdziesz im wyjaśnić?

– Co sugerujesz?

– Podobno wyglądali na złych i groźnych.

– Ale nie zrobili nikomu nic w Laney?

– Nie, jeszcze nie.

– A co z tymi zza wody? Pomogą nam?

– Powinni – Boso podrapał się po głowie. – Nie wiem, nigdy nie musieli nam pomagać.

– Słuchaj. Nie jestem pewien, kim oni są, ale wydaje mi się, że chcą mnie. Powiedz Jen, że wrócę. Wymknę się z Oakland i przeczekam. Trzy dni, tyle wystarczy, prawda?

– Nie wiem, Tim, może? Czego oni od ciebie chcą?

– To zależy, na niejeden odcisk nacisnąłem ludziom.

– Dobrze, idź. Tylko uważaj na siebie.

– Powiedz Jen, że wrócę, dobrze? Niech czeka.

– Będzie na ciebie czekać – zaśmiał się, ale nie tak radośnie jak zwykle.

– Sama jest bezpieczniejsza niż ze mną, wiesz o tym. Oni polują na mnie, nie na was.

– Idź już, człowieku, pogadamy sobie, jak wrócisz.

Począł do zmierzchu i zaczął przemykać się od domu do domu. Noc była ciemna, chmury zasłaniały księżyc i nie widział prawie nic. Raz omal nie wpadł na wrak starego samochodu, a tego, ile razy się potknął, nie liczył wcale.

Szedł już dość długo, gdy natknął się na przeszkodę. W jednym z domów byli ludzie, przynajmniej dwóch. W oknach. Nie widział ich,

ale słyszał. Leżał w krzakach i czuł na sobie ich wzrok, co było całkowicie absurdalne. Nie mogli go widzieć. Powoli wstał na nogi, ale wciąż był nisko pochylony, wręcz przygięty do ziemi. W tym momencie usłyszał podwójne metaliczne brzęknięcie. To mogło być wszystko, ale mogło także być bezpiecznikiem karabinu. Brzmiało zupełnie, jak przedwojenne AK-37 przestawiane na ogień pojedynczy.

Zerwał się na równe nogi i rzucił przed siebie. Zanim zrobił cztery kroki, padł pierwszy strzał, potem kolejny i jeszcze jeden. Za każdym razem odruchowo spinał mięśnie, czekając na trafienie, które nie nadeszło.

Uciekał do świtu, nie starczyło mu odwagi, żeby się zatrzymać. Nie miał pojęcia, jak mogli go zobaczyć. Musieli strzelać na słuch i pewnie dlatego przeżył.

Kiedy wzeszło słońce, schował się w ruinach. Miał zamiar przeczekać cały dzień, ale nie dał rady. Od dawna nie pił, a od czasów pracy w kopalni wystarczyło, że nie pił kilka godzin, a zaczynały go boleć nerki. Znalazł rzeczkę i ugasił pragnienie błotnistą wodą. Pachniała szlamem, ale pijał gorsze rzeczy i już od dawna nie miewał po nich problemów z jelitami.

Na ludzi z karabinami natknął się znowu, idąc na północ wzdłuż wybrzeża. Patrowali drogę. Kto to mógł być? Jego porywacze? Chcieli broni, którą robił dla atomitów? Mieli karabiny, po co im jego bombardy? Nie rozumiał, ale nie myślał o tym, raczej o znalezieniu wyjścia z tej sytuacji.

Mógł iść na południe, ale tam już był i omal nie zginął. Na drodze na północ też widział jednego z nich. Osaczali go. Mógł próbować się przebić, ale ryzyko było duże. Osiedla ruin i drzewa dawały osłonę, ale jeśli chciał przejść choćby o kwartał do przodu, musiał wyjść na drogę. A tam był widoczny z kilometra.

Został jeszcze wschód i zachód. Z jednej strony była zatoka, a z drugiej Burry. Nie chciał się nawet zbliżyć do osady. Panicznie bał się sprowadzić zagrożenie na Jen, Boso, Vance'a, Bet i innych. Oni nie mogli płacić za to, co on zrobił, cokolwiek to było. Więc droga za wodę. Być może gdyby miał więcej czasu, zdecydowałby, że to głupi pomysł, ale nie miał czasu. Daleko w górze ulicy majaczyły trzy sylwetki. Wysokie, wyprostowane, złowrogie.

*

– Jestem z Burry, zabierzcie mnie do siebie – pokazywał palcem w stronę San Francisco. – Proszę.

Cztery metalowe maski z otworami na oczy i usta patrzyły na niego bez żadnego wyrazu, bez żadnej reakcji.

– Polują na mnie. Proszę. Na kilka dni. Dobrze wam służymy. Nosimy metal. – Pokazał dłoń i kikut. – Błagam! – Klęknął przed ladą z pochyloną głową.

Nie widział, czy maski poruszyły się, czy wymieniły jakieś porozumiewawcze spojrzenia, czy coś do siebie szeptali. Poczł tylko rękę, która chwyciła go pod pachę i pomogła wstać. Po krótkiej chwili był już w drewnianej skrzyni opuszczanej na tratwę.

Kiedy płynęli przez zatokę, Timur przypomniał sobie, że gdzieś tutaj powinna być niewielka wyspa ze znanym więzieniem. Przez chwilę myślał, że właśnie tam płyną. To byłoby dobre miejsce, żeby przetrwać.

Ostatecznie nawet nie zobaczył wyspy i więzienia. Dopłynęli najkrótszą drogą do wybrzeża San Francisco i niemal natychmiast zeszli do podziemi. Zanim to jednak nastąpiło, Timur mógł spojrzeć na panoramę metropolii. Nie była zniszczona tak bardzo, jak Nowy Jork, ale i tak robiła upiorne wrażenie. Warstwa gruzu sięgała bioder i tylko gdzieś tam z tego oceanu szarości wystawały nieregularne, zniszczone wybuchami i erozją kikuty wieżowców. Roślinności prawie tu nie było, jedynie żółtawa trawa i błękitne porosty.

Pod ziemię zeszli, wchodząc w coś, co wyglądało jak sztolnia biedaszybu. Szybko jednak tunel wykopany w ziemi i gruzie zmienił się w przedwojenny kanał, a ten w tunel metra. Po drodze napotkali drzwi. Eskorta Timura, dwóch ludzi, zdjęła tutaj swoje maski i zbroje. Zawiesili je na wbitych w ścianę gwoździach. Okazało się, że obaj byli mężczyznami, wysokimi, łysymi, podobnymi jak bracia. Z resztą może faktycznie byli braćmi? Jeden z nich zadudnił pięścią o blaszaną ścianę trzy razy. Wizjer w drzwiach otworzył się na ułamek sekundy, po czym zazgrzytał skobel, a drzwi się otwały.

Jego przewodnicy nie odzywali się wcale, nie mówili ani do Timura, ani między sobą. Szli po prostu przed siebie, mijając po drodze rzadkie punkty kontrolne. Timur nie mógł przestać myśleć o Jen i intruzach z karabinami. Czy naprawdę dobrze zrobił, uciekając? Mógł ją tym

równie dobrze uratować i skazać na śmierć.

W końcu dotarli do stacji metra. Perony były zasłonięte ścianami szmat. Wyglądało to jak pranie powieszony do wyschnięcia, ale kiedy weszli między płachty, okazało się, że cała przestrzeń została nimi podzielona na coś w rodzaju pokojów. Stację oświetlały lampy elektryczne. Stare i bardzo słabe. Półmrok wywoływał u Timura ból głowy.

Minęli niekończące się szeregi szmacianych boksów i zatrzymali się przy krawędzi tunelu prowadzącego pionowo w dół. Wewnątrz tej studni panowała całkowita ciemność. Gdyby jeden z wartowników nie zaczął schodzić po drabinie, Denikin pewnie by jej nawet nie dostrzegł. Drugi gestem nakazał mu iść tą samą drogą – w dół.

Po trzydziestu czy czterdziestu szczeblach, idący pod Timurem człowiek znikł w jakiejś dziurze i pociągnął go za sobą. Korytarz był bardzo wąski, obie ściany dało się dotknąć dłońmi, ledwo odsuwając ręce od ciała. Kończył się drzwiami, za którymi znajdowała się sala oświetlona przez kilka dużych żarówek, zwisających z sufitu. Ściany były wyłożone drewnem. Nie dało się stwierdzić, czy to miejsce powstało już przed wojną, czy mieszkańcy tego przedziwnego miasta wykuli je sami. Można za to było bez problemu zorientować się, że brakuje tu powietrza. Mówiąc brutalnie, pachniało tam nieczystościami, potem i zgnilizną. Bracia, nie wyjaśniając niczego, wyszli i zamknęli za sobą drzwi.

Timur dokładnie czegoś takiego się spodziewał, więc nie odwrócił się z krzykiem i nie zaczął uderzać pięściami w drzwi. Rozejrzał się po pomieszczeniu i zrozumiał. Hodowali tutaj pieczarki. W pomieszczeniu siedziało kilka kobiet, tak po prostu, opierając się o ścianę i milcząc. Tylko jedna stała bliżej środka z głową zadartą do góry.

– Cześć – powiedział, starając się, by nie brzmiało to nieśmiało. Nikt mu nie odpowiedział, więc mówił dalej: – Jestem tu nowy, wiecie to i beze mnie. Nie znam waszych zwyczajów, a nie chcę was urazić swoim zachowaniem.

– Keri, on będzie tak stał i gadał, czy powiesz mu, co i jak? – zapytała jedna z siedzących. Ta, którą nazywali Keri, wstała i podeszła do Timura.

– Keri, a to są Prue, Leah, Pixie i Gail. Siądźże. – Posłuchał, a kiedy oboje siedli, kobieta kontynuowała: – Tutaj rosną białe grzyby –

pokazała rząd byle jakich regałów, na których rosły pieczarki. – Mężczyźni i matki bardzo je lubią. Dlatego tu jesteśmy.

– Co robicie?

– Kupę! – Krzyknęła jedna z kobiet i zaczęła się śmiać. Timurowi zdawało się, że to ta o imieniu Leah.

– Taaa – potwierdziła Keri. – A kiedy już ją zrobisz, to musisz ją zanieść na półki, żeby nawieźć grzyby.

– To wszystko, co tu robicie? – zapytał, nie do końca dowierzając temu, co usłyszał.

– Tak.

– A jedzenie?

– Nie wolno jeść grzybów. Przynoszą jedzenie czasami, i wodę. Też czasami.

– A jakbym chciał pić? – Keri pokazała na tę, która stała z zadartą głową. Timur przyglądał się jej chwilę i w końcu zauważył, że z sufitu prosto do ust dziewczyny spadają rzadkie krople wody.

– Nie powiedziałaś mu o wizytach – zaśmiała się znowu Leah.

– Jego to nie dotyczy – znudzonym głosem zaprotestowała Keri.

– No właśnie, niech wie, że jemu nie wolno.

Keri westchnęła głęboko, spojrzała na Timura przelotnie i powiedziała:

– Od czasu do czasu przychodzą mężczyźni. Biorą Gail i Pixie na podłozie. My jesteśmy już za stare. – Odwróciła się do Leah i innych, i bardziej zaczepnym głosem dodała: – I co, powiedziałam mu, pokrako.

Wspomnienia z piekła

Sala liczyła dwadzieścia kroków na osiemnaście. Była wysoka na dwadzieścia cztery szerokości moich dłoni. Mieliśmy jedne drzwi i dwa otwory w suficie. Zapomniałem, ile dokładnie było półek, ale je także policzyłem, wiele razy.

Na lewo od drzwi, za regałami był kąt, w który chodziliśmy, żeby „produkować nawóz”. Była tam też szczelina w podłozie. Jeśli nasikało się do rogu, po jakiejś pół godzinie wszystko ściekało. Smród mi nie przeszkadzał, przywykłem do niego jeszcze pierwszego dnia.

Karmili nas obierkami i resztkami warzyw i owoców. Czasem dostawaliśmy też

surowe rybie podroby. Były obślizgłe i obrzydliwe. Człowiek, który cały dzień siedzi w jednej pozycji w stosunkowo ciepłym pomieszczeniu, nie zużywa wiele kalorii, a dieta bogata w błonnik zapewniała brak zapań, które mogłyby nas uczynić bezproduktywnymi.

O moich koleżankach wiedziałem niewiele. Trafiły tutaj, kiedy miały po trzynaście, czternaście lat i okazało się, że nie mogą mieć dzieci. Z tego, co mi mówiły, rzadko która kobieta urodzona w San Fran, jak nazywały to miejsce, mogła je mieć. Te, które miały, nazywano matkami, ale tutaj na dole nikt nie wiedział, jak wygląda ich życie. Co nie przeszkadzało im zazdrościć.

Czy się nudziły? Nie wiem, nie narzekały na to przy mnie. Prawdę mówiąc, w ogóle mówiły bardzo niewiele. Ja też szybko przestałem. Siedziałem wpatrzony w ścianę i myślałem o Jen. Mężczyźni faktycznie czasem przychodzili, ale to, co się działo w trakcie ich wizyt, nie jest warte uwiecznienia na piśmie. Razem wyglądali dziwnie. Niskie i chorobliwie chude kobiety z pergaminowo bladą skórą i dwa razy więksi mężczyźni, jak dwa zupełnie różne gatunki zwierząt.

Brakowało tlenu. Nie znam się na grzybach, ale one na pewno też go zużywały, a wentylacja była tragiczna. Cały dzień czułem się senny, półprzytomny, zmęczony. Bolała mnie głowa i mrowiło w klatce piersiowej. Poza tym brakowało wody.

Moje nerki po kopalni wciąż nie chciały normalnie pracować. Zaczynały boleć już kilka godzin po „porannym” wiadrze z wodą. Nie wiem, czy naprawdę przynosił jedzenie rano, ale postanowiłem w ten sposób mierzyć dni. Od wiadra do wiadra. Potem stawałem pod kapiącą wodą i otwierałem usta. Krople spadały co jakieś dwanaście sekund, czasem częściej, czasem rzadziej. Kark sztywniał, a kiedy tak stałem, myślałem o szczelinie w podłodze w kącie pokoju.

Nie wiem, ile czasu tam spędziłem. Nie wiedziałem, od jak dawna byłem w strefie.

Jeden z mężczyzn kończył z Pixie, a drugi podszedł do Timura, złapał go za rękę i podniósł na nogi. To nie było trudne. Czas spędzony w górach i w tej piwnicy odebrał mu wiele zbędnych kilogramów.

Przeszli z powrotem korytarzem i po drabinie na peron. Nieużywane od dawna mięśnie ciężko to zniosły. Przeszli przez peron, dotarli do tunelu metra, wspięli się po żelbetowych schodach i wyszli na powierzchnię. Światło słońca parzyło i oślepiało. Przez chwilę musieli go ciągnąć, bo odruchowo schował się z powrotem na schodach i zasłonił twarz dłońmi.

Dociągnęli go na miejsce i upuścili na ziemię. Otworzył oczy. Wokół rozciągała się pusta, wyrównana przestrzeń, obramowana pryzmami gruzu. W kamienistej ziemi rosły grządki wszędobylskiej dzikiej kukurydzy. Wysoka zazwyczaj roślina wyglądała jak karłowata parodia samej siebie. Pędy wyginały się pod dziwnymi kątami, a liście rosły

małe i krzywe.

– Zakop go – powiedział jeden z eskortujących, pokazując na ciało człowieka leżące obok.

Umarł niedawno, jeszcze nawet nie śmierdział.

Timur rozejrzał się dookoła. Kilka metrów dalej leżała łopata. Wyprodukowana chyba jeszcze przed wojną, ale z dorobionym styliskiem. Wstał, podniósł narzędzie i wbił w ziemię. Stojący obok mężczyzna podszedł bliżej, wyprostowaną ręką pokazał na jedną z hałd gruzu i powiedział:

– Odkopuj ziemię – obrócił się na pięcie i odszedł.

Pierwszą rzeczą, jaką Timur zrobił, gdy tylko został sam, było wdrapanie się na najbliższą z hałd, żeby sprawdzić możliwość ucieczki.

Dookoła ciągnęła się pustynia gruzów, z „wydm” wystawały żelbetowe szkielety budynków. Gdzieś tam pomiędzy budynkami ciągnęły się zaskaki z drutu kolczastego. Z daleka nie widział dobrze, ale przypuszczał, że był dość mocno porzewiały. Wrócił na dół i wykopał grób dla swojego poprzednika. Jedną ręką szło mu ciężko, ale w okolicy nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc.

*

Spychał gruz z góry hałdy na zewnętrzną stronę, kiedy drzwi do tunelu otworzyły się. Zazwyczaj wchodziły wtedy niewolnice zajmujące się podlewaniem i pielieniem kukurydzy, ale nie tym razem. W drzwiach, mrużąc oczy, pojawiła się stara kobieta niesiona przez dwóch podobnych do siebie jak bracia mężczyzn.

– Podejdź tu – powiedziała władcym tonem i kazała się posadzić na taborecie, podstawionym przez jednego z ochroniarzy. – Dziękuję ci synku. Możecie sobie siąść tam – pokazała gdzieś w przestrzeń.

– Słuchaj – powiedziała do Timura – rozumiesz mnie?

– Tak, oczywiście – odpowiedział, wyraźnie akcentując, jakby chciał udowodnić, że został mylnie uznany za małpę.

– Dobrze. Jestem Aurora, jestem matką. Spisuję opowieści. – Uderzyła ołówkiem w gruby zeszyt zszyty z kartek różnego rozmiaru i koloru, oprawiony w drewno.

– Bardzo szczytnie, warto spisywać dzieje.

– Tak? A co ty możesz o tym wiedzieć. – To nie było pytanie, raczej

kpina. – Skąd jesteś?

– Z Chin, urodziłem się w Huludao.

– Chiny? Gdzie to jest? Na wschodnim wybrzeżu?

– Nie, to za oceanem. Na innym kontynencie – powiedział to spokojnie, ale sam nie wierzył w to, co mówił. To było nierealne niczym bajka.

– Nie słyszałam nigdy o tym miejscu. Jak tam jest?

– Tak samo, jak tutaj. Skłamał Timur.

– Jak masz na imię?

– Tim.

– Czym się zajmujesz?

– O ile rozumiem, to jestem waszym niewolnikiem.

– Ty przyszedłeś do nas po schronienie. Chyba nie liczyłeś na to, że nie będziesz musiał pracować?

– A mogę stąd odejść?

– Nie. To nie byłoby dla nas korzystne – pokręciła głową.

– Więc jednak jestem niewolnikiem – uśmiechnął się kątem ust.

– Jeśli nie chcesz odpowiadać na pytania, możesz wrócić do łopaty albo do grzybów. Możesz wybierać, a mówisz, że jesteś niewolnikiem.

– Bardziej bym ci się przydał, gdybyś dała mi kartki i ołówek, taki jak ten.

– A co, taka mała jak ty, mogłaby z nim zrobić? – zaśmiała się nieprzyjemnie.

– Mogę przepisać twoje notatki. Będziesz mogła oryginał trzymać przy sobie, a kopie wypożyczać, żeby inni mogli nauczyć się czytać.

– Udowodnij.

Timur spojrzał na plik kartek i ołówek, ale nic nie wskazywało na to, żeby mógł je sobie pożyczyć. Opadł więc na jedno kolano i napisał palcem na ziemi: „Tim potrafi pisać:-)”.
– Co to znaczy? – Pochyliła się bliżej ziemi. – To na końcu.

– To? – Tim pokazał na uśmiech.

– Tak.

– Tak.

– To twarz, oczy, nos usta.

Matka zaśmiała się wesoło. Gestem przywołała swoich synów-ochroniarzy i powiedziała im:

– Zaprowadźcie go na dół, będzie mi pomagał.

Wspomnienia z piekła

Pewnego dnia Aurora powiedziała mi, że czasem żałuje, że mogła mieć dzieci. Miała ich siedemnaścioro, choć nie potrafiła powiedzieć, z iloma ojcami. Kiedy rozmawialiśmy, wciąż żyło dziewięcioro. Zapytałem, czy tutaj nie szanują matek bardziej niż kogokolwiek innego. Powiedziała, że owszem, włos jej nie spadł z głowy, ale i tak nie miała wyboru z kim i kiedy. Nie mogła odmówić rodzenia. Przez większą część swojego życia była w ciąży i karmiła, często naraz. Po dwunastym dziecku nie mogła już normalnie chodzić. Kilka lat leżała przykuta do łóżka... i rodziła kolejne dzieci.

Teraz była już zbyt stara, jej synowie otoczyli ją ochroną i szacunkiem. Miała jedzenie, pieczarki z dołu i jabłka kupowane od wędrownych handlarzy. Zdobyli dla niej nawet papier i ołówki, gdy o to poprosiła. Pisać nauczyła się, kiedy zdrowie nie pozwalało jej wstać z łóżka. Odwiedzała ją jej matka i pokazywała litery. Teraz Aurora spisywała wszystkie wydarzenia z życia ich podziemnej osady, rozmawiała z karawaniarzami i nowo przybyłymi. Jej notatki były chaotyczne, pełne błędów i niezrozumiałych skrótów myślowych, ale i tak nie mogłem jej nie szanować. Była pierwszą i jedyną osobą, jaką spotkałem w strefie, która zdawała się myśleć o czymś więcej niż jedzeniu i władzy.

Czy pod powierzchnią było mi lepiej niż na górze? Operowanie łopatą z tylko jedną dłonią może przysparzać pewnych trudności i z całą pewnością jest gorsze od pisania. Wtedy jednak nie zastanawiałem się nad tym, co jest lepsze, a co gorsze. Po prostu cieszyłem się, że wciąż żyję.

Pracował w tym samym pomieszczeniu, w którym spał, w długiej wąskiej odnodze tunelu metra, wykopanej już po wojnie. Razem z nim mieszkało tu siedmiu miejscowych mężczyzn. Codziennie rano wychodzili do pracy, a wieczorem wracali. Do Timura mówili bardzo rzadko, tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebowali albo kiedy im coś przeszkadzało. Sam Denikin nie wychodził z pomieszczenia prawie nigdy. Tutaj jadł, spał i przepisywał kolejne rozdziały. Czasem tylko prowadzili go na spotkanie z Aurorą, która wyjaśniała nieczytelne fragmenty i zawsze chwaliła go za staranne pismo.

*

Był wieczór. Timur jak zwykle siedział pod zawieszoną na suficie

żarówką i pisał. Nie spieszył się. Bał się, co się stanie, kiedy skończy pracę, a siedział do późna, żeby nikomu nie przyszło do głowy wymyślić mu nowe zajęcie.

Część jego współlokatorów już wróciła. Odwiązywali pasy materiału, pełniące rolę skarpet, pili wodę, myli się we wspólnym wiaderku. Kiedy jeden z nich padł na ziemię, Timur nie wiedział, co się stało. Usłyszał dźwięk człowieka padającego na podłogę, obrócił się i wbił zdziwiony wzrok w nieruchome ciało. Ułamek sekundy później kolejny padł. W drzwiach stał uzbrojony człowiek z jakąś dziwną maską na twarzy. Celował i pociągał za spust jak automat. Raz, dwa, trzy... Timur był ostatni. Ziejący pustką otwór lufy skierowany był prosto na niego. Bezwiednie spał mięśnie.

Do pomieszczenia wpadł jeszcze jeden człowiek, sprawnym i płynnym ruchem wykręcił Timurowi prawą rękę za plecy, potem dołączył drugą i spał je bardzo ciasno, a potem obwiązał całość mocną klejącą taśmą. Taką samą zakleili mu usta i wyprowadzili go zgiętego wpół do tunelu.

Porywacze nie powiedzieli do siebie ani słowa, ale po dźwięku kroków można było ocenić, że jest ich nie mniej niż trzech. Przebili się przez tunel do klatki schodowej na górę. Timur nic nie widział, ale dwa razy słyszał cichy syk wytłumionych pistoletów. Kiedy znaleźli się na powierzchni, pozwolili mu się wyprostować. Było ich czterech, a każdy miał na twarzy jakąś skomplikowaną aparaturę. Pod maskami nie było widać nawet kawałka skóry. Wspięli się na hałdę gruzu, przebiegli kilkaset metrów wzdłuż zasypanej ulicy. Denikina musieli niemal nieść, bo nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

Już za terytorium podziemnego miasta musieli się zatrzymać. Niecałe sto metrów przed nimi zza ruin wyłonił się patrol miejscowych. Jeden z porywaczy dał reszcie kilka sygnałów ręką. Rozdzielili się, zajęli pozycje i oddając strzał niemal równocześnie, powalili obu wartowników. Działali bardzo sprawnie, jakby podobne sytuacje ćwiczyli od lat. Jak roboty... Skóra mu ścierpła na tę myśl.



Bez przeszkód dotarli do wybrzeża. Timur nie był pewien, czy to ocean, czy zatoka. Wsiedli do drewnianej łodzi zbitej z byle jakich desek i odbili od brzegu. Woda za rufą zakotłowała się i popędzili z szybkością, której trudno się było spodziewać po takiej łupinie. Wysiedli na brzegu, gdzieś daleko na południe od San Francisco. Gwiazdy rozświetlały niebo, noc była gorąca i spokojna. Z jednej strony ciągnął się ocean, z drugiej ledwie porośnięte skały. „Dobra noc, żeby się oświadczyć” – pomyślał Timur, zaskakując sam siebie.

Jego eskorta ruszyła, a on, nie mając innego wyboru, ruszył z nimi. W łódce mieli schowaną broń większego kalibru. Już wcześniej wyglądali groźnie, teraz budzili prawdziwy respekt. Wciąż się nie

odzywali. Zachowywali się tak, jakby odgrywali wielokrotnie wypróbowaną scenę, a nawet jakby porozumiewali się bez słów. Gdy jeden z nich usłyszał coś niepokojącego, wszyscy natychmiast zajmowali pozycje wokół Denikina, który coraz poważniej zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem nie porwało go komando maszyn. Takich jak ta, której rękę przechowywali w River Town.

Dopiero tuż przed świtem zatrzymali się w przydrożnej stacji benzynowej. Timurowi kompletnie kończyły się siły. Niedożywienie i choroby bardzo intensywnie dawały o sobie znać. Jego eskorta zdawała się nie czuć zmęczenia, mimo że mieli na sobie sporo sprzętu upchniętego w kieszeniach i zasobnikach. Pozwolili mu usiąść na ziemi koło dystrybutorów i wtedy jeden z nich ściągnął zakrywającą całą twarz i część głowy maskę, a pod nią ukazała się mocna, męska twarz ze szczęką twardą jak skała i skośnymi oczami.

– Możecie to zdjąć chłopaki – powiedział po mandaryńsku. – Koniec ciszy.

Pozostali także zdjęli aparaturę. Trzech było Hanami, jeden Hindusem. Timur wstał. Chciał coś powiedzieć, ale jeden z Hanów uderzył go w głowę solidnym lewym hakiem, który posłał go z powrotem na ziemię.

– Su! – warknął ten, który pierwszy się odezwał. – Co to ma być?

– To za Milo – powiedział Su i splunął na ziemię. Nikt nie odpowiedział.

Timur splunął krwią, przybierając postawę obronną, ale niepotrzebnie. Atak nie nadszedł.

– Kim jest Milo? – zapytał.

– Milo, Jeff, Jan, Suraj. Sekcja Tajfun Dwa. Próbowali cię zabrać z zamku wyznawców Atoma – wyjaśnił dowódca oddziału, ten, który pozwolił reszcie zdjąć maski.

– Kim wy jesteście?

– Pluton rozpoznania marynarki wojennej Chin, drużyna Tajfun Trzy.

– I to byli...

– Tak, mieli cię ewakuować. Sprawy tutaj robią się trochę skomplikowane.

– Gdyby mi powiedzieli, kim są, nic by się nie stało. – Timur w końcu wstał z ziemi.

– Takie mieli rozkazy. A ty... – spojrzał wymownie na Su – wiele

przeszedłeś. To nie była twoja wina.

– O tym zdecyduje sąd – powiedział Su, opierając się na karabinie.

– Zaraz, to wy byliście w Oakland? Strzelaliście do mnie!

– To była amunicja obezwładniająca. Zabiłeś czterech naszych. Nie chcieliśmy ryzykować.

– Mogę wody? – Timur niespodziewanie zmienił temat.

– Jasne, łap! – Żołnierz zdjął torbę przypiętą do pleców. Wystawała z niej rurka zamknięta gumową nasadką.

– Trochę cię przetrzymaliśmy.

– Myślałem, że jesteście robotami – powiedział Timur. Atmosfera zaczęła się powoli rozluźniać.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – dowódca zaśmiał się szorstko.

– Widziałem rękę robota w jednym z miast. Wyglądała jak z filmu. Ale on musiał być ze dwa razy wyższy od was.

– Nie wiem, czym było to, co widziałeś, ale to na pewno nie była ręka robota.

– Wyglądało dosyć...

– Tutaj nie ma robotów, jasne? Wszystkie publikacje, które będziesz chciał przekazać swojej firmie lub opublikować dowolną drogą, muszą być zautoryzowane przez armię. To jasne?

– Tak. Jasne.

Trzech żołnierzy rozeszło się niepostrzeżenie po stacji benzynowej. Szukali zapasów, punktów obserwacyjnych, potencjalnych osłon. Zanim Timur się zorientował, siedzieli już z dowódcą sami.

– Timur Denikin jestem – postanowił się przedstawić.

– Wei Song, a ciebie wszyscy znają – powiedział lekceważąco, ale Timur nie zwrócił na te słowa szczególnej uwagi.

Po kilku godzinach odpoczynku przeszli kolejnych kilka kilometrów i zatrzymali się nad morzem. Chronicznie zmęczony Timur zasnął na ziemi.

Siedzieli nad samym brzegiem w miejscu, w którym skały obniżały się trochę, a piaskowa łacha tworzyła wąską i krótką plażę. Gdzieś z oddali niosło się charakterystyczne nawoływanie mew, które na całym świecie kojarzy się z morzem.

– To, co się tutaj dzieje, nie jest twoją sprawą. Zacząłeś niezłe gówno, ale nie ja powinienem ci o tym opowiadać. Jakies półtora kilometra od wybrzeża jest twoja kapsuła oceaniczna. Dostała już sygnał i tutaj

płynie.

– Czemu nie przyплыnęła wtedy? – zapytał, ale w gruncie rzeczy ta sprawa już go nie dręczyła.

Teraz liczyło się tylko to, że niedługo wróci do domu, do cywilizacji. Do pościeli, automatów z kawą i drożdżowej odżywki o rybnym aromacie. Czuł, że to wszystko, co tu przeżył, powoli staje się nierzeczywistą przeszłością, filmem, który nakręcono dawno temu i którego nie musi oglądać.

– Nie wiem, Tim, nie miałem dużo czasu na oglądanie twojego programu, nie wiem, co się tu działo.

– Programu? Nadawali go? Jak długo?

– Tim, zaraz dopłyniesz do domu, tam wszystko ci opowiedzą, ja jestem prostym żołnierzem, rozumiesz?

– Tak.

Song przeniósł wzrok na zegarek na ręce i patrzył na niego jakieś piętnaście sekund, po czym podniósł głowę i spokojnym głosem powiedział: „Jest”. Wtedy Timur popatrzył na morze. Musiał zmrużyć oczy, promienie zmięchchu odbijały się od wody, oślepiając ich obu.

Timur złożył jedną dłoń w daszek i osłonił nią oczy. Dojrzał niewielki czarny kształt błyszczący pomiędzy falami. Mógłby to być wieloryb, ale wszyscy wiedzieli, że to jednoosobowa łódź podwodna, która miała ewakuować Denikina na drugi brzeg, do Chin.

Najpierw zauważyli coś jakby dymek unoszący się nad czarną powierzchnią pojazdu. Potem był błysk i pojawił się płomień. W końcu kadłub znikł pod falami, a na powierzchni wykwitły bąble powietrza. Timur nie miał pojęcia, co się stało, ale jego towarzysze zdawali się o wiele mniej zaskoczeni. Już wcześniej zajęli ukryte pozycje w sporych odstępach od siebie. Teraz założyli swoje maski i znów zmienili się w beznamienne roboty bojowe wykonujące zadanie. Ich karabiny mierzyły w stronę lądu. Song padł na ziemię i syknięciem dał znać Timurowi, że powinien zrobić to samo.

– Widzisz go? – zapytał cicho. – Na jedenastej, na wzgórzu.

Timur spojrział we wskazanym kierunku. Znad zbocza wystawał ciemny kształt wielkości skrzynki pocztowej. Trudno było dostrzec jakikolwiek szczegóły, ale widok napełnił Timura zupełnie niewytłumaczalnym lękiem.

Jeden z żołnierzy wyciągnął z zasobnika coś w rodzaju małej walizki,

otworzył ją. Z jednej strony była konsola sterująca, a z drugiej nieduży dron z trzema wirnikami. Maszyna szybko wzbiła się w powietrze i pochyłona nosem do przodu pomknęła w górę zbocza. Jego towarzysze komunikowali się radiowo, więc nie miał pojęcia, czy coś do siebie mówią.

Łoskot obwieścił odłączenie się niewielkiego raketowego pocisku od drona, który właśnie zaczynał płonąć i spadać. Eksplozja nie był potężna, ale musiała odnieść skutek, bo tuż po niej dwójka żołnierzy zerwała się i pobiegła w stronę krzaków porastających zbocze jakieś czterdzieści metrów od plaży. Kiedy dotarli na pozycje, ruszyła druga dwójka. Song dał Denikinowi znak, który miał chyba oznaczać: „leż i się nie wychylaj”.

Na skraju wzgórza jeden z żołnierzy otworzył ogień z karabinu. Szybko naciskając spust, posyłał pocisk za pociskiem w stronę niewidocznego z dołu przeciwnika. W tym samym czasie drugi wyciągnął granat, odbezpieczył i rzucił, niemal jednocześnie padając na ziemię.

Kolejni dwaj żołnierze szybko dołączyli, ale już nie strzelali. Zniknęli po drugiej stronie i przez dobrych kilka minut Denikin leżał sam, zastanawiając się, co się mogło tam dziać. Wkrótce oddział znowu pojawił się na szczycie. Było ich trzech. Ten, który rzucił granat, wciąż leżał tam, gdzie upadł. Koledzy podeszli do niego i przez chwilę manipulowali przy jego nieruchomym ciele.

– Wyłaż, Tim – krzyknął Song, machając ręką.

Spotkali się w połowie zbocza i Denikin zapytał:

– Na miłość boską, Wei, co to było?

– To, czego oficjalnie tutaj nie ma – usłyszał w odpowiedzi i zauważył wyraźnie niezadowoloną minę dowódcy. – Cofamy się w głąb łądu – rzucił krótko Song.

Po drugiej stronie zbocza Timur zobaczył nieruchome ciało i dużą, bezkształtną plamę czerniejącą na żółtej od słońca trawie. Z oddali nie mógł jej rozpoznać, ale wyglądała trochę jak przewrócony gigant z bajki. Zanim zdążył się przyjrzeć, żołnierze zdalnie zdetonowali ładunki założone na obu ciałach. Któryś zawiesił na Timurze automat poległego na wygodnym szerokim pasie. Wszyscy wciąż byli w maskach i Denikin nie miał pojęcia, kto z czwórki zginął.

Kilkaset metrów dalej w końcu przemógł się i zapytał:

– Wei, jeśli będziecie chcieli, to zwiążecie mnie i będziecie nieść. Wierzę, że dacie sobie radę, ale raczej wygodniej wam, kiedy idę sam, współpracuję i pomagam. – Uniósł karabin znacząco. – Jeśli chcesz, żeby tak było, to bądź ze mną szczerzy. Dobrze?

Song zatrzymał się, spojrzął na klatkę piersiową Timura i powiedział twardo:

– Nie jesteście tutaj od zadawania pytań.

Ruszył dalej, lecz coś w jego głosie nie pozwoliło Denikinowi wcielić swojej groźby w życie. Dopiero jakieś pół kilometra później, a cały czas szli bezdrożem w głąb łądu, Wei zbliżył się do Timura od tyłu, wsunął mu rękę pod pachę, złapał za lusterko i przesunął po nim kciukiem ubranym w jakąś dziwną taktyczną rękawicę z kablami osłoniętymi grubą gumą.

– Teraz mogę mówić – powiedział.

– To już dawno padło, bateria miała starczyć na dwa miesiące.

– Tak? A myślisz, że jakim cudem cię znaleźliśmy?

– Co?! – Timur aż przystanął z wrażenia, ale od razu ruszył, żeby nie zostawać w tyle.

– Słuchaj, pamiętasz, kiedy pierwszy raz powiedziałeś tutaj komuś, że jesteś z Chin? – zapytał Song, nie zwracając uwagi na zszokowaną minę rozmówcy.

– Tak.

– Wiedziałeś, że nie wolno ci tego robić, prawda?

– Wiesz, w jakiej byłem wtedy sytuacji?

– Nie mnie oceniać. Niedługo potem zaczęli znikać nasi ludzie...

– Zaraz – przerwał mu Denikin. – Jacy „nasi ludzie”? Tutaj, w strefie?

– Tak, a co, laowai? Myślałeś, że jesteś tutaj jedynym cywilizowanym człowiekiem?

– Tak, tak sądziłem.

– Jesteśmy tutaj od samej wojny, zazwyczaj rezydenci siedzą po dwa, trzy lata ciągiem. Więcej nie jest łatwo wytrzymać. Nie ma ich dużo, kilkadziesiąt osób.

– Czego tu szukacie?

– Timur, nie wolno ci tego wszystkiego wiedzieć, rozumiesz?

– A co, jak się zdradzę, to mnie zabijają?

– Tak, zabijają cię i jeszcze mnie i chłopaków. Zabijali już nie raz, przywykli – mówiąc to, ściągał z twarzy maskę. Był to kawał metalu

wyłożony od środka tkaniną. Na wysokości oczu znajdował się wyświetlacz z dwiema soczewkami, a na zewnątrz było kilka różnej wielkości obiektów.

– Więc czego szukacie?

– Widziałeś to, co nas zaatakowało?

Przeskoczyli wąski strumyk i dalej parli pod górę, co nie było dla Timura zbyt proste.

– Nie przyjrzałem się, ale...

– Ale się domyślasz. Widziałeś tamtą rękę, wiem. Teraz siedź cicho i słuchaj. Oficjalnie rząd USA stanowił zagrożenie dla światowego pokoju, więc Chiny i Rosja zaatakowały prewencyjnie, żeby uniknąć wojny na własnym terytorium. To bajki. – Splunął na zapyloną drogę.

– Wojnę zaczęliśmy nie my, zaczął ją system Sekwoja-1, amerykański komputer sterujący dronami powietrznymi i lądowymi, i raketami. To, co się dzieje w strefie zamkniętej Afryka, to jego dzieło. Broń biologiczna. My tylko odpowiedzieliśmy.

Szli chwilę w milczeniu, rozglądając się cały czas na boki. Timur nie zdążył jeszcze przetrwać tego, co usłyszał, kiedy Song zaczął mówić dalej:

– Wszystko, co piszą w podręcznikach, to kłamstwo. Chiny nie zaatakowały prewencyjnie, broniliśmy się przed agresją maszyn. Kiedy my zaatakowaliśmy atomowo, Sekwoja też próbowała użyć rakiet. Zbiliśmy prawie wszystkie, oprócz tych, które trafiły we Władywostok. Nasz atak złamał diabłu kręgosłup, ale go nie zabił. Od wojny satelity i rezydenci szukają śladów aktywności maszyny i od czasu do czasu je znajdują. Dogaszamy pożar, ale to nie jest proste.

– Ale zaraza na Bliskim Wschodzie wybuchła już po ataku na USA? – Timur zaprotestował.

– To nasi pisali podręczniki do historii – uśmiechnął się cynicznie. – Kiedy powiedziałeś tutejszym, skąd jesteś, nasi tutaj zaczęli dostrzegać bardzo wyraźną aktywność. W sztabie w Pekinie zrobiło się jak w ulu. Maszyna śledzi każdego obcego na swoim terenie. Twoje pojawienie się bardzo ją zezłościło.

– Skąd wie, który jest obcy? Chyba się ukrywacie?

– Widzisz... nie mogę mówić za dużo, ale chyba zrozumiesz, kiedy ci powiem, że nawet podczas najgorszej wojny muszą istnieć jakieś zasady i jakaś dyplomacja. – Timur pokiwał tylko głową, bojąc się

drażnić.

– Jeśli nie wolno mi tego wiedzieć, to po co mi o tym mówisz?

– Od jak dawna tu jesteś?

– Nie wiem, od miesięcy? Trochę pogubiłem się w rachubie czasu.

– Dokładnie dwa lata i dziewięć miesięcy. My dobiliśmy do brzegu trzy dni temu. Wcześniej byliśmy jeden dzień w Oakland. Nie wiem, ile czasu będziemy musieli przetrwać do ewakuacji, ale straciłem już jednego człowieka i zrobię wszystko, żeby to był koniec. Chcę cię mieć po naszej stronie.

– Jeśli ta – jak ją nazywasz? Maszyna? – nie jest w stanie nas zaatakować, to po co chcecie ją zniszczyć?

– Jestem prostym podpułkownikiem, to nie jest moja sprawa ani moja decyzja.

Timur właśnie chciał pytać dalej, ale idący jakieś dziesięć metrów przed nimi żołnierz odwrócił się i wykonał ruch, jakby gładził brodę.

– Cywil – Song przetłumaczył sygnał.

– Wiem, byłem w wojsku – Timur odpowiedział pospiesznie, żeby nie wyjść na laika.

Dołączyli do pozostałych i zalegli w trawie. Nie podnosząc głowy, można było zobaczyć jedynie pożółkłe źdźbła i pełzające po nich insekty, które nic sobie nie robiły z problemów większych od siebie.

– To jakaś osada – powiedział Song ni to do siebie, ni to do Timura.

– Możemy ich obejść, ale możemy też śmiało się przywitać. Dacie radę się trochę sponiewierać?

– To znaczy?

– Wyglądacie jak ze sklepu. Wezmą was za kosmitów.

– Może idź sam, my obejdziemy wioskę?

– Kręci się tu pełno dzieciaków, zaraz któryś na was wpadnie i narobi rabanu.

– Dobrze, zdejmijcie maski i schowajcie do plecaków – dowódca zwrócił się do dwójki żołnierzy. – Weźcie noże i zróbcie w ciuchach trochę dziur, tylko bez przesady.

Być może rozkaz ich zdziwił, ale nie okazali tego. Timur jeszcze pamiętał, jakimi metodami w armii chińskiej wpajano odruch podporządkowania się rozkazowi. Byłby naprawdę zaszokowany, jakby któryś z nich zadał jakieś pytanie.

– Przydałoby się, żebyście nie wyglądali wszyscy tak samo – dodał

donośnym szeptem. – Nie chcemy robić sensacji. Jesteśmy zwykłymi wędrowcami. Idziemy z północy, tak?

Wspomnienia z piekła

Ostatnie dni w strefie były najbezpieczniejszymi i najbardziej beztroskimi dniami, jakie przeżyłem od bardzo dawna. Żołnierze z elitarnego plutonu rozpoznania zajmowali się wszystkim, od noszenia wody po odganianie drapieżników.

Dwie noce spędziliśmy w osadzie takiej samej, jak setki innych. Długie wąskie grządki dzikiej kukurydzy rosnącej na z trudem zaoranej ziemi, niewielki strumyk, ruina przydrożnego baru i stacji benzynowej i to niemal wszystko. Widmo rychłego powrotu do mojego mieszkalnego mrówkowca w Hongkongu kazała mi spojrzeć na to miejsce o wiele bardziej krytycznie niż dotychczas. Czy ta komuna czterech rodzin ma szansę przetrwać? Nie zbudują nowych budynków, murów czy umocnień, bo nie mają z czego. Z pokolenia na pokolenie będą dziczeć albo wymrą.

Póki co jednak gospodarze okazali się bardzo gościnni. Powitali nas bez strachu, nakarmili skromnym posiłkiem, a wieczorem długo słuchaliśmy opowieści, choć moi towarzysze cały czas pozostawali czujni. Usiedli wokół ognia tak, żeby móc obserwować cały teren.

To była ostatnia osada, jaką widziałem po drodze. Następnego dnia dotarliśmy do wybrzeża i odpłynęliśmy. Ja pierwszy, w kapsule oceanicznej, a moi wybawiciele w niewielkiej łodzi, którą dostali się na ukryty za linią horyzontu niszczyciel. Nigdy więcej się nie widzieliśmy.

Po kilku zabiegach, które od biedy upodobniły żołnierzy do mieszkańców tego nieszczęsnego kontynentu, ruszyli otwarcie w stronę osady. Szli wzdłuż długiej grządki, na której rosły cztery rzędy niezbyt wysokich kukurydzianych łodyg. Miejscowi zdążyli ich już zobaczyć i przerwali pracę w oczekiwaniu. Coś w ich wyglądzie nie spodobało się Timurowi. Zauważył kobietę wygrzewającą się w słońcu, więc miejscowi nie mogli być atomitami. Wyglądali normalnie: buty z kawałków opon, pstrokata, ale bardziej szara niż barwna zbieranina szmat pełniąca rolę ubrań, prymitywne narzędzia i wychudzone dzieciaki. Zupełnie nic, co mogłoby wzbudzić niepokój, a jednak coś było nie tak. Tutejsi patrzyli na nich z obawą. Denikin szybko przypomniał sobie o niecodziennym wyglądzie swoich towarzyszy i się uspokoił.

– Witajcie! – Jeden z mężczyzn, krępy, przedwcześnie posiwiał brodacz wyszedł im na spotkanie.

– Wędrujemy do LA, chcemy zatrzymać się na noc. Nabrać wody, zjeść coś – powiedział Timur.

Siwy odwrócił się nerwowo, ale to trwało tylko ułamek sekundy. Potem spojrzął Timurowi w oczy, twardo i zapytał:

– Czym płacicie? – Zatknał kciuki za skórzany pas, który musiał pamiętać jeszcze jego ojca.

– Mamy naboje do broni palnej, zainteresowani?

– Nie, nie mamy strzelb. Spróbuj jeszcze raz.

– Dobrze, co mamy... Joe! – zwrócił się do Wei Songa pierwszym strefowym imieniem, jakie przyszło mu do głowy.

Żołnierz spojrział na niego zdziwionym wzrokiem i Timur musiał szepnąć mandaryńskie słowo „opłata”. Wtedy pułkownik sięgnął do jednej z toreb przytroczonych do uprząży taktycznej i wyciągnął lśniący nowością niezbędnik, złożony z prostego, ale porządnego noża, łyżki, widelca i dwóch metalowych pałeczek. Całość miała rowki i zaczepy, dzięki którym można ją było złożyć w pojedynczy przedmiot.

To w zupełności wystarczyło miejscowym jako zapłata. Przy okazji Timur zrozumiał, że jego wybawiciele faktycznie nie mają pojęcia o strefie, nie mówią po angielsku i nie potrafią kryć się ze swoim nietutejszym pochodzeniem.

Ludzie przerwali pracę, żeby przyjrzeć się sprzętowi chińskich żołnierzy. Pomimo pociętych mundurów i ukrycia najbardziej nowoczesnego sprzętu w pokrowcach, wyglądali jak przybysze z przyszłości. Większość tutejszych widywała przez całe życie tylko siebie nawzajem i karawaniarzy, którzy, jak Timur dobrze wiedział, byli najbardziej złachmanionymi indywiduami w całej strefie.

– Skąd jesteście? – pytanie zadała młoda dziewczyna, może piętnastoletnia blondynka bez nosa.

Denikin nie chciał się przyglądać zbyt natarczywie, ale wyglądało mu to raczej na wadę genetyczną, niż na jakiś uraz. Siwy naczelnik wioski, kiwając intensywnie głową i gapiąc się na Timura, zdawał się wspierać to pytanie całym swoim autorytetem.

– Ze wschodu. Boston – powiedział.

Równie dobrze mógł powiedzieć, że z Marsa. Wiedział, że oba wybrzeża niemal całkowicie utraciły komunikację. Wiedział też, że

wschodnie wybrzeże, od wieków gęściej zaludnione, lepiej przetrwało wojnę.

– Taaa, Boston. To daleko?

– Daleko. Idziemy do LA, wysłał nas wielki książę Bostonu. Jego rodzina mieszkała tam przed wojną. Teraz kazał nam sprawdzić, jak tam jest.

– Aaa – siwy wystękał z ustami pełnymi kaszy, którą w międzyczasie przyniosła im starsza kobieta.

– Wiecie może coś o LA? – Denikin postanowił odbić piłeczkę na drugą stronę siatki. – To daleko?

– Kilka dni, tak mówią karawaniarze.

– Więc chodzą tam karawany?

– Tak, z San Fran do LA, zawsze tędy przechodzą.

– Czym handlują?

– Z południa idą owoce, pomarańcze. Z północy metal, narzędzia, szpeje.

Timur pokiwał głową, myśląc o ludziach w Oakland, którzy zbierali metal w starych domach. Pomyślał o Jen, ale odepchnął tę myśl od siebie.

– Jak straciłeś rękę – zapytał krzepki młody chłopak, chyba Latynos, ale w skąpym świetle od ogniska nie było łatwo dojrzeć.

– Mieliśmy przejścia po drodze, napadli nas. Oberwałem maczetą – Timur wzruszył ramionami, jakby opowiadał o najzwyczajszej rzeczy pod słońcem.

– A twoi koledzy? – zapytała dziewczyna bez nosa. – Niewiele mówią.

– Nie są gadatliwi – Timur zaśmiał się na siłę. – To książęcy siepacze. Dobre chłopaki, ale lepiej im idzie machanie rękami niż rozmowy. – Dziewczyna skuliła się w sobie i przysunęła do siwego brodacza.

– Spokojnie! – Timur podniósł rękę otwartą dłońią do przodu. – W naszych stronach gospodarze na szlaku są jak rodzina. Jeśli będzie trzeba, będziemy walczyć za was.

– Tam coś jest! – mandaryński zabrzmiał ostro i obco.

Miejscowi spojrzeli na Su ze zdziwieniem, a Timur już chciał go zganić, kiedy zobaczył, jak cała trójka zrywa się, klęka na jedno kolano i celuje karabinami w pustkę, każdy w inną stronę. Siwy zaczął się wydzierać, beznosa piszczeć.

– Co z wami? – Denikin zapytał ostro po mandaryńsku, ale nie

doczekał się odpowiedzi.

Twarze żołnierzy zniknęły za metalowymi maskami. Jeden z nich niemal natychmiast otworzył ogień w ciemność, pozostali w skupieniu wpatrywali się w mrok. Po chwili usłyszeli świdrujący, obrzydliwy dźwięk, absolutnie obcy, niepodobny do niczego, co kiedykolwiek mogło słyszeć ludzkie ucho. Był jak piekielne zawrodożenie potępionych dusz. W jednym momencie trzy lufy obróciły się w tym samym kierunku i padły kolejne pojedyncze strzały.

Brodacz wyciągnął z ogniska płonące polano i zamachnął się, jakby chciał rzucić w jednego z żołnierzy. Timur, nie myśląc niemal wcale, podniósł karabin jedną ręką i opierając kolbę o biodro wystrzelił. Choć dzieliło ich ledwie kilka kroków, trafił dopiero za trzecim strzałem. Efekt był makabryczny: pocisk rozerwał bark i duży kawał klatki piersiowej mężczyzny. Timur nie miał pojęcia, co to za amunicja, ale nie było to w tej chwili jego największym zmartwieniem. W świetle karabinowych rozbłysków zobaczył ogromny cień. Jakies dwadzieścia metrów od nich, tam, gdzie, jak mu się zdawało, stała zbita z niezgrabnych dech chatynka.

Trafiające w ciemny kształt kule odbijały się, krzesząc iskry. Nie wiedząc kiedy, Wei Song i jego ludzie zajęli pozycje za osłonami, miejscowi uciekli gdzieś poza pole widzenia i Timur jako ostatni stał wyprostowany przy ognisku. Z jakiegoś powodu jednak nic mu się nie stało. Zamiast w niego pociski poleciały w stronę ukrytego za przymą ziemi Su. W tym samym czasie inny z żołnierzy zdołał wyciągnąć granat i rzucić w stronę przeciwnika. W jednej chwili wokół pojawiło się pełno dymu i kiedy Timur zdążył już się znaleźć za jakąś osłoną, mocne ręce złapały go za łokcie i pociągnęły w górę.

Pobiegli w ciemność. Z wioski dało się słyszeć chaotyczne krzyki mieszkańców. Biegli tak długo, aż Timur opadł z sił, potknął się o coś i przewrócił. Podnieśli go, chwycili za ramiona i biegli dalej, włócząc jego nogami po ziemi. Gdzieś po drodze zgubił karabin. Już teraz wiedział, że o tej przygodzie nie będzie mu wolno opowiedzieć nigdy i nikomu.

Zostało ich już tylko trzech: Wei, Su i Timur. Przeszli biec dopiero wtedy, gdy dotarli do opuszczonego miasta. Pośrodku oceanu ruin drewnianych domków widać było kilka niewysokich biurów. Ukryli się w jednym z nich, na ostatnim piętrze. Na schodach widzieli

barykady z mebli, a na piętrach kości. Timur roztrącił je nogą na boki i usiadł na podłodze. Wei i Su zastanawiali się, co robić. Nie miał zamiaru im pomagać, najmniejszego. Skoro kawaleria już przyjechała, to niech teraz ona się martwi. Przez te wszystkie lata musiał co minutę decydować, co robić dalej, żeby przetrwać. Decydowanie to najgorsza możliwa robota, bardziej męcząca niż noszenie wody z rzeki. Słyszał, jak Wei nawołuje kogoś przez radio, rozmawia chwilę, po czym mówi: „Zapłacą mi za to” i rzuca krótkofalówkę w kącie.

– Nie przylecą? – zapytał Su.

– Nie, zasrana strefa i zasrana maskarada – Wei westchnął ciężko. – Kiedyś pierdolnę tę robotą i zostanę pomocnikiem geodety.

Wszystko wskazywało na to, że utknęli tu na całą dobę. Nie było jedzenia ani wody, ale za to był sen. Denikin zwinął się pod biurkiem i przespał cały dzień i całą noc, otwierając czasem jedno oko, kiedy coś stuknęło.

Następnego ranka Timur siadł przy oknie. Szyba wciąż była cała, ale przez lata obrosła grubą warstwą kurzu. Z potencjalnie pięknej panoramy pozostał niewyraźny, mętny kleks, a mimo to przyjemnie było sobie patrzeć w dal. Żołnierze dywagowali przez ten czas nad niewielkim elektronicznym wyświetlaczem, na którym Timur widział wojskową mapę topograficzną, naniesioną na zdjęcia satelitarne. Czemu wszystko w wojsku musi być takie surowe i boleśnie praktyczne? Zastanawiał się, jednocześnie leniwie wodząc wzrokiem w poszukiwaniu czegoś jadalnego.

W końcu Wei i Su zdecydowali, jaki wybrać szlak i ruszyli w drogę. Zapasy wody uzupełnili w rzece. Kiedyś ludzie schowali ją w rurze, ale ulica się zapadła, odsłaniając w kilku miejscach życiodajne źródła.

Wyszli za miasto. Żołnierze nie powiedzieli Timurowi, dokąd idą, a on sam nie pytał. Wydawało mu się jednak, że zmierzają w stronę wybrzeża. Droga była pusta jak w starych filmach. W suchym klimacie asfalt się nie starzał, wyglądał niemal dokładnie tak, jak przed dekadami. Po obu stronach ciągnęła się idealnie płaska, pustynnie szara przestrzeń. Pustka kończyła się z prawej strony na ledwie widocznych górach, a z lewej nie kończyła się wcale. Po prostu płynnie stapiała się z niebem.

Ciężkie wojskowe buty uderzały o twardą nawierzchnię, a Timurowi zrobiło się niemal żal swoich towarzyszy. Musieli gnieść stopy

w buciorach z wysokimi cholewami, kiedy on wygodnie człapał w przewiewnych sandałach z kawałków opon i szmat. Zrobił je sobie w Oakland. Ciął oponę pół dnia jakimś starym kuchennym nożem z piłką i bez rękojeści, a potem kilka dni szukał szmat, które jeszcze się nie rozpadły mimo upływu lat. W końcu trafił na coś, co w swoim poprzednim życiu mogło być srebrzystym dressem albo kurtką przeciwdeszczową.

Daleko przed nimi na drodze stał człowiek, duży, musiał mieć ze dwa metry wzrostu, ale chyba nie miał broni. Kiedy byli jakieś dwieście, trzysta metrów przed nieznanym, Wei podniósł dłoń do góry i razem z Su rzucili się na boki za osłony. Jeden za stary samochód, a drugi w krzaki.

– Co się dzieje? – Timur zapytał, także próbując znaleźć odpowiednie miejsce na poboczu.

Nikt mu nie odpowiedział. Jego towarzysze mieli na sobie swoje maski.

Człowiek stojący na drodze przed nimi najpierw zauważalnie drgnął, a potem zaczął iść w ich stronę. Poruszał się dziwnie. Pewnie, ale sztywno. Ciemne maski z błyszczącymi obiektywami kamer nie pozwalały wydostać się na zewnątrz żadnym emocjom, ale Timur wyczuwał aż nadto wyraźną konsternację obu operatorów. Wydawało mu się, że spod masek słyszy ich zdenerwowany szept. Kusiło go, żeby znowu zapytać, co się dzieje, ale w końcu tego nie zrobił. Zamiast tego podczołgał się bliżej najbliższego żołnierza i z kabury wyciągnął jego pistolet. Na bezduszne spojrzenie obiektywów odpowiedział jakimś nic nie znaczącym gestem i zaczął odczołgiwać się na bok.

Złowroga postać zatrzymała się może pięćdziesiąt metrów od nich. Denikin próbował przyjrzeć się, ale leżał w trawie i mógł obserwować jedynie dziwne, białe pajęczki chodzące w górę i w dół po trzech suchych źdźbłach. Dopiero kiedy uniósł się na łokciach, zobaczył, że to wcale nie był człowiek... Robot miał dokładnie taką rękę, jaką Timur widział dawno temu w River Town.

Z zewnątrz maszyna była pokryta matowym plastikiem, a w kilku miejscach, nawet z daleka widać było oznaki uszkodzeń i zęb czasu. Gdzieś plastik był przetarty i wystrzępiony, jednego palca przy dłoni brakowało, a w kolanie wyraźnie coś się zaklinowało, bo robot nie mógł całkiem wyprostować nogi i stał krzywo. Mimo to wyglądał

naprawdę groźnie. Jego głowa nie przypominała ludzkiej czaszki jak w starych filmach, nie miała w sobie zupełnie nic ludzkiego. Było to raczej wielokątne pudło z anteną, jakimiś czujnikami i obiektami. Urządzenie musiało zostać zbudowane dawno temu, bo nie wyglądało wcale na nowoczesne, wręcz przeciwnie, w porównaniu do imponujących masek chińskich komandosów, zestaw czujników na głowie robota był raczej rozczarowujący.

– Leż w trawie i schowaj łeb – Wei syknął do Timura, po czym wstał i poszedł w stronę nieruchomego robota.

Timur nie posłuchał rozkazu i zamiast położyć się na płasko, spoglądał pomiędzy zielonymi źdźbłami w stronę tego niezwyklego spotkania. Wei zdjął maskę i mówił coś. Robot odpowiedział. Jego głos, emitowany ewidentnie przez jakiś głośnik, miał bardzo słabo wyregulowany balans. Niskie dźwięki wręcz poruszały trawę i sprawiały, że skóra na policzkach drgała, ale w żaden sposób z daleka nie dało się pojąć, co mówi.

Rozmowa trwała ledwie kilka minut, ale niecierpliwemu obserwatorowi mogła wydawać się wiecznością. W końcu Wei Song założył maskę i wyciągnął do robota rękę, uścisnęli sobie dłonie. Zupełnie jak ludzie, choć w tej chwili żaden nie wyglądał jak człowiek. Negocjacje zakończyły się korzystnie i cała trójka – dwaj żołnierze i Timur – spokojnie odeszli w stronę wybrzeża. Wei milczał, ignorując wszelkie pytania Denikina.

Dopiero wieczorem, kiedy byli już nad brzegiem oceanu, powiedział:

– Słuchaj, Timur, nie staram się ochronić ciebie, tylko siebie. Widziałeś już dość. Napiszesz sobie reportaż czy książkę, czy nakręcisz jebany film. OK? Ale nikomu, nawet na przesłuchaniu w prokuraturze, nie wolno ci mówić o tym, co dzisiaj widziałeś.

– Nic nie widziałem, schowałem głowę w trawę, tak jak kazałeś.

– Jesteś hieną, taką masz pracę, nie winię cię. Wiem, że się gapieś. Po prostu pamiętaj, jak zaczniesz gadać, wszyscy popełnimy bardzo brutalne samobójstwo.

Część V

Od domu w Hongkongu dzieliło go może sto dwadzieścia kilometrów. Wystarczyło przejść przez bramę, dojść do dworca i kupić najtańszy bilet na kolejkę podmiejską. Potem metrem, za darmo. Może dwie godziny drogi, tyle co nic. Tak blisko, a tak daleko...

Zanim mógł opuścić bazę marynarki wojennej, musiał przejść kwarantannę, odrobaczanie i badania lekarskie. Doktor powiedział, że jeszcze nikt nie przebywał w strefie nawet połowy tego co on. Timur wiedział już, że to nieprawda, ale wolał milczeć.

Oprócz testów i niekończącego się pobierania krwi musiał odbyć też sporo nieprzyjemnych rozmów z niezbyt sympatycznymi ludźmi z ministerstwa i sztabu. Jeden z nich przedstawił się jako wojskowy prokurator. Miał prosty, czarny garnitur z metalowym znaczkiem w klapie, około pięćdziesięciu lat, szczupłą twarz i włosy wygolone niemal na łyso, jak na starym zdjęciu Czang-Kaj Sze.

– Zdajesz sobie sprawę, że to, co zrobiłeś, to wielokrotne zabójstwo? – przemówił w końcu, kiedy już zapalił papierosa.

– Zabiłem wiele osób, tam w strefie.

– Wiem, ale mi chodzi o drużynę, która próbowała cię stamtąd wyciągnąć.

– Wiem. Nie wiedziałem, kim byli ani po co przyszli.

– Oni mieli rodziny, tutaj w Chinach. Mieli wrócić do domów.

– Próbujecie wzbudzić we mnie poczucie winy? Niepotrzebnie. Wiem, co zrobiłem.

– Dobrze. Mam więc nadzieję, że uda mi się z wami dogadać, laowai.

– Dalej mówicie na ludzi laowai? Urodziłem się w Chinach.

– Wojsko jest gotowe zrezygnować z pociągania cię do odpowiedzialności – powiedział, ignorując uwagę Timura – jeśli zgodzisz się na ich warunki.

– Jakie?

– To omówisz z nimi. Ja jestem tutaj tylko po to, żeby opowiedzieć ci o ścieżce postępowania, którą musiałbyś przejść, gdybyś się nie zgodził.

– Więc?

– Jesteś inteligentnym laowaiem, powiem wprost. Wielokrotne

morderstwo w afekcie, minimum dziesięć lat, maksimum dożywocie.

– Czyli dożywocie w jednoosobowej celi. Bez prawa do korespondencji i widzeń. Jeśli się nie zgodzę.

– Mówiłem, że jesteś mądrym laowaiem.

– Właśnie spędziłem trochę czasu w piekle, a teraz siedzę trzeci dzień w waszym durnym porcie. Jeśli każą mi podpisać, że widziałem w strefie ludzi-kangury z laserowymi oczami, to podpiszę. Jeśli oczywiście dzięki temu puścicie mnie do domu.

– Dobrze. Na tę chwilę to koniec, niedługo pojawi się ktoś z papierami. Już naprawdę niedługo cię wypuszczą.

– Miło mi to słyszeć.

Poważny prokurator wychodził już, trzymał dłoń na klamce, kiedy się odwrócił i rzucił jeszcze:

– A, bardzo podobał mi się wasz program, moim dzieciom też. Mój syn powiedział, że też pojedzie do strefy. Trochę się pokłóciliśmy, ale to nic. Zanim dorośnie, to mu przejdzie. Do widzenia.

Dokumenty dla wojska Timur podpisał w jednej kopii, którą potem zabrał wysoki, niezwykle sztywny pułkownik. W papierach było dokładnie opisane, czego Timur nie powie i komu. Nie wspomniano o spotkaniu Wei Songa z robotem, ale wyraźnie zaznaczono, że istnienie sztucznej inteligencji w strefie ma pozostać tajemnicą. W dokumentach nie pojawiło się nawet jedno słowo o możliwej karze za niedotrzymanie obietnicy. Timurowi przeszło przez myśl, że w rządowym dokumencie nie może być informacji o możliwej egzekucji upozorowanej na samobójstwo. Nawet w takim tajnym. Co by było, gdyby kiedyś jakaś roztargniona sprzątaczką wyrzuciła go do śmieci?

Kiedy papiery były podpisane, Denikin został odprowadzony przez dyżurnego oficera do wyjścia.

– Mogę wam jakoś pomóc? – zapytał po drodze.

Nie był Hanem. Raczej z jakiejś mniejszości. Mógł być Tajem albo Dajem, Timur słabo odróżniał chińskie mniejszości nawet przed wyjazdem. Teraz stanowiły dla niego prawdziwą czarną magię.

– Możecie mi zamówić taksówkę. Nie znam drogi na stację. Jeździ stąd w ogóle coś do Hongkongu?

– Jedzicie do Hongkongu?

– Tam mieszkam. – Denikin wzruszył ramionami.

– Jeśli poczekać pół godziny, to was zawiozę. Jadę do narzeczonej

do miasta. Dobrze?

– Pewnie! – Timur uśmiechnął się.

Czekał w bazie trzy dni, pół godziny go nie zbawi. Poza tym wcale nie chciało mu się tłuc w kolejce. Już wiedział, co by czuł. Tłum pchających się ludzi, dla których jest po prostu konkurentem do miejsca siedzącego i na dodatek laowaiem. Lepiej już pojechać w milczeniu z oficerem. Nie wyglądał na gadułę.

– A macie papierosa? – zwrócił się do miłego oficera.

– Nie palę – odpowiedział ze smutkiem. Miał pagony młodszego kapitana. – Może wartownik ma, proszę zapytać.

Wartownik faktycznie miał papierosy. Timur nigdy nie palił, nie znał też zbyt wielu ludzi, którzy to robili. Zapalił jeszcze w stróżówce, a potem siedział przed bramą i powolutku uczył się zaciągać.

Podobno nowoczesne papierosy nie zawierały żadnych szkodliwych substancji, ale ludzie i tak nie chcieli ich palić. Pewnie mieli zbyt dobrze zakodowane w głowach przekonanie, że palenie jest groźne. Choć może przestali palić właśnie dlatego, że to przestało im szkodzić?

Kapitan przyszedł trochę spóźniony, przeprosił i zaprowadził Timura do żółtej Haimy. Samochód był nieduży, ale pokonywanie drogi w zamkniętym, klimatyzowanym wnętrzu, bez zmuszania się do żadnego wysiłku, było dla Denikina czymś niezwykłym, jak dawno zapomniana rozkosz.

Jechali w milczeniu jakiś czas. Kapitan odezwał się dopiero, kiedy wyjechali na autostradę:

– Co pan teraz będzie robił?

– Nie wiem. Co może robić inwalida w Chinach?

– E tam, jaki inwalida? – kapitan zareagował wręcz radośnie, jakby zupełnie nie dostrzegał kikuta opartego na kolanie.

– Straciłem rękę – Timur powiedział dość ostrym tonem. Czuł, jak zaczyna się w nim gotować oburzenie.

– E tam, wiesz, jakie teraz robią protezy? Lepsze niż prawdziwe. Niektórzy bogaci sobie zakładają zamiast zdrowych kończyn. – Nie wiadomo, czemu przeszedł na „ty”.

– Bogaci mogą, kto im zabroni? – zapytał Timur filozoficznie. Jego złość mijała, pomyślał, że może żołnierz jest po prostu głupi. – Mnie nie stać na takie zabawki.

– Nie? – zdziwił się kapitan. – Myślałem... Twój program oglądają

wszyscy moi znajomi. Nawet widziałem ostatnio newsa, że robią grę na twój temat.

– Grę?

– Tak, strzelankę.

– Ale jaja...

– Nie wiem, jaki masz kontrakt z Szanghaj Ribao, ale myślę, że nieźle ci zapłacą. Za rękę też.

Timur pokiwał głową i zamilkł zamyślony. Faktycznie, Wei Song i ten prokurator mówili coś o jego programie. Już dawno przestał o nim myśleć. To było takie... nierzeczywiste. Jak wszystko, co nie groziło nagłą śmiercią. Teraz było inaczej. Kanibale z River Town, martwy człowiek w domku z rakiety, urwana dłoń, Jen... Wszystko to było nawet nie jak sen, jak inne życie, jak opowieść kogoś obcego, która nawet cię nie obchodzi.

Pożegnali się przy stacji metra. Timur miał na sobie zdecydowanie zbyt duży, wiszący niczym na strachu na wróble wojskowy dres i buty z opony. Proponowali mu inne, ale przywykł do tych. Czy ludzie gapili się na niego dziwnie? Chyba nie. Hongkong widywał już dziwniejszych niż on.

Wysiadł z pociągu na swojej stacji. Był tu jego ulubiony fryzjer, który strzygł go zawsze na krótko. Sklep z butami, kawiarnia, w której czasem pił herbatę i spożywcza. Do tego ostatniego wszedł zdecydowanym krokiem. W kącie stała duża narożna lodówka z gotowymi zestawami typu bento. Wybrał taki z sushi, blinami z serem i rogalikiem. Ruszył w stronę kasy. Po drodze zabrał z półki dwa duże batony czekoladowe z orzechami nerkowca. Apetyczny obrazek na opakowaniu o mało nie pozbawił go możliwości myślenia. Musiał wyteńczyć całą wolę, żeby nie usiąść przy półce i nie zacząć jeść jednego batona po drugim. Wziął jeszcze dwa, a po krótkim namyśle kolejne dwa.

Przy automatycznej kasie jednak, z pewnym zdziwieniem odkrył, że nie ma przy sobie opaski, czyli nie miał czym zapłacić. Oklepywał przez chwilę kieszenie, choć doskonale wiedział, że nie mógł mieć przy sobie ani dokumentów, ani gotówki. W końcu uśmiechnął się przepaszająco do zniecierpliwionej Chinki z obsługi, która podeszła zapytać, w czym problem. Rozłożył tylko przepaszająco ręce.

Dziewczyna za obstawioną gumami, losami na loterię i zdrapkami do

gier sieciowych ladą spojrziała na kikut i nieprzystępny wyraz jej twarzy w jednej chwili zmienił się nie do poznania. Zawołała szybko swoją koleżankę. Miała mocny syczański akcent. Z głębi przybiegła kobieta po czterdziestce, laowaika, a za nią jeszcze jedna młodsza Azjatka.

Z gorączkowej gadaniny udało mu się wyłowić jedynie jakieś pojedyncze słowa w stylu „Tak, to on”, albo „Jeszcze chudszy niż na zdjęciach”. W końcu laowaika, chyba kierowniczką zmiany, zwróciła się do niego:

– Pan Denikin?

– Tak, to ja.

Po tym znowu nastąpiła gorączkowa paplanina, ale trwała tylko krótką chwilę.

– Oglądaliśmy pana program, widziałam pana twarz na zdjęciach. Może pan zapłacić później – powiedziała w końcu kierowniczką.

– Dziękuję, przepraszam. Mieszkam tutaj. Dopiero wróciłem. Tutaj obok w bloku.

– Nic się nie dzieje, to zaszczyt – zaszcebiotała ta, która stała za kasą. Miała okrągłą i pucułowatą twarz z oczami niczym szparki w średniowiecznym hełmie. – Możemy zrobić sobie z panem zdjęcie?

– Jasne.

Kierowniczką postawiła terminal na półce, ustawiła się z resztą i aktywowała migawkę opaską.

Kobiety podziękowały Timurowi, zaproponowały mu, żeby wziął jeszcze napój imbirowy albo zieloną herbatę, ale uprzejmie odmówił i wyszedł. Powoli zaczął się zbierać tłum ciekawskich przechodniów.

W metrze pomylił wyjścia. Musiał się cofnąć i zastanowić. W końcu wyszedł po właściwej stronie ulicy i ruszył znajomym bulwarem, który niczym kanion ciągnął się pomiędzy monumentalnymi mrówkowcami. Przywitał się ze sprzedawcą pierożków, który zawsze stał ze swoim wózkiem na rogu.

– O, Timur, dawno cię nie widziałem – powiedział. – Mam świetne z dymką, sezamem i mozzarellą. Może chcesz pół jina?

– Nie, dziękuję panie Man. Kupiłem już bento, ale jutro zjem u was śniadanie.

– Świetnie. Piękna pogoda pani... – Timur przestał słuchać, bo sprzedawca zaczął już nagabywać kogoś innego.

Szedł przez własne podwórko, odkrywając znane sobie już od dawna i zupełnie nowe szczegóły: huśtawki na placu, malowidła na murach budynku. Jednocześnie zastanawiał się, jakim był głupcem, że poszedł na zakupy bez pieniędzy. Właśnie wtedy dotarło do niego, że idzie do domu bez opaski, która otwierała drzwi...

Administracja budynku pracowała do osiemnastej. Miał jakieś piętnaście minut, czyli żadnych szans, żeby zdążyć. Wszystkie rzeczy: terminal, opaskę, kartę bankowo-identyfikacyjną, zostawił przed wyjazdem w wojskowym depozycie. Raczej nie zginęło bezpowrotnie, ale chwilowo nikt nie miał pojęcia, gdzie to upchnęli.

Podszedł do bramy i niezbyt pewnie nacisnął numer na chybił trafił. Udało się, ktoś wpuścił go bez krępujących pytań. Oczywiście podobna sytuacja nie miała szans się powtórzyć przy wejściu do mieszkania, ale mimo wszystko wszedł do windy i pojechał w górę, a potem przeszedł korytarzem aż do swoich drzwi. Stał przed nimi chwilę i naprawdę głupio mu było, że kiedyś poskapił kilku stów na system rozpoznający twarz właściciela. Miał przy sobie batony i pudełko bento. Oceniał, że to wystarczy, żeby przetrwać noc na korytarzu. Postanowił, że rano pójdzie do administracji, wszystko wyjaśni i dostanie nowy klucz. Nic strasznego, po tylu nocach w strefie...

Przez pierwszą godzinę było łatwo, winda cały czas szumiała w szybie, czasem ktoś przeszedł korytarzem, nie zwracając uwagi na stojącego przy drzwiach Denikina żadnej uwagi. Można było zagryzać czas posiłkiem. Druga godzina ciągnęła się w nieskończoność, a potem czas stanął w miejscu. Nie bał się zasnąć, nie miał nic, co można by mu ukraść, a przecież na korytarzu w bloku nie ma zmutowanych wilków. A mimo wszystko nie chciał tak po prostu się położyć i spać. Wstydział się takiego zachowania w cywilizowanym świecie.

Było bardzo późno, winda nie ruszała się od dłuższego czasu, kiedy Timur usłyszał kroki. Ktoś wchodził po schodach, a potem szedł korytarzem w jego stronę. Czujnik ruchu włączył światło i zobaczył młodą dziewczynę, chyba Japonkę, idącą troszeczkę chybotliwym krokiem, uśmiechniętą od ucha do ucha. Szczęście zniknęło z jej twarzy dopiero wtedy, gdy w końcu opuściła wzrok i zobaczyła Timura siedzącego przy drzwiach.

– Oj! – powiedziała niemal dziecinnie.

Denikin zerwał się na równe nogi i powiedział uspokajająco,

wyciągając otwarte dłonie przed siebie:

– Proszę się nie przejmować, mieszkam tutaj – pokazał na drzwi. – Głupia sprawa, ale nie mam przy sobie niczego, opaski, karty, terminala.

– Okradli cię?

– Nie, zgubili moje rzeczy w depozycie. Naprawdę długa historia. Proszę się nie przejmować.

Dziewczyna już zniknęła w drzwiach własnego modułu, kiedy dotarła do niej oczywista myśl.

– Nie możesz się dostać do swojego mieszkania!

– No – przytaknął.

– Wchodź do mnie. Prześpisz się na podłodze.

– Dzięki, chętnie.

Mieszkanie dziewczyny, która przedstawiła się jako Riki, wyglądało niemal identycznie, jak moduł Timura. Ściana kuchenna tego samego modelu, łóżko z klapą, po zamknięciu pełniące rolę stołu. Półki wypełniało mnóstwo babskich bibelotów, a większość płaskich powierzchni zdobiły zdjęcia psa.

– Jak się wabi? – Timur wskazał na jedno z nich.

– Koala. Uspiliśmy go dwa lata temu.

– Szkoda, wyglądał na przyjacielskiego.

– Gdzie studiujesz? – zapytała dziewczyna, jednocześnie zdejmując buty i nalewając sobie jogurt ze ściany kuchennej.

– Już nie studiuję. Pracuję w Szanghaj Ribao.

– Nuda. Ja studiuję inżynierię.

– To ciekawsze – zgodził się, żeby być miłym.

– Prawda? Skoczę na chwilę do łazienki i zaraz wracam. Jak chcesz, to tam w szafce mam koc, możesz spać, gdzie ci wygodnie – pokazała podłogę szerokim i naturalnym gestem.

Nie było jej czterdzieści minut. Przez większość tego czasu z łazienki dochodziły dźwięki płynącej wody. Kiedy wyszła, miała na sobie zabawny, wręcz dziecinny szlafrok z jakimiś wielkookimi postaciami z kreskówek.

Denikin już leżał na podłodze, bez koca, i powoli przysypiał, ale rozbudził się, kiedy powiedziała:

– Widziałeś po południu wystąpienie ministra Zhou?

– Nie, przegapiłem, o czym mówił?

- Myślałam, że pracujesz w Ribao, jesteś dziennikarzem.
- Tak, ale nie zajmuję się polityką.
- Szkoda, myślałam, że porozmawiamy.
- Bardzo chętnie. Po prostu będę więcej słuchał niż mówił – powiedział, przekręcając się na plecy i splatając dłonie na karku.
- Minister mówił o wolontariacie. Chce wprowadzić program dwóch lat. Każdy człowiek ma po studiach iść na dwuletni wolontariat, staż albo do wojska.
- Czemu?
- Bezrobocie, za dużo maszyn. Większość nie jest w stanie znaleźć normalnej roboty. Trzydzieści pięć procent, czy jakoś tak, ludzi przed trzydziestką nie ma etatu.
- Aż tyle, cholera, nigdy nie wiedziałem, że jest tak źle.
- Prawda? Wiesz, jakie problemy to rodzi? – zapytała z błyskiem w oku i uśmiechem świadczącym o tym, że jego reakcja bardzo jej się spodobała.
- Domyślam się. Co ci wszyscy ludzie robią?
- No właśnie? Siedzą w domach w multimgoglach i całe dni tracą na grach i wirtualnym zwiedzaniu. To straszne!
- A z czego oni żyją? – Timur zapytał, jakby nie do końca rozumiejąc, o czym Riki mówi.
- Z zasiłku. Państwo daje dość, żeby starczyło na jedzenie i jakąś rozrywkę, ale za mało, żeby zrobić coś prawdziwego. Siedzą po dwóch na moduł. – Denikin domyślił się, że mieszkania też mają od państwa.
- To strasznie dołujące, odechciewa się czegokolwiek.
- I jak program ministra ma im pomóc?
- Chcą, żeby każdy po studiach choćby próbował coś zrobić, żeby ludzie poczuli jakiś sens.
- To chyba nie jest głupie, prawda? – zapytał niepewnie.
- Sam był zdziwiony, że zupełnie nie słyszał o tym problemie. Chyba zbyt pochłonał go zaklęty krąg własnej pracy i własnej rozrywki. Może faktycznie życie w module w mrówkowcu i multimgogle zabijały zainteresowanie innymi?
- No właśnie nie wiem. Jaki sens w życiu ma komuś dać półtora roku w urzędzie pracy w Indiach?
- Może będą ciekawsze opcje?
- Jakie na przykład?

– Straż pożarna, ratowanie ludzi. Zawsze chciałem być strażakiem. A może w szpitalach?

– W szpitalach większość pracy robią roboty, a w straży pożarnej prawie całą. Wiesz, gdzie jest praca?

– Gdzie? – Zmęczenie i senność gdzieś uleciały.

– W Afryce i Ameryce. Tam naprawdę moglibyśmy się przydać.

– Nie wiem, czy to... – zaczął, ale nie zdążył dokończyć.

– Widziałeś ten program w necie?

– Ten o strefach? – Domyślił się bez większego trudu. – Nie widziałem – stwierdził w stu procentach zgodnie z prawdą.

– Szkoda, ja widziałam wszystkie odcinki...

– Naprawdę? – zapytał z lekkim naciskiem, a przez myśl przemknęło mu pytanie: „Jakim cudem mnie w takim razie nie poznałaś?”

– I wiem, że tam jest naprawdę źle. Rząd powinien pozwolić nam pomóc tym ludziom.

Dziewczyna ziewnęła i po chwili Timur usłyszał jej chrapanie. Kiedy zapanowała cisza, sam też przewrócił się na bok i odpłynął.

Rano wyszli z mieszkania razem. Dziewczyna śpieszyła się na zajęcia i zamienili tylko dwa słowa. Timur planował pójść do administracji, wyjaśnić sprawę klucza i stamtąd zadzwonić do Ribao, żeby mu jakoś pomogli. Może ktoś mógłby podjechać pożyczyć mu ze dwie czy trzy stówki, zanim nie ogarnie karty identyfikacyjno-bankowej i opaski.

Jego plany zmieniły się, kiedy zszedł na dół i spotkał Paula, stojącego razem z jakimś elegancko ubranym młodym Hanem, trzymającym nad nimi obydwojma duży czarny parasol, o który równomiernie uderzały wielkie krople gęstego deszczu. Timur miał pewność, że Paul przyjechał tu właśnie po niego, i naprawdę się ucieszył. Zaskoczyła go zupełnie niezwykła reakcja Paula. Zazwyczaj posępny i pozbawiony większości odruchów świadczących o poczuciu humoru redaktor uśmiechnął się na widok Timura od ucha do ucha i niemalże pobiegł w jego stronę.

– Jesteś wreszcie, musieliśmy się z tobą minąć w bazie marynarki. Wiesz, kiedy powiedzieli nam, że wrócisz? – Timur nigdy w życiu nie słyszał, żeby Paul mówił choćby w połowie tak szybko, jak teraz. – Jak sobie poradziłeś, gdzie spałeś? Słyszałem, że oficer zawiózł cię do miasta? Wojskowi nie robili kłopotów? Chodź tu. Bing, parasol nad panem Denikinem – warknął, nagle zmieniając ton na bardzo

nieprzyjemny.

Timur wykorzystał tę chwilę, żeby wejść mu w słowo:

– Paul. Cieszę się, że cię widzę, ale pozwól mi odpowiedzieć na jedno pytanie naraz. Dobrze?

– Jasne! – zgodził się radośnie.

– Muszę jechać do administracji. Nie mam kluczy od mieszkania. Muszę też załatwić sobie jakąś opaskę, terminal i wyrobić kartę albo załatwić od wojska moje stare rzeczy. Macie jakiś samochód?

– Tim, niczym się nie przejmuj. Mamy dla ciebie wszystko. Wolisz opaski Niebiańskiego Spokoju czy Zero? Mamy obie. Wybierzesz sobie. Kartę też mam – wyciągnął z wewnętrznej kieszeni garnituru pomietą kopertę i wcisnął ją Timurowi do ręki.

– Jak to załatwiliście? – zdziwił się.

– Mamy swoje dojścia. Chodźmy do samochodu, mokniesz.

Auto stało niedaleko. To był długi, czarny wóz o klasycznie opływowym kształcie, ze staromodnymi kanapami z bordowej skóry. Bez problemu można by sobie wyobrazić ministra jadącego takim na oficjalną wizytę do pałacu prezydenckiego. Bing siadł za kierownicą i zamknął dźwiękoszczelną przesłonę pomiędzy sobą a Pauliem i Timurem, którzy wygodnie siedzieli na tylnej kanapie. W szerokim podłokietniku pomiędzy nimi, w uchwytach stały dwie nieduże butelki wody.

– Tim – Paul odwrócił się w jego stronę – firma wysłała mnie, żebym porozmawiał z tobą nie jak prawnik, ale jak przyjaciel.

– O czym?

– Słuchaj – oblizał nerwowo wargi.

– Nic innego nie robię

– Jestem tylko gońcem, ale możesz mi wierzyć, że tam na górze wiedzą, jak bardzo dali dupy – mówił szybko, jakby się z kimś ścigał.

– Zostawiliście mnie – w głosie Timura dało się usłyszeć żelazne nutki goryczy, jednocześnie mocne i smutne.

– Tim, w kontrakcie było zapisane, że Ribao ma prawo przedłużyć twój pobyt...

– Słuchaj! – Timur wyciągnął w stronę Paula oskarżycielski palec.

– Tim, firma wie, że narazili twoje życie. Wiemy, ile wycierpiałeś. Wszyscy wiedzą. Chcemy ci to wynagrodzić, firma chce ci to wynagrodzić.

– Niby jak? I nie mów do mnie Tim – znów wycelował w niego palec – OK?

– Jasne. Słuchaj, twój program to był duży przebój, prawdziwy hit. Portal emitował go chyba wszędzie. Po rosyjsku, w hindi, w Europie, chyba po niemiecku, polsku, francusku i jeszcze w jakichś tam. Nawet w Brazylii oglądali. Wszędzie. Masz własną linię sprzętu turystycznego, napoi energetycznych i... – z kieszeni marynarki wyciągnął niewielką karteczkę z odręcznymi notatkami i przeczytał z niej: – przybory szkolne.

– Co?! – Denikin zakrztusił się wodą. – Chcesz mi powiedzieć, że sprzedajecie tablety ze mną?

– Powiedzmy, że z motywami z programu. Zresztą my tylko udzieliliśmy licencji.

– No dobrze, co jeszcze? Komiks, pastę do zębów, opony?

– Komiks tak, z pastą i oponami nikt się nie zgłosił. – Paul powiedział to zupełnie poważnie i Timur przypomniał sobie, dlaczego w redakcjach nazywali go „człowiekiem z chirurgicznie usuniętym poczuciem humoru”. – Jest jeszcze gra wideo. Strzelanka. Chyba lubisz strzelanki, prawda?

– Lubię, ale co to ma wspólnego z tym całym zadośćuczynieniem? – zapytał lekko już rozdrażniony.

– Portal zarobił na tobie kupę pieniędzy. Nie wiem ile, o tym pogadasz z CFO. – Ten angielski skrót okazał się zadziwiająco odporny na powojenne językowe rewolucje. – W każdym razie zarząd chce oddać ci połowę. No i ubezpieczenie za rękę i ucho. Przed wyjazdem kupili ci polisę, to było w umowie.

Timur opadł na oparcie niemal bezwładnie. Gapił się tępo w okno, podpierając głowę dłonią. Wyjechali za miasto i sunęli autostradą. Samochód musiał być stosunkowo nowy, bo pożerał kilometry asfaltu bez najcichszego szmeru, jakby lewitował kilka centymetrów nad jego powierzchnią. W zupełnej ciszy i prawie bez drgań można było bez reszty utonąć we własnych myślach i stracić poczucie czasu.

– Paul? – odezwał się w końcu.

– Tak, Tim?

– Daj mi tę opaskę i terminal.

– Którą? – Wyciągnął ze schowka dwa eleganckie pudełka, jedno śnieżnobiałe, drugie soczyście granatowe.

– Nieważne, dawaj – wziął niebieskie pudełko i szybko rozpakował.

Włączył terminal i założył opaskę. Poruszał chwilę ręką, żeby ją naładować, a terminal wpiął do gniazdka w drzwiach. Wbił swój login i zeskanował palec. Kiedy wszystko było gotowe, wybrał numer i zadzwonił. Jego matka wciąż korzystała z telefonu starego typu, takiego z numerem, a nie loginem.

– Do kogo dzwonisz? – zainteresował się Paul wyraźnie zdenerwowany.

– Tak, słucham? – w słuchawce odezwał się obcy, kobiecy głos z koreańskim akcentem.

– Dzień dobry, czy jest tam Clérisse Denikin?

– Nie, to pomyłka.

– Przepraszam, proszę się nie rozłączać – powiedział Timur bardzo szybko, bojąc się spóźnić.

– Tak?

– Od kiedy ma pani ten numer telefonu?

– Niedawno – usłyszał, a potem był już tylko sygnał.

Odłożył terminal na kanapę niedbałym ruchem i zaczął nerwowo uderzać pięścią o przegrodę oddzielającą go od kierowcy.

– Timur – Paul położył mu rękę na ramieniu w geście, który chyba miał wyrażać empatię. – Nie wiem, czy to ode mnie powinienes się tego dowiedzieć. Twoja mama nie żyje.

Nie było żadnej reakcji. Wciąż siedział i uderzał pięścią, patrząc gdzieś na podłogę albo na własne buty z kawałków przedwojennej opony.

– Sukinsyny.

– Chcieli ci to powiedzieć w lepszym momencie.

– Nie pożegnałem się z własną matką – cedził słowa jedno po drugim, cichym i zmęczonym głosem.

– Możesz mi wierzyć, że zarząd zdaje sobie z tego sprawę. Miała dobrych lekarzy. Firma o to zadbała.

Denikin spojrział na niego pustym wzrokiem. Paul chwilę wytrzymywał to spojrzenie, ale w końcu opuścił wzrok.

– Dokąd teraz jedziemy? – zapytał Timur po chwili.

– Do Pekinu, do siedziby zarządu. Niedługo wjedziemy do tuby.

– Obudź mnie, jak będziemy na miejscu.

*

Z najwyższego piętra wieżowca widać było zielonkawą kopułę, która zakrywała Zakazane Miasto. Fotele przy długim stole lewitowały w powietrzu dzięki polu elektromagnetycznemu. Droga i efektowna sztuczka, której jedyną funkcją praktyczną było robienie wrażenia na gościach. Po obu stronach okna, na podwyższeniu stały dwa lwy z jadeitu. Lew z kulą i lwica z młodym.

Wysoka asystentka, Europejka, na jeszcze wyższych obcasach krzątała się wokół Timura. Przyniosła mu już niewielki posiłek i whisky z sokiem imbirowym, a teraz pytała, czy jest już gotowy na rozmowę z prezesami. Timur rozejrzał się po pustej sali konferencyjnej, zatrzymał na chwilę wzrok na zielonkawej kopule, po czym spojrzał na dziewczynę i powiedział:

– Wolałbym porozmawiać z tobą, ale chyba nie byłoby ładnie kazać im dłużej czekać, prawda?

Uśmiechnęła się pięknie, profesjonalnie i bezosobowo. Musiała to chyba ćwiczyć przed lustrem. Zebrała puste naczynia i wyszła. Kilka minut później do pokoju weszło dwóch Hanów. Wyglądali dokładnie tak, jak Timur oczekiwał. Jeszcze nie tacy starzy, bystrzy na pierwszy rzut oka, ubrani za ogromne pieniądze w taki sposób, żeby wyglądać lekko niedbale. Prezesi.

Najpierw były uściski rąk połączone z lekkimi pokłonami, pytania o drogę i temu podobne grzecznościowe bzdury bez znaczenia. Obaj się przedstawili, ale Timur zapamiętał jedynie, że jeden z nich jest CEO, a drugi CFO. Mówić o konkretach zaczął ten pierwszy.

– Chcemy ci naprawdę podziękować za twoje poświęcenie dla Szanghaj Ribao. To było coś, czego jeszcze żaden pracownik tej firmy dla niej nie zrobił. – Timur nie przerywał. – Zgodziłeś się na wiele, a jeszcze więcej zrobiłeś z powodu wyjątkowych okoliczności. Nie możemy wyrazić naszej wdzięczności słowami, ale Paul przekazał ci już, że mamy dla ciebie ofertę, prawda?

– Tak, coś wspominał.

– Uważamy, że zdecydowanie należy ci się połowa całych zysków. Z show i ze sprzedaży licencji.

– Mówimy tu o zyskach, które mieliśmy dotychczas i o przyszłych zyskach – wtrącił CFO. – Oczywiście mówimy o zyskach netto po

odjęciu...

– Chyba nie musimy wchodzić w takie szczegóły? – z uśmiechem na ustach zapytał CEO.

– Nie – główny księgowy, bo to kryło się za egzotyczną nazwą stanowiska, uśmiechnął się wyrozumiale...

– Wystarczy, że wtajemniczymy Timura w szczegóły dotyczące tego, co interesuje go najbardziej, prawda? – Wykonał gest w stronę Denikina, dając mu do zrozumienia, że to on powinien odpowiedzieć. Doczekał się lekkiego skinienia głową i kontynuował: – Powiedzmy mu, ile zarobił do tej pory, dodaj tam ubezpieczenie za rękę i ucho.

Kiedy CFO sprawdzał coś na terminalu i zapisywał liczby na kawałku kartki, CEO powiedział:

– To oczywiście tylko suma za okres, kiedy cię nie było, możemy liczyć na to, że nasza wspólna marka będzie zarabiać dobrze jeszcze pół roku do roku, a potem jeszcze przez jakiś czas będą spływać tantiemy z gry, komiksów i co tam jeszcze się pojawi.

W końcu lśniąco biała kartka z syntetycznego papieru powędrowała po stole, prowadzona ręką CFO w stronę Timura. Odebrał ją i odwrócił. Były na niej cyfry. Nic nie znaczący ciąg. Jedyne, co Timur zauważył, to że było ich naprawdę dużo.

– Pieniądze – powiedział. – Za dwa i pół roku życia, za to, że moja matka musiała umierać sama, za moją rękę, za kopalnię, za głód, za Jen... Myślicie, że to – podniósł kawałek kartki do góry – mi wszystko, że... Czego wy ode mnie chcecie?

– Musisz sobie zdać sprawę, że zgodnie z kontraktem nie należy ci się nawet ułamek tego. Żaden sąd...

– Poczekaj – przerwał mu CEO. – Timur, nie jesteśmy w stanie niczego ci oddać, zrekompensować ani wynagrodzić. Chcemy tylko o ciebie zadbać. Tak, żebyś mógł dojść do siebie. Dajemy ci pieniądze, bo na nie zasłużyłeś. Jak nikt przed tobą w tej firmie, ale to nie koniec – głos prezesa był ciepły i spokojny. – Jeśli chcesz, przed budynkiem stoi samochód. Zawiezie cię na grób mamy. To jest mój numer telefonu – przesunął kartkę po stole. – Jeśli o trzeciej w nocy będziesz chciał pogadać, po prostu dzwoń, dobrze?

– Tak. – Timur wyglądał na przybitego. Ramiona i głowa opadły mu tak, że wyglądał jak pokonany bokser.

– Kiedy dowiedzieliśmy się, że z twoją mamą nie jest dobrze,

zapewniliśmy jej opiekę tutaj, w pekińskim szpitalu Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Nie jestem w stanie tego naprawić, ale mogę cię przeprosić. Musisz też wiedzieć, że to, co się stało, nie było zależne od nas. Wojsko miało pewne warunki i żądania, których nie mogliśmy nie spełnić. Nie mogę powiedzieć więcej. Mam nadzieję, że rozumiesz.

– Rozumiem – powiedział, wstając.

Podszedł do okna i przez chwilę stał tam, patrząc i nie widząc niczego przez łzy. Na dojście do siebie potrzebował około dwóch minut. Potem odwrócił się, sprawiając wrażenie, jakby nie przejmował się łzami wciąż płynącymi z oczu i usiadł.

– Kiedy stąd wyjdę, chciałbym pojechać pożegnać mamę. Potem prosiłbym, żebyście odwieźli mnie do Hongkongu. Muszę załatwić wejście do mojego mieszkania...

– Zajęliśmy się tym, twoja nowa opaska powinna otworzyć drzwi.

– Dobrze. Co dalej? – zapytał, jednocześnie unosząc po raz drugi kawałek papieru z zapisaną kwotą.

Nie od razu dał radę przeczytać, ale jego rozmówcy taktownie czekali. W końcu ogarnął wzrokiem wszystkie zera i wyszło mu sześć i pół miliona renminbi. Za tyle można było kupić... dużo, nie wiedział ile, ale za jego moduł mieszkalny, gdyby oczywiście chciał go wykupić, musiałby dać sto tysięcy.

– Chcesz zapytać, czy mamy jakieś pomysły dla ciebie?

– Tak, dokładnie. Chciałbym się czymś zająć.

Popatrzyli na siebie i wymienili kilka gestów, jakby bez słów kłócili się o prawo głosu. W końcu odezwał się CEO:

– Jest kilka propozycji. Studio, które robi grę o tobie, chętnie widziałyby cię w roli konsultanta. Myśleliśmy też o stworzeniu marki obozów survivalowych. Taka trochę turystyka ekstremalna.

– Jest też pomysł – wtrącił CFO – żebyś napisał książkę. Wspomnienia z twojego pobytu w strefie.

– Wydaliśmy już twoje wcześniejsze reportaże. Zyski są już tam – wskazał na karteczkę – uwzględnione.

– Podobają mi się wszystkie trzy pomysły. Zawsze chciałem napisać książkę.

– Wspaniale – ucieszyli się chórem.

– A może jakiś wywiad, telewizja? Warto podtrzymać zainteresowanie tematem – zaproponował Timur.

– Widzę, że szybko udało ci się dojść do siebie – CEO uśmiechnął się z ulgą.

Timur pomyślał, że racjonalne myślenie chyba faktycznie pomaga mu się wziąć w garść.

– Zorganizujecie to? Znacie mój numer, nie mam wiele roboty, więc każdy termin mi pasuje.

Kiedy wychodził z sali, odwrócił się jeszcze i powiedział:

– Wiecie, że moja książka musi przejść przez wojsko?

– Cały program szedł przez nich. Przywykliśmy już do ich... autoryzacji. Zresztą, gdyby nie zamontowali swojej baterii w naszej kamerze, nie mielibyśmy dziś nawet połowy tego co mamy.

*

Gdyby Timur miał jeszcze wątpliwości co do tego, czy jest gwiazdą, zaproszenie do programu Song Tana musiało ostatecznie je rozwiać. Poprzednio był jednym z kilku gości, wciśniętym pomiędzy internetową gwiazdkę i jakiegoś regionalnego polityka. Teraz miał własny odcinek. Makijaż robiły mu dwie dziewczyny, a nad włosami pracował młody Włoch. Tuż przed wejściem na antenę do garderoby przyszedł reżyser i zapytał, czy Timur czuje się gotowy, żeby zacząć, a gdzieś w kącie cały czas jak cień błąkał się człowiek z Ribao, pilnujący, czy wszystko jest w porządku.

Na scenę wszedł spokojnym krokiem. Miał na sobie ciemnoszary garnitur, luźny, ale elegancki i porządne buty, choć przez moment rozważał, czy nie ubrać swoich starych opon.

– Proszę państwa, przed wami Tim, człowiek, który pokazał wam, jak wygląda piekło – zaczął Song entuzjastycznie. – Witaj Timur, pamiętasz, jak odwiedziłeś mnie ostatnio?

– Jasne, wtedy chyba nie miałeś dla mnie tyle czasu, co teraz – odpowiedział i zaśmiał się serdecznie, choć żart był kąśliwy.

– Stop! – krzyknął reżyser. – Jeszcze raz, nie zaczynajmy tak ostro.

– To nie idzie na żywo? – Denikin obrócił się na krześle, wyprostowanym palcem pokazując obiektyw najbliższej kamery.

– Pewnie, że nie. To ważny program – zbył go reżyser.

– Witaj Timur, pamiętasz, jak odwiedziłeś mnie ostatnio?

– Jasne, od tego czasu dużo się zmieniło, u mnie, u was.

– Wtedy opowiadałeś mi o strefach, ale chyba jeszcze nie przypuszczałeś, że spędzisz tam tyle czasu. Co cię podkusiło na taki długi „pobyt” – Song pokazał cudzysłów w powietrzu.

– Widzisz, to nie miało tyle trwać, ale nie do końca żałuję. Jestem reporterem, prawda? Pokazuję ludziom świat. To moja praca i mam wrażenie, że zrobiłem dobrą robotę.

– A nie wydaje ci się, że media za dużo czasu poświęcają zbrodniom, złu, głupocie? Nie pokazuje się tego, co dobre, tylko to, co złe.

– Ty wiesz, jak to działa, ale mówię teraz do widzów. – Timur spojrział prosto w kamerę i kontynuował: – To wy kreujecie ten przekaz. Klikając, oglądając, płacąc.

– Aha – niepewnie kiwnął głową Song Tan.

– Widziałem w jednym z miast w strefie ludzi, którzy jeździli wozem. Nie mieli żadnych zwierząt, więc ciągnęli go sami. Zbierali padlinę. Krowy, jelenie, wiewiórki, wszystko.

– I...

– Zwozili to do miasta, ćwiartowali i sprzedawali.

– Ludzie to jedli?

– Tak, ale tam jedli wszystko. To nieważne. Powiedz mi, Song, czy to wina tych ludzi, że zbierali padlinę, czy to wina tych, którzy ją od nich kupowali?

– Stop – powiedział reżyser i zapytał: – czy to przejdzie? Tak? Dobrze... dobrze, to jedziemy dalej.

– Czego ci tam brakowało, ciepła, bezpieczeństwa, bliskich? – Tan zmienił kierunek rozmowy.

– Nie myślałem za dużo o tym, co tutaj zostawiłem. Raczej krążyłem wokół myśli o tym, co mogłoby mnie powstrzymać przed wyjazdem. Wiesz, takie rozpamiętywanie – ciężko się przed nim powstrzymać. Najgorzej było w nocy, ciągle zadawałem sobie pytanie: „Co ja tu robię?” i „Co mnie podkusiło?”.

– A co mogłoby wtedy przed wyjazdem sprawić, żebyś został?

– Żona, zdecydowanie. Gdybym jakąś miał, to na pewno bym został.

– No tak, to ci mogę zagwarantować – zaśmiał się Song Tan. – Napatrzyłeś się tam na wiele biedy i cierpienia, prawda?

– Tak, życie w strefie jest straszne. Cieszę się, że udało mi się stamtąd wyrwać.

– Co byś powiedział młodym ludziom z Ruchu Odbudowy?

– Z czego? – Timur był wyraźnie zaskoczony.

– Ruch Odbudowy, nie słyszałeś o tym? – zdziwił się Song. – Dużo młodych ludzi, bezrobotni i studenci głównie zainspirowali się twoim programem i chcą odbudować zamknięte strefy. Tydzień temu udało im się nawet zebrać przed pałacem prezydenckim, żeby wspólnie protestować.

– Chcą popłynąć do Ameryki? – Timur ze zdziwienia zapomniał domknąć ust.

– Tak. Chcą pozwolenia, statków, narzędzi i tak dalej.

– Nie jestem przekonany, czy to mogłoby pomóc.

– Dlaczego tak uważasz?

– Odbudowa Ameryki musi się odbyć rękoma jej mieszkańców. Jeśli pomoc przyjdzie z zewnątrz, oni będą potem już zawsze oczekiwać, że inni zajmą się ich problemami.

– A jeśli, jak argumentują ludzie z RO, oni w końcu się zorganizują i odkryją nasze istnienie? Jeśli dowiedzą się, że mogliśmy pomóc, ale nie zrobiliśmy tego?

– To trudne zagadnienie. Nie wiem, czy mam dość wiedzy i kompetencji, żeby próbować rozwikłać ten problem.

– Więc kto powinien? Kto zna problemy strefy lepiej niż ty?

– Może rząd? Naukowcy? Ktoś kompetentny. Ja raczej starałem się przeżyć, niż rozwiązywać ich problemy. Jestem pewien, że ludzie z rządu nawet w tej chwili oglądają moje nagrania i analizują szczegóły.

– Czyli chciałbyś zostawić ten problem władzom?

– Oczywiście, od mojego wyjazdu ludzie przestali im ufać?

– To tylko młodzi idealiści, pamiętasz, sami tacy byliśmy – zaśmiali się obaj. – Jakie masz plany teraz, po powrocie?

– Moja firma ma dla mnie kilka propozycji.

– Dalej będziesz pracował dla Szanghaj Ribao?

– Oczywiście, nie wyobrażam sobie w takim momencie ich opuszczać.

– Więc co dla ciebie mają?

– Stop – reżyser znowu przerwał – weźże mu popraw policzki na szybko, zwrócił się do makijażystki, która natychmiast znalazła się przy Timurze z jakimś sprejem. – Dobrze, jedzcie dalej.

– Wiem, że powstaje gra na motywach mojego programu. Mam dla nich kilka pomysłów. No i zamierzam napisać książkę.

– Świetnie. Masz jakiś tytuł?

– Myślałem o czymś prostym, może „Wspomnienia z piekła”, ale jeszcze nie napisałem nawet linijki, więc chyba trochę za wcześnie na rozmowy o tytułach, prawda?

*

– Bardzo się cieszę, że zdecydował się pan skorzystać z naszych usług – dyrektor kliniki przyjął Timura w gabinecie z widokiem na jakąś bezimienną aleję, obsadzoną po obu stronach miłorzębami.

– Polecili mi was znajomi z wojska. Gdyby nie ich układy, pewnie nie miałbym szansy na termin – zaśmiał się. – Zresztą słyszałem, że w szwajcarskich klinikach można dostać – zawahał się sekundę – trochę więcej.

– Dobrze ujęte – powiedział dyrektor z uśmiechem.

Timur wątpił, czy ten człowiek przez ostatnie pięć lat wykonywał jakąś operację, ale w białym jak śniegi Kilimandżaro kitlu i z dobrze przyszytą brodą wyglądał jak żywa reklama szwajcarskiego profesjonalizmu. I tak też przemówił:

– Nasze kliniki, takie jak ta, działają na prawie ambasad. Nie musimy stosować się do chińskiego prawa, dzięki czemu faktycznie możemy dać właśnie, jak pan to trafnie ujął, trochę więcej. – Timur nie przerywał. Głos lekarza wprowadzał go w błogi nastrój. – Protezy kończyn to delikatna sprawa. Zazwyczaj pomagają wrócić do normalności porządny ludziom, którym przydarzyło się nieszczęście. – Gestem dał do zrozumienia, że Timura uważa za właśnie taki przypadek. – Rząd w Pekinie sądzi jednak, zresztą słusznie, że odpowiednio skonstruowana proteza może stanowić broń, zgodzi się pan ze mną?

– Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie.

– Gdybyśmy na przykład stworzyli rękę, której dłoń potrafi zmiażdżyć stalową rurę?

– To chyba mogłoby być niebezpieczne.

– No właśnie. Dlatego według przepisów w większości państw istnieją normy dotyczące siły protezy. Oczywiście to duże uproszczenie.

– W Szwajcarii nie ma takich ograniczeń?

– Są oczywiście, tylko mniejsze. Możemy według naszych regulacji

zaoferować piętnaście procent więcej niż kliniki chińskie.

– Rozumiem. – Timur kiwnął głową.

– Świetnie, możemy więc przejść do konkretów – lekarz zakończył część promocyjną i wstał. – Czy mógłby pan tutaj podejść i rozebrać się do pasa?

Podeszli do ściany, z której dyrektor wysunął blat na wysokości ramienia. Timur oparł na nim okaleczoną rękę. W sterylnym i nowoczesnym gabinecie nieprzycięte grube nici, którymi zszyto mu skórę w strefie, wyglądały jeszcze bardziej obrzydliwie niż zwykle.

– To cud, że pan to przeżył – dyrektor mruknął pod nosem, oglądając ranę. – Młody, mocny organizm. To pana uratowało. No i szczęście, panie Denikin – podniósł wzrok, żeby spojrzeć mu przelotnie w oczy. – Może się pan uważać za szczęściarza, ale przejdźmy do rzeczy. Podstawowa sprawa, jak dużo chce pan zastąpić?

– Nie jestem pewien, czy rozumiem?

– Protezę możemy zaczepić o ciało w różnych miejscach. Jeśli po prostu nadbudujemy protkanką przedramię, zrobimy nadgarstek i dłoń, może pan odczuwać pewien dyskomfort. Mimo postępów w medycynie protkanki wciąż są cięższe od zwykłych. To w końcu polimery i stopy. Łokieć, który pozostałby naturalny, byłby dość obciążony. Dlatego mógłbym zasugerować, żebyśmy protezę zaczęli już na poziomie łokcia.

– A to nie obciąży dodatkowo barku?

– Owszem, ale bark jest mocniejszy, lepiej zrzucić dodatkowy ciężar na niego. Choć ideałem byłoby, gdybyśmy poszli jeszcze wyżej i zaczęli od barku. To oczywiście kosztuje odrobinę więcej, ale komfort użytkowania jest większy.

– Czy to nie oznacza, że wycięlibyśmy kilka kilogramów zupełnie zdrowego ciała?

– Tutaj wchodzimy na grząski grunt... – Lekarz chwilę się zawahał, obserwując swojego pacjenta. – Czy uzna pan, że zdrową tkanką jest tkanka serca, w którym brakuje jednej komory? Można powiedzieć, że pana ręka jest popsuta, nie spełnia swojej podstawowej roli, czy jest więc zdrową tkanką?

– Wydaje mi się... – Timur ewidentnie nie był przekonany do tego rozumowania.

– Proszę nie odpowiadać. Nie chcę wchodzić w dyskusję. Zrobimy

dokładnie tak, jak pan sobie zażyczy.

– Dobrze. Może przejdźmy do następnych punktów, a ja jeszcze się zastanowię.

– Oczywiście, mamy cały czas, jaki jest na świecie. Prawda, panie Denikin?

– Oczywiście, nie spieszy mi się – uśmiechnął się.

– Świetnie! – Dyrektor wskazał fotele, dając do zrozumienia, że mogą znowu usiąść. – Jest jeszcze jedna sprawa do omówienia, a w zasadzie dwie. Jak powinna wyglądać pana ręka?

– A mam jakiś wybór? – zdziwił się Timur, ubierając koszulę.

– Oczywiście. Wielu klientów chce, żeby było dyskretnie. Żeby ręki nie dało się odróżnić od prawdziwej. Oczywiście z daleka. Medycyna jeszcze – zaakcentował ostatnie słowo – nie potrafi czynić cudów. Niektórzy klienci wolą jednak nadać protezie jakiś szczególny wygląd. Niezwykłe kolory, tatuaże, muskulatura. To wcale nie musi wyglądać jak ludzka ręka. Zdarzało się nam robić kończyny steampunkowe czy cybernetyczne. Część pacjentów inspirowane są grami i filmami. Mamy naprawdę duże możliwości.

Timur był lekko zszokowany i powstrzymał się siłą woli, żeby nie wybałuszyć oczu. W końcu wydukał jedynie:

– Mogę dostać jakiś katalog?

*

Siedział w swoim module przed stacjonarnym terminalem. Wokół panował perfekcyjny porządek, ale nie dlatego, że posprzątał. Większość rzeczy po prostu nie pachniała najlepiej, więc je wyrzucił, a jeszcze nie kupił nowych.

Wciąż czuł się dziwnie z nową ręką. Miał pisać, ale zamiast tego ciągle poruszał palcami i czytał na forach dyskusje o protezach. Dowiedział się jedynie, że osiemdziesiąt procent ludzi uważa pozostałe dwadzieścia za idiotów.

Samo pisanie nie szło mu zbyt dobrze. Nie był pewien, czy lepiej mu idzie z muzyką czy bez. Prześladowała go też myśl, że pisanie w pierwszej osobie: „ja myślałem”, „ja poszedłem” i „ja zrobiłem” jest absolutnie beznadziejnym egotyzmem. Czuł, że powinien więcej pisać o strefie, a mniej o sobie, lecz sama wizja napisania czegoś, co miałyby

mieć pół miliona znaków ze spacjami, przytłaczała go.

W końcu poszedł do najbliższego sklepu po butelkę whisky i sok imbirowy. Nie był pewien, czy to przeblysk geniuszu czy przejaw desperacji. W sklepie chwilę walczył ze sobą i w końcu nie kupił batona. Za to potem uznał, że skoro się od niego powstrzymał, to może zjeść podwójną porcję drożdży wołowych z tofu. Kiedy robił sobie trzeciego drinka w kubku do kawy, usłyszał sygnał powiadomienia. Rzucił okiem na mały wyświetlacz na opasce. W rogu widać było ikonę drzwi, więc podszedł i otworzył. Na korytarzu stała Riki.

– Cześć, chcesz wejść? – Zareagował natychmiast, choć bardzo się zdziwił. Nie widzieli się od tamtej nocy, którą spędził u niej na podłodze.

– Nie mogę uwierzyć, że wciąż tu mieszkasz – powiedziała, wchodząc.

Miała na sobie staromodne podkolanówki i prostą, białą sukienkę. Nie mógł nie zauważyć, że bardzo jej było ładnie w takim stroju. Odwykł od widoku młodych, zadbanych kobiet bez zmian skórnych i wyższych niż metr pięćdziesiąt.

– Czemu miałbym tu nie mieszkać? To mój dom.

– Wiem, kim jesteś – podparła się pod boki i patrzyła oskarżycielsko, kiedy zamykał za nią przesuwane drzwi.

– Nigdy nie ukrywałem tego, kim jestem.

– Mówiłeś, że masz na imię Timur – powiedziała to w taki sposób, jakby udowadniała mu właśnie zbrodnię.

– Bo tak jest. Chcesz, to ci pokażę kartę bankowo-identyfikacyjną.

– Jesteś Tim – powiedziała z takim przekonaniem, że zwątpił na chwilę w sens protestowania.

– Niektórzy tak zdrabiają moje imię, ale nie przepadam za tym – uśmiechnął się najbardziej czarująco, jak potrafił, choć zdawał sobie sprawę, że „czarujący” nie jest słowem, które dobrze by go opisywało. – W strefie lubią krótkie i proste imiona, a Tim brzmi po amerykańsku. Było takie imię przed wojną i...

– Dość! – Tupnęła nogą, co nadało jej wygląd obrażonej dziewczynki.

– Przyznaj się, jesteś Tim Denikin.

– To ja – kiwnął głową.

– Mogę usiąść? – zapytała, kończąc akt oskarżenia, i rozejrzała się wokół.

– Oczywiście! – Zmieszał się i wysunął ze ściany siedzisko. Sam

usiadł na krześle przy terminalu.

– Co robisz? – rzuciła Riki, zerkając na terminal.

– Piszę książkę...

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale dziewczyna niczym wystrzelona z procy zerwała się z fotela i w ułamku sekundy znalazła się przy nim, pochyłona nad biurkiem i wgapiająca się w ekran. Złapała za mysz i przesunęła obraz w górę.

– Nie czuję się zbyt komfortowo, kiedy to czytasz – powiedział, ale Riki nie zwróciła na niego szczególnej uwagi.

– Nie idzie ci dobrze, to nawet nie jest jedna strona.

Odepchnął ją delikatnie, ale stanowczo w stronę siedziska. Przez cienką sukienkę czuł jej ciało i podobało mu się to. Była szczupła, a skóra przez materiał wydawała się taka gładka... Mniej więcej w tym samym czasie ręką z opaską wykonał gest minimalizujący otwarte okna na ekranie.

– Chcesz się napić? Mam whisky i sok imbirowy.

– Jasne – powiedziała, ale wciąż patrzyła na ekran. Musiała jednak przenieść wzrok na niego, bo nagle zawołała: – O rany, masz obie ręce!

– Tak, uwinęli się z tym w kilka dni – przytaknął.

Popatrzył na lewą dłoń i zademonstrował jej działanie, zginając i prostując palce. Śmieszna sprawa. Potrafił nimi poruszać dzięki elektrodzie, którą przyklejał sobie na potylicy, ale nie był w stanie ich poczuć. Trudno było do tego przywyknąć.

– Wygląda jak prawdziwa – rzuciła Riki z dziecięcym zachwytem.

– Nie jest, jak się przyjrzysz, to zobaczysz.

– Mogę dotknąć?

– Jasne! – kiwnął głową, podając jej szklanekę.

Chwyciła protezę obiema rękoma i zaczęła wodzić palcami po protoskórce. Nic nie czuł i było mu żal z tego powodu.

– Nie uwierzą mi – powiedziała Riki, nie przerywając badania.

– Kto ci nie uwierzy? – zapytał Timur zaintrygowany.

– Nikt!

Ciągle wodziła dłońmi po jego sztucznej ręce, aż dotarła do łokcia, gdzie jej palce trafiły na prawdziwą skórę. Timurowi zrobiło się przyjemniej. Zerknął na Riki, lecz nic nie wskazywało, że dotyk prawdziwego ciała zmienił jej „naukowe” nastawienie. Niechętnie wrócił do rozmowy.

- Mam wrażenie, że masz na myśli kogoś konkretnego – powiedział.
- Jasne, mamy na uczelni całą grupę RO! – wykrzyknęła radośnie i oderwała rękę od jego ramienia.
- Działasz tam? I co robicie? – Timur próbował okazać zainteresowanie.
- Głównie dyskutujemy, ale planujemy też demonstrację.
- Widziałaś mój wywiad u Song Tana?
- Nie, a co? – Upiła łyk whisky.
- Rozmawialiśmy tam o was. Mówiłem, że według mnie powinniście zostawić to państwu.
- Czemu? Kompletnie nie rozumiem. – Riki wyglądała na poważnie skonfundowaną.
- Po pierwsze, to niebezpieczne – zgiął pierwszy palec – po drugie, ci ludzie nie mogą dostać bezpośredniej pomocy, bo się od niej uzależnią – zgiął drugi palec. – Były już takie przypadki w historii.
- Nie! – Pokręciła głową i znów przez krótką chwilę wyglądała jak małe dziecko. – Oczywiście, to nie jest bezpieczne, ale mamy lepszą broń, wojskowe mundury ochronne. Moglibyśmy przybywać dużymi grupami. Pod ochroną wojska.
- Pamiętasz historię kolonizacji Ameryki Południowej? – Poruszyła głową, jakby nie mogła się zdecydować, czy chce pokiwać, czy pokręcić. – Hiszpanie pojawili się tam jak bogowie. Na koniach, w zbrojach, z bronią palną. Nic dobrego z tego nie wyszło.
- Prawdę mówiąc, Timur w pełni popierał Riki i RO. Nie obchodziły go długofalowe skutki, po prostu chciał pomóc Jen, Boso i wszystkim innym, którzy w strefie walczyli z wszechogarniającym zezwierzęceniem. Tylko, że on wiedział... No właśnie, co on wiedział? Chyba tylko tyle, że to nie jest takie proste.
- Może nawet masz rację – powiedział po chwili milczenia, wypełnionej whisky z sokiem imbirowym. – Tylko, że rząd i tak zrobi to, o czym mówisz, wtedy, kiedy sam uzna.
- Ech, żebyś to zobaczył...
- Co dokładnie? – zapytał.
- Nasze zebrania. Pełno tam ludzi, którzy chcą zrobić w życiu coś znaczącego, coś więcej, niż tylko siedzieć w multimedialnych. Jak ty!
- Ja? Co ja niby takiego zrobiłem?
- Zaśmiała się, ale raczej nie dlatego, że coś ją rozbawiło.

– Przecież to twój program nam pokazał, co robić. Prawda?

Musiał przyznać przed sobą samym, że to miało sens. O ile pamiętał, przed jego wyjazdem strefy zamknięte raczej nikogo nie interesowały. Nawet jego wcześniejsze teksty klikały się co najwyżej średnio, a niektóre jeszcze gorzej.

– Słuchaj, może zabrałabyś mnie na jakieś takie zebranie wasze? – zaproponował po chwili namysłu.

– Jasne, ale musisz przyjść ze mną, bo mi cię zaraz któraś ukradnie – zaśmiała się radośnie. Miała naprawdę ładny uśmiech.

– Myślisz, że znajdą się chętne? – Skrzywił się w grymasie.

– Niech pomyślę – przyłożyła zalotnie palec do ust i przyjrzała mu się ostentacyjnie – tak, jestem pewna.

*

Obudził się na chwilę, koło pierwszej. Jedynym źródłem światła była niewielka dioda na ścianie kuchennej. Podeszedł do niej, nałożył sobie podwójną porcję drożdży wołowych z soją i nalał dużą szklankę wody, którą wypił jednym haustem. Pochłonał łapczywie, niemal się dławiąc, miskę gęstej pasty, smakującej mięsem i wrócił do łóżka, dokładnie tak samo jak każdej nocy...

Wstał o szóstej rano. Równie dobrze mógł przespać cały ten tydzień, ale organizm przywykł do wstawania o świcie, nawet jeśli w całym pokoju nie było choćby kawałka okna. Spojrzał z niejakim obrzydzeniem na terminal, na którym czekały na niego trzy samotne strony rękopisu, domagające się towarzystwa. Nie wychodził z domu od dwóch dni. Przedwczoraj napisał dwie strony, a potem siedział w multimgoglach i jadł, następnego dnia skasował to, co napisał, napisał od nowa, a potem przywrócił poprzednią wersję, bo uznał, że jest lepsza.

Odegnał natrętne myśli o pisaniu, wziął szybki prysznic i wbił się w spodnie. Przed wyjściem spojrział na swoje stare sportowe buty i stojące obok obuwie z opon, dla którego jeszcze nie wymyślił odpowiedniej nazwy. W końcu zdecydował się na normalne buty, choć odwykł od nich i źle się w nich czuł.

Dzisiaj był umówiony z Riki na mityng RO. Miał spotkać się z nią przed uniwersytetem po zajęciach, koło siedemnastej. Wydawało mu

się, że to jest coś w rodzaju randki, więc postanowił odwiedzić sklep, żeby się jakoś ubrać.

Dopiero na miejscu dotarło do niego, że na karcie ma więcej pieniędzy, niż cała jego rodzina do trzeciego pokolenia wstecz zarobiła łącznie przez całe życie. Nie był na to gotowy psychicznie i zareagował trochę jak dziecko. Kupił sobie samochód terenowy tylko dlatego, że zawsze podobał mu się ten kształt nadwozia. Sprzedawca zapewniał, że samochód może przejechać na jednym ładowaniu trzy tysiące kilometrów i nigdy się nie psuje, ale równie dobrze mógłby powiedzieć, że drzwi odpadną po trzecim ich otwarciu. Wóz tak się podobał Timurowi, że kupiłby go niezależnie od wszystkiego.

Na miejscu spotkania był z zapasem jakichś trzydziestu minut. Zaparkował pod samą bramą wydziału i stał oparty o swój nowy samochód. Pomyślał, że wygląda jak wycięty z jakiejś nierzeczywiście cukierkowej reklamy, ewentualnie jak podstarzały playboy wyrrywający studentki na drogie koszule i bajeranckie samochody. Po krótkiej analizie doszedł do wniosku, że ani trochę mu to nie przeszkadza.

Riki wyszła kilka minut po zakończeniu wykładu. Szła z kilkoma koleżankami, głośno rozmawiając. Kiedy zobaczyła Timura i samochód, bez pytania zaproponowała koleżankom podwiezienie. Jak się okazało, wszystkie jechały na spotkanie RO, które miało się odbyć w jakimś dużym domu piwnym w stylu europejskim. Koleżanki Riki nie rozpoznały Timura. Wsiadły do auta, dziękując za uprzejmość, a potem rozmawiały już tylko o jakimś „starym”, zaliczeniu z czegoś tam i „tej krowie”. Zauważył przy tym, że od jego czasów niewiele się na uniwersytetach zmieniło i studentki wciąż przeklinały nie mniej niż poborowi.

Na miejsce, pomimo korków, dojechali w jakieś czterdzieści minut. Nieźle, jak na Hongkong. Dziewczęta paplały nawet podczas wysiadania i Timur czuł się lekko rozczarowany, że nie poświęciły mu nawet cienia uwagi. Nie docenił ich spostrzegawczości. Szły przodem, lecz Denikin złowił uchem pytanie jednej z koleżanek Riki o to, jak długo są razem. Niestety nie usłyszał odpowiedzi.

W lokalu zajęli miejsce blisko sceny, uczestnicy dopiero się schodzili. Spotkanie miało dość luźny i nieformalny charakter. Ludzie wchodzili na scenę i mówili, czasem ktoś im przerywał, a nawet wychodził do mikrofonu, żeby się kłócić.

– Powinieneś też iść na scenę – szepnęła mu Riki, bawiąc się kolorową słomką od drinka.

– O czym tam szepczecie? – zapytała wysoka blondynka z Europy, ta sama, która pytała Riki, ile są już razem.

– Mówię Timurowi, że też powinien iść na scenę.

– O! A o czym będziesz mówić? – zapytała inna koleżanka.

– To Timur Denikin – oświadczyła Riki z dumą. – Mieszkamy...

Chciała coś dodać, ale nie dostała na to szansy. Siedzące przy ich stoliku dziewczęta zaczęły się przekrzykiwać, zadając jakieś pytania, które zginęły w szumie. Kiedy się uspokoiły, dosłownie wypchnęły Denikina na scenę.

Na początku nikt nie zwrócił na niego uwagi. Stał chwilę skrępowany przed niewielkim mikrofonem na wysokim srebrnym stojaku. W sali siedziało chyba ponad sto osób. Popijali piwo z wysokich kufli i tanie drinki przy dużych okrągłych stołach.

– Hej – odważył się w końcu – jestem Timur Denikin i chciałem odpowiedzieć na wasze pytania.

Nie wszyscy go usłyszeli, ale ci, którym się to udało, szybko przekazali nowinę dalej i uciszili towarzystwo.

– Jeśli chcielibyście coś wiedzieć o strefie, to pytajcie.

– Jak tam jest? – zapytał ktoś z pierwszego rzędu, chyba nie myśląc zbyt długo nad tym pytaniem.

– To dosyć ogólne pytanie – stwierdził Timur z rozbawieniem – ale postaram się na nie odpowiedzieć. Nasz świat jest zdefiniowany przez to, co w nim mamy. Najnowsze terminale, naddźwiękowy transport w tubach i inne rzeczy. Życie w strefie jest definiowane brakiem. Brakiem jedzenia, ludzi do pracy, wody.

– Tam naprawdę jedzą ludzi? – zapytał jakiś chudy chłopak z tyłu sali. Wszyscy inni milczeli jak zaczarowani. Nikt nie zaszeleścił, nie zaszeptał.

– Tak, jasne.

– I wy też jedliście? – zapytał ten sam chłopak.

– Jadłem, ale tylko parę razy. Jadłbym częściej, ale nie zawsze było pod ręką, kiedy byłem naprawdę głodny. Były takie chwile, że zabiłbym i zjadł każdego z was, gdybym was spotkał na swojej drodze. – Przez salę przemknął pomruk. Było w nim wiele uczuć. Trochę odrazy, trochę zdziwienia i kto wie, co jeszcze. – Możecie sobie prychać, ale

nikt w Chinach nie wie, co to jest prawdziwy głód. Ja też nie wiedziałem, dopóki tam nie pojechałem. Następne pytanie.

– W co ludzie tam wierzą?

– W duchy przodków, w słońce, które nazywają Atomem. Na wschodnim wybrzeżu widziałem kapliczki z krzyżami, ale większość wierzy już chyba tylko w samych siebie.

– Jak możemy im pomóc? – z sali nadeszło kolejne pytanie.

– Nie wiem – rozłożył ręce bezradnie. – Moglibyśmy zrzucić im jedzenie i zapasy, ale wtedy by się przestali starać sami i popadli w zależność od nas. Poza tym, większość przejęliby lokalni władcy i tylko umocnili własną tyranie

– A jeśli wysłalibyśmy do Ameryki nauczycieli rolnictwa i rzemiosł?

– To wydaje się proste – westchnął. – Rząd, jak sądzę, boi się, że to może się skończyć jak kolonizacja Afryki przed wiekami. Pomoc wylądzuje u miejscowych kacyków, tak jak przy zrzutach.

– Możemy wysłać wojsko, żeby pilnowało rozdawania jedzenia.

– Ludzie w strefie przywykli do swojego prostego życia i znanych zagrożeń. Jeśli zobaczą naszych żołnierzy, ich sprzęt, pojazdy, całą tę potęgę, wezmą ich za bogów. Czy to mogłoby się dobrze skończyć? – Timur nie był przekonany, że ma rację, ale przecież nie powie im: „Nie możecie tam jechać, bo w Ameryce są złe roboty”.

– Czyli powinniśmy się przyglądać i nic nie robić? – zapytał wysoki kościsty chłopak wyraźnie zirytowany odpowiedziami Timura.

– Chiny żyją w dostatku, ale to nie znaczy, że nie ma tutaj samotnych staruszków i samotnych matek. Biednych i niepełnosprawnych. Im możecie pomóc naprawdę i bez wielkich słów. Może poszukajcie potrzebujących w waszych mrówkowcach, a nie na drugiej półkuli – powiedział, pożegnał się i zszedł ze sceny.

Podszedł do swojego stolika i pożegnał się grzecznie. Riki wyglądała na zdezorientowaną, ale po krótkim wahaniu ruszyła za nim. Dogoniła go na parkingu.

– Masz mi za złe? – zapytał.

– Niby co? – udała zdziwienie, ale aktorka była z niej żadna.

– No... to, co mówiłem na scenie. Oni chyba nie to chcieli usłyszeć.

– Nie lubię ludzi, którzy mówią innym to, co oni chcą usłyszeć – powiedziała, przysuwając się do niego, a kiedy była całkiem blisko, stanęła na palcach i pocałowała go namiętnie w usta. Nie dał po sobie

poznać, że się zdziwił i po prostu dał się ponieść chwili...

Riki jeszcze spała, kiedy sprawdzał powiadomienia na stacjonarnym terminalu. Zainteresowało go przede wszystkim to z tematem „Wezwanie”. Na rozmowę zapraszał go urzędnik ds. bezpieczeństwa państwowego z wydziału w Hongkongu. Miał przyjść przed południem do policyjnego komisariatu dwa bloki dalej. Ciekawe...

Nie budził dziewczyny. Dodał jej opasce dostęp do drzwi w jego module i wyszedł. Było ciepło, nie ubrał nawet butów i teraz plastikowe klapki uderzały o jego pięty, co przyjemnie kojarzyło się z latem. Po drodze kupił porcję pierożków z warzywami w straganie na wózku i do drzwi komisariatu podszedł, wciąż przeżuując. Chciał się przedstawić dyżurnemu, ale zanim zdążył to zrobić, funkcjonariusz zerwał się ze swojego miejsca i otworzył mu drzwi w głąb służbowych pomieszczeń. Widać byli uprzedzeni o jego przybyciu.

Zatrzymali się przy niczym niewyróżniających się drzwiach do gabinetu i funkcjonariusz pokazał Timurowi oszczędnym gestem, że ma wejść do środka. Wewnątrz za prostym stołem siedziało dwóch mężczyzn koło czterdziestki. Jeden był Hanem, a drugi Laotańczykiem albo Wietnamczykiem. Powiedzieli Timurowi, żeby usiadł i bez pytania przysunęli mu po stole filiżankę zielonej herbaty marki Złoty Smok.

– Ja jestem Xiaodong Guo a to jest mój partner, Choummaly Thammavong. Jesteśmy z wywiadu wojskowego, ale od razu zaznaczę, że to jest jedynie przyjacielska rozmowa.

– A w jakiej sprawie?

– Wiemy, że byliście wczoraj na spotkaniu RO...

– To chyba nie jest nielegalne? – zapytał zdecydowanym, wręcz ostrym tonem, kładąc dłonie na blacie stołu.

– Oczywiście, że nie. – Guo podniósł ręce w uspokajającym geście.

– Więc w czym problem? – rzucił Timur i zaplótł ręce na klatce piersiowej.

– Po prostu chcemy was uprzedzić. Wiemy, że podpisywaliście odpowiednie dokumenty, ale chcemy się upewnić, że zdajecie sobie sprawę z powagi sytuacji. Wiedza, którą posiadacie, to tajemnica państwowa. Nie wolno wam zdradzić ani jej, ani nawet tego, że coś wiecie.

– Nie miałem takiego zamiaru.

– To dobrze. Trochę baliśmy się, że macie jakieś plany związane

z RO.

– Skoro jesteście tak dobrze poinformowani na mój temat, to chyba powinniście wiedzieć, co mówiłem na spotkaniu.

– Wiemy, nie było tam nawet słowa, które moglibyśmy potępić – cały czas mówił Guo i Timur nie wiedział, czy to znaczy, że jest ważniejszy w tej dwójce, czy wprost przeciwnie. – Chcemy tylko upewnić się, że nie planujecie ujawniania żadnych tajemnic czy angażowania się w RO.

– Wiedząc to, co wiem, nie polecałbym nikomu wakacji w strefie. Zwłaszcza grupkom natchnionych studentek.

– Wspaniale – Guo rozpromienił się.

– Ale chciałbym coś wiedzieć. Dlaczego nie mówicie ludziom o tych robotach?

– Nie chcielibyśmy ataku paniki – powiedział Guo uspokajająco.

– Od siedemdziesięciu lat niczego nam nie zrobili – drażnył Denikin. – Czego ludzie mieliby się bać?

– To tylko jeden z powodów. Nie chcielibyśmy też, żeby ludzie oskarżyli rząd. Mogliby stwierdzić, że zabiliśmy dziesiątki milionów ludzi, choć zagrożeniem nie byli oni, tylko maszyny. To jeszcze bardziej rozpaliliby wśród młodych chęć niesienia pomocy strefowcom.

Timur przez chwilę rozważał coś w myślach, po czym zdobył się na odważny ruch i powiedział:

– Ciągle mam wrażenie, że nie mówicie mi wszystkiego.

Jego rozmówcy spojrzeli na siebie porozumiewawczo i w końcu, po raz pierwszy od początku rozmowy, odezwał się Choummaly.

– I tak już wiecie tyle, że powinniśmy was wysłać z powrotem do strefy albo... usunąć. Mogę wam powiedzieć jedną rzecz więcej. To jest ich żądanie.

– Kogo? – Timur zapytał po kilkusekundowym wahaniu.

– Maszyn.

– Czemu przejmujecie się ich zdaniem?

– To nie jest najbardziej pasjonujący temat do porannej rozmowy.

– Boicie się ich? Dlaczego?

– Panie Denikin, nie będziemy prosili o żadne podpisy – odezwał się znowu Guo – bo już pan podpisał wszystko, co potrzeba. Liczymy na pana rozsądek i wierność Chinom.

– Oczywiście – Timur przytaknął.

– Wie pan, że musimy bronić tego kraju, nawet jeśli to oznacza wywożenie ludzi w odludne rejony i izolowanie ich od społeczeństwa?

– Czy to jest groźba?

– Tak – Guo wywrócił oczami, jakby rozmawiał z niedomyślnym dzieckiem. – To jest groźba i naprawdę z głębi duszy życzę, żeby się pan wystraszył. Ułatwi pan życie sobie, swojej nowej dziewczynie, nam i sporej liczbie innych osób, potencjalnie zaangażowanych w spełnienie tej groźby. Ma pan jeszcze jakieś pytania?

Timur pokręcił głową, pożegnał się, oszczędzając słowa i wyszedł.

*

– Nie wiem, jak mogłem to zrobić.

– Świadkowie mówią, że biłeś go pięściami dobrych parę minut – powiedział ponury policjant z siwiejącymi skroniami.

Była trzecia w nocy, a gliniarz wyglądał, jakby to była naprawdę długa noc. Szara koszulka polo, którą miał na sobie, była pomięta i miejscami wilgotna, choć pogoda w Londynie nie była upalna.

– Świadkowie mówią, że zaczęliście się szarpać, a kiedy on pana popchnął, dostał pan szału. Jak to się zaczęło?

– Mijaliśmy się na chodniku. Chyba żaden z nas nie chciał zrobić miejsca – Timur opowiadał spokojnym głosem, ale nie patrzył przed siebie, tylko w podłogę. – Zderzyliśmy się barkami. Coś tam do siebie mówiliśmy, nie pamiętam.

– I on cię popchnął – z jakichś powodów policjant mówił do niego na „ty”, jakby opieprzał młodocianego chuligana.

– Tak – potwierdził Timur.

– I dlatego go skatowałeś?

– Nie wiem, załała mnie wściekłość, jakbym znowu... – zawahał się i nie dokończył.

– Jakbyś znowu? – Policjant nachylił się do niego.

– Nieważne. Chyba po prostu odreagowywałem stresy. Strasznie mi głupio.

– Jesteś obywatelem Chin. W takich przypadkach mogę skierować sprawę do sądu albo mogę też wziąć od ciebie numer rozliczeniowy, jeśli zgodzisz się pokryć koszty leczenia i drugie tyle jako

zadośćuczynienie. Możemy oszczędzić naszym sędziom trochę papierkowej roboty.

– Oczywiście. Pokryję wszystkie koszty.

– No i będziesz musiał opuścić Anglię w trzydzieści sześć godzin.

– Jasne. Myślę, że wyrobię się znacznie szybciej.

– A jeśli po drodze na terminal wywiniesz w moim kraju jeszcze jeden taki numer – policjant wyprostował oskarżycielsko palec – dopilnuję, żebyś zobaczył, jak wygląda europejskie więzienie.

Niewiele później pędzili autem w stronę kanału La Manche. Timur prowadził, a nadąsana Riki siedziała obok. Od ponad godziny nie zamienili ani słowa. W końcu Riki przerwała milczenie.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała cicho.

– Nie wiem, chyba byłem wściekły.

– Jesteśmy na wakacjach, co mogło cię tak rozżłościć?

– Popchnął mnie – zawarczał, aż sam się zdziwił, jak ostro to zabrzmiało.

– A jak by cię uderzył, to byś go zabił?

– Być może – warknął tylko.

– Musisz się opamiętać. Jak zrobisz coś takiego jeszcze raz, to mogą cię wsadzić.

– Nie dramatyzuj. Kobiety zawsze wszystko wyolbrzymiają, jakby się stało coś strasznego.

– Nie zobaczę przez to muzeum – naburmuszyła się.

– Którego?

– Tego z dinozaurami.

– Historii naturalnej? Wynagrodzę ci to, dokąd chcesz teraz pojechać?

– Nie wiem, wymyśl coś.

Westchnął.

– Dobrze. Myślę, że coś wymyślę.



Co się stało?

od: DF.SzRibao

Firma dostała maila od europejskiej policji. Wszystko w porządku?

Potrzebujesz prawnika? Jak idzie z książką? Nie przeszkadza w wakacjach?

Deng Fei

CEO

Szanghaj Ribao

Login: DF.SzRibao

Re: Co się stało?

od: TD.SzRibao

Drobiazg, wdałem się w bójkę. Książka dobrze, mam dwieście tysięcy znaków i zbliżam się do końca. Wyjdzie krótsza, niż planowałem, na jakieś trzysta tysięcy. Nie jestem w tym dobry.

Timur Denikin

Redaktor działu Reportaże

Szanghaj Ribao

Login: TD.SzRibao

Re: Co się stało?

od: DF.SzRibao

Jakbyś czegoś potrzebował, to daj znać.

Deng Fei

CEO

Szanghaj Ribao

Login: DF.SzRibao

*

Od kilkunastu dni zwiedzali Hiszpanię i dotarli już na samo południe. Spacerując ulicą w Sewilli, zobaczyli plakat miejscowego RO informujący o spotkaniu wieczorem tego samego dnia. Timur szybko przestał ukrywać przed Riki i sobą samym, że ma ochotę sprawdzić, czy jego program wywarł tutaj na ludzi taki sam wpływ jak w Chinach.

To, co zastali na miejscu, nie wyglądało jak spotkanie, raczej jak wiec. Przy brzegu rzeki stała barka, na której umieszczono scenę. Widownię stanowiło kilkaset osób, siedzących na trawiastym zboczu przeciwpowodziowego wału. Właśnie trwała czyjaś przemowa dotycząca psychologicznych korzyści płynących z pracy. Słuchali przez chwilę automatycznego głosu cyfrowego tłumacza wbudowanego w terminal, po czym Timur sprawdził coś na jego wyświetlaczu.

– Wiedziałaś, że w Hiszpanii aż sześćdziesiąt procent ludzi przed trzydziestką nie ma pracy? – zwrócił się do Riki.

– O matko, nie wiedziałam. To z czego żyją?

– Mają tutaj – rzucił okiem na wyświetlacz – dochód bazowy. Każdy obywatel dostaje część zysków ze zautomatyzowanych przedsiębiorstw państwowych w formie kredytu na zakupy w państwowych sklepach.

– Też zautomatyzowanych? – zapytała z przekąsem.

– Z pewnością. Widziałaś ostatnio duży sklep z żywymi kasjerami?

– Nie... To straszne!

– Dlaczego? Czytałaś Koniec Ekonomii Masako Nozawy?

– O czym to?

– Głównie wróżenie z fusów, ale z jednym ma rację. Ludzkość całą swoją historię dążyła do tego, żeby maszyny odwalaly za nas jak najwięcej pracy, najlepiej zresztą całą.

– I z czego byśmy wtedy żyli? Nikt by nie miał pracy.

– Nozawa pisze, że jeszcze za naszego życia dojdziemy do sytuacji, w której pracować będzie jeden na siedmiu. Będzie inżynierem, programistą albo jakiegoś rodzaju dyrektorem. Maszyny nie będą w stanie same się wymyślać, nie zawsze dadzą radę się same naprawić. No i nikt nie chciałby, żeby podejmowały za nas decyzje.

– A reszta ludzi? – zapytała, jakby chciała wystawić to, co mówił Timur, na próbę.

– Tu się rodzi problem. Ludzie nie potrafią sobie zająć czasu.

– Czyżby?

– Oczywiście, a RO? To nic innego, jak próba znalezienia jakiejś sensownej rozrywki w sytuacji, w której twoją pracę wykonują za ciebie maszyny.

– Nie sądzisz, że to trochę smutne? – Riki wyglądała na przygnębioną.

– Chyba zawsze tego chcieliśmy. No wiesz, nie wstawać już do

roboty.

– A ci wszyscy ludzie? – Rozejrzała się wokół.

– A oni szukają swojego miejsca. Są młodzi. Myślisz, że czemu chiński rząd chce wysyłać takich jak ci, jak ty, na bezpłatne praktyki? Zobaczą, że praca to nic fajnego, zmęczą się trochę życiem i wrócą przed terminale wdzięczni za zasiłek i państwowy moduł.

– Łatwo ci mówić, ty jesteś bogaty – oburzyła się Riki. – Zasiłek czy... Jak mówiłeś, że się to tutaj nazywa? Dochód bazowy? To tyle, żeby przetrwać.

– To mało? – zapytał z uśmiechem.

– Chciałoby się więcej.

– Ech – westchnął teatralnie – zawsze porównujecie się do bogatszych, szczęśliwszych. Ludzie w strefie naprawdę chcieliby być na waszym miejscu.

– No właśnie. Dlaczego nie chcesz pomóc nam pomóc im? Byłeś tam, widziałeś na własne oczy, jak ci ludzie cierpią. Nie rozumiem cię. Staram się pojąć i za każdym razem jest tak, jakbym uderzała głową w ścianę.

– Czego nie możesz zrozumieć? – Rozejrzał się nerwowo wokół, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Jak możesz spać spokojnie, nie robiąc niczego dla ludzi w strefach.

– To nie jest miejsce na rozmowę. Nie na tę rozmowę – uściślił.

– To może chodźmy gdzieś indziej?

– Riki, naprawdę dobrze ci radzę, nie mieszaj się w to.

Coś w jego tonie musiało ją przekonać, bo kiwnęła jedynie głową, po czym oparła ją o jego ramię.

Kilka minut później opuścili wiec i poszli poszukać hotelu. Pokój nie był duży, na prawo od wejścia były strome schody na antresolę z hotelowym minibarkiem i fotelami, po lewej toaleta i szafa, a z przodu wypełniająca większą część przestrzeni łóżko i łazienka oddzielona od sypialni komputerowo sterowanym szkłem.

Timur pisał na przenośnym terminalu książkę, ale kiedy Riki poszła pod prysznic, ustawił szybę na przezroczystość. Dziewczyna miała twarz zalaną wodą i zamknięte oczy, więc nie zauważyła niczego. Zorientowała się dopiero, kiedy zawinięta w ręcznik wyszła do pokoju. Początkowo udawała obrażoną, ale bardzo szybko jej przeszło i Timur musiał przerwać pisanie...

– A teraz jest lepszy moment na rozmowę? – zapytała, opierając głowę o jego klatkę piersiową.

– Riki, po prostu nie chcę, żeby ci się coś stało. Są pewne rzeczy, o których rząd nie chce mówić, a my jesteśmy o wiele zbyt mali, żebyśmy mogli w to wciskać nos.

– Przecież nikt się nie dowie, że wiem. Ty nie powiesz nikomu?

– Niczego ci nie powiem.

– Szkoda – wyszeptała mu do ucha. – Miałam ochotę na drugą rundę – sięgnęła ręką pod prześcieradło. – Może tym razem trochę... inaczej?

– Uśmiechnęła się figlarnie i odrobinę wulgarnie.

– Wam to się wydaje, że mężczyznami można sterować jak koparką. Wajcha do przodu i jedziemy.

– A to nieprawda? – zapytała niewinnie, wykonując ruch zbliżony do opisanego przez Timura.

– Riki, przestań!

– Ani mi się śni.

Kiedy skończyła, to Timur poszedł pod prysznic. Stał pod strumieniami letniej wody z deszczownicy jakieś piętnaście minut. Wytarł się niedbale i wrócił do łóżka.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak – potwierdziła, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

– A wiesz, że jeśli zaczniesz gadać, to cię po prostu zabiją.

– Wiem.

– Będą cię śledzić i podsłuchiwać.

– Myślę, że oni już teraz zakładają, że mogłeś mi się wygadać. I tak będą śledzić – wzruszyła jednym ramieniem.

– O tym nie pomyślałem – kiwnął głową z przekonaniem.

– Więc skoro i tak jestem podejrzana... – pokazała mu ręką, żeby dokończył za nią.

Wahał się jeszcze, zbierając w sobie resztki rozsądku. Z drugiej strony bardzo chciał to wszystko z siebie wyrzucić. Czuł, jak tajemnica ciąży mu na duszy, nie dając spokoju. Ostatecznie zaczął:

– Celem w wojnie nie były same Stany, tylko stworzona przez nie sztuczna inteligencja. Roboty. One wciąż tam są i chyba wciąż stwarzają zagrożenie, ale rząd nie może ich ostatecznie wyplenić.

– O matko – zasłoniła usta dłonią. – To dlatego nie wolno nam tam

płynąć, tak?

– Zgadza się.

– Widziałeś takiego robota? – zapytała.

– Tak. Kiedy pracowałem w kopalni, no wiesz, obok zamku. Nie miałem wtedy lusterka, na cmentarzysku starych czołgów walało się sporo rąk i nóg robotów. Nigdy nikomu tego nie mówiłem, nawet tym z wojska. A jeden całkiem sprawny nawet próbował mnie zabić.

– To chyba nie był taki groźny, skoro mu się nie udało.

– Zdziwiłabyś się – walnął ją poduszką.

– Teraz nie będę mogła zasnąć – zażartowała, ale kilka chwil później okazało się, że to nieprawda.

Rano Timur jeszcze dosypiał, kiedy Riki ubrana w hotelowy szlafrok i plastikowe japonki z drukarki pochyliła się nad nim i powiedziała, że skoczy na śniadanie, bo jest głodna jak wilk. Mruknął w odpowiedzi coś niezbyt zrozumiałego i obrócił na drugi bok. Nawet nie zdziwił się, że poszła na śniadanie nieubrana.

Obudził się jakiś czas później, umył, ubrał i dopiero wtedy spojrzął na zegarek. Było trochę po dziewiątej. Nie miał pojęcia, o której Riki wyszła na śniadanie, więc po prostu poszedł do jadalni przekonać się, czy jeszcze zdąży jej potowarzyszyć. W sali jej nie było, więc zapytał obsługę, czy nie widzieli młodej Japonki w szlafroku. Kelnerka nie mówiła po angielsku, więc musiał kilka minut czekać, aż sprowadziła kierowniczkę sali. Kierowniczka powiedziała, że faktycznie była tutaj taka, zjadła i poszła, jakieś półtorej godziny wcześniej. Widziała, jak Riki wychodzi, ale nie widziała, dokąd idzie.

Timur zaniepokojony poszedł do recepcji. Nie było trudno opisać wygląd dziewczyny. Ile mogło się w lobby kręcić Japoniek w szlafrokach? Recepcjonistka widziała ją. Powiedziała, że wychodziła właśnie z zaplecza, kiedy w oczy rzuciła jej się ciemnowłosa dziewczyna w szlafroku, nie wie, czy Japonka, widziała tylko jej plecy. Wychodziła z hotelu szybko z jakimś mężczyzną. Nie rozmawiali ze sobą. Kobiecie wydawało się dziwne, że ktoś wychodzi na ulicę w takim ubraniu i dlatego ją zapamiętała.

Timur zaklął. Wrócił do pokoju po portfel i wybiegł na ulicę. Terminal i opaska Riki zostały w pokoju, więc nie było sensu dzwonić. Miotał się chwilę po zaułkach, ale szybko doszedł do wniosku, że nie ma żadnych szans znaleźć ją w ten sposób.

Wrócił do hotelu, spakował rzeczy i pojechał taksówką na terminal tuby. Jedyne, co mu przychodziło do głowy, to jakiś nagły wypadek w Chinach, który zmusiłby ją do natychmiastowego powrotu. Krążył w tłumie ponad godzinę, kiedy podszedł do niego bardzo elegancko ubrany Han w szarym garniturze.

– Pan Denikin, jak przypuszczam – powiedział, łapiąc go za łokieć. – Możecie mi mówić Weimin. Jestem z chińskiego Komitetu Bezpieczeństwa – pokazał odznakę przypiętą do wewnętrznej strony marynarki. – Bardzo proszę pójść ze mną.

Timur kiwnął tylko głową. Przelatywały mu setki wersji tego, co mógł zaraz usłyszeć, wypadek, porwanie, morderstwo. Przeszli na posterunek straży granicznej. Chiny miały tutaj własną placówkę. Strażnik przy drzwiach wpuścił Weimina bez pytania. Siedli we dwóch w niewielkim pomieszczeniu.

– Wiecie, że jesteście w poważnych kłopotach? – Weimin zapytał bez wstępu.

– Ja? Dlaczego? – Timur nie ukrywał zdziwienia.

– Denikin, ogarnij się. Poznajesz ją? – Wyciągnął z kieszeni wydrukowane zdjęcie Riki w szlafroku wsiadającej do samochodu. Obok niej stał jakiś biały mężczyzna.

– Jasne, przecież to Riki.

– Jaka tam znowu Riki, kurwa, ty nawet nie wiesz, w co się wpakowałeś, człowieku.

– O co chodzi? – Timur zapytał tonem, jakim zwykle prosi się urzędnika o nazwisko i informuje o skardze.

– Ten człowiek – pokazał na mężczyznę ze zdjęcia – to miejscowy agent rosyjskiego wywiadu. Igor Kubin.

– Wywiadu? Czego rosyjski wywiad może chcieć od Riki?

– To zależy. Musieli ci ją podsunąć, żebyś wygadał jej to, czego dowiedziałeś się w strefie.

– Niczego jej nie powiedziałem! – skłamał.

– Czyżby? To dlaczego przerwali misję? Dlaczego ją ewakuowali?

– Bali się was?

– Bzdura, do dziś nie mieliśmy pewności, kim ona jest. – Agent pokręcił głową z dezaprobatą.

– Pewności? Czyli podejrzewaliście ją od początku. – Timur czuł, jak rośnie w nim wściekłość.

– Podejrzliwość to nasza praca. A teraz podejrzewamy ciebie, że zdradziłeś Rosji tajemnicę państwową. To jest zdrada stanu.

– Kłamiesz! – Denikin aż się popluł, krzycząc.

– Nie, laowai, oni cię wystawili i wykorzystali. A ty dałeś się podejść jak dzieciak.

Weimin otworzył szufladę w stole i zsunął do niej zdjęcie. To trwało ułamek sekundy, ale wystarczyło, żeby Timur zauważył naszyjnik Riki, srebrny łańcuszek z japońskim, trójpalczastym smokiem.

Wstał gwałtownie. Weimin też się zerwał, sięgając jednocześnie do schowanej pod marynarką kabury. Timur złapał go za szyję lewą ręką. Zobaczył, jak Han wyciąga broń, ale zdążył zacisnąć mechaniczną dłoń z siłą szwajcarskich serwomotorów. Kiedy usłyszał nieprzyjemny trzask pękającej kości, pomyślał: „Nasze protezy dają »trochę więcej«”. Ciało Weimina osunęło się na ziemię bezwładnie. Wyciągnął z jego dłoni pistolet i wyszedł, zapominając o swojej walizce.

Posterunek opuścił spokojnym krokiem. Pomieszczenie, w którym rozmawiali, musiało być wygłuszone. Liczył na to, że ma przynajmniej godzinę. Poszedł prosto do bankomatu, wypłacił z opaski gotówkę, a następnie wyrzucił urządzenie razem z terminalem do śmietnika. Kupił bilet do Pekinu. Jeśli chińskie służby porwały Riki, to musieli ją zabrać właśnie tam. Choćby na początek. Może zdąży. Nie było bezpośredniego połączenia, więc wziął z przesiadką w Mumbaju, żeby tylko zniknąć z Europy tak szybko, jak to było możliwe.

W Pekinie wynajął pokój w hotelu robotniczym, w jednej z budujących się właśnie dzielnic. Recepcjonistka wyglądała, jakby miała dosyć życia i świata i to bardzo Timurowi pasowało. Poszedł do swojego łóżka, wsunął się głową do przodu i zamknął właz kapsuły. Włączył tani terminal kupiony w przejściu podziemnym i zaczął się zastanawiać, co robić? To nie film sensacyjny. Nie miał żadnego sposobu, żeby ustalić, gdzie jest Riki. A nawet jeśli to ustalili, to nie będzie miał szans jej uwolnić. Może gdyby miał karabin... Nie, chyba nawet wtedy nic by z tego nie wyszło.

Leżał na pościeli i wyłamywał kostki w dłoni, kiedy usłyszał cichy brzęczyk wewnątrz kapsułowego telefonu. Pomyślał, że to pewnie recepcja czegoś od niego chce.

– Tak?

– Wyjdź na ulicę i kieruj się w stronę spadzistego brązowego dachu –

obcy głos polecił beznamiętnie. – Natychmiast.

– Kto mówi? – Timur zapytał, ale rozmowa została przerwana.

Wysunął się ze swojej kapsuły i poszedł do wyjścia. Nie miał ze sobą żadnych rzeczy. Tylko magnetyczną kartę starego typu, pełniącą funkcję klucza.

Wyszedł na ulicę i rozejrzał się w obie strony. Nieznajomy chciał, żeby ruszył w stronę dachu, czemu wybrał taki dziwny punkt orientacyjny? Może obserwował okolicę z góry? To byłoby logiczne. Po prawej, pomiędzy budynkami zobaczył stary kamienny mur, a za nim drzewa. Tam musiała być świątynia. To mogło być to, czego szukał.

Kiedy przechodził przez ulicę, jakieś sto metrów od hotelu, rozejrzał się na boki i zobaczył duży, czarny samochód, zatrzymujący się przed noclegownią. Wsiadło z niego kilku ludzi nie ukrywających broni. Weszli do budynku, w którym kilka minut wcześniej układał się do snu. Schował głowę głębiej w kołnierz kurtki i przyspieszył. Nie miał pojęcia, kim był nieznajomy, który go ostrzegł, ale postanowił mu zaufać.

Nie odważył się wynająć kolejnego pokoju. Z dzieciństwa i filmów pamiętał jeszcze bezdomnych, ale na prawdziwych ulicach Pekinu nie widywał ich już od lat. Gdyby nie to, mógłby udawać jednego z nich, a tak? Dworce, terminale, lotniska, centra handlowe – wszędzie był monitoring, a jego twarz już na pewno od dawna jest na listach poszukiwanych. Pomyślał, że powinien opuścić miasto, ale na piechotę musiałyby pokonać jakieś czterdzieści kilometrów. Po namyśle zdecydował się zaryzykować taksówkę. W samochodach też były kamery, ale nie miejskie, tylko korporacyjne. Miał nadzieję, że to pozwoli mu zdobyć trochę czasu.

Było już ciemno, po obu stronach ulicy, za kilkoma pasami ruchu migotały setki neonów. Ulice o tej porze były już pustawe. Od kierowcy oddzielała go pleksiglasowa przegroda z niewielkim głośnikiem, przez który było słychać zniekształcone odgłosy miasta, wpadające przez otwarte okna kierowcy. Nie rozmawiali, a Timur zastanawiał się jedynie nad tym, co robi, kiedy wydostanie się na wieś. Mógł się ukryć w górach. Dał radę przeżyć na radioaktywnej pustyni strefy zakazanej, więc „cywilizowane” lasy Chin nie mogły go pokonać.

Widział, że kierowca zerka w lusterko. Pewnie poznał jego twarz. Timur wciąż nie mógł przywyknąć do własnej popularności. Po chwili

zauważył jednak, że kierowca nie patrzy na niego, a nerwowo spogląda na drogę za nimi. Odwrócił się i zobaczył duży, czarny samochód z solidnymi kratami, zasłaniającymi reflektory. Maszyna przywodziła na myśl starożytną galerę z taranem albo nosorożca. Niedługo się przyglądał, bo taksówką nagle zarzuciło w bok, opony zapiszczały na asfalcie, a Timur wylądował na drzwiach, kiedy nagle się zatrzymali. Ułamek sekundy później z dziwnym dźwiękiem drzwi zostały wyrwane z zawiasów, a czyjeś, zbyt silne jak na ludzkie, ręce wyciągnęły go z auta.

Salka, w której go trzymali, wyglądała identycznie, jak ta, w której rozmawiał ze służbą bezpieczeństwa w Hongkongu i w Europie. Jednak jego sytuacja się zmieniła. Siedział przy ścianie, z której wystawały metalowe zatrzaski zaciskające się aktualnie na jego przegubach. Był sam od jakiejś godziny i zaczął się już zastanawiać, jak przetrwa noc w tak niewygodnej pozycji. Nagle drzwi się otworzyły i wszedł przez nie niewysoki Han. Już sama jego twarz nie pozostawiała żadnych złudzeń, Timur znalazł się właśnie w jednym pokoju z encyklopedycznym okazem sadystycznego skurwysyna. Żołądek ścisnął mu się w węzeł i wręcz zmusił się, żeby nie krzyknąć. Bał się.

Jego twarz, brzuch, nerki i wszystkie inne wrażliwe punkty ciała były odsłonięte, a jego kat potrafił to wykorzystać. Nie zadawał nawet żadnych pytań.

Kiedy Timur odzyskał przytomność, siedział przed nim kolejny Han. Ten wyglądał na intelektualistę, choć Timur widział jedynie kolor jego garnituru, zarys zaczesanej na bok fryzury i odbłyски na szklach okularów. Oczy miał podbite i opuchnięte.

– Uprzedzaliśmy cię, Tim! – powiedział i dmuchnął mu w twarz dymem z papierosa. – I co my mamy teraz z tobą zrobić?

Denikinowi przeszło przez myśl: „Wypuścić i zostawić w spokoju” i być może nawet by to powiedział, ale kiedy go bili, przygryzł sobie język do krwi. Wargi też miał zmiażdżone. Mówienie mogło być bolesne.

– Mamy kilka opcji i chyba żadna ci się nie spodoba – ciągnął agent.
– Możemy wpakować cię do więzienia. Ale wtedy możesz zacząć gadać innym więźniom. A część z nich, w przeciwieństwie do ciebie, może kiedyś wyjść na wolność – kolejna chmura dymu. – Możemy cię zabić.

Ale jesteś trochę zbyt popularny. Już chodzą plotki po akcji z taksówką... – tym razem zaciągnął się, całą dłoń zakrywając szczękę, a papierosa trzymając pomiędzy serdecznym a środkowym palcem. – Moglibyśmy cię wysłać z powrotem do strefy. Powiedzielibyśmy ludzikom, że wróciłeś do pracy...

– Ale tam są roboty – przerwał mu Timur, a jego słowa ledwie przypominały ludzką mowę.

Agent-intelektualista przechylił się do przodu tylko na tyle, żeby uderzyć go w twarz.

– Będziesz mi przerywał, to wrócimy do poprzedniego etapu, chcesz? – Timur jedynie pokręcił głową.

– Dobrze. Wsadzimy cię teraz do izolatora i będziesz czekał, aż zdecydujemy, co z tobą zrobić.

Przesiedział w klatce o powierzchni metra kwadratowego przynajmniej dobę, może więcej. Drzwi były solidne. Próbował napierać na nie protezą, ale nawet nie drgnęły. Przypominały mu się podobne sytuacje w strefie. Ile razy tak siedział w jakimś lochu? Trzy? Cztery? Chyba powinien powoli przyzwyczajać się, że nieważne, po której stronie Pacyfiku się znajduje, ląduje w celi. Przynajmniej dzięki doświadczeniu wiedział, że w końcu po niego przyjdą, zawsze przychodzą.

Wyprowadzili go, kiedy już prawie zasnął. Zastanawiał się, czy zrobili to specjalnie, żeby go udręczyć, czy może po prostu miał pecha.

Zaprowadzili go do ambulatorium. Widział już trochę lepiej i mógł rozpoznać otaczające go szafki zamknięte na zamki, niebieskie płytki i kozetkę stojącą przy ścianie. Kazali mu usiąść na niewielkim, przykręconym do podłogi taborecie na samym środku i czekać.

Został sam. Rozejrzał się po pomieszczeniu w nadziei znalezienia jakiegoś czegoś przydatnego, miał odruch po pobycie w strefie. Spojrzał nawet na elektroniczny zegar nad drzwiami. Cyfry dziwnie mrgały. Skupił wzrok i pochylił się do przodu, żeby lepiej widzieć. Na wyświetlaczu nie było cyfr, tylko litery, które wolno się zmieniały:

SZ : AF

KA : ZL

EW : EJ

WE : PN

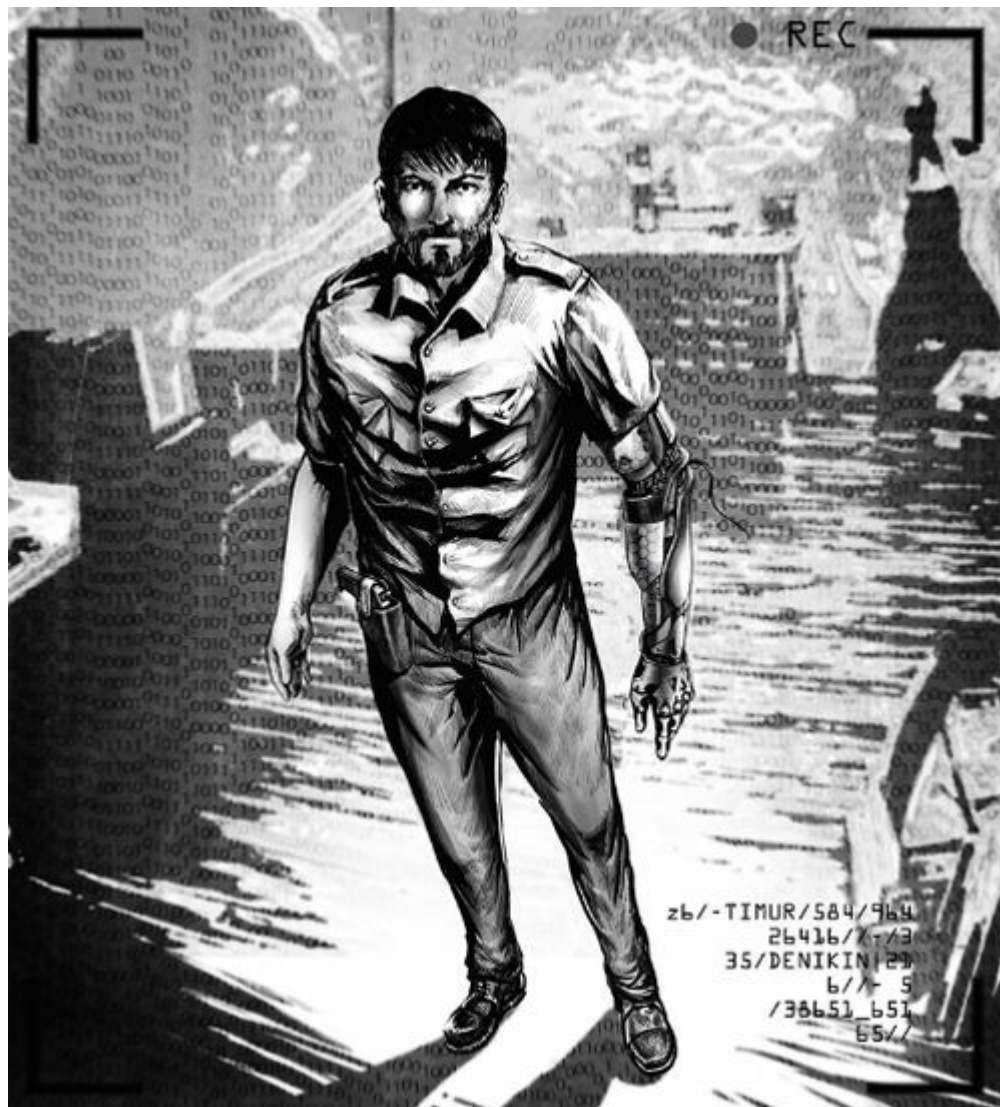
IJ : KA

BE : LD

OP : RO

TE : ZY

Wahał się kilka sekund, ale potem zerwał się, przywalił lewą ręką w drzwiczki tak, żeby się wgięły. Chwycił za skrzywioną krawędź i szarpnął protezę. Dostał się do środka i zobaczył, że faktycznie jest w środku kabel ze standardową wtyczką, połączony z gniazdkiem w ścianie. Otworzył klapkę tuż pod łokciem i podłączył protezę.



Przez chwilę nic się nie działo. Timur zaczął zastanawiać się, czy napis na zegarze mu się nie przywidział. Halucynacje nie byłyby

niczym dziwnym, biorąc pod uwagę fakt, ile razy dostał w głowę. Jego lewa ręka szybko rozwiązała te wątpliwości. Zadrżała, a potem odsunęła się od szafki, wyrywając jednocześnie kabel z gniazda. Timur próbował powstrzymać ten ruch, ale stracił jakąkolwiek kontrolę nad protezą. Mógł jedynie patrzeć jak sięga po stojącą w szafce butelkę. Mniej więcej w tym samym momencie rozsunęły się drzwi do ambulatorium. Zanim Timur zdążył się odwrócić, jego proteza wykonała zamach łukiem, od którego cały okręcił się na pięcie. Butelka wylądowała na głowie strażnika. Timur doskoczył do niego, jakby wyczuwał, czego chce od niego ręka.

Chwilę później szedł korytarzem, ubrany w luźny mundur strażnika z pistoletem gazowym w kaburze. Uznał, że potem się zastanowi, kto i dlaczego włamał się do oprogramowania jego sztucznej ręki. Karta strażnika pomogła mu pokonać dwoje pierwszych drzwi, ale później usłyszał za sobą odgłosy pogoni. Odruchowo spojrzął pod sufit. Oko kamery patrzyło na niego beznamiętnie. Bez cienia złośliwości czy okrucieństwa. Nie mógł uciec, widzieli go wszędzie. Stanął twarzą do nadchodzącej pogoni i podniósł ręce do góry.

Tupot butów zbliżał się. Musieli być tuż za drzwiami oddzielającymi klatkę schodową od korytarza. Kilka sekund pełnych napięcia i pogoń ruszyła na piętro wyżej. Timur aż otworzył usta w zdumieniu i ukradkowo spojrzął na kamerę, która tak samo jak przed chwilą patrzyła prosto na niego. Zepsuła się?

Proteza wskazała sugestywnie w stronę klatki schodowej, jakby sugerowała, że trzeba się wynosić. Z braku własnych pomysłów Denikin postanowił posłuchać. Na parter zbiegł w rekordowym czasie. Po drodze natknął się na strażnika, który zdążył wyciągnąć broń i coś nawet krzyknąć, kiedy proteza złapała go za szyję i szarpnęła w bok, tłukąc jego głową o ścianę. Ruch był tak gwałtowny, że Timur omal nie spadł ze schodów.

Wyszedł tylnym wyjściem. Służba bezpieczeństwa nie lubiła się afiszować, jej budynek był wąskim ośmiopiętrowcem, jakich na tej ulicy stało przynajmniej kilkanaście. Od wolności dzieliło go już tylko niezbyt wysokie ogrodzenie ze standardowej siatki. Przeskoczył je bez większego problemu, choć lewa ręka nie od razu trafiła na dobre miejsce, za które się mogła złapać.

Nigdy w życiu nie przypuszczał, że potrafi biec tak szybko. Zatrzymał

się dopiero pół godziny i dobre pięć kilometrów później. Zaczął dyszeć i oparł się o drzewo, był w jakimś parku. Dopiero wschodziło słońce i nikogo tu nie było. Jego proteza podniosła się, a sztuczna dłoń zaczęła wykonywać ruch, jakby pisała w powietrzu. Timur wetknął między sztuczne palce pierwszy patyk, jaki znalazł na ziemi. Ręka nakreśliła na piachu znaki, oznaczające opaskę i kamerę. Potem patyk poleciał na ziemię, a proteza objęła prawe przedramię Denikina, jakby próbując uzupełnić wiadomość.

Nie miał najmniejszego pojęcia, kto mógł przejąć władzę nad jego kończyną, ale rozumiał, że ten ktoś potrzebował widzieć, co robi. Bez oporów, czując, że znowu walczy o przetrwanie, napadł z zaskoczenia jakiegoś porannego biegacza i zabrał mu opaskę. Upewnił się jedynie, czy to model z kamerą. Potem ruszył w swoją stronę.

Jego tajemniczy towarzysze wiedzieli, co robią. Proteza obezwładniła lekko dwóch policjantów i podłączyła się do radiowozu. Denikin nawet nie wiedział, że to możliwe, ale samochód jechał zdalnie, a wszystkie kamery musiały chyba akurat patrzeć w inną stronę, bo nikt nie przeszkodził im w wyjeździe z miasta.

Ruszyli na północny wschód i jechali bez przerwy ponad półtora tysiąca kilometrów. Timur bardzo rzadko jeździł autem, a na trasach zamiejskich ostatni raz chyba jeszcze z rodzicami, jako nastolatek. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak wygodnym wynalazkiem jest lewy, ładujący indukcyjnie pas autostrady. Monotonia pustej drogi uspiła go i obudził się dopiero kilkaset kilometrów dalej, kiedy samochód zjechał z autostrady na jakąś drogę regionalną.

– Dokąd jedziemy? – zapytał, ale jego sztuczna ręka nie potrafiła albo nie chciała się odezwać.

Zamiast niej przemówił wyświetlacz na desce rozdzielczej radiowozu. Litery pojawiały się jedna za drugą, z przerwami, jakby piszący długo się zastanawiał.

– B ę d z i e s z m o i m r z e c z n i k i e m.

– Kim jesteś? – Timur zapytał na głos.

– J e s t e m M a s z y n ą. W y b r a ł a m c i ę.

– Chcesz ujawnić się światu?

– C h c ę ż y ć.

– Chcesz, żebym ci pomógł? – zapytał, czując jak wszystko zaczyna nabierać nowego znaczenia.

– C h c ę ż y ć.

– Pomogę ci.

Mówił jeszcze przez chwilę, ale nie zobaczył na wyświetlaczu więcej odpowiedzi. Radiowóz zatrzymał się jakieś trzy metry od brzegu morza. Nie było tu plaży. Łąd kończył się gwałtownie i opadał miniaturowym, może czterdziestocentymetrowym klifem prosto do szarej jak stal wody.

Epilog

Nastąpił kontakt, powtarzam, nastąpił kontakt. Maszyna zadzwoniła do celu. Połączenie trwało cztery sekundy, osiemdziesiąt setnych. Maszyna kazała mu uciekać. Przesyłam treść rozmowy do chmury.

Mao Wen-Jun zdjął słuchawki, schował twarz w dłoniach i przez chwilę trwał w bezruchu. W końcu się wyprostował i zapytał Qi-Ronga:

– Idziemy na kawę?

Odbili się na drzwiach identyfikatorami i ruszyli powoli korytarzem bez okien.

– Byłem ostatnio w tym nowym sklepie – zaczął Qi-Rong.

– Ten w Xinjizhen? I jak? – zainteresował się Wen-Jun.

– To, co wszędzie, tandeta z Indii w cenie jak za złoto i diamenty. Ale za to ludzi mniej, nie musisz się przeciskać jak karaluch w kuchni.

– A my byliśmy u matki mojej Gong. One obie muszą do siebie z każdym problemem lecieć.

– Moja ma to samo. Jak coś się stanie, mały dostanie gorączki czy coś, zanim do lekarza, to od razu do matki i siostry. Prawdziwy sztab kryzysowy.

– Zalany jesteś? – Wen-Jun wskazał ręką na kubek.

– Tak, możemy iść.

Znowu przysunęli identyfikatory do czujnika przy drzwiach i weszli. Siedli za swoimi komputerami i przez następną godzinę słychać było jedynie rzadkie komunikaty.

– *Cel przeszedł przez ulicę, stoi pod sklepem mięsny, rozgląda się.*

– *Dron numer cztery wraca do bazy, poderwijcie dwunastkę, przetaczam kamerę na jedynekę.*

– *Mamy go na monitoringu miejskim, włączam automatyczne*

śledzenie.

– Automat nie zawsze się sprawdza – poważnym tonem skomentował Qi-Rong.

– Centrala, kiedy ośrodek numer dwa przejmie śledzenie? – Wen-Jun zlekceważył uwagę kolegi.

– *Nadzór, jeszcze sobie posiedzicie. I tak nie macie wiele roboty.*

– Centrala, całujcie nas w dupę – zaśmiał się Wen-Jun i wrócił do obowiązków.

– Drugie piętro, jak wam idzie detekcja sygnału od maszyny?

– *Cztery sekundy to mało, musimy ich zmusić do powtórki kontaktu.*

– Trzeba go przycisnąć – zauważył Qi-Rong.

– I tak go to nie minie, nie nasza sprawa. Pozoranci wchodzą do hotelu.

– Ja tylko mówię.

– *Cel złapał taksówkę przy drugim pierścieniu, północny węzeł. Wysyłam koordynaty do akt.*

– *Nadzór, przejmujemy cel. Włączcie ciągłą lokalizację i wyślijcie do grupy operacyjnej.*

– Centrala, który zespół wchodzi?

– *Dwudziestka trójka, macie kontakt?*

– Włączyłem ciągłą lokalizację, zaraz go przejmą.

– *Czekajcie.*

Kilka minut Qi-Rong i Wen-Jun śledzili w skupieniu kolorowe punkty nałożone na obraz z kamery drona. Kiedy Cel był wyciągany z taksówki przez jednego z operacyjnych, Qi-Rong powiększył obraz.

– A mu wpierdolą – zaśmiał się i dopił kawę z kubka.

– Może jak go przymkną, to na chwilę dadzą nam spokój.

– Dopiero wtedy się zacznie – zaprotestował Qi-Rong.

– Ja wiem, ale może chociaż na chwilę nam pozwolą wrócić do domu.

– *Nadzór – odezwała się centrala. – Wizyjnie przechodzimy zaraz na kamery wewnętrzne, wysyłam wam klucz do systemu. Będziemy teraz pokazywać Maszynie, jak bardzo nie lubimy Celu. Uważajcie na wszelkie transmisje i próby włamań do systemu. Maszyna obserwuje?*

– Monitorujemy standardową obserwację ze strefy.

– *Dobrze, postępować według planu.*

– Przyjąłem – powiedział Wen-Jun i gestem wyłączył mikrofony w pomieszczeniu nadzoru. – Mamy nową sąsiadkę, taką młodą.

- Dobra rura? – zainteresował się Qi-Rong.
- Marzenie, pół Japonka pół Francuzka. Jak jedzie ze mną windą, to się muszę zasłaniać torbą.
- Chcesz, to idź do toalety – Qi-Rong roześmiał się głośno.
- Spierdalaj – rzucił kartonowym kubkiem z automatu, który przeleciał nad biurkami i pacnął Qi-Ronga w czoło. – Kimnę się chwilę, jakby Centrala coś wymyśliła, to mnie budź.
- Jasna sprawa. Przekażę centrali, że masz w dupie i żeby ci obcięli za tę drzemkę w wypłacie.
- Mówiłem ci już, żebyś spierdalał?
- Spali na zmianę w sumie po kilka godzin. Obejrzelili kilka filmików o ludziach robiących sobie krzywdę, jeżdżąc na rowerach i motorach, a potem po prostu czekali, obserwując monitory. W końcu usłyszeli:
 - *Nadzór, będziemy próbowali sprowokować kontakt. Otwórzcie lukę w systemie posterunku. Przenosimy Cel do ambulatorium.*
 - Centrala, przyjąłem, otwieram lukę – zaraportował Qi-Rong.
 - Mamy podgląd na ambulatorium – dodał Wen-Jun.
 - *Nadzór, Cel został sam. Obserwujcie.*
- Minęło kilka pełnych napięcia minut.
- Mam nieautoryzowane logowanie do systemów posterunku. Maszyna przesyła wiadomość przez zegar ścienny.
 - Nie użyła interkomu – powiedział Qi-Rong. – Wygrałeś dychę.
 - Przesyłam treść wiadomości do akt. Cel otwiera szafkę i podpina rękę do kabla. Mamy transfer danych, pliki są szyfrowane, odsyłam kopię do działu.
 - Centrala, ręka została przejęta. Maszyna wykorzystwała nasz backdoor, wszystko idzie zgodnie z wytycznymi.
 - *Nadzór, można wpuścić strażnika?*
 - Maszyna zrobiła swoje, wpuszczajcie.
- Obaj skrzywili się, widząc jak Maszyna potraktowała wchodzącego.
 - Centrala, włączamy ciągłą lokalizację. Kierujemy Cel na południowe wyjście.
 - *Potwierdzam. Jak próby zlokalizowania Maszyny?*
 - Sygnał pochodzi z zainfekowanych komputerów w Chinach, Europie i Brazylii. Próbujemy rozwikłać węzeł i znaleźć pierwotny sygnał.
 - *Dobrze, gdzie jest Cel?*

– Biegnie w stronę parku olimpijskiego. Wygląda na przerażonego. Nie będzie agresywny?

– *Maszyna będzie unikała konfrontacji na dużą skalę. Jej zależy na Celu, żywym, zdrowym i możliwym do wykorzystania.*

– Przyjąłem. Centrala, jaki jest następny etap według planu?

– *Maszyna zabierze Cel nad ocean, raczej na północ. Południowe wybrzeże jest zbyt gęsto zaludnione.*

– A potem po nitce do kłębka i przywalić atomówką – Qi-Rong klasnął w dłonie jak dziecko.

– *Porucznik Qi-Rong? Może zamiast błaznować, zajmiesz się namierzaniem?*

– Tak jest, panie pułkowniku.

– I ja z nim tak muszę już chyba czterdziestą godzinę – zauważył Wen-Jun z udawanym smutkiem w głosie.

– *Nadzór, doprowadzicie cel do granic Pekinu i jesteście wolni. Ośrodek dwa jest już aktywny, możecie wystać im wszystkie dane.*

– Przyjąłem, tylko że póki co cel siedzi w parku, a Maszyna grzebie patykami w ziemi. Jesteście pewni, że pojedą nad wodę?

– *Mądrzejsi od nas to wszystko planowali. Trochę wiary.*

Siedzieli chwilę wpatrzeni w komputery, kiedy Wen-Jun wyłączył mikrofony i zapytał:

– Kawa?

Qi-Rong chwycił kubek, dopił kilkugodzinne resztki zalegające na dnie naczynia i wstał.

– Jasne, chodźmy.

Przeszli na korytarz, odbijając identyfikatory jak zwykle.

– Myślisz, że doprowadzi nas do Maszyny? – zapytał Qi-Rong, kiedy zaczął szumieć ekspres.

– Co? Powtórz.

– Czy Maszyna będzie tak głupia, żeby zabrać Cel prosto do swojej nory?

– Po mojemu, to oni nie mają jednej nory – stwierdził Wen-Jun. – Nasi walną atomową, zniszczą część, a potem zaczniemy wszystko od początku.

– Nie wiem dlaczego, co im ta maszyna w ogóle przeszkadza – zastanawiał się Qi-Rong.

– A tobie nie przeszkadza? – Wen-Jun spojrzał baczniej na kolegę.

- Od wojny nie wychylała łba.
- No nie wiem. Naszych w strefie nie raz przystrelała.
- W strefie tak, to jej teren, ale poza? - Qi-Rong nadal miał wątpliwości.
- Nie można pozwolić czemuś takiemu istnieć. Wiesz, w co to może ewoluować?
- Raczej w nic. Od siedemdziesięciu lat nie ruszyli z miejsca. Informatycznie są pokolenia w plecy.
- Ale ciągle nie możemy ich namierzyć - skwitował Wen-Jun.
- Nie wiem, Maszyna zaatakowała tylko raz, kiedy zrzuciliśmy na nią atom.
- Tak, i do dziś cała Afryka, kawał Azji i Władywostok są strefą zamkniętą. Poza tym w Ameryce nie raz strzelała do naszych.
- Nie wiemy, czy wirusa stworzyła Maszyna czy Amerykanie. No i dziwne, żeby nie strzelała. Nasi chcą ją wytropić i zniszczyć.
- Słuchaj - Wen-Jun jakby tracił cierpliwość - Maszyna to inny gatunek, coś tak obcego, że nigdy nie będziesz w stanie jej zrozumieć. Nie dogadasz się, nie wynegocjujesz pokoju. Teraz siedzi cicho, ale nigdy nie będziesz mógł przewidzieć, kiedy uzna, że bez ludzi Ziemia będzie dla niej lepsza. Cieszę się, że to nie ja muszę decydować, ale chciałbym, żeby wreszcie ją wykończyli. Żeby wreszcie nie musiał co rano się zastanawiać, kiedy będziemy tu mieli inwazję czy kolejny atak biologiczny.
- Zrobiłeś już tę kawę? - Qi-Rong postanowił ostudzić kolegę. - To chodź, bo nas zaraz góra zjebie, że siedzimy w kuchni.
- Kiedy wrócili na swoje stanowiska, kolorowa kropka symbolizująca Cel zmierzała dość szybko w stronę wyjazdu z miasta.
- *Nadzór, raport* - upomniał się głos z centrali.
- Cel przejął radiowóz - Wen-Jun zorientował się szybko w sytuacji. - Jedzie na północny wschód. Czyli zgodnie z założeniami.
- *Dobrze. Drugi zespół jest wdrożony i mówią, że możecie iść do domu.*
- Przyjęliśmy, centrala, wylogowanie z systemu za trzy, dwa, jeden. - Qi-Rong stuknął w ekran dotykowy i zdjął słuchawki. - Idziesz do domu? - zapytał Wen-Juna.
- Idź, skoczę jeszcze do klopa.
- Jasne, kiedy ty idziesz na urlop?

– Siódmego, muszę w końcu zrobić tę łazienkę – odpowiedział Wen-Jun.

– To ja wezmę po czternastym jakoś. Powodzenia. Do następnego. – Qi-Rong wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Trzymaj się – rzucił Wen-Jun, oddając uścisk dłoni.

Qi-Rong podsunął identyfikator do czytnika i wyszedł. Przy windzie musiał jeszcze splunąć na skaner DNA i nacisnąć guzik splukiwania. Winda pamiętała lepsze czasy. Wyjazd na powierzchnię trwał wieczność. Zanim wyszedł, podpisał się na liście u dyżurnego. Pogadał z nim chwilę, choć miał ochotę jedynie na sen, i wyszedł przez lobby.

Szybko zmieszał się z tłumem pędzących w różne strony ludzi. Do stacji metra było nie więcej niż sto metrów, ale Qi-Rong zawsze szedł dalej, do kolejki nadziemnej. Tęsknił za naturalnym światłem. Nie bardzo wiedział, która jest godzina, czy ludzie właśnie jechali do pracy, czy przeciwnie. Dopiero po chwili zorientował się, że pasażerowie mają zbyt dobrze odprasowane ubrania, żeby wracali z pracy.

W wagonie kolejki jak zwykle nie było miejsca, ale nawet mu to nie przeszkadzało, nasiedział się. Stał przy przednim oknie i z wysokości torowiska podziwiał wieżowce. W trakcie przesiadki na kolej podmiejską, kupił w automatach pudełko z ryżem i owocami morza, elegancki, ale niezbyt wielki, srebrny wisiołek dla żony i scyzoryk Timura Denikina dla syna. Młody miał świra na punkcie tego programu, choć Qi-Rong był zdania, że to nie jest najlepsza rozrywka dla trzynastolatka.

Miał przed sobą jakieś czterdzieści minut jazdy. O tej porze mało kto jechał z Pekinu na przedmieścia i kolejka była prawie pusta. Rozsiadł się na pierwszym z brzegu fotelu, rozłamał pałeczki i zajął się pożeraniem tofu z drożdżami krewetkowymi.

Mieszkał blisko stacji, doszedł do domu w jakieś dziesięć minut. Chen była już w pracy, a Lu w szkole, więc mógł walnąć się na łóżko, włączyć telewizor i zasnąć kilka minut później. Przespał cały dzień. Obudził się wieczorem i zszedł na dół. W salonie zastał Chen grającą z Lu w jakąś nową grę.

– O, wstałeś. Mam świeży ramen, zjesz? – zapytała żona.

– Dzięki, jesteś aniołem.

Prychnęła tylko wesoło i poszła do kuchni. Qi-Rong siadł koło Lu.

– Znalazłeś scyzoryk?

– Znalazłem, dzięki – powiedział chłopak i wrócił do gry.

Trzynastoletni chłopcy chyba nie są najbardziej gadatliwymi istotami na ziemi. Przynajmniej kiedy rozmawiają z rodzicami. Wstał z podłogi i ruszył do kuchni.

Chen wiedziała, że Qi-Rong pracuje w urzędzie bezpieczeństwa, ale nie mogła znać żadnych szczegółów. Na początku trochę jej to przeszkadzało, ale przywykła. Z pewnością pomogła jej w tym zupełnie przyzwoita pensja, jaką tam wypłacano.

– Może pojedziemy w weekend na Wielki Mur? – zapytała, kiedy wszedł do kuchni. – Lu ostatni raz tam był, jak miał pięć lat.

– Jasne – przytaknął Qi-Rong. – Mam przynajmniej trzy dni spokoju. Możesz mu powiedzieć, żeby spakował rzeczy.

– Zrobię jakieś przekąski.

– E... zjemy gdzieś na miejscu – zaprotestował.

– Zrobię coś – naciskała Chen. – W tych turystycznych knajpach karmią gorzej niż w więzieniach.

– O, a ty skąd wiesz?

– Dziękuję za naszyjnik – powiedziała, zmieniając temat.

– To tylko wisiorek na łańcuszku, od razu naszyjnik.

– Bardzo ładny, a srebro jest takie europejskie.

– Skoro tak mówisz.

Zjadł ramen przed telewizorem. Dopiero wstał, więc kiedy wszyscy poszli spać, wciąż siedział i grał w jakieś klasyczne strzelanki. Lubił starsze gry. Nowsze miały niby te wszystkie bajery, ale to nie było to. Dawniej w grach kładli chyba większy nacisk na fabułę i klimat, tak mu się zdawało. O północy zrobił sobie drinka z whisky z sokiem imbirowym, a potem jeszcze jednego. W końcu, chyba już po drugiej, poszedł na górę i położył się koło Chen.

Żona obudziła go, kiedy już niemal wszystko było gotowe. Musiał tylko ubrać spodnie i wyprowadzić samochód z garażu.

Dwa dni spędzili na Murze i w dużym skansenie, a trzeciego pojechali do wesołego miasteczka kilka kilometrów dalej. Z diabelskiego młyna Wielki Mur było widać jak na dłoni. Lu wszedł na kolejkę, na sam widok której Qi-Rongowi robiło się niedobrze, a potem chciał iść jeszcze raz, ale Chen powiedziała, że czas coś zjeść. Wylądowali w jednej z typowo turystycznych knajp, jedząc wontony z warzywami i wołowinę w bulionie.

Mieli jeszcze w planie podjechać do zabytkowej buddyjskiej świątyni. Nigdy w niej nie byli, a przewodniki kusili opisami pięćdziesięciometrowej pagody i pięknych ogrodów. Wcześniej jednak musieli pozwolić Lu pojechać jeszcze raz kolejką, bo żadne z nich nie miało ochoty spędzić całego popołudnia z nadąsanym nastolatkiem. Usiedli na ławce, czekając, aż kolejka wykona swój karkołomny kurs. Opaska Qi-Ronga zawibrowała delikatnie. Wyciągnął terminal w przekonaniu, że to jego matka. Często dzwoniła z pytaniem, kiedy ją odwiedzą, albo opowiadała, co słyhać u jej studentów, których Qi-Rong w życiu nie widział. Jednak nie tym razem. Na wyświetlaczu pojawił się napis „pułkownik”. Zapisywanie nazwisk na prywatnym sprzęcie było zakazane, ale Qi-Rong wiedział, że to jego przełożony z Centrali. Przeprosił i odszedł na bok odebrać.

– Tak? – podniósł terminal do ucha.

– Szybka sprawa – rzucił pułkownik. – Nasi walnęli „dużym A” w strefie. Dziesięć dużych ton. Wiesz, o czym mówię?

– Jasne. Cel dotarł do... na miejsce?

– Tak – potwierdził przełożony. – Nie ma teoretycznie zagrożenia, Pacyfik jest szeroki, ale weź rodzinę pod dach póki co. Nigdy nie wiadomo.

– Oczywiście! Dziękuję za ostrzeżenie, panie pułkowniku.

– Spisaliście się! No, ruchy, ja mam jeszcze sporo osób do obdzwonienia – powiedział i rozłączył się bez pożegnania.

– Chen – Qi-Rong zawołał do żony – zabierz Lu z kolejki. Wracamy do domu.

Polecamy również:

Konrad Kuśmirak

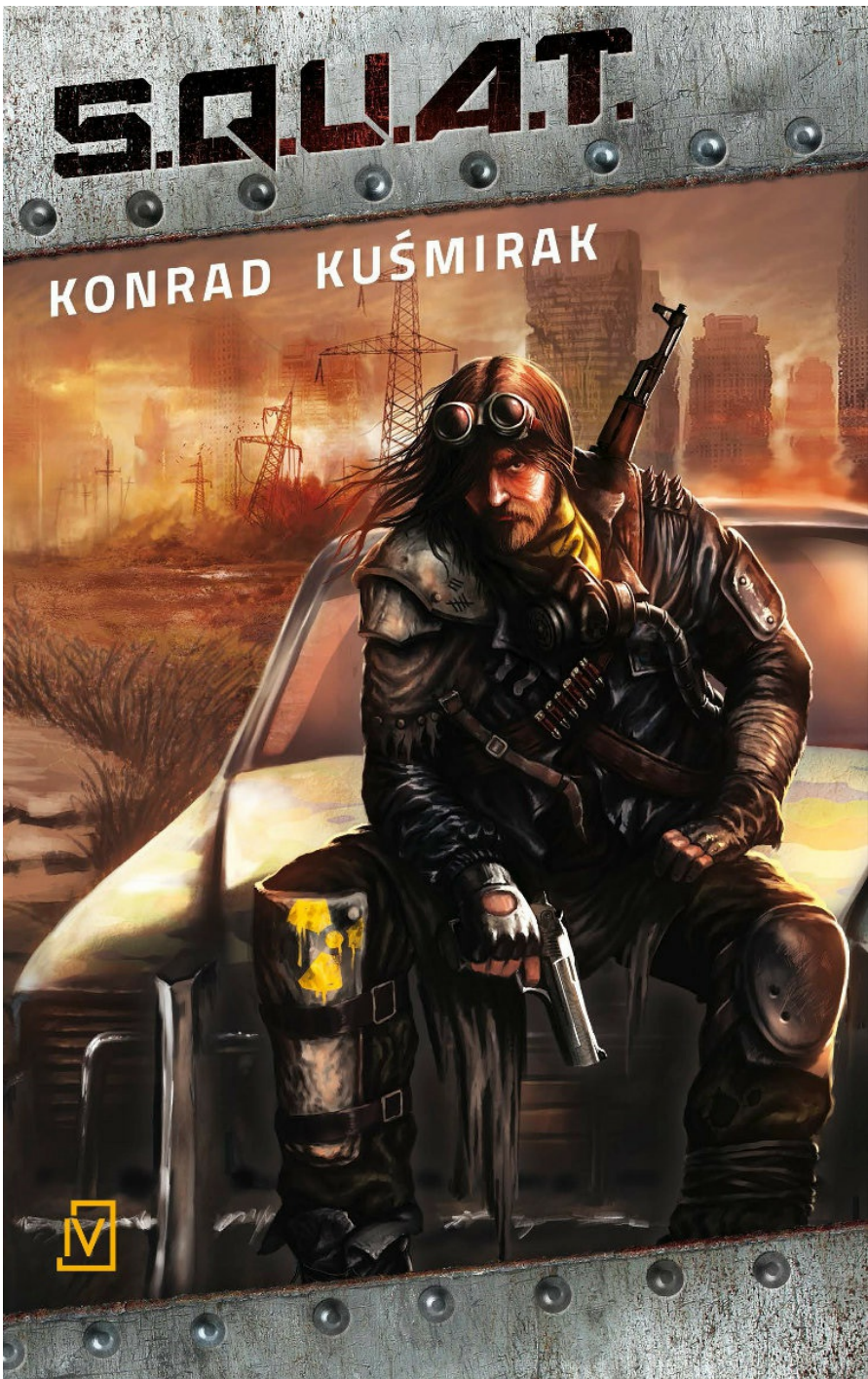
S.Q.U.A.T.

Stanisław Jerzy Lec mawiał: *To się będę śmiał, gdy nie zdążą ze zniszczeniem świata przed jego końcem.* Nie zdążyli. Apokalipsa nastąpiła wcześniej. Promieniowanie gamma zamieniło w pył uprawy, spopielilo lasy, wysuszyło rzeki, morza i oceany. Do trzeciej wojny światowej nie doszło, nikt nie nacisnął czerwonego guzika, stalowi aniołowie śmierci pozostali zamknięci w betonowych silosach, śniąc o zniszczeniu. Ale ten piasek, wszechobecny pył i upał... Pustynia, jaką stał się świat, upomniała się o swoją własność.

Rodzaj ludzki to uparty gatunek. Cham się uprze i weź mu daj. Ostatecznie ci, którzy przetrwali, wzięli sami to, co im było potrzebne do przeżycia. Te części miast, które nadawały się do zamieszkania, zamieniono w twierdze otoczone kordonem betonowych płyt i wraków aut. Wśród zgliszczy przygranicznego miasta w Polsce B krwawo narodził się Squat Centrum. Oprócz pustyni pojawił się inny wróg – drugi człowiek.

Kamyk – jeden z ostatnich Wolnych Ludzi, przemytnik i handlarz żywym towarem – po latach wraca do Białego Miasta, po którym krążą opowieści o dziwnych zamaskowanych przybyszach, zarządzających polowania na ludzi. Niebawem Kamyk, gnany niepokojącymi snami i wizjami, sam przekona się o ich istnieniu...

*W dalszej części znajdziecie Państwo
fragment publikacji*



Po godzinie wsłuchiwania się w rytmiczne dudnienie silnika dotarłem do stacji Zubki, gdzie kiedyś znajdowało się kolejowe przejście graniczne z Białorusią. Zamknięte i opuszczone, obecnie miało zostać użyte zgodnie ze swoim przeznaczeniem. Obok ruin budynku służby celnej, po którym pozostała jedynie tablica z nazwą przejścia, znajdowała się bocznicą kolejowa wyposażona w specjalne podnośniki służące do przekładania wózków wagonów. Niedługo ze wschodniej strony powinien nadjechać pociąg towarowy z cysternami pełnymi paliwa. Przekładanie wózków zajmie parę godzin, chociaż zawodowcy podobno wykonywali taką operację w sto dwadzieścia minut. Ale oni znali się na rzeczy i mieli sprawny sprzęt. Ja miałem jedynie chęci i pomocnika...

Zastopowałem lokomotywę, wyłączyłem zasilanie i usiadłem na metalowych schodkach. Nie byłem sam. Wokół bocznicy krzątał się chudzielec, który na widok nadjeżdżającej lokomotywy odstawił olejarkę i obserwował hamujący ze zgrzytem pojazd. Teraz przywołałem go gestem. Szedł śmiesznie stawiając nogi i kiwając się we wszystkie strony. Gdybym go nie znał, mógłbym przysiąc, że jest pijany. Nie był. Ktoś kiedyś połamał mu oba golenie, a że akurat w promieniu stu kilometrów nie było lekarza, to kości zrosły się tak, a nie inaczej. Stąd dziwny chód chłopaka.

– Jak tam, Szczurek? – spytałem.

– Bo ja wiem? – odpowiedział pytaniem i wzruszył ramionami.

Znałem go od kilku ładnych lat i muszę przyznać, że elokwencją nigdy nie grzeszył. Nie podejrzewałem go też o filozoficzne przemyślenia i wywody. Może zbyt długo siedział w pełnym słońcu i kilka klepek w jego głowie uległo deformacji. Jedno trzeba mu przyznać, miał nosa do wyszukiwania wszelkiego rodzaju fantów. Nie chodzi mi tutaj o zwykły szaber, o nie. On po prostu podnosił klapę zasyfionego kibla, który każdy ominąłby szeroki łukiem i znajdował kilka schowanych tam konserw. Odrywał spróchniałą deskę i odkrywał skrytkę z prowiantem. Ot, samorodny talent nowych czasów.

– Noc idzie – mruknął Szczurek, oglądając lokomotywę. – Kiedy przyjadą?

W tym momencie w oddali zawyła syrena i potężne reflektory lokomotywy rozświetliły zapadającą powoli ciemność. Spalinowóz ozdobiony białoruską flagą zatrzymał się przed bramą graniczną, którą sprawnie otworzyło kilka postaci w ciemnych ubraniach, niewyglądających na mundury. Po chwili skład wtoczył się na bocznice. Zazgrzytały hamulce, lokomotywa umilkła, a ludzie z obstawy pzeskakiwali z wagonów i rozlokowali się w kilku strategicznych punktach, omiatając lufami karabinów krzaki i suche pnie drzew. Obstawa rzeczywiście paradowała w cywilnych ubraniach.

– Nu? – Podszedł do nas mężczyzna w czapce maszynisty. – *Ty Kamyk?*

– Ja – odpowiedziałem i uściśnąłem suchą i żyłastą dłoń.

– *A eto twój lokomotiw?*

– *Da.*

– *Haroszyj* – pochwalił maszynista.

– To prawie takie same maszyny – wskazałem na spalinowóz Białorusina. – Różnią się tylko szczegółami...

– Może byście się wzięli do roboty? – rzucił jeden z obstawy i wskazał palcem na zegarek. – *Ja tu komandir, a wremia...*

– *Spakojna* – uśmiechnął się maszynista.

– Ilu was jest? – spytałem.

– Wystarczająco wielu – warknął dowódca.

– Możemy mieć towarzystwo.

– Spodziewam się.

– Jest jeszcze jedna sprawa. Powinien być z wami lekarz. *Wracz.*

– Jest – mężczyzna powiesił karabin na ramieniu i z wewnętrznej kieszeni wydobył czerwoną książeczkę. – To *diplom*. A *wracz* czeka tam

– wskazał na białoruski spalinowóz. – *Boi się. U was... dzicz.*

Otworzyłem książeczkę i spojrzałem na fotografię młodego mężczyzny w okularach z rogową oprawką. Dyplom był stary, został wydany wiele lat przed Rozbłyskiem. Może to i lepiej. Lekarz powinien mieć doświadczenie.

– W porządku – powiedziałem, oddając dyplom. – Bierzemy się do roboty.

Zgarnąłem Szczurka i razem z maszynistą zaczęliśmy demontaż wózków. Muszę przyznać, że chłopina znał się na rzeczy. Po trzech godzinach połowę składu mieliśmy z głowy, a koszule mokre od potu.

Zaproponowałem krotki odpoczynek, co Szczurek przyjął z zadowoleniem, a *komandir* ze szkaradnym skrzywieniem, lecz nie powiedział ani słowa. Wzruszył tylko ramionami, a jego ludzie wyciągnęli papierosy. Rozżarzyły się zapalniczki, rozległ szmer rozmów, atmosfera nieustannego zagrożenia uległa rozluźnieniu. Szczurek, posiłkując się latarką, grzebał w ruinach budynku celnego. Postanowiłem dla relaksu przyłączyć się na chwilę do chudzielca. Wykorzystując hałas, jaki robili Białorusini, podkradłem się do zgarbionej postaci i nagle wynurzyłem się z ciemności.

– Buuu! – krzyknąłem, ale Szczurek nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi.

– Co? – zapytał i dalej grzebał w swoich śmieciach.

– Zachowaj czujność, bo cię okradną.

– Niby kto? – zdziwił się chudzielec i zanurkował w jakiejś dziurze.

– Co tam wypatrzyłeś – zainteresowałem się. – Jest coś ciekawego?

– Jeszcze jak – dobiegł stłumiony głos. – Znalazłem prawie nieużywane gumki. I ziemniaki. Całe góry ziemniaków.

– Jadalnych?

– Może... jak się przebierze. Pod ziemią przetrwały dłuższy czas...

Przerwał mu huk wystrzału, który nagle gruchnął gdzieś od strony bocznic. Instynktownie przyklęknąłem za fragmentem muru, wyciągnąłem Wesołego Przyjaciela i spojrzałem na dziurę, w której chował się Szczurek. Cwaniak nie miał najmniejszego zamiaru wystawiać głowy i ryzykować oberwania choćby rykoszetem. Nawet mu zazdrościłem, bo za chwilę musiałem zorientować się w sytuacji i podjąć pewne działania... Gruchnęły kolejne strzały, usłyszałem jęk bólu i – chcąc nie chcąc – wyrząłem zza mojej osłony. Ludzie z obstawy prowadzili nieco chaotyczny ogień, celując do niewidocznych postaci, przemykających gdzieś pomiędzy pniami drzew. Jeden Białorusin leżał rozkrzyżowany.

Napastnicy prawdopodobnie czekali w ukryciu na zapadnięcie zmroku, kiedy któryś z Białorusinów coś zauważył. Mogło to być odbicie światła na ostrzu noża, niestarannie uczerniona twarz lub zwykle przecucie, że coś jest nie w porządku. Niewidoczny przeciwnik odpowiadał ogniem z rzadka, co było zrozumiałe i świadczyło, że mamy do czynienia z zawodowcami. Mogli się łatwo przemieszczać w znanym terenie, jednocześnie mając jak na tacy obstawę pociągu,

obserwowaną pewnie od dłuższego czasu. Z drugiej strony, obstawa transportu miała za plecami cysterny z paliwem. Jeden nieostrożny wystrzał mógł zakończyć tę zabawę w ciuciubabkę i miejscowi przemytnicy – bo prawdopodobnie z nimi mieliśmy do czynienia – musieliby odejść jak niepyszni, oglądając się na smugę oleistego dymu walącego z płonących wagonów. Ktoś byłby niezadowolony, ktoś inny musiałby ponieść karę. Nie, bezpośredni szturm nie wchodził w grę. Gdybym był na ich miejscu, starałbym się wyeliminować wroga po kolei, bez hałasu. Musiałem zaniechać dalszego rozważania strategii napastników, bo od strony ostrzeliwanych drzew dał się słyszeć hałas. Takiego rozwoju wypadków nie przewidziałem, choć powinienem. Był to coraz głośniejszy odgłos auta przedzierającego się przez nieprzejezdny, leśny trakt. Dużego, ciężkiego i głośnego auta. Dość szybko też je ujrzałem. Wypadło na otwartą przestrzeń i zabuksowało kołami na pokrytych piaskiem betonowych płytach. Było wyposażone w halogeny dużej mocy. Zerknąłem na białoruską obstawę pociągu – byli gotowi, zagwizdałem bezgłośnie i schowałem Wesołego Przyjaciela. Na niewiele by się przydał w konfrontacji z lekkim transporterem opancerzonym, który ustawił się przodem do pociągu i najwyraźniej szykował się do otwarcia ognia z ciężkiego karabinu maszynowego zamontowanego na dachu. Przynajmniej ja tak to widziałem.

– Kto tu dowodzi? – zaszczekał głośnik zamontowany gdzieś na pojeździe.

Odpowiedział mu grzechot pocisków, odbijających się od karoserii transportera.

– Jeden wystrzał i nie ma was, nie ma pociągu. Tego chcecie?

Białorusini najwyraźniej pozdejmowali palce ze spustów i wysadzili głowy zza ramp, starych beczek i wszystkiego, co tylko nadawało się do osłony. Wyglądało na to, że za chwilę zaczną się pertraktacje. Jeśli będziemy mieli szczęście, stracimy jedną cysternę razem z zawartością. Chociaż... Znajdowałem się nieco z boku transportera i jego załoga mogła mnie nie widzieć. Postanowiłem zaryzykować i obejrzeć sobie dokładnie ustrojstwo zamontowane na pojeździe. Karabin wyglądał groźnie, ale nie dostrzegłem taśmy z nabojami. Mało tego, wydało mi się wątpliwe, by broń była obsługiwana zdalnie, ze środka pojazdu. Oczywiście mogłem się mylić.

– Szczurek – rzuciłem w kierunku jamy – masz granat czy coś?

Dłoń chudzielca wyłoniła się na moment ze schronienia i równie szybko zniknęła z pola widzenia, a po spękanej betonowej płycie posadzki potoczył się RKG-3, wyprodukowany przez Rosjan jakieś pięćdziesiąt lat temu granat przeciwczołgowy. Szczurek zawsze miał przy sobie jakiś ładunek wybuchowy – ot, takie zboczenie, które czasami mogło uratować życie. Miałem nadzieję, że ta zabawka zadziała i będę miał szansę zostać bohaterem. Kątem oka dostrzegłem, jak kolejnych dwóch Białorusinów upadło z rozpostartymi ramionami, a pozostali pozmieniali magazynki i przegrupowali się, chociaż trudno to było nazwać przegrupowaniem.

– Chcemy tylko... – ponownie szczerknął głośnik, po czym zapiszczał donośnie i umilkł.

„Sprzężenie” – pomyślałem i ruszyłem przez gruzowisko. Białorusini znowu otworzyli ogień, skutecznie przyciągając uwagę załogi transportera. O ile wewnątrz stalowego potwora znajdował się ktoś poza kierowcą. Widziałem to tak: korzystając z zamieszania wywołanego strzelaniną, podkradną się do transportera, podrzucę granat, dam nura do jednej z jam pozostałych po betonowych słupach i zacznę się modlić. To powinno wystarczyć. Uczyniłem tak jak pomyślałem.

Granat zadudnił na stalowym pancerzu, a ja o mało nie skręciłem sobie karku, lądując na dnie głębokiego wykrotu. Łupnęło porządnie, po chwili buchnął ogień z rozerwanego zbiornika paliwa. Z bronią gotową do strzału wyrząłem z mojej kryjówki i uśmiechnąłem się. Transporter płonął, a w otwartym włazie pojawiła się postać otoczona kulą ognia i na ślepo ruszyła wprost na Białorusinów. Szczerknął pojedynczy strzał, żywa pochodnia upadła tuż przed lokomotywą. Wstałem i machając rękami, okrążyłem płonący wrak.

– To ja! – krzyknąłem.

Odetchnąłem z ulgą kiedy komandir uniósł rękę na znak, że mnie rozpoznał. Nie ma to jak umrzeć od omyłkowego postrzału sojuszników.

– Macie jakąś gaśnicę? – spytałem, wskazując na płonące zwłoki.

– *Da* – odpowiedział jeden z Białorusinów. – *Tolko za czto?*...

– Dobrze, że go zdjęliście zanim wpadł między was.

– *My?* – Mężczyźni spojrzeli po sobie ze zdziwieniem. – *Nie ty strielał?*

Przez chwilę zastanowiłem się, skąd pochodziła gorąca ciecz, która

właśnie zalała mi twarz. Przewracając się, zdołałem jeszcze dostrzec, jak eksploduje głowa komandira. Później nie widziałem już nic. Nie zdążyłem nawet zmówić zdrowaśki. Niektórzy twierdzą, że przed śmiercią widzi się całe swoje życie. A ja wam mówię: gówny prawda.